

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 143.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1876.

SERYA V.

Wrzesień.

TOM III. — ZESZYT IX.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

Ukończono druk dnia 29 sierpnia 1876 r.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. O zjazdach, czyli kongresach naukowych i ich działaniu w ostatnich kilku latach. Przez E. Stawiskiego.	361
II. Społeczność Warszawy w początkach naszego stulecia. (1800—1830). Przez K. Wł. Wójcickiego.	385
III. Kronika lwowska.	421
IV. Podole. Przez F. Krauzego (Podolanina).	439
V. Gabryela. Komedia w pięciu aktach, Emila Augier'a. Tłumaczył Kazimierz Kaszewski.	449
VI. Synowie hetmańscy. Opowiadanie historyczne. Przez Władysława Chomętowskiego. (Tom II).	461
VII. Kronika Paryzka, literacka, naukowa i artystyczna.	490
VIII. Korrespondencya. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej. (w sprawie Światowida). Napisał Zygmunt Gloger.	517

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.

IX. O Drogach ducha, napisał August Cieszkowski. (Odruck z Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego). Poznań. 1869. Nakład autora. Przez F. Jezierskiego.	520
X. Katedra Gnieźnieńska, przez księdza Ignacego Polkowskiego. Gniezno, 1874 roku, nakładem autora. Przez Ernesta Swieżawskiego (J.—d).	524
XI. Odpowiedź na kilka uwag, co do nowo-odkrytego herbarza I. Krasickiego, w n-rze 38 Niwy z r. b. zamieszczonych. Napisał Aleksander Wejnert.	535
XII. Wiadomości bieżące, naukowe, literackie i artystyczne.	540
XIII. Nekrologia.	547

KONGRESACH NAUKOWYCH

I ICH DZIAŁANIU W OSTATNICH KILKU LATACH.

III.

Kongresy międzynarodowe.—Kongres rolniczo-leśny w Wiedniu.—Kongresy statystyczne w Brukselli, Paryżu, Wiedniu, Londynie, Berlinie, Florencyi, Hadze, Petersburgu.—Kongresy Antropologii i Archeologii w Bolonii, Kopenhadze, Brukselli, Sztokholmie.

Kongres rolniczy zebrał się w Wiedniu w czasie trwania wystawy międzynarodowej w r. 1874. Była to pierwsza i jedyna dotąd próba tego rodzaju zjazdów. Zebrało się pod przewodnictwem austriackiego ministra rolnictwa Chlumeckiego 259 członków wszystkich narodowości, z wyjątkiem Anglii. Prezydentem honorowym zebraniaznaczony był słynny Justus Liebig, ale nie dożył otwarcia kongresu; posunięto cześć dla zmarłego tak daleko, iż miejsce to pozostało na kongresie opróżnionem, jakby wyrazić tym sposobem chciano, że nikt po nim zająć go nie mógł. Posiedzenia trwały od 19 do 24 września. W zagajeniu swoim minister wyraził słuszną bardzo uwagę, że nikt od kongresu spodziewać się nie powinien ani stanowczych rozstrzygnięć przedstawionych pytań, ani bezpośredniego wprowadzenia w życie jego postanowień. Bardzo ważny cel będzie osiągnięty, jeżeli zebranie zgodzi się na uznanie pewnych kwestyj z zakresu rolnictwa i leśnictwa, jako kwestye międzynarodowe, oierze punkt zapatrywania się na nie i uzna potrzebę jednostajności w ich rozbiornie. Podniósł następnie minister trudności, jakie spotkać musi kongres, trudności z jakimi walczyć muszą wszystkie nowe kierunki to jest: rutyna, uwiecznione nawyknięcia, powaga rozpowszechnionych zdań. Z temi trudnościami jednakże kongres się nie spotkał. W łonie jego rozprawy szły gładko, nietylko bez roznamiętnienia, ale nawet bez wywołania znacznego odskoku w zdaniach i przekonaniach. Być może dla tego że w ogólności pole dla kwestyj rolniczych, i leśnych międzynarodowych, nie jest bardzo szerokie. Jedne z nich wchodzą w zakres ogólny handlu i polityki handlowej, inne w zakres prawodawstwa, inne w zakres policyi międzynarodowej sanitarniej, inne w zakres ogólnej statystyki. Pożytecznie jest je wyłączyć i odnieść na swoje miejsce, oddać badaniu rolników to, co się rolnictwa głównie dotyczy. Uważamy téż kongres ów, nie za chybiony, owszem za pożyteczny; ale pierwszej téj próbie, jaka się w Wiedniu odbyła,

wielkiej doniosłości przyznać nam trudno. Było to niejako zbadaniem gruntu i przygotowaniem umysłów. Wrażenie, jakie kongres ten wywołał, było w ogólności małe i temu to zapewne przypisać należy, że o ile nam wiadomo, zjazd powtórny chociaż zapowiedziany na rok 1875, jednakże się nie powtórzył.

Pierwsze pytanie, jakim się kongres zajmował, było: Jakie środki przedsięwziąć należy dla zaopiekowania się ptastwem użytecznym dla rolnictwa? Dr. Tschudi, pełnomocnik Szwajcaryi, jako sprawozdawca, był zdania, że tylko środki prawodawcze i nadzór państwowy mogą temu zadaniu podołać. Inni projektowali upowszechnienie wiadomości właściwych, mianowicie pomiędzy młodzieżą wiejską; wydanie dzieła odpowiedniego któreby było w ręku nauczycieli, proboszczów, urzędników leśnych i władz wiejskich. Zwrócono uwagę, że największe zniszczenie ptastwa dokonywa się we Włoszech w epoce przelotu i że temu należałoby zapobiedz.

Zgodzono się na następujące postanowienia: chwytanie i zabijanie ptaków owadożernych zupełnie jest wzbronione; dozwolone jest tylko co do ptaków ziarnożernych, z wyjątkiem epoki lęgu od 1 marca do 15 września. Użycie siideł, samotrząsków, lepu zupełnie się zabrania. Również psucie i uszkodzanie jaj, gniazd i podbieranie młodego ptastwa, z wyjątkiem szkodliwego. Listy ptaków owadożernych, ziarnożernych i szkodliwych będą ułożone i rozpowszechnione. Sprzedaż ptaków owadożernych, żywych lub nie żywych ma być zupełnie wzbronioną, równie jak sprzedaż innych w epoce ich lęgu. Ajenci targowi mają nad tém czuwać. Tylko w celach naukowych można od powyższych zasad robić wyjątki.

Drugie pytanie: dla których części statystyki rolniczej i leśnej, i dla jakich metod byłoby pożytecznym zawarcie konwencji międzynarodowej, w celu dojścia do możności porównywania rezultatów osiągniętych? Sprawozdawca wykazał, lub raczej starał się wykazać niedostateczność prac kongresu statystycznego międzynarodowego ze względu na rolnictwo. Cztery główne punkta statystyki rolniczej międzynarodowej są: 1) produkcya roczna zbóż i ziemioplodów; 2) liczba robotników, ich klasyfikacya i zarobki czyli cena roboty; 3) podział własności, jój rozciągłość, z oznaczeniem uprawy prowadzonej przez właściciela lub dzierżawcę; 4) wartość ziemi i cena dzierżaw.

Pożądaniem jest, aby rządy zgodziły się na stałe zasady co do badań rolniczych; aby badania te powtarzały się w odstępach dziesięcioletnich (niezależnie od statystyk rocznych); aby robiły się jednocześnie wszędzie i jednocześnie ze spisem ludności. Tym sposobem możnaby dojść do wynalezienia stosunku pomiędzy zaludnieniem i produkcją. Koniecznym jest zbieranie wiadomości co do zbiorów, ich ceny, dróg i kosztów transportu, użycie na ten cel jednej miary i jednej wagi. Projektowanem jest wreszcie ustanowienie stałej

komisji, któraby czynności swoje odbywała w związku ze stałą komisją kongresu międzynarodowego statystycznego.

Trzecie pytanie, część I: Jakie są rodzaje doświadczeń rolniczych, któreby wymagały systemu międzynarodowego wspólnego? Na to stosunkowo ważniejsze od poprzednich pytanie, nie znajdujemy w sprawozdaniu, które posiadamy, jasnego i wyczerpującego orzeczenia. Sprawozdawca odpowiada ogólnymi uwagami wcale według nas niezadowolającymi kwestyi. Powiada np., że stacye doświadczalne rzeczywiście korzyść przynoszą tylko przez badanie zadań ściśle określonych. Rozszerzając zakres ich działania, traci się cały owoc doświadczeń. Byłoby do życzenia, gdyby czynność stacyi wypływała ze wspólnego kierunku i gdyby ten sam fakt rozbierały na różnych punktach, w różnych warunkach. Mogłyby również korzystnie być użyte do kontroli artykułów rolniczych, będących przedmiotem handlu międzynarodowego, jak np. nawozy mineralne, nasiona, jaja jedwabnicze i t. p. Francuzki agronom, obecny na kongresie, Barral, rozszerzył wązkie ramy, w jakich zamknął się sprawozdawca tego pytania, zalecając wspólnym doświadczeniom międzynarodowym kwestyą zaraz, dotyczącą inwentarze, kwestyą próbowania narzędzi rolniczych. Zalecał zebrania rolnicze i wymianę pomiędzy nimi publikacyj i sprawozdań w różnych językach, jako środek przyspieszający cywilizacją międzynarodową. Jermołow podniósł myśl utworzenia pisma centralnego międzynarodowego rolniczego, przeznaczonego głównie na ognisko prac po stacyach doświadczalnych.

Trzecie pytanie, część II: Pod jakim względem leśnictwo wymaga międzynarodowego systemu doświadczeń i obserwacji?

W odpowiedzi na to pytanie ze strony sprawozdawcy nie zbywa już bynajmniej na jasności i stanowczości. Odpowiada wyraźnie, że większa część doświadczeń odnoszących się do leśnictwa, ma tylko lokalne znaczenie. System obserwacji międzynarodowej nabiera dopiero znaczenia przy badaniu fenomenów leśno-meteorologicznych, jako objawiających się na znacznych powierzchniach. Doświadczenia zebrane w Bawaryi przez Ebermajera na podstawie prac siedmiu stacyi doświadczalnych leśno-meteorologicznych, przekonywają jak mało posuniętą jeszcze jest wiadomość, co do warunków najprzyjajniejszych dla lasów, co do wpływu na nie klimatu i gruntu. Zaleca więc badania dalsze w tymże samym duchu i kierunku. Uznaje z Liebigiem i innymi, że lasy wywierają wpływ na klimat, temperaturę i wilgoć, zawartą w powietrzu.

Kongres uznaje, że system międzynarodowych doświadczeń jest konieczny do rozwiązania kwestyi wpływu lasów na klimat, obfitości deszczów, tworzenia się źródeł, wylewów rzek i innych zjawisk tego rodzaju. Postanowiono prosić rządy o opiekę nad stacyami, mającymi takie zadanie, o zaopatrywanie ich w ludzi kompetentnych, mających się porozumiewać między sobą.

Czwarte pytanie: Jakie konwencje międzynarodowe mogłyby zapobiedz szerzącej się dewastacji lasów?

Sprawozdawca mniema, że kraj każdy, nie tylko potrzebuje pewnej oznaczonej ilości lasów dla drzewa koniecznego do zaspokojenia jego potrzeb, ale także dlatego, iżby mógł mieć stały klimat i właściwą temperaturę. Dla każdego więc kraju *minimum* przestrzeni zalesionej powinno być udeterminowane. To udeterminowanie powinno się dopełniać ze stanowiska międzynarodowego, bo odkrycie pewnych przestrzeni może mieć wpływ na żyzność dalszych okolic. Mianowicie zachowanie lasów u źródeł głównych rzek i przy ich brzegach ma pierwszorzędne i międzynarodowe znaczenie. Potrzebne są więc wszędzie racjonalne zasady użytkowania z lasów i oznaczenie tych miejscowości, na których zadrzewienie ma doniosłość naczelną i międzynarodową.

Te były przedmioty, któremi zajmował się kongres rolniczo-leśny. Zestawiając je w myśli i porównując między sobą, spostrzegamy zaraz różny bardzo stopień ich doniosłości. Zdaje się iż niewłaściwie nadano międzynarodowe znaczenie kwestyi ochrony państwa owadożernego. Nie sądzilibyśmy również, iżby właściwie było odłączać statystykę rolniczą od ogólnej statystyki międzynarodowej, mającej odrębne swoje kongresy, i robić ją przedmiotem nawet zjazdu rolniczego. Statystyka rolnicza, jak każda inna, ma przeważnie znaczenie państwowe i handlowe, a nie ściśle rolnicze. Dobrze jest kiedy rolnicy współdziałają w pracach statystycznych, ich pomoc może być nader użyteczną i przyczynić się do dokładności danych. Wyborowi więc tego pytania takżebyśmy naszego uznania dać nie mogli. Za to trzecie i czwarte pytanie i dobrze wybrane i dobrze postawione, podniosły znaczenie prac kongresu; w nich też znajdujemy zarody i kierunki dla główniejszych prac międzynarodowych w usłudze rolnictwu. Rozkład pomiędzy narody prac, badań i doświadczeń, systematyczne ich rozłożenie takie, aby do właściwego i ogólnie uznanego celu zmierzały, międzynarodowe próby narzędzi, wspólne zabezpieczenia od zaraźliwych chorób, wzajemna kontrola nasion, nawozów; wyjaśnienie ciemnej i niedość rozwikłanej jeszcze kwestyi wpływu lasów na klimat: to są rzeczywiście ważne zadania dla kongresów rolniczo-leśnych międzynarodowych. Wskazał tylko te cele kongres wiedeński; wiele jest jeszcze do zrobienia, aby je w życie wprowadzić.

* * *

Zjazdy międzynarodowe statystyczne rozpoczęły się w r. 1853 zebraniem się w Brukselli tak uczonych specjalistów jak delegatów rozmaitych rządów. Inicytywa wyszła od biura statystycznego brukselskiego, ale od razu zjazdy te przybrały półurzędowy charakter przez udział, jaki wziął w zaproszeniach rząd belgijski i przez przyjęcie zaproszeń ze strony dwudziestu sześciu państw. Od pierwszej też chwili przyjęto zasadę, że w sekcyach udział brać będą tylko delegaci rządowi, a w ogólnych zebraniach zarazem delegaci

i uczeni specjaliści i ekonomiści. Twórcy kongresu szeroko swoje zadanie i zadanie tegoż pojmowali, jak wskazuje samo powołanie wystawców państw i uczonych; chcieli, aby statystykę traktować zarazem jako naukę i jako sztukę, w życiu narodów mającą niemałe znaczenie. To szerokie pojęcie zakresu statystyki uwydatnia się również w rozkładzie przedmiotów pomiędzy sekcye pierwszego zaraz zjazdu. Podzielono się na trzy sekcye, z których pierwsza obejmowała: 1) organizacją statystyki, 2) spisy i ruch ludności, 3) ziemię, kadastr, własność, 4) wychodźstwo i przyływ ludności z zewnątrz. Druga sekcya: 1) statystykę rolniczą, 2) statystykę przemysłową, 3) statystykę handlową. Trzecia sekcya: 1) klasy pracujące i ich zarobki, 2) statystykę ubogich, 3) wychowanie i nauczanie specjalne, 4) kary i represyą kryminalną. Szerokość pojęć co do zadań kongresu uwydatniła się mianowicie w początku samym obrad brukselskich przez zwrócenie się do statystyki porównawczej międzynarodowej, postanowienie sobie wytworzenia jęj za cel główny *tak, aby państwa nie stanowiły jednostki odosobnione, ale uważane być mogły jako członki jednego ciała*. Odrazu, aby dojść do tego celu, dostrzeżono potrzebę zbadania używanych dotąd metod i potrzebę użycia jednéj zasady co do miar i wag, aby porównanie danych z różnych krajów było możliwe.

Odtąd nie przestają wszystkie dalsze zjazdy mieć téj głównej przewodniéj myśli na oku; przypominają ciągle jedność miar, wag, monet, wspólność metod i szematów statystycznych. Idąc daléj kolejają za szeregim wydatniejszych prac kongresów, zobaczymy, jak ta myśl daléj się rozwijała; tutaj zaznaczamy tylko jęj początki i notujemy inne jeszcze uchwały kongresu brukselskiego, pewien familijny związek z poprzedniemi mające, a mianowicie uchwalono: 1) zjazd objawia życzenie, aby zasady przewodniczące reformom pocztowym w różnych krajach, wprowadzone zostały do stosunków pocztowych międzynarodowych; 2) aby mogły być zmniejszone lub usunięte wielkie różnice istniejące w prawodawstwie handlowém; 3) aby ze względu na specjalne fenomena, jakie przedstawiają wielkie zbiorowiska ludzi, pod względem zdrowia, moralności i liczby wykroczeń, wielkie miasta miały oddzielne obrazy statystyczne; 4) aby do programu przyszłych prac kongresu, wprowadzony był nowy dział statystyki ziemskiej, mający za zadanie zbieranie faktów do klimatologii, orografii, geografii roślinnej, objaśniających fizykę kuli ziemskiej i mających związek z higieną publiczną, rolnictwem i leśnictwem.

Słusznie więc wyraża się A. Quetelet w swojej ostatniej przedśmiertnéj pracy, zakończającéj pięknie świetny i pożyteczny jego zawód, w pracy mającéj tytuł *Congrès international de Statistique. Bruxelles 1873*. „Od piérwszego zebrania kongresu, wybiła się na wierzch idea jedności, którój się domagały wszystkie trzeźwe umysły. Stracono z oka indywiduum, aby się zająć ogółem ludzi. To rozróżnienie, dozwalające obejmować i badać ludzkość, w całej jęj rozciągłości, jest jedném z najważniejszych zadań uczonego.” Dodajemy

z naszej strony, aby uzupełnić myśl szanownego uczonego i zapobiedz, aby mylnie nie była rozumiana, iż tu jest mowa o uczonej poświęcającym prace swoje statystyce. Na innych polach naukowych indywiduum ma to samo znaczenie co ludzkość, a są takie, w których jednostka jest celem głównym. Aby nierozszerzać zbytecznie niniejszej naszej relacji i nie robić jej przystępną tylko dla specjalistów ale dla całej czytającej i zajmującej się rzeczami ogólnemi publiczności, nie pójdziemy w ślad za wędrującym po stolicach europejskich kongresem, i za szeregiem jego prac szczegółowych; podniesiemy tylko kilka wydatniejszych z życia jego dotychczasowego momentów, rysy główne jego fizyognomii ¹⁾.

Raporta, obrazy statystyczne różnych krajów składane przez różnych członków kongresu, zapełniają głównie jego sesyę. Ciągłe obok tego uwydatnia się i formułuje myśl wytworzenia statystyki porównawczej międzynarodowej. Zapraszane są rządy do utworzenia stałych urzędów statystycznych. Na zebraniu londyńskim Quetelet przedstawił projekt ułożenia siłami zbiorowemi planu statystyki ogólnej; a na zjeździe berlińskim plan ten, wyrobiony, przedłożył. Na zjeździe w Hadze, na wniosek Engla, pojedyncze części statystyki ogólnej porównawczej, mającej się opracować podług jednego ułożonego już planu, postanowiono rozdzielić do obrobienia pomiędzy pojedyncze państwa.

Ważne działy terytoryum, kopalnie i hutnictwo, spławy rzeczne oddano Rossyi. Dział ludności podzielił się między kilka państw: rolnictwo, ubezpieczenia rolne, inwentarze, sprawiedliwość cywilną i handlową wzięła Francya; przemysł, ubezpieczenia na życie Prusy; handel, higienę Anglia; uprawę wina Węgry; lasy i polowanie Baden; żeglugę Norwegia; transporta Dania i Hessya; ubezpieczenia rozdzielono pomiędzy cztery państwa. Instytucye kredytowe i banki ludowe Sz wajcarya; kassy oszczędności, pomocy, dobroczynność publiczną Włochy; oświatę Austria; więzienia Dania; finanse Württemberg; armię Baden; siły morskie Hiszpania.

Wszyscy współpracownicy w tém dziele międzynarodowem zgodzili się: 1) pisać po francuzku, 2) co do miar i wag używać tylko systemu metrycznego, 3) jako jedność monetarną używać frank, 4) nie cofać się co do czasu po za rok 1853 i 1854, udzielać na żądanie pracę swoje kolegom. Oznaczono liczbę egzemplarzy, format i rodzaj druku i postanowiono, aby praca zaraz rozpoczętą została.

Na zjeździe petersburskim postanowiono utworzenie stałej komisji międzynarodowej statystycznej. Zadaniem téj komisji ma być a) zbierać objaśnienia co do wprowadzenia w życie w różnych krajach

¹⁾ Notujemy dla oryentowania się czytelnika, że zebranie kongresu w Brukselli odbyło się w r. 1853, w Paryżu w r. 1855, w Wiedniu w r. 1857, w Londynie w r. 1860, w Berlinie w r. 1863, wo Florencyi w r. 1867, w Hadze w r. 1869 i w Petersburgu w r. 1872.

postanowień kongresu i badać, jakie się następczą w tej mierze trudności i czy nie ma powodu do zmian w tych postanowieniach; *b*) pracować nad assymilacją publikacji statystycznych a to w celu utworzenia statystyki międzynarodowej; *c*) zwracać uwagę komisyi urządzającej kongresy na pytania mające być zamieszczone w programie; *d*) robić badania co do stanu statystyki w różnych krajach i składać o tém kongresowi raporta; *e*) wykonywać zbiorowe prace międzynarodowe na wzór tej, jaka była zaprojektowana w Hadze; *f*) przeglądać redakcyą postanowień kongresowych.

Po rozpatrzeniu w Petersburgu prac statystyki międzynarodowej w Hadze pomiędzy różne państwa rozdzielonej, pokazało się, że prace te niewiele posunięte zostały. Znalazły się trudności; niektórzy pracownicy się cofnęli przed niemi. Nie ustraszyło to jednak kongresu, postanowił prowadzić rozpoczęte dzieło. Cofającym się dał następców, obiecano pomoc, gdzie brakło materyałów; radzono cierpliwie poczekać i upominać się ponownie, gdzie żadnych odpowiedzi i objaśnień niedostarczono.

Oprócz głównej myśli ułożenia statystyki porównawczej, kongres wiele kwestyi ważnych i ciekawych podnosił. Jedne z nich specyalne i obchodzić mogą osoby wyłącznie statystyką zajmujące się, inne mają ogólniejsze znaczenie.

Kilka razy zwracano uwagę w kongresie na cele i granice statystyki. Młoda ta nauka, której jeszcze sam Quetelet miana stanowczego odrębnej nauki nie przyznaje, ma pod względem zakresu swego i dążności niejednostajne i nieraz daleko od siebie rozchodzące się pojęcia. Właściwe to jest młodym, w peryodzie wzrostu początkowego będącym naukom. Zresztą, statystyka nie jest tylko nauką; jest ona zarazem sztuką, praktyką. Punkta wyjścia w zapatrywaniu się na nią uczonego i męża stanu, nic dziwnego że bywają odmienne. Zetknięcia też statystyki z innymi naukami budzą odmienne szeregi pojęć i zmieniają punkt widzenia. Z punktu widzenia prawa, ekonomii społecznej, medycyny, moralności, granice i cele statystyki mogą nieco inaczej się przedstawiać.

Na jednym z posiedzeń kongresu w Londynie czytany był raport o statystyce literatury. Z powodu tego raportu wszczęła się dyskusya co do tłumaczenia i objaśniania cyfr i dokumentów odnoszących się do strony moralnej i położenia społecznego jakiegoś kraju. Reprezentant Hollandyi wynurzył zdanie „że, statystyka nie może wchodzić na to pole. Cyfry, które podaje ona, przyjmuje je i notuje jako przydatne do objaśnienia pewnej strony interesów materyalnych i pewnej gałęzi przemysłu, wreszcie jako przedmiot ciekawości, ale nie przyjmuje ich w tym celu, aby z nich wyprowadzać wnioski o stanie piśmiennictwa, cywilizacyi i umoralnienia kraju.“ Powstano energicznie przeciw takiemu zapatrywaniu się mówcy. Kapitan Sierakowski odrzekł między innymi: „Pan Quetelet jest ojcem statystyki moralnej, tej statystyki, która uważana jest jako

anatomia społeczna i która prowadzi do ugruntowania nowój nauki, to jest fizjologii społecznej. Co do mnie, odpycham zarzut najnieślusznieszy, jaki można zrobić statystyce, że popycha do fatalizmu, albo że jest bez celu, bo tylko próżnej ciekawości dogadza. Tak nie jest. Quetelet i ci, którzy jego zasady podziwiają, utrzymują przeciwnie, że statystyka pomaga, przychodzi w pomoc prawodawcy i administratorowi w poprawie wad ustroju społecznego, właśnie dokładnie wykazując stan jego obecny. Statystyka przekonywa, że ilekroć przychodzi się z reformami dobrze obmyślanymi i dobrze przeprowadzonymi, zło usuwa się, liczba występów się zmniejsza. Zamiast więc zarzucać statystyce, że popycha do poglądu fatalistycznego, możnaby raczej powiedzieć, że statystyka to idealizm, to wiara w możliwość ciągłego doskonalenia człowieka; ale i tak nie jest: statystyka to realizm, a więc istotna nauka. Wszyscy ci, którzy badali historią obyczajów i prawodawstw od końca XVIII wieku, poświadczają że statystyka moralna i sądowa wykazuje wpływ zbawienny dobrze zrozumianych reform na poprawę obyczajów i zmniejszenie występów.”

Różność zdań co do granic i zakresu statystyki objawiła się jeszcze na zjeździe florenckim z powodu wniosku jednej ze sekcji, mającego na celu zjednoczenie prac meteorologicznych w różnych krajach, aby uzyskać szerszą podstawę do rozpatrywania związku pomiędzy fenomenami meteorologicznymi a fizyką ziemi. Znany statystyk pruski Engel wystąpił przeciw temu wnioskowi, twierdząc że statystyka powinna nie przekraczać granic jej właściwych; jej zakres, mówił, jest dosyć obszerny; powinna naukom przyrodniczym zostawić to, co do nich należy i nie wchodzić na obce sobie pole. Ludwik Wołowski popierał to zdanie berlińskiego przedstawiciela. Inaczej na tę kwestyę zapatrywał się Farr, wysoko od Queteleta ceniony angielski statystyk. „Wszystkie prawie czynniki, które obejmuje statystyka, odrzekł on, są pod wpływem zimna, ciepła, deszczu; jeżeli wzgląd na to pomijamy, pozostanie rzeczywista szczyba w nauce.“ Kongres przyjął to zdanie, a później bardzo gorliwie poparł projekt słynnego amerykańskiego żeglarza i badacza mórz Maury, który na podstawie rozległych studyów, doszedłszy do rozpoznania kierunku wiatru we właściwych miejscowościach i porach roku na morzu, chciał taką samą sieć obserwacji rozciągnąć na lądzie stałym.

Jeszcze raz kwestya celu i granic statystyki przyszła na zjeździe w Hadze. Powód do tego dał memoriał Visseringa, który chciał na ten przedmiot zwrócić uwagę kongresu. Różność zdań była znaczna: jedni chcieli, aby wyłącznie zwrócona była uwaga na praktykę, a nie na teorię. Engel utrzymywał: „że niepodobna jest dać definicyi statystyki, że znalazł i zaznaczył u różnych pisarzy sto ośmdziesiąt odmiennych jej określeń. Statystyka na najwyższym swoim punkcie jest fizyką społeczną, ale że społeczności są różne, to téż określenia statystyki różnić się muszą według punktu, z którego się patrzy.” Powiada dalej, „że możnaby bez końca mówić o tym

przedmiocie i nie dojść do praktycznego rezultatu." Postawił więc taki wniosek. „Zebranie wynurzając podziękowanie p. Vissering za jego pracę, pełną zalet o przedmiocie i granicach statystyki, jest zdania, że rzecz ta nie może być przedmiotem dyskusji ani wotowania. Cel, granice statystyki, stanowisko téj nauki do innych nauk, powinny być pozostawione pojedynczemu badaniu ludzi zajmujących się nią."

Zestawiając zdania kongresu co do celu i granic statystyki, dostrzegamy, że tenże uniknąć chciał wejścia na drogę dyskusyj teoretycznych; ilekroć jednak nastęrczyła się do tego sposobność, więcej okazywał się skłonny do rozszerzenia pola działania statystyki, jak do jego ścięśnienia i ograniczenia.

Wspomnieliśmy już, że zjazdy statystyczne z powodu udziału, jaki w nich od początku wzięły rządy przez swych delegatów, miały charakter półurzędowy. Połączenie się w jedno ciało obradujące ludzi, głośnych z położonych zasług w nauce i ludzi, wysokie stanowiska w zarządzie państw zajmujących, dało im świetność, którą podniósł współudział w zebraniach: ministrów, książąt krwi i wielokrotna obecność panujących na zebraniach. Książę Albert w Londynie, a W. Ks. Konstanty w Petersburgu przyjęli prezydencją kongresu. Mowy ich, miane z tego powodu, wychodzą po za obręb zwykłych przemówień urzędowych, noszą cechę gruntownej znajomości przedmiotu i szerokiego na sprawy społeczne poglądu. Nie wypełnilibyśmy sumiennie naszego zadania sprawozdawcy, gdybyśmy niektórych ustępów z nich nie zamieścili. Mają one rzeczywistą wartość naukową i uzupełniają niejako pogląd na działania i na zadania kongresowe.

Książę Albert powiedział między innemi: „Nauka statystyki jest stosunkowo młodą pomiędzy innemi, a to daje jęj pozór nauki niezupełnej, przeznaczonej na pomocniczkę raczję innych umiejętności, jak na prawo samoistnego bytu mający organizm. Rzeczywiście tak nie jest, bo chociaż statystyka zrzeka się najwyższego celu, jaki sobie zakładać może nauka, to jest odkrycie i przedstawienie praw rządzących światem i chociaż to zadanie pozostawia naukom przyrodniczym; to robi to rozmyślnie i ze świadomością rzeczy, w tym celu, aby głównego swego zadania gromadzenia i sprawdzenia faktów niczém niezamącać, i nie odwracać oka na cęle, do jakich te fakta ponieżyć mogą. Prawdy więc ogólne i prawa ogólne, nie wyrażają się w nięj, ale odbierają od nięj światło, które błyszczy w cyfrach zimnych i nieubłaganych. Dlatego dziwić się można, że pomimo abnegacyi, którą sama sobie wskazała, jest jednakże celem zarzutów, uprzedzeń i napaści. Z różnych stron daje się słyszeć, że prowadzi do panteizmu, do podkopania religii, że ze świata robi prostą maszynę, że prowadzi do fatalizmu i odbiera człowiekowi uczucie własnej godności i odpowiedzialności. Czy są prawdziwe te zarzuty? Potęga Boga jest-że zmniejszona przez odkrycie faktu, że ziemia potrzebuje zrobić trzysta sześćdziesiąt pięć obrotów około słońca, dając tyleż dni roku; że księżyc w tymże samym upływie czasu trzynastie razy się

zmienia; że przyrływ morza następuje co sześć godzin; że woda gotuje się w temperaturze 200 stopni Fahrenheita; że słowik śpiewa tylko w maju; że ptaki znoszą jaja, lub że rodzi się 106 chłopców na 100 dziewcząt? Albo jest-że człowiek ograniczony w swój woli przez to, że doszedł że jedna generacya trwa przecięciowo lat trzydzieści; przez to, że na pocztę co rok oddaje się taż sama ilość listów, na których zapomniano położyć adres; przez to, że liczba zbrodni popełnionych jest ta sama co rok, jeżeli wszystkie okoliczności pozostają też same? Ależ statystyka nawet tego nie mówi, że tak być musi; poświadcza tylko, że tak było, a naturaliście lub ekonomiście daje podstawę do twierdzenia, że jest prawdopodobnym; że skoro tylekroć to samo się powtórzyło, będzie się powtarzać tak długo, dopóki działać będą też same przyczyny. Dała więc początek rachunkowi prawdopodobieństwa, a oprócz tego ustaliła teorią, że w świecie fizycznym nie ma pewności, ale prawdopodobieństwo. Mogło to zachwiać w kimś zaufanie i bezpieczeństwo o własną pewność; jednakże jest niewątpliwem, że jutrzejszy wschód słońca jest tylko prawdopodobieństwem dającym się wyrazić we właściwej cyfrze. Towarzystwa ubezpieczeń na podstawie obliczeń statystycznych robią układy o zabezpieczenie życia, ależ nikt na ich zasadzie nie potrafi naznaczyć nikomu terminu śmierci."

„Ależ oto inny zarzut: nieużyteczności, i to dlatego, że nic się za jój pomocą nie da udeterminować i że daje przybliżone prawdopodobieństwa tam, gdzie się żąda pewności. Zarzut ten jest słuszny, nie dotyka przecież nauki, ale raczej jest zarzutem przeciwko niestosownemu żądaniu stawionemu téjże. Jest to właściwością nauki statystyki, że daje prawa ogólne, pozorne, tak, że te prawa do żadnego pojedynczego wypadku nie przystają i w rezultacie to, co jest prawem w ogólności, jest niepewnością w zastosowaniu szczegółowym. W powyższej uwadze jest zawarta krytyka zarzutów poprzednich; tym sposobem objawia się potęga, mądrość i dobroć Boga, który dał objawom fizycznym i moralnym prawa niezienne, odpowiednie jego wiecznej naturze, a jednakże zostawił człowiekowi pole użycia swoich sił i zdolności”...

....., Ważne jest zadanie kongresu; nietylko zwraca uwagę na przedmiot, nietylko zbliża ludzi, ale przygotowuje drogi do porozumienia się rządów i narodów w celu wspólnych prac w jednym duchu, w jednym celu i za pomocą jednakich metod. Prawa ogólne uwydatniają się tylko w wielkiej summie obserwacji. Im summa ta większa, tém prawda widoczniejsza. Potrzeba więc obszernego pola dla badań. Niedość jednak mieć wielką liczbę obserwacji, potrzeba w nich jak największej różnaitości, bo tym sposobem tylko dochodzi się do rozpoznania gry wpływów, którym fakta ulegają; potrzeba je mieć z różnych miejscowości, z różnych krajów, aby rozróżnić wpływy religijne, polityczne, wpływ rasy i klimatu. Nie dosyć na tém; pewność otrzymanych objaśnień nie będzie nigdy zupełną, jeżeli nie

będą w tychże samych miejscowościach i w tychże samych warunkach zbierane w różnych odstępach czasu. Postęp lub cofanie się w ten sposób tylko dadzą się oznaczyć. Ale, aby to wszystko mózdz połączyć i zlać w jedną naukową całość, potrzeba wspólnej metody, umówionego i ujednostajnionego sposobu działania. Wdzięczność należy się ludziom, którzy w kongresie podali środki dojścia do tego celu”...

Krótkie tylko ułamki podamy z mowy W. Księcia Konstantego, chcąc ograniczyć rozmiary tego pisma.

„Jeżeli statystyka dotąd nie doszła do odkrycia jakiegoś wielkiego powszechnego prawa, na wzór astronomii albo fizyki, trudno jej z tego robić zarzut; nie jedna inna nauka na takiż sam zasłużyłby mogła. Poszukiwania statystyczne są niedawne; środki i narzędzia, jakimi się posługuje, nie są jeszcze dokładne; samo pole jej działania małą częstkę świata zamieszkałego obejmuje. Może w przyszłości zdoła statystyka rozciągnąć swoje badania na nowe fenomeny życiowe, nie wchodzące obecnie w zakres prac naukowych; może statystyka, wpływem faktów i praw zdobytych przez inne umiejętności ożywiona i zapłodniona, zmieni się w naukę, której doniosłości i granic dziś przewidzieć trudno; cokolwiek przyszłość przyniesie, nateraz już jest widocznym, że statystyka ma przed sobą szerokie nietknięte dotąd pole działania”....

....., „Czy chcemy statystykę uważać jako naukę, czy jako sztukę, czy jako metodę, jej pożytek dla ogółu jest niewątpliwy. Bo jakież jej cel? Co sobie zamierzyci ci, którzy jej się oddają? Usiłują dojść pod wpływem jakich praw, jakich instytucji, w jakich warunkach fizycznych i ekonomicznych pomyślność człowieka może być najzupełniej osiągnięta; usiłują dojść do źródeł, gdzie leżą przeszkody tamujące postęp ludzkości. Rada, którą dawał mędrzec starożytny: znaj siebie samego, zastosowaną tym sposobem została do całej społeczeńności.”

Od zjazdu petersburskiego nie spotkaliśmy śladów dalszych robót kongresu statystycznego. Czy komissya ustanowiona funkcjonuje? W jaki sposób roboty swoje posuwa? Czy ma nastąpić dalsze zebranie kongresowe? Czy dopiero z gotowym już materiałem chce przed tym ostatnim się stawić? Na te wszystkie pytania nie umiemy dać odpowiedzi. Śmierć Queteleta mogła zostawić szczerbę w pracach zamierzonych; nie można przypuszczać, aby je wstrzymać miała. To pewna, iż był on przez cały czas trwania dotychczasowego zjazdu statystycznych, jeżeli nie ich głową i duszą, bo to by było za wiele powiedzieć,—to znakiem, sztandarem niejako, pod którym się te zjazdy zbierały. Znany i poważany wszędzie i otoczony aureolą zasłużonego imienia, podnosił jeszcze urok i znaczenie poważnego grona, a hołdy, składane jego zasłudze, spływały na naukę samą i na tych, którzy byli jej przedstawicielami. Wspomniéć nam tu wypada że w naradach kongresowych brali udział oprócz wielu bardzo osób, których nie wymieniamy, oprócz Queteleta, Heuschling, Engel, baron

Czoernig, Farr, lord Houghton, Kolb, Maur, Block, L. Wołowski, Legoyt, Pascal-Duprat, de Lavergne, Fonblanque, Vissering, von Baumbauer, Semenow, Correnti, Maëstri.

*

*

*

Pierwsza myśl kongresów antropologiczno-archeologicznych powstała na zebraniu naturalistów włoskich w Spezzia 1865 r. Myśl ta przyjęła się, zjazd międzynarodowy odbył się w Neufchatelu 1866 roku pod prezydencją Desora. Drugi zaraz w następnym roku w Paryżu 1867 pod prezydencją E. Lartet'a i tu ostatecznie nadano mu nazwę, którą dotąd nosi, to jest kongresu antropologii i archeologii: początkowo nosił miano paleo-etnologicznego. Trzeci odbył się w Anglii w Norwich 1868 r. pod przewodnictwem barona John Lubbock. Czwarty w Kopenhadze w roku 1869. Ten ostatni szersze już miał rozmiary i ogłosił obszerne i dokładne sprawozdanie, które wyszło w Kopenhadze w roku 1875 ¹⁾. Przewodniczył kongresowi Vorsaae i w mowie zagajającej wykazywał zasługi, jakie Skandynawia położyła względem archeologii przedhistorycznej. Tu najprzód zaczęto gromadzić zbiory i systematycznie je układać; z dumą słuszną mówca wskazywał na niezmierną ważność i bogactwo zbiorów kopenhagskich. Tu położono fundament nauce przez oznaczenie epok kamienia, brązu i żelaza. Wspomniał wreszcie twórcę archeologii w Danii C. J. Thomsena i jego współpracowników i przyjaciół S. Nilssona z Lundu i G. C. F. Lish'a ze Szwerynu.

Program tymczasowy obejmował następujące przedmioty: 1) narzędzia kamienne znalezione w ceriftach i jaskiniach; 2) kiökkenmøddingi czyli resztki kuchenne, oraz narzędzia w nich znalezione na brzegach Danii; 3) fauna dolmenów; 4) zwyczaje pogrzebowe z epoki brązu; 5) wiek brązu; 6) wiek żelaza i jego początek na północy Europy.

Kongres w pracach swych wyszedł dalej po za program, ogarnął całą Europę i wyszedł po za Europę. Mnóstwo krajów przyniosło trybut odkryć i porównań. Dotknął wielu pytań naukowych. Jako ważniejsze uważać można: spostrzeżenia zebrane nad oscyllacją ziemi, obniżaniem się i podnoszeniem niektórych wybrzeży morskich, o mikrocefalach i o początku człowieka, w której to kwestyi starły się zdania przeciwne C. Vogta i Quatrefage'a. Ciekawe szczegóły o wieku żelaza w Danii podał F. A. Wimmer ²⁾. Powiada on między innymi: „rozległe odkrycia zrobione w ostatnich czasach, mianowicie w torfowiskach Thorsbioerg i Nydam, w Szlezwigu i w takichże torfowiskach we Wimos i Kraychul w Fionii, dały pewną podstawę do

¹⁾ Sprawozdanie jest w języku francuzkim i ma tytuł: *Congrès international d'Anthropologie et d'Archéologie préhistorique, Compte rendu de la 4 session à Copenhague en 1869*. Copenhague, Imp. Thiele. 1875.

²⁾ *Compte rendu*. p. 411.

zeterminowania chronologicznego początku epoki żelaza w Danii. Odkrycia te wskazują, że ten początek schodzi się z początkiem ery chrześcijańskiej. Trwanie tej epoki przeciągnęło się do czasu wprowadzenia chrześcijaństwa do Danii, co nastąpiło około 1000 roku. Obejmuje więc ona w Danii około 10 a co najmniej 7 do 8 wieków. Archeologowie zwykli dzielić ją na trzy doby, czyli podziały: to jest od początku do 450 r., od tegoż roku do 700 r., a od 700 do końca czyli do 1000 roku. Autor, opierając się na formach i różnicach językowych, przyjmuje tylko dwie doby w epoce żelaza. Jedną do roku 650, drugą od tegoż roku do końca. Daje autor dalej ciekawe i nauczające szczegóły o runach skandynawskich z różnych epok i zarys prób i usiłowań robionych w ich odczytywaniu. Nie mogąc powtarzać uczonego i obszernego wywodu autora, który skrócił się nie da, odsyłamy ciekawych do samego źródła. Wśród sprawozdań zwracają na siebie uwagę i zatrzymują ją: Steenstrupa o kiökkenmødingach, hr. Uwarowa pogląd na tumulusy Meryanów w gubernii Jarosławskiej i Włodzimierskiej. Pracowitemu temu badaczowi udało się przez rozkopanie wielkiej ilości mogił wydobyć niejako na jaw, wskrzesić z ziemi cały zapadły w przeszłości szczep i przedstawić go z mnóstwem ciekawych szczegółów. Dla archeologii, uważanej ze stanowiska sztuki, zajmujące są notysy i rysunki o skarbie znalezionym w Petrossy (Rumunia, Odobesco) i o naczyniach złotych, znalezionych w Danii w r. 1864, będących w muzeum Kopenhagaskim, przez M. C. Engelhardta.

Notujemy jeszcze z tego kongresu jedno szczególne spostrzeżenie niemieckiego archeologa barona Dückera ¹⁾. Chce on urny i kości w nich będące, znajduwane w północnych Niemczech (mianowicie cytuje Szląsk, miejscowość Saarow położoną o 40 kilometrów od Wrocławia) uważać za dowód ofiar antropofagicznych, z tej zasady, że resztki kości nie są często spalone, ale potłuczone; pochodzą zwykle tylko z dzieci i młodych ludzi, a często wśród nich znajdowano noże krzemienne, żelazne lub bronzowe. Vogt i Spring popierają domniemanie. Jest to jedno z owych awanturnicznych przypuszczeń, jakich pełno spotkać można u archeologów. Vogtowi przypadało ono do jego monstrialnego systemu o antropofagii, który rozwinąć miał na następnym kongresie, jak to niebawem zobaczymy. Poparł więc nie pytając się o lepsze uzasadnienie domysłu Dückera. Zanotowaliśmy ten wyskok fantazyi niemieckiego archeologa, bo ponieważ powołuje się na dowody znalezione na gruncie słowiańskim, to brak zasadności ich najlepiej może być oceniony przez polskich poszukiwaczy, a z tego oderwanego faktu łatwo przyjdzie zaczerpnąć ostrzeżenie, jak ostrożnie należy przyjmować domysły podobnego rodzaju, stawiane co do innych miejscowości.

¹⁾ Comptes rendus. p. 314.

Kongres boloński odbył się w roku 1871, a sprawozdanie swoje ogłosił w r. 1873 ¹⁾. Programem tymczasowym objęto następujące przedmioty: 1) wiek kamienia we Włoszech; 2) jaskinie na brzegach morza Śródziemnego, mianowicie w Toskanii; 3) mieszkania nawodne i torfowiska w północnych Włoszech; 4) podobieństwo pomiędzy terramarą a kiökkenmödingem; 5) chronologia pierwszego wejścia żelaza w miejsce brązu; 6) kwestye kranjologiczne odnośnie do Włoch.

Prezylujący hr. Gozzadini w zagajeniu skreślił szczegółowy obraz poszukiwań i odkryć zrobionych we Włoszech, wymienił zasłużonych tam archeologów i zaznaczył, że wszystkie epoki archeologiczne odnalezione już tam zostały. Zwrócił wreszcie uwagę na terramary jako szczególną właściwość Włoch. Są to także pozostałości i odpadki kuchenne i w tém ich podobieństwo do kiökkenmödingów; wszystkie prawie są z epoki brązu.

Czytano relacye o jaskiniach włoskich, wirtemberskich, belgij-skich; pp. Zawisza i zasłużonej pamięci w naszej literaturze Aleksander Przewdziecki, który i na poprzednim znajdował się kongresie, dał wiadomość o odkryciach archeologicznych w Polsce. Tutaj to przedstawił p. A. Przewdziecki swój projekt znaków wspólnych dla kart archeologicznych, wzięto go na uwagę, wyznaczono dla zbadania go osobną komisją, ale nie spotykamy na następnych kongresach raportu téj komisji, a kiedy na zjeździe w Sztokholmie inny uczone przedstawił projekt tegoż rodzaju, nie wspomniawszy o projekcie Przewdzieckiego, wyznaczono znowu dla niego komisją. I tak myśl Przewdzieckiego utonęła w zapomnieniu kongresu. Mówiono rzeczy nowe i dla archeologów zajmujące o resztkach kuchennych w Ameryce, o starożytnościach Finlandyi, o gleczerach pirenejskich, o palafitach we Włoszech i Austryi.

Ciekawym ustępem tego kongresu, były dyskusye o rozłamach kości i sposobie badania tych rozłamów; o sposobie wiercenia otworów w narzędziach kamiennych, jakiego mogli używać ludzie przedhistoryczni, nie mając do tego odpowiednich narzędzi; o sposobie wyrabiania narzędzi krzemiennych, które zaraz wykuwano. Ekskursya do Marzabotta i opis téj wyjątkowej miejscowości, zawierającej cmentarz etruski i zajmujące muzeum właściciela, stanowi kilka najwięcej zajmujących kart w relacyi o tym kongresie.

Z polskich nazwisk spotykamy jeszcze na tym zjeździe, oprócz wyżej wspomnianych, pp. Konstantego Przewdzieckiego i Aleksandra Dinheim Brohockiego.

Zaledwie nie pominęliśmy przedmiotu szerzej jak inne traktowanego w Bolonii, a o którym już w poprzednim kongresie wspomnieliśmy. Kilku archeologów, jak Capellini w opisie grotty dei Colombi

¹⁾ Congres international d'Anthropologie et d'Archéologie préhistorique. Comptes rendus de la V session à Bologne 1871. Bologne. Pava et Gargagnani 1873.

na wyspie Palmaria, Spring ¹⁾, Garrigou, Petersen, Schaafhausen, zaznaczali w głosach swoich domniemane ślady antropofagii, spotykane w różnych krajach i miejscowościach. Być może, że niektóre z nich są prawdziwe. Tém łatwiej temu wierzyć, gdy nie tylko w czasach historycznych ofiary z ludzi i używanie mięsa ludzkiego nie ulega wątpliwości co do niektórych krajów i plemion, ale że i dziś nawet antropofagia wśród pewnych dzikich odłamków ludzkości nie została jeszcze wytepioną. Z tych niepewnych śladów, jakie spotyka się w czasach przedhistorycznych i z świadectw wprawdzie pewniejszych i wiarogodniejszych z czasów historycznych, ale wcale nie wszędzie pojawiających się, wreszcie z pozostałego dotąd zwyczaju kilku plemion dzikich, wysnuł K. Vogt system cały, który przedstawił zdziwionemu kongresowi. Według tego systemu: używanie ludzkiego mięsa i ofiary z ludzi ma to być obyczaj ogólny, właściwy wszystkim rassom, w pewnym peryodzie ich cywilizacji. Ma to być szczebel, przez który cała ludzkość przechodziła lub przechodzi. K. Vogt, pojęcia ztąd wynikłe, wprowadza jako zasadę ofiary w pojęciach religijnych i rdzenne pojęcia chrześcijańskie łączy z antropofagią. Niewdzięcznaby było rzeczą, doktrynę nieugruntowaną naukowo i całkiem paradoksalną rozbiierać; człowiek tóż, który z nią wystąpił, nie zarobił na to iżby go brać zupełnie na seryo, nawet w kwestyach naukowych. Rozległej bezwątpienia nauki, lubi upędać się za efektem. Czynny, łatwego słowa, wszędzie jest gdzie się gromadzi jakaś grupa ludzi naukowych. Wszędzie mówi: nie cofa się przed żartem napół błazeńskim, ani przed paradoksem, aby wywołać wrażenie, zadziwić, zgorszyć. Jeżeli wspomnieliśmy o jego wysokości bolońskim, to dlatego tylko, że w nim spostrzegamy znamiona czasu i rassy. K. Vogt mieszka wprawdzie w Szwajcaryi, ale umysłem swoim zdaje się wiązać z temi krańcowemi naukowemi doktrynami, które prawie wyłącznie w Niemczech mają swoich przedstawicieli.

Jak inaczej zapatrują się inni nader poważni uczeni na powyższą kwystyą, przytoczymy tylko dwa przykłady. Angielski badacz przedhistorycznej przeszłości W. Boyd-Dawkins, w nader sumienném i gruntowném dziele: „Cave-hunting,“ w którym zebrał wszystko, co dotąd jaskinie dostarczyły dla archeologii, powiada:

„Z różnych napomknień i wzmianek u klasycznych pisarzy, wnosić można, że w jaskiniach nad brzegami morza Śródziemnego zdarzał się kannibalizm, np. powieść o cyklopach. Wyspa Palmaria stanowić może dowód, że te napomknięcia i wzmianki nie były prostym wymysłem. Nie posiadamy przecież żadnego dowodu na to, aby

¹⁾ Co do wskazówek, jakie Spring zebrał, spotykamy w głosie Virchowa na kongresie brukselskim taką wzmiankę: „W jaskini Chauvaux Spring sądził, że znalazł dowody kannibalizmu. Po nowych odkryciach p. Sorcil, ten domysł Springa i mniemane jego dowody okazały się bezzasadne. Szkielety były tak ułożone, iż wyraźnie wskazują pochów regularny.“

kannibalizm, w jakim bądź peryodzie, był ogólnym zwyczajem. Z pomiędzy wszystkich zbadanych dotąd jaskiń w Europie, zaledwie trzy lub cztery i to z epoki neolitycznej i z epoki brązu, dają jakieś wskazówki; z epoki dawniejszej żadna. Ten straszny obyczaj musi być więc uważany, jako coś zupełnie nienormalnego, a postrach jaki rozszerzał, był prawdopodobnie powodem, iż niektóre religie starożytności przyjęły ofiary ludzkie jako środek zjednania bogów ¹⁾. Jeszcze raz na zjeździe następnym w Brukselli podniósł tę kwestyą ksiądz Chierici, cytując jaskinię w prowincyi Reggio, w której mniemał znaleźć ślady czci Saturna, połączonej z ofiarami ludzkimi. Cały szereg wniosków i dowodów na jakich opierał się referent, nader jest słaby. Zrobił też uwagę Desor, znany zaszczytnie od wszystkich archeologów badacz, że: „w kwestyach tego rodzaju, trzeba być bardzo ostrożnym; przypomnę tylko dla przykładu kamienie miseczkowate (*pierres à écuelles*) obficie spotykane w Szwajcaryi i Francyi. Opisywano te kamienie, jako służące do ofiar ludzkich; uważano je jako zbiorniki krwi. To objaśnianie zyskało popularność, a dziś już każdy wie, że to zupełny fałsz. Powtarzam więc, w kwestyach tego rodzaju należy być ostrożnym i dobrze ważyć dowody.“

Archeologia przedhistoryczna więc jak każda nauka takich ostrzeżeń potrzebuje. Jakkolwiek młoda, bardzo liczy już długi szereg pomyłek wynikłych ze zbyt szybkiego uogólniania faktów pojedynczych, z niedosyć pilnego rozważania branych dowodów, z wniosków pośpiesznych i hipotez zbyt śmiałych. Jeden tylko przykład przytoczymy odnoszący się do tutejszego kraju. Hans Hildebrand, w przedstawionej zjazdowi brukselskiemu notysie co do podziału północnej Europy na sfery albo prowincye geologiczne, za jedną z podstaw projektowanego podziału podaje tę okoliczność, że na prawym brzegu Wisły niemasz prawie krzemienych narzędzi; opiera się zaś na tém, że w zbiorach królewieckich spotkał jeden tylko krzemień na trzydzieści pięć narzędzi dyorytowych. Robi więc oddzielną prowincyą bezkrzemieną z całego prawego brzegu Wisły, prowincyi nadbałtyckich i Finlandyi. Już co do prawego brzegu Wisły u nas, równie jak i do brzegów Niemna, nowsze poszukiwania wykazały błędność i przedwczesność mniemań Hildebranda ²⁾.

Kongres brukselski odbył się w r. 1871 pod przewodnictwem Omaliosa d'Halloy. Mowa Dupont'a sekretarza zjazdu, który zagaik zebrań w zastępstwie sędziwego prezesa, wskazuje jak roztropne

¹⁾ Tłumaczenie niemieckie dzieła Boyd-Dawkinsa wyszło pod tytułem: „*Die Höhlen und die Ureinwohner Europas.*“ Leipzig und Heidelberg. C. F. Winter. 1876.

²⁾ Wspomnimy jeszcze, że narzędzie czy przedmiot, któremu francuzki archeolog nadał z własnej wyobraźni okazałą nazwę: *baton de commandement* godło naczelnictwa, okazało się być, na skutek porównania z takimże samém spotkaném u Eskimosów, narzędziem do naciągania łuku. Por. Dawkins.

było rozporządzenie ustawy kongresowej, wskazujące iż kongres musi zmieniać miejsce i nie powtarzać się po sobie w tychże samych miejscowościach. Tym sposobem, mowy zagajające stały się wybornym materiałem do historii archeologii. Każda ze stolic dostarczyła w niej własnego materiału i każda mowa inauguracyjna jest jakby osobnym tój historii rozdziałem. W mowie pana Dupont spotykamy wyliczone zdobycze naukowe Belgii i wskazanie zasłużonych nazwisk. Nietylko jednak pod tym względem wędrowność kongresów okazała się użyteczną; uczeni mają jeszcze sposobność z kolei oglądać wszystkie miejscowe zbiory i w bliskości stolic położone ważniejsze miejsca odkryć.

Jak wszystkie poprzednie, zjazdy brukselskie przyjęły porządek przedmiotów mających się traktować, według ustalonego, klasycznego podziału w archeologii na wieki kamienia, brązu i żelaza; jeżeli ten jednak zasadniczy podział stoi silnie i wzmacnia się owszem nowymi odkryciami i porównaniem rzeczy odnajdywanych poza granicami Europy; jeżeli epoki brązu i żelaza mają pewne właściwe piętno i charakter tak ściśle określany, a nawet pewne dające się oznaczyć granice: to inaczej rzeczy się mają z wiekiem albo epoką kamienia. Zachodzi ona najdalej w przeszłość a promieniami pojedynczemi zachodzi aż do naszych czasów. Niezmierne spotyka się różnice w sposobie wyrobu, kształtach, odmienności typu; znajdują je to w jaskiniach, to w namułach i nasypach rzecznych, to na dnie torfowisk; znajdują je to razem z wyrobami kości i rogu, to z resztkami najrozmaitszych zwierząt, południowych i podbiegunowych, zaginionych i żyjących.

Trafiano na ślady wyrobów krzemienych w pokładach, które geologowie uważają za trzeciorzędne. Próbki narzędzi takiego właśnie pochodzenia przedstawiono po raz pierwszy kongresowi brukselskiemu, jednocześnie z Francji i Portugalii. Co do francuzkich wyznaczona była komisya; ta jednak zgodzić się nie mogła na to, czy narzędzia krzemienne przedstawiane jej, są wyrobem ręki ludzkiej, lub odłamami z przypadkowego potłupania powstałemi. Głosy członków komisji były podzielone. Epoka więc kamienia, tak szeroki obejmująca okres, tyle mająca cech i różnaitości, w tylu rozmaitych warunkach i formach się przedstawiająca, domagała się koniecznie ustanowienia jakichś pod-epok, jakiegoś podziału, któryby pomógł w klasyfikacji przedmiotów archeologicznych i ustanowienia następstwa pomiędzy niemi. Podział na peryod kamienia łupanego i szlifowanego gładzonego przyjął się odrazu, ale nie zaspokoił wszystkich wymagań. W samej epoce kamienia łupanego jeszcze trzeba było szukać jakiegoś wątku przewodniego. F. Lartet przyjął podział wieku kamienia według fauny. Już do pewnego stopnia przyzwyczajono się posługiwać oznaczeniami: mamuta, niedźwiedzia jaskiniowego, rena; gdy zjawily się bardzo poważne naukowe wątpliwości co do tego podziału czasu. Angielscy archeologowie pierwsi je podnieśli; Dawkins

mianowicie bardzo silnie bronił hipotezy migracyi zwierząt, hipotezy która umożliwiała jednoczesność tych, które żyć tylko mogą w sferach podbiegunowych i tych, dla których koniecznym jest klimat ciepły. Wielkie zmiany klimatyczne w epoce czwarto-rzędnej, peryody lodowców, podniesienia się i zniżenia łądów, łączność ówczesna dziś rozdzielonych morzami łądów, tłumaczą według niego dostatecznie te migracye i jednoczesność fauny południowej i północnej. Temi uwagami spowodowany Mortillet przełożył kongresowi brukselskiemu myśl nowego podziału epoki kamienia łupanego. W projekcie swym wychodzi z zasady, że zasadę podziału według fauny porzucić potrzeba, a przyjąć zasadę podziału według rodzaju i typu narzędzi. Nie będziem się zatrzymywać nad samym projektem; jeżeli myśli jego zasadniczej nieodrzucono, projekt sam podziału wykazał się w dyskusyi przydatny tylko do Francyi i dla Belgii, może po części i dla Anglii: nie nadawał się do Niemiec i Północy. Zarzuty swoje przeciwko dawnemu podziałowi na zasadzie fauny, uzasadnił i rozwinął gruntowniej jeszcze Dawkins w świeżo wydaném i wyżej wspomnianém dziele: „Cave-hunting.“ Dopóki dalsze badania nie zdołają podkopać jego hipotezy i jego argumentów, zdaje się, iż ona zajmie miejsce w nauce. Bardzo ważny argument przeciw teorii Lartet'a przytoczył Mortillet, wskazując jaskinie, mające wszystkie cechy epoki renifera, w których przecież właśnie renifera brakowało.

Do dłuższej i poważnej dyskusyi dała powód kwestya dolmenów a to w następstwie sprawozdania generała Faidherbe o dolmenach afrykańskich. Pokazało się, że od Maroko i głębi Algieru ciągną się one wzdłuż pobrzeżnych krajów Europy aż do Skandynawii. Czy były dziełem jakiego plemienia? Czy plemię to posuwało się od południa ku północy? czy od północy na południe? Czy powstały w skutek naśladownictwa jednych przez drugich? Czy jako najprostsza i najtrwalsza forma grobowców powstać mogły samoistnie za różnych plemion? Co do tych wszystkich kwestyi podzielone były bardzo zdania archeologów. Generał Faidherbe przytoczył dowody napływu do Afryki ludzi z jasnymi włosami, pochodzenia północnego, i tym przypisywał grobowce z głazów. Worsaae, przecząc tej teorii powoływał się na narzędzia, znajdujące się w dolmenach północnych, których nie spotyka się na Południu i na wyższą doskonałość ich wyrobienia. Wolałby więc przypuszczać migracyą z południa na północ. Mówił Worsaae, że dolmenów niemasz wcale śladów w północnej Szwecyi, w Norwegii, w Rosyji i wschodniej części Prus. Nie umiemy zaprzeczać co do Prus i co do Rosyji; wskazanie jednak dwóch tych krajów zdawałoby się obejmować i Polskę całą. Tymczasem groby zbudowane na sposób dolmenów spotkano u nas, choć bezwątpienia zdają się należeć do rzadkości. Uprościć kwestyą dochodzenia historii dolmenów Quatrefages, porównyując kości i czaszki z nich wydobyte, które widocznie dowodzą różnaitości i pomieszania ras. Cały przebieg dyskusyi zdaje się wskazywać trafność

konkluzji, postawionėj przez Worsaae, że dolmeny nie są dziełem jednego plemienia. Jako forma grobowca najprostsza, używana była nawet w czasach nowszych w Indyach, mogła być więc w użyciu w różnych czasach i u odmiennych zupełnie ras ludzkich ¹⁾.

Kwestye ściśle antropologiczne szeroko były traktowane w Brukselli, a mianowicie kwestye wynikłe z badania i porównywania czaszek. Nieszczęsne, tylekroć rysowane, opisywane, mierzone z Cromagno, z Neander-Thal, z Furfoz i z innych miejscowości czaszki; do tyłu odrębnych hipotez użyte i do tyłu śmiałych, zbyt śmiałych wniosków nadużyte, i tutaj, jak wprzód i potem, do różnych sporów i wywodów dostarczyły materiału. Panna Clemence-Royer, znana z tłumaczenia Darwina i innych pism własnych, w których, z pomiędzy uczniów mistrza, najdalej może szła w rozwijaniu go konsekwentném, przysłała do wniosku, że rasa ludzka coraz się zniża, im więcej poszukiwania zbliżają się do jej początku. Wniosek ten nie uzasadniony, pospieszny i przeciwny zeznaniem najpoważniejszych antropologów, pokazuje tylko jak badanie jakiejś nauki pod wpływem dominującym pewnego systemu, krzywi i przeistacza rzeczy najwyraźniejsze. To co dotąd najwybitniej ustaliły badania czaszek, daje się sprowadzić do bardzo krótkiego orzeczenia: to jest, że różność rass sięga najdawniejszych czasów, do jakich doszły dotąd badania. Domysłów nad pochodzeniem i wędrówką tych rass, nad ich wzajemnym na siebie wpływem i kolejną następstwa, porobiono wiele. Virchow bardzo słusznie ostrzega ciągle, że to zawcześnie, że domysły i wnioski idą za daleko w stosunku do materiału. Nie zdaje się, iżby te ostrzeżenia pomagały. Jeden z poważnych badaczy wprowadza Eskimosów do środka Europy i ich uważa za najstarszych jej mieszkańców wraz z Baskami na południu. Wniosek zaś swój opiera na podobieństwie narzędzi do dziś dnia używanych przez pierwszych, z temi, które spotyka się w jaskiniach i napywach rzek, oraz na podobieństwie czaszek. Musiała jednak wkrótce potem albo jednocześnie napłynąć inna rassa, skoro dwoistość typu najodleglejszych sięga czasów. Prawdopodobnym zdaje się wniosek tych, którzy kolebki plemion europejskich tak nowszych jak dawniejszych każą szukać po za Europą. a do uzupełnienia poszukiwań w tym kierunku bardzo jeszcze daleko.

Jeżeli nie bardzo obfity jest plon naukowy na drodze badania kości i czaszek dotąd zebrany, czy obfitszy będzie na drodze poszukiwań filologicznych? Ciekawa próbkę dostarcza nam pod tym względem kongres brukselski. Uczony angielski Hyde-Clarke do śledzenia filiacji i pochodzenia rass użył lingwistyki. Wnioski i poglądy do jakich dochodzi, są tak śmiałe i nowe, że wcale nie jako nabytek

¹⁾ Kongres następny sztokolmski zgodził się mniej więcej na podobną konkluzję w zdaniach większości go składającej.

naukowy, (bo na to potrzeba rozległej kontroli) ale jako *curiosum* je streszczamy.

„Był niezaprzeczenie czas, w którym nietylko na Kaukazie, ale w Europie a prawdopodobnie i w całym świecie, ludność była czarną. W następstwie czasów, ten kolor skóry się modyfikował i w niektórych okolicach stała się brunatną, w innych żółtą, w innych białą.“

„Rasa czarna, która znajdowała się na Kaukazie i w Kolchidzie za czasów Herodota i Pindara, odnajduje się nad brzegami Nilu. W krajach powyżej wspomnianych zaszła zmiana skóry, a podobna zmiana zaszła prawdopodobnie i w okolicach więcéj ku północy posuniętych.“

„Na Kaukazie miejsce rasy czarnej zajęła biała, ale języki negrytyczne przetrwały podobnie jak cechy etnograficzne Agawów.“

„Szereg ciągłych i gruntownych badań doprowadzi nas zapewne do zebrania coraz liczniejszych i coraz pewniejszych dowodów. Obecnie już świadectwa liczne stwierdzają łączność przedhistoryczną pomiędzy rassami czarnymi a świadectwa te stanowią: czaszki i kości, broń, języki i narzecza ludów obecnie od siebie oddzielonych.“

Dość winniśmy do zarysu zjazdu brukselskiego, że Nilsson zapowiedział tam drugie wydanie swego pięknego dzieła o epoce brązu; że na tym zjeździe ułożono, aby w miejsce corocznych zebrań, odbywały się co lat dwa; że w sprawozdaniu o nim zamieszczono liczbę członków korespondentów, w której spotykamy z polskich nazwisk następne: prof. Łepkowski, dr. Wróblewski z Kopenhagi, Kopernicki z Bukaresztu, A. Przeddziecki, E. Rastawiecki. Pomiedzy uczestnikami spotykamy pp. Węsierskiego, który przedstawił kongresowi opis starożytności znalezionych na wyspie Ostrowo w W. K. Poznańskim, Gumpłowicza, Kopernickiego, Łepkowskiego, Wróblewskiego, A. Kurtza, dr. L. Natansona, I. Zawiszę.

O zjeździe sztokolmskim nie wiele będziemy mogli powiedzieć w braku sprawozdania urzędowego, które w chwili kiedy piszemy, niewiadomo czy mogło będzie wyjść z powodu pożaru w drukarni, w której się odbijał. Znany on téż więcéj może jak inne z powodu relacji o nim pp. I. J. Kraszewskiego i Engeströma i najświetléj obecny pamięci jako ostatni. Porównałem z powyższemi relacjami inną Emila Guimet, ale nieporównyując téj mianowicie, którą ogłosił pan Kraszewski. Głównemi niemal zajęciami naukowemi kongresu w Sztokolmie było badanie najprzód: epoki brązu, jego pochodzenia, dróg handlowych, któremi mógł przechodzić, cyny jako jednego z jego materyałów składowych i źródeł zkład czerpano tę ostatnią, daléj badanie dróg, któremi rozchodził się bursztyn. Wiele innych przytém poruszano kwestyi i udzielano wiadomości, które ogółowo tylko są w sprawozdaniach podane. Same memoryały *in extenso* mogą dopięro rzeczywistą wartość i uzasadnienie ich wykazać.

Na zjeździe sztokholmskim widzimy ustaloną już w zupełności regułę, aby głównie przedmioty miejscowe kłaść na porządek dzienny. Ma to swoją dobrą stronę, gdyż z kolei każdy kraj jest gruntownie rozpatrzony; oprócz tego miejscowi uczeni przygotowani przychodzą z objaśnieniami i memoriałami a zbiory miejscowe przychodzą w pomoc i są niejako żywym wzorem i dopełnieniem opisów. Na komunikacye po za programowe zostawia się oddzielne posiedzenie. Nie jest jednak zbyt szczerze i sam program strzeżony tak, aby do niego nic postronnego wpuszczonem nie zostało. I tak: na posiedzeniu, na którym porządek dzienny wskazywał pytanie: Jakie są najdawniejsze ślady istnienia człowieka w Szwecyi? czytał p. Zawisza swoje sprawozdanie o jaskini mammuta, znane czytelnikom polskim, bo zamieszczone w „Wiadomościach archeologicznych.“

Przebiegając w myśli roboty razem wzięte wszystkich dotychczasowych zjazdów antropologiczno-archeologicznych, przychodzi się do przekonania, że we właściwych granicach i we właściwy sobie sposób, nauce istotne oddały usługi. Nie można od kongresów żądać tego, czego dać nie mogą. Nie zastąpią one ani pracy pojedynczych ludzi, ani ich geniuszu. Można by powiedzieć, że dwa są pochody naprzód każdej niemal nauki: jeden na głębokość, drugi na szerokość. Przez pierwszy zapuszcza coraz głębiej korzenie, nabiera sił do wzrostu, wzmaga się. Ten rodzaj postępu dają antropologii i archeologii poszukiwania, odkrycia, wielkie prace porównawcze z krytyką gruntowną podjęte, dzieła: Nilssona, Lyella, Lubbocka, Kissa, Lawhinsa i wielu innych. Przez drugi, nauka rozpowszechnia się, znajomość muzeów i zbiorów staje się ogólniejszą, wymiana pojęć, zdań, częstsza i łatwiejsza, dyskusya punktów spornych skraca drogi poszukiwań i chroni od pomyłek i jednostronności, znajomość i poszanowanie zabytków wzrasta u ogółu. Niedośc na tém: jeżeli wszystkie nabytki wiedzy i odkrycia mają sposobność zbiegać się w jedno ognisko, koncentrować i rzucać peryodycznie coraz nowe światło na prace ludzi pojedynczych, po różnych punktach ziemi rozrzuconych, wtenczas rzeczywiście pochod nauki musi być szybszy i jednostajniejszy. Pod tym drugim względem, pod względem przyspieszenia i ułatwienia postępu na szerokość, że tak powiemy, kongresy niewątpliwie większe są w stanie oddawać usługi, jak stowarzyszenia ograniczone do pewnej miejscowości, albo jak specjalne pisma peryodyczne. Wzrost zaś przerobionego i przetrawionego materiału, jaki się na kongresach wyrabia, ułatwia wzrost nauki w jej kierunku na głębokość. Szybszy też można zaznaczyć ruch postępowy w antropologii i archeologii od czasu powstania kongresów międzynarodowych. Zajmowało się nimi dawniej kilku, kilkunastu ludzi odosobnionych, dziś zajmuje się nimi legion i to po wszystkich krajach. Listy członków na zjazdach i materiały sprawozdań są tego dowodem. Zbiegają się wiadomości z Indyi, Japonii, Egiptu, Ameryki, Afryki z europejskimi. Narzędzia, używane dotąd w strefach

podbiegunowych, lub po odosobnionych wyspach oceanów, porówny-
wają się ze znalezionymi w jaskiniach i namulach rzek naszych.
Wioski indyjskie, budowane na palach wśród wody, z przedwiecznymi
palafitami tutejszemi, przedhistoryczna fauna amerykańska z euro-
pejską; dolmeny Afryki zestawiają się ze skandynawskimi: rze-
czy istniejące objaśniają te, które przed wiekami istniały. Taż sama
praca odbywa się pod względem porównania i rozpatrzenia rass i ich
cech; taż sama na polu językowym. Jeden z filologów angielskich
dostrzega rysy familijne pomiędzy mową Basków, mową grupy ple-
mion zamieszkałych w środku Indostanu i mową Japończyków. Po-
wyższe powinowactwo plemion tak od siebie odległych przytoczyliśmy
tylko dla przykładu; wiele on innych tego rodzaju przykładów wy-
mienia. Bieżące prace naukowe łączą się w dziwny nieraz sposób
z objaśnieniem przeszłości. Sądowania morskie wykrywają małą
głębokość morza w pewnych pasach pomiędzy Afryką i Europą, po-
między Anglią i stałym lądem, dostarczając nowego poparcia twier-
dzeniom geologów dawniejszego połączenia tych lądów. Tym sposo-
bem także tłumaczy się wspólność plemion i rass i wspólność fauny
tych krajów i możliwość migracyi zwierząt i ludzi w najodleglejszej
przeszłości, z jednych do drugich. Atlantydy tylko nie mogą się son-
dowania w oceanie domacać, kwestya więc zaludnienia dawnego Ame-
ryki pozostaje zawsze nieodgadnioną zagadką i tu jednak już zaczy-
niają się odszukiwać ślady, choć nader jeszcze słabe.

Z tego zestawienia i zbliżenia rzeczy tak odległych, rozrzuco-
nych po świecie; z téj pomocy, jaką różne nauki i poszukiwania niosą
innym, niemożna zaprzeczyć, iż wielkie światło pada na wiele kwestyi
i niezmiernie rozszerza się ogólny horyzont rozpatrującego się. Roz-
szerzenie zaś to horyzontu odbywa się na szerokość po całym znanym
świecie i sięga w tył do najodleglejszej przeszłości. To tłumaczy
nam łatwość z jaką archeologia nowa zyskała przystęp u ogółu czy-
tającej publiczności i rzeczywiste nią zajęcie ludzi ukształconych
i myślących. Rozpowszechnienie się jęj jest widoczne i trudnoby
mu chcieć zaprzeczyć. Ale zajęcie się nią ludzi myślących ma głębsze
jeszcze powody. Archeologia i antropologia, złączywszy się z geolo-
gią, paleontologią, lingwistyką, posiłkując się historią i posiłkując
ją nawzajem, stała się nauką rzeczywistości i zyskała trwałe podstawy.
Ze nie doszły do wielkich i stanowczych rezultatów, to zarzut ten i wielu
innym naukom zrobiłoby możną; nie trzeba zapominać, że podobnie jak
statystyka są świeżemi w rzędzie nauk; że są na początku swojego
zawodu; że stosunkowo małym materiałem naukowym rozporządzają;
że ogromny przestwór ziemi pozostaje dotąd po za obrębem ich ba-
dań; że mają do czytuienia z rzeczami osłoniętymi tajemnicą czasu
i tumanem osłaniającym to, co zapadło w głębię wieków i zapomnie-
nia. Badanie za początkiem działalności człowieka, za pojawieniem
się rass, ich wędrówkami, mieszaniami się, charakterami antropologicz-
nymi i cechami starożytniczymi, po których je odróżnić można, ileżto

tajemnic i wątpliwości na drodze spotyka? Jeżeli się takie badania na jednej miejscowości prowadzi, choćby tą miejscowością była np. Europa, a nie obejmuje całego obszaru ziemi, zawsze muszą być one jeżeli niezupełnie jednostronne, to przynajmniej zaspokoić w zupełności badawczego umysłu nie zdołają. Każdy widzi jak daleka jeszcze droga do tego, aby solidarność naukowa, łącząca kraje europejskie a po części i Amerykę, objęła świat cały. Przystęp nawet dla badaczy niewszędzie dotąd jest możliwy.

Jeżeli początek działalności człowieka i początek rass, w obecnym położeniu rzeczy, dla braku dostatecznego uogólnienia prac, jest trudnym zadaniem, cóż myśleć dopiero o samym początku człowieka? Hypoteza ewolucyjna nie znalazła też w tym szeregu badań żadnego istotnego poparcia. Łudzono się chwilami spotkaniem form przejściowych w szeregu zwierząt, tudzież form, zniżających się w człowieku, w miarę cofania się ku początkowi; łudzono się może do-browolnie albo przez miłość dla wybranej teorii: bezstronni badacze nie mogli wiaść tego, co dotąd twierdzono, za dowody. Jeżeli kolebki człowieka szukać trzeba poza granicami Europy, jeżeli w niej jest tylko przybyłym gościem, to poszukiwania, tutaj robione, nie zbliżą nas do wiadomości o początku. Zresztą jest prawdopodobnym, że są rzeczy, których świadomości zupełnej człowiek nie doścignie. Świadomości takiej co do przyczyn pierwotnych i celów ostatecznych rzekły się już stanowczo nauki. Długo jeszcze, jeżeli nie zawsze i wiele innych rzeczy, oprócz celów końcowych i przyczyn pierwotnych, wypadnie nam nie wiedzieć. Długa jest droga do prawdy, i nie tylko długa, ale do tego mylna. Dlatego zawsze uznawano i dotąd rozważniejsze umysły nie przestają uznawać, że oprócz rozumu i nauki, człowiekowi inne jeszcze przewodniki w życiu są konieczne. Wprawdzie śmielsi, czy genialniejsi z pomiędzy badaczy przyrody, usiłują skracać drogę badań stawianiem hipotez. Te jednak, chociaż często istotnie pożyteczne, bo otwierają nowe tory dla badań i dla myśli, nie potrafią zastąpić rzeczywistej świadomości, a nieraz zawodzą. Wspomnieliśmy też o hipotezie ewolucyjnej i o tém, że to, co dotąd zrobiono w antropologii, archeologii, paleontologii, nie zdołało przyczynić się do jej utwierdzenia. Nie idzie zatem, iżby zanosilo się lub zanosić się miało w świecie naukowym na jej bliższe porzucenie. Losy jej przyszłe są w zawieszeniu do dalszych dowodów; tymczasem zwolennicy jej uważają, że lepiej jak inne objaśnia łańcuch przeistoczeń, jakich ślady nosi na sobie i w sobie ziemia ¹⁾. Inna hipoteza naukowa skraca więc jeszcze historią ro-

¹⁾ Edg. Quinet w ostatniem dziele swém *Esprit nouveau* robi uwagę, że czaszka człowieka przedhistorycznego i czaszka dzikiego, więcej są rozwinięte, aniżeli ich potrzeby i stan kultury zdają się wymagać. W uwadze tej stawia dowód przeciw Darwinizmowi: w ogóle przeciw teorii, według której narzędzia w organizmie ludzkim stosować się mają do potrzeb i celów właściwej chwili.

du ludzkiego, bo uczy, że ewolucje płodu w łonie matki są obrazem albo historią początku i rozwoju całego rodzaju. Byłaby to bardzo sumaryczna, bardzo skrócona droga do odnalezienia prawdy, takimi ciemnościami pokrytą. Niestety tej hipotezie zdaje się, że nawet początku dowodów brakuje; jest ona dowolną i ma popierać teorię ewolucyjną, o ile hipoteza poparta być może. Zawadziliśmy o obiedwie nie dlatego, iżby miały bliższy związek z przedmiotem, o którym mówimy. Wylęgte wśród innych nauk, nie mogą obchodzić tych, w których zakres prac nie wkraczają. Archeologia, a nawet antropologia mają wiele do zrobienia nie wchodząc w obręb filozofii natury, do której właściwie należą tego rodzaju hipotezy. Tak archeologia jak antropologia winny raczej strzedz się, jak doświadczenie wykazało, wybiegania ponad zakres faktów do prędkich i rozległych uogólnień. Materiał ich dotychczasowy za ubogi, wiele gromadzić jeszcze potrzeba. Jedne narody zrobiły już wiele i zebrały wiele, inne mało, inne nic. Wprawdzie z tego, co już zrobiono, uzbierał się plan naukowy tak znaczny, że historia o wiele w tył rozszerzoną została. Już dziś żaden pisarz historyczny nie mógłby rozpoczynać historii ogólnej lub pojedynczych plemion tak, jak ją rozpoczynano dawniej. U nas archeologiczna mianowicie praca nie od dziś rozpoczęta; ale wiele jest do zrobienia. Prace kongresowe rzucają wielkie światło na to, co dalej robić wypada. Widzimy też coraz więcej osób krzątających się. Idzie, przedewszystkiem o to, aby, we wszystkich kierunkach, badania prowadzić wedle wskazań obecnej nauki; łączyć razem wiadomości geologiczne, paleontologiczne, historyczne z archeologicznymi; związać prace miejscowe z ogółem wiadomości zdobytych we wszystkich innych krajach.

Słuszność należy oddać Akademii krakowskiej, że systematycznie wzięła się do dzieła i zgromadziła czynnych i zdolnych pracowników. Na wygotowanie karty archeologicznej może u nas jeszcze zawczasie; za wiele jeszcze miejscowości przez archeologów niekniętych; ale nie zawczasie gromadzić do takiej karty materiały. Plan słownika archeologicznego skreślony przez p. J. I. Kraszewskiego, wychodzi zupełnie poza zakres przedmiotu o którym mówimy; obejmuje on życie całe wewnętrzne narodu, w całym jego przebiegu historycznym. Archeologia właściwa wchodzić tylko może jako częstka składowa do takiego dzieła.

E. Starowski.

SPÓŁECZNOŚĆ WARSZAWY

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA.

(1800 — 1830).

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

II.

Mieszczanie rzemieślnicy. Szewcy warszawscy. Przysłowie. Ulice przez nich zamieszkane. Pieśni pobożne. Chłopcy terminatorowie. Charakterystyka tego cechu.—Zofia Przybylanka.—Procesye.—Rzeźnicy.—Krawcy, inni rzemieślnicy.—Adamczyk krawiec.—Przekupki ze Starego-Miasta.—Stragany.—Przymowianie kupujących.—Ich miłosierdzie i dobroczynność.—Tradycya mieszczańska.—Składy Dominikańskiego miodu.—Andrychowiacy.—Orzechy włoskie.—Cebularze.—Garncarze.—Mostowa ulica.—Alojzy Lasocki kuśnierz.—Straż ogniowa.—Poświęcenie i nagroda.—Latarnicy.—Dworzanie po upadku wielkich domów.—Stare wiarusy.—Bez nogi.—Stary Jan.—Opowiadanie inwalidy.—Wspomnienie i żal.

Warszawa w tym trzydziestoletnim okresie, już ze starożytniej mazowieckiej stolicy udzielnych książąt Mazowieckich, zwołna przestaczała się w miasto na wzór innych większych europejskich grodów, przybierając nową postać, nowe szaty. Charakter dawny zachowała tylko w obrębie Starego-Miasta i bliższych uliczek, ale dalsze przedmieścia miały już pozór nowoczesny. Nowy-Świat, który się w ostatnich latach zaczął zabudowywać, nową epokę dla Warszawy zapowiedział.

I społeczność jej równym przemianom ulegała. Stare pokolenie z czasów Rzeczypospolitej dogasało, drugie już było w pełni działalności, a trzecie wyrastało do życia publicznego. Przystępując do dania wiernego jej obrazu, muszę zacząć od najliczniejszej warstwy mieszkańców, to jest mieszczan rzemieślników i ludu co osiadł całe wybrzeża po nad Wisłą. Na czele pierwszych postawić należy szewców. Pan majster obuwia damskiego Jan Kiliński, w roku 1794 liczył ich do 6000 w Warszawie. Zmniejszyła się ta liczba, jeżeli pierw-

tnie nie była przesadzoną, bo w roku 1824 było rzemieślników tego cechu 2427 wedle urzędowej statystyki.

Od czasów Jagiellońskich słynęli szewcy warszawscy z mistrzostwa swęj sztuki, i słuszną sobie chwałę zjednali. Z okresu panowania Zygmunta Augusta zachowało się przysłowie, które poleca te cztery rzeczy za najlepsze w świecie uważać: „konia Turka, żona Mazurka, krakowska panna i warszawski trzewik.”

Jakoż zaprawdę nie było wyborniejszego pod siodło rumaka, jak turecki, na żonę zacniejszėj i pracowitszėj niewiasty nad Mazurkę, bo i dziatwy przysparzała, i gospodyni wyborna, a do późnej starości miła zawsze żona. Krakowska panna słynęła z wdzięków, czerstwości, powabów i ognistego zawijania w tańcu, a żaden szewc w całym świecie lepszego i zgrabniejszego trzewika nie uszył, jak majster warszawski. Tak sobie powyższe przysłowie objaśniali nasi ojcowie.

Najliczniejszy ten cech w mieście, zamieszkiwał Stare-Miasto, ulice Krzywe-Koło, Gołębią, Piwną i Piekarską. Na Święto-Jańskiej mało który z nich mieszkał, bo ulica ta należała do głównych miasta. Wszystkie tu sklepy na dole przeważnie zajmowały składy skór wyprawnych, a woń z nich właściwa przepełniała całą, co się i do dziś dnia przechowało. Byli to rzemieślnicy zacni, pobożni i pracowici. Od świtu do późnej nocy pracowali siedząc na swoich *zydelkach*, przy szklanych baniach, śpiewając pieśni pobożne.

W czasie karnawału, gdym po ochoczych tańcach wracał do domu nad świtem przez jedną z pomienionych ulic, wpośród grobowej ciszy w całym mieście, na drugich i trzecich piętrach już w oknach światełka błyskały i slychać było ich śpiew pobożny.

Dziwne, nieokreślone wrażenie śpiew ten wywierał na mnie; nieraz przykuwał do ściany kamienczki, zkąd wybiegał. Przy jego brzmieniu chłonałem z szatu zapustnego, zapominałem o wymownych spojrzeniach pięknych panien, i gorętszém ściśnieniu ręki, a myśl moja odurzona karnawałową wrzawą i harmonijnemi tonami muzyki trzęwiała, i na poważny nastrój religijny wchodziła. W późniejszėj dobie, gdy dłużej tańce trwały do szóstėj godziny rano, śpiew ten szewca warszawskiego zwracał mnie do kościoła na *prymaryę*. Z jakimże uczuciem slychałem hymnu, psalmów i modlitw porannych w kościele farnym Ś-go Jana.

Panowie majstrowie i ich czeladź zalecała się krzepką ręką i odważném sercem, jak chłopcy na terminie z dowcipnych figlów. Kilka tu z tych przywiodę.

Za czasów pruskich piechota stała na odwachu przy Bernardynach i bęben leżał na koziołku drewnianym. W czasie śnieżnej zamieci jeden z szewczyków zakradł się zgrabnie i zaczepił doń sznur długi, a sam pobiegł na poddasze do *Wasilewskiego* domu, co w poprzek zamykał Krakowskie-Przedmieście ¹⁾. Tam z dymnika zaczęli

¹⁾ Dom ten obecnie nie istnieje, rozobraný w roku 1864, a jego miejsce zajął skwer dzisiejszy.

bęben ciągnąć, który spadłszy z koziołka szybko się toczył ku murom tego domu. Szyldwach patrzył z początku z podziwem, potem krzyknął: „do bronii!” i razem ze wszystkimi daremnie gonili uciekającego bęben, który coraz wyżej w górę piął się po ścianie kamienicy. W gnieniu oka wciągnięty do dymnika, przedziurawiony i napełniony gęstymi pomyjami spadł na głowy patrzących żołnierzy pruskich. Szkódnicy uciekli, a poszukiwania były daremne.

Zaledwie odkryty został pomnik Kopernika przy Ś-tym-Krzyżu, szewczyk ze Starego-Miasta głośno już, późnym wieczorem, nawoływał dorozżki; zbiegło się kilka, do najbliższej więc mówi:

— Panie dorozżkarzu! bądź łaskaw przewieźć Kopernika do króla Zygmunta, żeby się z sobą poznali...

I dalej w nogi nieczekając bicza woźnicy. Żwawi do pracy, zwinni do posyłek, gdy który podroślejszy poszedł do wojska, każdy z nich szczególniej się odznaczał czy to w jeździe, czy w piechocie jako dzielny i wyborny żołnierz. Mustry i obrotów prędko się wyuczył, odznaczał się czystością i starannością ubioru, a we froncie piechoty maszerował tak zgrabnie, jakby w tańcu, zawsze z wesołym i uśmiechniętym obliczem.

Majstrowie odznaczeni się prawością charakteru, poczuciem własnej godności, jako ludzie pracy byli ozdobą mieszczańskiego stanu; kobiety ich, żony i córki zalecały się pięknocią niezwykłą oblicza, powabem i układem całej postaci, jak czystością obyczajów. Fryderyk hr. Skarbek w komedyi w trzech aktach *Zofia Przybylanka*, wyprowadzając na scenę sędziwego szewca warszawskiego i jego uroczą córkę Zosię, brał swoje wzory z natury i wiernie je odmalował. Utwór ten stawiamy najwyżej ze wszystkich prac dramatycznych Skarbka, bo po mistrzowsku przedstawia nam postaci z doby Stanisława Augusta i najwyższej arystokracji krajowej i z rzemieślniczego stanu Warszawy. Musimy treść téj komedyi przypomnieć.

Pani wojewodzina ma syna jedynaka, który z miłości poślubił młodą i piękną Maryą; ale jako pan bogaty i jak w owe czasy wszyscy z jego sfery w próżniactwie trawiając życie, szukał sobie poza domem rozrywki, nie bacząc że nią może zakłócić spokój domowy pracom rodziny uboższej i zatruc życie szczęśliwej dotąd własnej małżonki.

Dowiedziawszy się od ulubieńca swego, masztalerza Urbana, o cudnej urodzie Zosi Przybylanki córki majstra kunsztu szewskiego, przybywa do *jutek* w jego towarzystwie, gdzie był główny skład obuwi całego cechu, i oczarowany jęj urodą, zapoznaje się z młodą dziewczęciem. Z nie małym wszakże podziwieniem znajduje w Zofii zdrowy rozsądek, pogląd wyższy na stosunki światowe i wykształcenie, w pełnych prostoty odpowiedziach.

Widząc że tu nie tak łatwa sprawa, tegoż masztalerza Urbana używa za swoje narzędzie, który udając zakochanego w Zofii, porzuca pozornie służbę u wojewodzica i u starego *Przybyły* zaczyna *prakty-*

kę, bo pan majster córkę swą jedynaczkę tylko za czeladnika swego rzemiosła przyrzeka wydać.

Zbliżony tym sposobem masztalerz do Zofii, rozkochał się w niej na prawdę, wiedząc zaś o ułożonym planie swego pana, który go po ślubie z młodą szewcówną, ma zaraz wysłać do dóbr swoich na Ukrainę, a sam przy niej pozostać, wpada w rozpacz i nie może znaleźć dla siebie skutecznej rady.

Na dworze wojewodziny jest podstarzała *podstolanka* panna *respektiowa*, a jak stara panna ciekawa i lubiąca śledzić romansowe przygody, wyśpiegowała zabiegi wojewodzica. Uwiadamia przeto matkę o zalotach jej syna do pięknej szewcówny. Stara matrona nie widzi nic naganego w tém, że *Stas* jej chce się zabawić, ale niezręczność jego ją dziwi, że może się o tém dowiedzieć żona. Podstolanka tymczasem sprowadza pod pozorem zakupu trzewików Zofią do pałacu wojewodziny, a synowa jej w Przybylance poznaje towarzyszkę swą z pensyi u Sakramentek.

Gadatliwość *panny respektowej* i przybyłego Urbana, objaśnia ją o zamiarach jej męża; ale szlachetna zarówno jak rozumna niewiasta, nie chce w tém postępowaniu wojewodzica widzieć występnych zamiarów, jedynie wspaniałomyślność jego, w wynagrodzeniu wiernych usług swego masztalerza.

Zofia rozumiejąc dobrze swoje stanowisko, polubiwszy rzeczywiście poczciwego Urbana, który ją serdecznie ukochał i oddał się gorliwie rzemiosłu jej ojca, chętnie oddaje mu swoją rękę: stary Przybyła rad błogosławi ten związek, a wojewodzie schwytyany na gorącym uczynku, zgodnie popierając zacne zamiary swjej powabnej małżonki, zyskuje u niej przebaczenie i uroczyste przyrzeka poprawę, wróżąc sobie nawzajem przyszłe szczęście nie zamącone niczém.

Szewcy swoją liczbą i wyrobami, które w całym kraju były poszukiwane, górowali po nad wszystkie cechy warszawskie. Krawców którzy niemniejszej wziętości używali ze zgrabnego szycia sukni, nie było tysiąca; stolarzy przeszło pięciuset, rzeźników do 360, kowali mało co wyżej nad 200 i ślusarzy, a innych rzemieślników liczba mała co setki przenosiła.

W cechu krawców zachowało się podanie o biegłym i pracowitym majstrze Adamczyku, który za czasów króla Jana III mieszkał na Nowém-Mieście. W czasie wyprawy wiedeńskiej 1683 roku, gdy opustoszała Warszawa, nie mając Adamczyk roboty, podupadł i nieraz głód zajał w jego proggi. Syn jego był luzakiem w chorągwi pancerny królewicza Jakóba, i mężnie walczył z Turkami. Gdy król go pochwalił z odwagi, ośmielony jego słowy, opowiedział nędkę swego ojca. Jan III rzekł wtedy:

— Gdy wrócę do Warszawy ukażę się w takiej *ferezy*, jaką zdobyto w namiocie wielkiego wezyra; niech Adamczyk dużo ich nrobi, a rękę że wszystkie wyprzeda!

I tak się stało: ferezyą król wcześniej wysłał mu na wzór; Adamczyk wziął sukna na kredyt, i za powrotem Jana Sobieskiego, gdy się w niej zwycięzca ukazał, rozkupiono cały zapas, zamówiono jeszcze więcej, i biedny krawiec odrazu przyszedł do dostatniego mienia.

Najwydatniejszą przeciw charakterystyką odznaczał się szewcy i rzeźnicy warszawscy. Przy wszystkich uroczystościach w mieście, czyto w czasie procesyi *Bożego Ciała* lub procesyach na cmentarzu, czy powołani do występu z chorągwiami cechowymi na ulicach Warszawy, starszyna ich stawała pod nimi suto w kontuszach i żupanach, strojnie i okazale przybrana.

Mówiąc o wydatnych postaciach ludowych, nie mogę przepomnieć słynnych przekupek warszawskich, które u nas znakomitą część ludności miasta stanowiły i przeważną odegrywały rolę. Dający typ tych kobiet słynnych z biegłości języka już zaginał: właściwą ich charakterystykę czas zatarł, i wyrodzone plemię niczem już nie przypomina rodowej przekupki warszawskiej.

Niedaremne naszych Mazurów przysłowie, że: „wygadana jak przekupka warszawska“ i zaprawdę nikt z nią pod tym względem porównania wytrzymać nie potrafił.

Głównym ich siedliskiem był rynek Starego-Miasta i Brama Krakowska, tu cała śmietana tych pań zasiadała, gdyż w rynku pomienionym skupiał się targ główny na wszystkie potrzeby do codziennego życia, lubo już przechodził pod Ś-ty Krzyż i na Nowe Miasto. Każda z nich, zwykle dobrej tuszy, zasiadała przy straganie swoim, na którym sprzedawała owoce, jarzyny wszelkiego rodzaju, drób, pieczywo i zwierzynę. Rzadko gdzie kwiaty ujrzałeś, bo o bukietach nikt ani pomyślał, a po domach obywatelskich hodowano tylko w doniczkach skromne geranium, pokrzywę, gwoździki i róże miesięczne z rezedą.

Znajomych zawsze uprzejmie przyjmowały, wdawały się chętnie w pogawędkę, dowiadując się o nowinach w mieście i co słychać w świecie? Same też udzielały ciekawszych wieści; obcych przybyśzów pilnym badały spojrzeniem, a doskonałe znawczynie ludzi, swoje postępowanie zaraz stosowały jak nowego gościa przyjąć należy. Biada temu, kto nie tytułował którą „panią,“ obrażona zaraz odpowiadała:

— Idź sobie *wasan* lub *wasani* gdzieindziej, ja tu nic nie sprzedaję.

Młode gosposie nasze nieraz ze łzami wracały z rynku Starego Miasta, po przyjęciu doznanym u straganów. Nieznające zwyczaju miejscowego pytały zwykle:

— Co chcecie za to i za to?

Przekupka marszczyła czoło, sucho odpowiadała, a gdy zaczęły się targować, właścicielka straganu groźnie powtarzała siedząc i przyjętym wyrażeniem:

„Moja pani ze Szlązka,
W plecach szeroka a niżej wązka.“

odprawiała zawstydzoną.

Kiedy jednakże po odebranej nauczce, taż sama młoda gosposia do tegoż samego straganu przyszła, grzecznie się ukłoniła i powiedziała:

— Dzień dobry łaskawej albo kochanej pani!

Zadowolona przekupka, powstając najuprzejmiej witała jako piękną panienkę, wybierała co było najlepszego, opuszczając nawet ze zwykłej ceny.

Pomiędzy temi straganiarkami znalazłeś wiele zamożnych niewiast, które siedząc wiele lat na rynku, oszczędnością a szczególnie stosunkami z kucharzami zamożnych domów, służbą dworską, uciulały sporo grosza. Łatwo je poznać można było, nie po stroju wykwiutnym ale w cukierni na Starem-Mieście w pobliżu słynnego składu win węgierskich Fukiera, między godziną 7 a 8 z rana, gdy się szczególnie zimową porą, albo w chłodnej jesieni raczyły smacznym ponczykiem.

Miały tam swój pokoik, gdzie popijając z dużych szklanek (po złotemu) ulubiony napój, swobodnie gwarzyły o domowych stosunkach, o troskach lub radościach, jakich która doznawała.

Z pocziwem to były sercem niewiasty, dbałe o wychowanie swjej dziatwy, żywo zajmujące się sprawami krajowemi, a bezdzietne były prawdziwemi opiekunkami sierot opuszczonych.

Pamiętam dobrze panią Pawłową, mającą swój stragan z owocami i jarzynami na rynku, zaraz wchodząc od Zapiecka. Poznałem ją ztąd, że mój kolega z trzeciej klasy od Pijarów, którego od pieluch jako sierotę wychodowała, i ciągle się opiekowała, przyprowadził mnie do niej. Kiedyśmy stanęli przed straganem, mój towarzysz Juraszek, jakeśmy go zwali, pocałował ją w rekę, ja zdjąłem czapkę i powitałem uprzejmie. Pani Pawłowa Juraszka pocałowawszy w głowę, przeżegnała, mnie się grzecznie odkłoniła i ofiarowała trzy piękne jabłka i pomarańczę. Nie wiedziałem zkąd ta łaska, dopiero Juraszek później mnie objaśnił, iż wiedziała że jestem synem lekarza, który ją z ciężkiej wyleczył choroby. Miała teraz czworo sierot na wychowaniu, dwóch chłopców i dwie dziewczynki, nad któremi z miłością prawdziwie macierzyńską czuwała.

Nietylko to jedna była pani Pawłowa, było ich więcej, stanowiły nawet jakby bractwo miłosierdzia. Nie było w owe czasy Towarzystwa Dobroczynności, ale gdzie tylko nędza jęknęła, gdzie głodno i chłodno, już przekupki ze Starego-Miasta dowiedziały się o tém: zaraz narada, składki i ratunek pożądaný.

Dziatwa ich odznaczała się urodą, synowie zdrowi, krzepcy i czerstwi, córki świeżego lica i rumieńca, nieraz dziwiły pięknnością oblicza i składem całej postaci. Pierwsi szli zwykle do rzemiosła,

do wojska, lub mieli swoje dorożki; Warszawa miała z nich wielu zdolnych ogrodników, którzy przy zamożności, kupowali sobie na przedmieściach ogrody, uprawiali jarzyny i owoce, które matkom swoim na stragany dostarczali; ziemia podówczas była w niskiej cenie, i miasto nasze słynęło ze swoich ogrodów.

Córki wychodziły za szewców, ślusarzy, kuźnierzy, rzeźników i rybaków zwyczajnie; o inne cechy mniej nasze przekupki dbały. Niejedna dorodniejsza szła za urzędnika, i nikogo nie gorszyło kiedy zięć całował matkę żony w rękę siedzącą przy straganie.

Rzemieślnicy ci stanowiący najliczniejszą warstwę mieszkańców Warszawy, przeważną dawali charakterystykę żyjącemu miastu. W rodach ich przechowywała się stara tradycja z dziadów wiernie szanowana, a która była zajmującą kroniką naszego miasta. Pamięć dawnych udzielnych książąt Mazowieckich jeszcze nie zagasta, jak królowej *Bony*, gdy ze skarbami ujeżdżała z Warszawy do Włoch; ciężkie klęski jakie gród nasz za *najazdu szwedzkiego* doznawał, wreszcie już najbliższe czasy panowania Stanisława Augusta, *czasy pruskie*, wniście Francuzów i późniejsze lata. Mieszano się to prawda wszystko bezładnie, ale każdy znający bieg czasu, łatwo mógł sobie te opowieści uporządkować.

Wszystkie te tradycje i wspomnienia łatwo słyszeć mogłeś w niedziele i dni świąteczne, gdy panowie majstrowie zeszli się na pogawędkę wieczorną, bo ranek cały kościół zajmował, to na sławne piwo dubeltowe *Kazimirusa*, to na słynny miód *dominikański*, a gospody gdzie go przedawano oznaczano wielkimi krzyżami czerwonymi, z dodatkiem niekiedy gałązki choiny i dowcipnym napisem: „Dziś za pieniądze a jutro darmo.”

Do tej ludności stale osiadłej w Warszawie, nie mało przybywało i z dalekich okolic kraju i z Galicyi. Na czele postawić musimy *Andrychowiaków*, z miasta *Andrychowa* (Jędrzejów), w Galicyi w obwodzie Wadowickim, którzy zaopatrywali nasze miasto w *drelichy*, dobre płótna i stołową bieliznę. Główne ich składy mieściły się przy ulicy Mostowej. Oni też obchodzili ulice i domy Warszawy, dźwigając na plecach, w worku z sieci orzechy włoskie, a potrząsając niemi, donośnym głosem obwoływali:

Orzechy włoskie! Orzechy!

I odbył miewali niemały, bo oprócz zwolenników na ten przysmak zaraz spożywany, gospodynie nasze wcześniej zakupywały orzechy na święta *Bożego-Narodzenia*, w czasie których wśród bakalii musiały się znajdować i orzechy włoskie.

Lud to dorosły i czerstwy, a strój go nawet odznaczał. Sukmana długa za kolana była jasno-niebieska, w biodrach przepasana zielonym, czerwono nakrapianym włóczkowym pasem; czapka wysoka z białych baranków z zielonym wierzchem i z zielonych wstążek z białych kokardy z tyłu ozdobnej: z pod niej długie sploty bujnych kędziorów spadały na ramiona.

Gdzie tylko głos jego wołania dobiegł, zaraz otwierały się wozeczki, i zdarzało się że Andrychowiak nim przeszedł jedną ulicę, rozprzedawszy około ćwierci włoskich orzechów, wracał radosny na Mostową ulicę po nowy zasób.

Pożądaniem dla naszych gospodyń i kucharek byli *cebularze*, których postaci uderzały swoją oryginalnością. Wyobraźmy sobie krepiego, dobrej tuszy, szerokich ramion, z czerwonymi policzkami cebularza, jak krzyczy: „*Cebuli, czosnku, koszalki, sieci!*“ a na sobie dźwiga cały swój towar. Na obu ramionach rozwieszał długie sznury słomiane, z doborowemi główkami cebuli; w lewej trzymał kilka plecionych z wikliny koszatek, w których wówczas kucharki zakupione *wiktuały* przynosiły do domu: w prawej, mniejsze sznury słomiane, z nawiązanym czosnkiem, bez którego szczególnież barani-na obejść się nie mogła. Na czapkę rogatywkę nakładał także koszatkę. Tak obciążony z wolna postępował środkiem ulicy i nawiązywał kupujących, ażeby mu ulżyli ciężaru. Cebularz zwykle nosił jasno papuzi żupan, z pasem na kłamrę spiętym; żółte koszalki, czerwone główki cebuli i białe czosnku, szczególną pstroczinę ukazywały w idącym handlarzu. Dorodna cebula pochodziła z Korczewia nad Bugiem z Podlasia, lub z czarnoziemiu krakowskiego.

W papuzich też żupanach obchodzili miasto krajowi kupcy, z okrzykiem: „*Koldry! koldereczki! kolderki!*“

Był to wyrób z wełny krajowej, w różne barwiony kolory, tani a wygodny.

Garncarze, zarówno mężczyźni jak kobiety nie poprzestając że na rynku Starego i Nowego Miasta mieli swoje składy wyrobów glinianych, chodzili po mieście wołając: „*Garnki, garnuszki, rynki!*“

Na plecach dźwigali tych naczyń tyle ile unieść mogli; kobiety w fartuchach przed sobą dźwigały miski gliniane polewane, a w ręku garnki i mniejsze garnuszki: na głowie zwykle dużą nieśli rynkę.

Przemysł ten uliczny w udatnych kolorowanych rysunkach, zachował nam Jakób Sokołowski znakomity rysownik (urodzony w Wyczulkach pod Warszawą 1784 r.), w młodym wieku zmarły.

Na Mostowej ulicy mieli swoje sklepy *krupnicy*: ci przybywali z Krakowskiego i słynęli z najpiękniejszej *kaszy drobnój* i doborowej mąki pszennej, z rozgłosnej i w Anglii pszenicy *sandomierki*. Ziemiańskie po nad rzekami i jeziorami osiedli, zarówno jak rybacy, tu zakupywali wielkie *niewody*, mniejsze sieci i większe, stosownie do swej potrzeby.

Z pomiędzy postaci wydatnych, wspomnieć należy Alojzego Lasockiego majstra profesyi kuśnierskiej, znanego dobrze całej Warszawie.

Urodzony w r. 1766 w mieście Zakliczynie, w młodych latach przybywszy do naszego miasta, w niem się osiedlił, terminował i zo-

stał majstrem w swoim cechu. W nim jednym spoczywała cała straż ogniowa Warszawy.

Ubrany zawsze w kapotę jasno zieloną długą, w czapkę rogatywkę z barankiem i hajdawery karmazynowe, chodził dużo prędkim a rzeźwym krokiem. Codziennie prawie całą Warszawę obchodził, gdzie się tylko wszczął pożar, tam zawsze pierwszy bywał na dachu, a nieważając na własne niebezpieczeństwo, niósł dzielny ratunek. Często, zanim grzechotki przeraźliwe dały hasło pożaru, zanim kościelne dzwony ponurym odgłosem zwiastując klęskę miasta, zawezwały pomocy mieszkańców bijąc na gwałt, już Lasocki nieraz stawał się panem ognia i przygaszał pożar!

Trzeba było wtedy widzieć dzielnego kuśnierza, wśród kłębow gęstego dymu i słupów płomieni, pośród deszczu iskier, po trzeszczących i wałących się dachach i belkach, jak Lasockiego krzepka postać jaśniała. Bez czapki i żupana, karmazynowe hajdawery, w czarnej chmurze zbałwanionego dymu, coraz się przewijały; donośnym głosem nieustraszonego obrońca nawoływał na pomoc: z zimną krwią starego żołnierza dawał rozkazy, jak kierować sikawkami, i gdzie z *węborkami* skórzanymi mają stawać nadbiegli, gdzie zapalony dach rozrywać. O! był to obraz godny pędzla malarza!

Te gromady przestraszonego ludu biegnące, w siekiery i bosaki uzbrojone, drudzy z konewkami; tam spocona czereda pchająca sikawki i beczki z wodą; popłoch uciekających mieszkańców z płonących domów, kupy sprzętów wyniesionych i w stopy zwalonych; a tłem tego obrazu pożar, który jeżeli w nocy wybuchł, straszliwe przybierał rozmiary i niemłą klęską groził miastu. Nad tym wszystkiemi górowała postać Lasockiego, wdzierał się po drabinach na dachy płomieniste, i wtenczas tylko z nich schodził, gdy albo ugasił pożar, albo wyczerpawszy daremnie wszelkie możliwe sposoby ratunku, ustępował z wolna przed silniejszym nad siebie wrogiem, ratując poblizsze domostwa, i energią swoją ograniczając groźny postęp ognia. I odchodził z tego pobojuwiska oczerniony dymem, nieraz z osmalonemi włosami, poparzony, często ranny. Wdziewał swoją zieloną kapotę, czapkę karmazynową, i precisnąwszy się przez tłum ludu, co mu z uszanowaniem robił przejście, powracał strudzony do domu.

Poświęcenie się Lasockiego i czynna pomoc udzielana przez niego w powstrzymaniu klęski ognia, zwróciły uwagę władzy miejskiej, która z kasy miasta Warszawy, przez lat przeszło dziesięć, wypłacała mu pensyą, po złp. trzydzieści miesięcznie. Mieszkał przy ulicy Piwnój pod nr. 104. Umarł po trzechdniowej chorobie dnia 21 marca 1823 r. mając lat 57, pozostawił wdowę, dwóch synów i dwie córki. Warszawa w kronice swojej powinna zapisać to czcigodne imię obywatela swego, ku pamięci potomnych czasów.

Przy braku należytego oświecenia ulic, kiedy prawie żadnych latarni do ich oświecenia nie posiadała Warszawa, potrzeba stworzy-

ła u nas liczną drużynę *latarników*, mających szczególną charakterystykę swoją.

Od dni krótszych i nadchodzącej jesieni, przy każdym widowisku teatralnym, przy każdej reducie i maskaradzie, gdzie bywały tańce w zapusty, przed kamienicami gromady ich zalegały a najgłówniej sienie teatru na Krasińskich placu.

Ludność miastą nie wylała jeszcze na Nowy-Świat, odległe dziś ulice i przedmieścia; ztąd część stariej Warszawy najwięcej zamieszкана w śród wązkich ulic, ciągle niemal błotna i wilgotna, a zawsze ciemna, potrzebowała pomocy tych, co usłuźni na zawołanie, rozświecali pomrokę nocy, i pomagali do przejścia suchą nogą i omijania zawałów błota. Nie byli to milczący przewodnicy, lubili swych panów chwilowych bawić dowcipem, dykteryjkami, nówinami miejskimi. Latarnik z *głową* jak wyrażano, zbierał hojny owoc swoich zdolności i talentu. Wielu było pomiędzy nimi tak biegłych fizyognomistów, że jak ci zaświecić w oczy, wiedział nietylko jak ci świecić, czy wdać się w rozmowę i w jakim rodzaju, ale nawet czy niepodać projektu do dalszej wędrowki, szczególniej w czasie zapust, kiedy nie brako wesołych, przyjacielskich balików.

Sprytny latarnik był ci nieraz powiernikiem, zręcznym sługą i wiernym przewodnikiem do domu, gdy czasem po hulance odmawiały nogi posłuszeństwa należnego woluéj woli. Niedosyć, jeżeliś nie miał służącego, otworzył mieszkanie, rozebrał, ułożył, sam się gdzie w kąciku przespał, a nie było zdarzenia, aby okradł lub jaki drobiazg sobie przyswoił. Na wyścigi jeden przed drugim ubiegali się w usłuźności niewołani nawet, a gdyś krzyknął:

— Latarnik!

Zbiegało się trzech lub czterech i przyświecało przez pół ulicy: najupartszy zostawał, lub też zwykłej wybierałeś sam tego, co ci przypadł pod oko, jakim dowcipuém słówkiem.

Liczną drużynę latarników składała po większej części młodzież zwinna, czerstwa, ochocza; byli to pomocnicy mularzy, chłopcy różnych rzemiosł, synowie dorożkarzy i przekupni: znalazłeś pomiędzy nimi i starszych latami, szczególniej też od 1810 do 1820 roku.

Na czele tu stoją *dworzanie* dawnych wielkich panów, co w szalonym zbytku pomarnowali ogromne majątki swoich przodków. Ci z nich, którzy po upadku wielkich domów, nigdzie przytuliska znaleźć nie mogli, najbiédniejszy wpadłszy w nędzę, siekierą lub piłą, albo dostawszy się w poczet latarników zarabiali na kęs chleba. Znałem kilku takich, którzy opowiadając o zamożności dworów na których służyli, zdawało się że mi mówią piękne wschodnie bajki.

Tych latarników *dworusów*, łatwo mogłeś od innych rozróżnić: uniżeni, potulni i pokorni, lubili gawędzić, a zaraz najprzód zaczytali od słów:

— Jak ja służyłem u pana wojewody, albo:

— U pana marszałka, albo u księcia pana.

Litość prawdziwa brała, patrząc na tych starców zabiędzonych, w poszarpanych i łatanych żupanikach, sukmankach i kurtach, gdy na odpoczynek który wezwany i poczęstowany, zapomniawszy nędzy swojej, zaczął opowiadać dawne życie swoje, opisując wspaniałość i bogactwo wielkich domów w których służył. W zapomnieniu, oblicze ich szlachetniało, jakaś radość, duma, szczęście nagle je rozplamieniało i wypogadzało; smutniejsze też mieli rozczarowanie, gdy spojrzeli na swoje łachmany, i na latarkę drewnianą ze zgaszoną świecą.

Byli pomiędzy nimi i siwizną okryci starzy wiarusy nasi, nieraz bez ręki albo bez nogi. Ci odznaczeni się między latarnikami nieposzlakowaną uczciwością. Świecił ci starannie i troskliwie, zaproszony na chwilę spoczynku rad gwarzył o dawnych czasach i przygodach w życiu doznanych. Znalazłeś w rzędzie tych latarników starych legionistów z Włoch, z pod Saragossy, z Saint-Domingo, co radzi w pogawędce nieraz łamanym językiem przypominali sobie to hiszpańską, to włoską, angielską i francuską mowę.

Poznałeś zaraz zdala starego wiarusa z postaci: stał wyprostowany, oczekując w milczeniu dopóki go kto nie zawoła; przywołany szedł równym krokiem, jakby maszerował.

Pamiętam dwóch siwych jak gołębie starców i jednego bez nogi wojaka.

Było w roku 1824 czy 1825, dobrze nie pomnę, ścisk był wielki w teatrze narodowym, ulubieni artyści zwabili licznych widzów. Występowali tego dnia: Szymanowski, Kudlicz, Werowski, Piasecki, Zdanowicz, Zołkowski i Ledóchowska z Kurpińską: widowisko trwało nadzwyczaj długo.

Ciemne chmury zawisłe nad miastem, rozciągnęły czarną pomrokę. Latarnicy się zwijali, a choć nie mała była ich liczba, wkrótce, gdy przed natłokiem wstrzymał się nieco, zniknęli wraz z wychodzącym tłumem, i spotkałem tylko latarnika o drewnianém szczudle, który stał skromnie na uboczu, oczekując rychło go kto zawoła.

— Poświeć mi, mój bracie!—rzekłem do niego.

— Dobrze, panie!—odrzekł zcicha i uderzył drewnianą nogą po śliskich od niedawnego deszczu kamieniach.

Księżyc czasem z po za czarnej chmury wyjrzał przyćmiony. Szliśmy Miodową ulicą, a skręcając Senatorską, dochodziliśmy do posągu Zygmunta III. Milczący latarnik zatrzymał się chwilę, podniósł nad głową latarkę, spojrzął na pomnik króla i zcicha wyrzekł:

— Tu, panie, była *brama Krakowska*.

— Pamiętam ją dobrze, mój przyjacielu—odrzekłem—z jég okien patrzałem na pogrzeb księcia Józefa Poniatowskiego. Nie zapomnę go nigdy, jakbym widział tych brodatych Saperów, z białymi skórzanymi fartuchami, w niedźwiedzich bermycach, z toporami

na ramionach, długimi brodami i ogromnemi wąsami; ten wielki karawan, a za nim koń wojownika wiedziony: jakbym słyszał i ten odgłos ponury dzwonów, i ten płacz jękliwy co się mieszał z żało-bnym śpiewem kapłanów, hukiem dział i dymem kadzideł.

Opuściłem głowę na piersi, stałem zadumany widać długo, gdy latarnik zbliżył się i wyrzekł:

— Chodźmy, panie, bo zbiera się burza i deszcz ulewny.

Ruszyliśmy więc żwawiej, a cichość wokoło przerywał tylko stuk drewnianej nogi mego przewodnika.

Kamienica była otwarta, latarnik świecił mi przez ciemne schody; jeszcze nie doszedł do swego mieszkania na drugiem piętrze, gdy huk się rozległ grzmotów, zawył wiatr gwałtowny i lungła ulewa.

— Teraz może odpoczniesz u mnie, mój przyjacielu? Deszcz leje jak z cebra, a pewnie daleko mieszkasz?

— Aż na *Szulcu*, wielmożny panie, pod rogatkami Czerniakowskiemi.

— No! rozgość się u mnie... Janie! to taki stary wiarus jak ty, to się pogodzicie: nieprawda?

Mój stary Jan z siwym wąsem i ogromnym kolczykiem w uchu skłonił głowę i wymruczał pod nosem:

— Panicz zawsze dobry!

Burza srożyła się coraz więcej, grzmoty, pioruny i błyskawice huczały nad całym miastem z poświstem szalonego wichru, z pluskiem ulewy.

Zapaliłem fajkę, a spojrzawszy przez drzwi otwarte, ujrzałem, jak poczciwy stary Jan wypiwszy kielich alembikówki w ręce latarnika, stawiał przed nim resztki swego obiadu, nakładał mu drejkenigem fajkę swoją. Małomówny zyczajnie, i teraz tylko bąkając: „No, pijcie, jedzcie, i palcie“ zachęcał swojego gościa. Latarnik nie dał się długo prosić: wypił wódkę, zjadł co stało, a zasiadłszy na ławie przy piecu, z rozkoszą zapalił lulkę.

Nie ustawała gwałtowna burza ni grzmoty i pioruny, ani pomyśleć można było o spoczynku; zbliżyłem się więc do moich wąsaczy, a zmusiwszy inwalidę do siedzenia, gdy Jan pomimo zachęcania stał oparty o stół, i ćmił ze swojej *koblówki* ¹⁾, zaczęliśmy gawędkę. Powoli latarnik orzeźwił, stał się mówniejszym, wreszcie poprawiwszy się na ławie, pokiwaawszy głową przemówił:

— Ale to burza! daj go katu! przypomina mi że podobna była, kiedyśmy na piechotę austryacką szarżowali z moim ukochanym kapitanem! Kule jak grad sypały, mur żelazny z bagnctów, na niebie burza i my z nią jakby spadli, a przy huku piorunów rozbiliśmy

¹⁾ Był w Tarnowie (w Galicyi) fabrykant drewnianych fajek węgierek, zwany *Kobel*, od niego przybrały nazwę fajki, które dotąd jeszcze są w powszechnym użyciu.

w puch wszystko, zdeptali kopytem, wykłuli lancą lub szablą wycieli!

Zapał uszlachetniał oblicze inwalidy, machał ręką jakby ciężką szablą, ale nie długo opuścił głowę na piersi, a przy wspomnieniu: „nie masz go już na tej ziemi” łza spadła na wąs siwawy.

— Mój bracie! każdy w tym biednym życiu naszym—mówiłem—różnych doświadcza kolei; każdy ma swe wspomnienia i wesołe, i smutne, i łzawe, i uśmiechające!

-- Oj! prawda, panie—odrzekł latarnik—a co prawda to nie grzech. Służyłem w domu jednych państwa na Litwie, to była pierwsza moja służba. Pan był dobry, pani jak anioł i dobra i piękna; mieli troje dzieci, któreśmy wszyscy pieścili i kochali. Było tam wszystkim jak w raju. Pan zajęty gospodarstwem, pani krzątaniem w domu i około dzieciny. Ale dobrze mówią że po pogodzie bywa zawsze burza!

Jakoż zimą porą przybył do dworu jakiś daleki krewny pana; chlubił się że służywał wojskowo, ale ludzie gadali, że w sztabie głównym pilnował tylko pieczeni i za ogień kuchenny wyzbrał sobie krzyż wojskowy. Nie był brzydki, nie był piękny, nasz pan daleko ładniejszy. Przez zimę pan prawie ciągle na dyszlu, jeździł za interesami. Właśnie po dobrej sannie wypadało mu jechać na parę miesięcy; pożegnał panią, uściskał dzieci ze łzami, i rzekł do mnie, ale takim głosem żem się rozbeczał:

— Krzysztofie! pilnuj mi mego Tadeuszka, to chłopiec mały, ale swawolny; pilnuj Janka starszego: nad Zosią klucznica będzie czuwała.

Wsiadł do sani, pani na ganku z dziećmi jeszcze go pożegnała, a pan Adolf kuzynek ścisnął za rękę i wyrzekł, aż mnie zimno przeszło:

— Bądź zdrow Stanisławie, bądź spokojny, znajdziesz tu wszystko w porządku.

Zadzwończyły sanki, mnie się zdało że jakby na jaki pogrzeb, i pojechały.

Może w tydzień zamieć śnieżna z wichurą powstała, a że okienicą była straszliwie, wyszedłem aby zamknąć dobrze. Zaledwie stanąłem na ganku, usłyszałem jakby zdala krzyk pani, wyraźnie jój był głos; podbiegłem pod okno sypialni, ale wszystko się uciszyło. Wróciłem do izby, rzuciłem się na swój siennik; jednak zasnąc nie mogłem: ten krzyk huczał mi w uszach i jak kamień ciężki na sercu. Nazajutrz pani słaba nie pokazała się wcale, w kilka dni powstała, ale smutna snać płakała. Nikt się nie dziwił, bo wiedział, że pana nie ma i za nim tęskni.

Na drugi tydzień, pani kazała wywieźć zboże na targ do miasta, pan Adolf z nié m pojechał; wkrótce powrócił i przywiózł z sobą rudego żyda, co zakupił wszystko żyto, pszenicę i inne zboże co tylko było na śpichlerzu. Wszyscy się we dworze dziwili dlaczego pani sprzedaje, a nawet na jary siew nie zostawia. Pan Adolf sam odbierał i ra-

chował pieniądze, gdy furmanki dworskie i ze wsi ciągle wywoziły ze śpichlerza do miasta wory ze zbożem. Żyd rudy zakupił i woły wszystkie co stały na stajni, a i te co były do sochy na wiosnę. Ekonom, stary *Głowacz* jak go zwano, strasznie mrucał, kręcił głową, ale cóż mógł, gdy pan na odjeźdźnym powiedział:

— Ja wyjeżdżam, pani tu będzie rządzić: już ja się rozmówiłem. *Głowacz* plął na stronie i raz do mnie wyrzekł:

— Sodoma! Gomora! u niewiasty długie włosy, ale rozum krótki.

Wielkanocne święta były za pasem, a był pomnę *feralny* poniedziałek. Pan Adolf wybierał się w drogę do Warszawy, miał nocą wyjechać dla pilnego interesu. Kocz państwa przygotowano, a konie tylko do pierwszej stacji pocztowej. Pani dnia tego była więcej smutna i zapłakana. Bawiła się dłużej niż zwykle z dziećmi, całowała, pieściła, płakała. Gdy poszły spać a ja, jak mój był zwyczaj, siedziałem w pokoiku paniczów, bo i tam spałem, blisko północa weszła; na mój widok nieco się zmieszła, ale każde chłopiątko ucałowała, mnie dukata wsunęła w rękę i wyrzekła stłumionym od płaczu głosem:

— Czuwaj nad nimi poczciwy Krzysztofie!

Mnie łzy stanęły w oczach i jakoś zdurzałem, a pani była ubrana jakby do podróży.

Zmorzony twardo zasnąłem. Właśnie na zegarze ściennym uderzyła druga, gdy pojazd zaturkotał na podwórzu. Wyjrzałem oknem: pan Adolf z fajką wsiadał; kiedy krzyknął: „ruszaj!” usłyszałem ze środka powozu jęk cichy, a był to ten sam głos jak w onęj nocy burzliwej wśród zamieci śnieżnej.

Nie mogłem już zasnąć, wstałem i nie wiem dlaczego idąc wstąpiłem do pokoju stołowego; zdziwiłem się zobaczywszy przez drzwi niezamknięte, że w sypialni świeca się pali: wchodzę cicho, pościel na łóżku nie tknięta, nie ma żywej duszy, wszystkie drzwi otworem. Wbiegam do bocznej alkowy gdzie panna służąca zwykle siedziała, nie masz jój śladu. Wchodzę do pokoiku panienki a tuż przy niej nasza poczciwa *Niewieska* klucznica. Serce mi bić zaczęło ze strachu, w głowie się zamieszało, coś szeptało ciągle: „pani uciekła.” Wracam więc i rozpatruję lepiej: w sypialni dopiero ujrzałem nieporządek wielki i pośpiech w ucieczce. Suknie, chustki w nieładzie leżały, szuflady od komód otwarte, właśnie jakby złodzieje rabowali. Nie wiem dlaczego, ale jak bóbr rzewnemi zalałem się łzami i stałem płacząc nie wiem jak długo, gdy ze dworu usłyszałem głos starego *Głowacza*, co budził fornalki do brony. Wybiegłem do niego: *Głowacz* z pod brwi siwych spojrzął z podziwem.

— Co ci to chłopcze—zapytał—bladyś jak *Piotrowina* z grobu i splekany jak baba?

Opowiedziałem mu wszystko: stary zadrzał, położył palec na ustach i wszedł do dworu. Przeszliśmy wszystkie pokoje aż do sy-

pialni pani; tam Głowacz na stoliku znalazł list pisany ręką pani do pana. Zaledwie go wziął do ręki i przeczytał, a był nie zapieczęto- wany, zbladł okropnie i zcicha drżącemi od wzruszenia usty zaczął odmawiać: „*Pod Twoją obronę*!” nie dokończył jeszcze modlitwy, gdy się zachwiał; musiałem go podeprzeć: po chwili zaniósł się od płaczu i zawołał:

— O! mój biedny panie! na to zem cię wypiastowałam na swém ręku!

A była to prawda, bo Głowacz służywał jeszcze w domu pana *skarbnika*, a ojca naszego pana.

— Krzysztofie! — mówił po chwili — ja sam muszę pojechać do pana z tym nieszczęśliwym listem, muszę go przygotować do wszystkiego i do tych pustek w domu i śpichlerzu.

Jakoż w godzinę już siedział na bryczce, klucznica wsunęła faszeczkę bigosu, ja butulkę anyżówki. Głowacz się przeżegnał, uści- snął nas i ruszył. Blizko tydzień go nie było; nareszcie przyjechał sam blady i zmieniony. Kiedysmy wybiegli naprzeciw niego, prze- żegnał nas zdala, a położywszy palec na ustach wyrzekł zcicha:

— Pan jedzie zaraz za mną, dziecieczki zdrowe? niech na ganku czekają.

Wybiegły one już same na wieść że ojciec wraca, myśmy uczyli je ciągle, żeby o matce nie wspominały zaraz.

W godzinę zajechał pan przed ganek, wyskoczył ujrawszy dzie- ci; po kolei uściśnął każde ze łzami; najdłużej pieścił Zosię, i dosły- szałem jak wyrzekł: „Biedne dziewczątko, nie masz już matki, nie masz opiekunki! dla ciebie lepiejby było, żebym i ja umarł.“

Dziecię uwiesiło się rączkami za szyję ojca, on je niosąc na rę- ku wszedł do domu.

Głowacz dał mi znak, ażebym zamknął sypialnię pani na klucz; panu w pokoiku chłopców wstawiłem łóżko: zdawał się rad z tego. Kiedym rozpatrzył się w jego twarzy, struchlałem: znikł rumieniec, żółtość jakaś wyszła na wierzch, ręce mu drżały; często rzucał się na łóżko, wtedy usta otwierał jakby mu brakło powietrza. Głowacz prze- niósł się z oficyny do przedpokoju i razem spaliśmy: uważałem że bar- dzo rano, bo pan sypiać nie mógł, wychodzili do ogrodu i coś długo z sobą rozmawiali.

Nadeszły żniwa, pan zajmował się więcej gospodarką; często po obiedzie przy fajce, patrząc na igrającą dziatwę łyzy ocierał: Głowacz ile razy to ujrzał był weselszy, bo jak mi mówił, że przez łyzy oczyszcza sobie serce z kamiennego bólu.

Po żniwach, blizko św. Michała, bo już pierwsze siewy żyta i pszenicy odbyliśmy, Głowacz wieczorem kiwnął na mnie i wyszliśmy do śpichlerza. Tam mi opowiedział, że Krystyna służąca, co z panią uciekła, przybyła; że ma list do pana: że pani (tu rzewnie stary za- płakał) w nędzy, na barłogu leży chora gdzieś tam pod strychem w Warszawie.

— Weź ten list, mój Krzysztofie, bo ja nie mogę, i oddaj panu, jak po wieczery dziatwa będzie pacierz odmawiać. Nic nie mów: ja tam będę czekać.

I tak się stało, pan zapalił lulkę, pożegnał już Zosię, Tadeusz z Jankiem odmawiali pacierz, kiedym wszedł i list podałem. Jak poznał rękę, zadrżał, zerwał się z łóżka, zbladł jak trup, ale nie wyrzekł słowa. Przysunął świecę i zaczął czytać; przeczytał cały: pot kroplisty oblał mu czoło. Wszedł Głowacz, pan podałem mu list i wyrzekłem okropnym głosem:

— Na! czytaj!....

A sam padł na łóżko i gorzko płakać zaczął. Głowacz czytał, ale z częstego krzákania starego wniostem, jak łzy słone łykał. Gdy skończył, wziął na ręce Tadeuszka i Janka; ja z jego polecenia przyniosłem Zosię i wszyscy wieńcem uklękliśmy w około łóża pańskiego. Stary Głowacz ze łkaniem przemówił wtedy:

— Panie nasz! mój paniczu! straciłeś żonę, wróć tym dziatkom matkę a nam panią: była ona i dla nas matką!

Pan rzucił się w objęcia starego, i uściskał dzieci, i we dwóch wyszli do ogrodu; wszyscy już się pospali jak wrócili: pan był spokojniejszy, Głowacz weselszy; kładąc się do łóżka wyrzekł mi zcicha:

— Pojedziesz z panem jutro w podróż; a pilnuj go dobrze, bo ma przebyć drogę cerniową, i poczuje cierniową koronę. Ale w Bogu nadzieja, będzie też słonko przed naszymi wroty!

Równy ze wschodem słonka już aleją lipową wyjechaliśmy z dworu: ja siedząc na koźle odmawiałem pacierz, pan zadumał się i opuścił głowę na piersi. W kilka dni stanęliśmy w Warszawie.

Nad wieczorem pan mi kazał pójść za sobą. Szliśmy przez wiele ulic, nareszcie przybyliśmy na Stare-Miasto, przed jedną wysoką kamienicę. Pan stał jakiś czas, widać że cierpiał bardzo, bo gdy przemawiał do mnie, głos jego był drżący i ochrypły.

— Krzysztofie, idź naprzód, ja za tobą. Na trzeciém piętrze zaraz przy wschodach drzwi otworzysz i zapytasz o panią: ona tam mieszka.

Nie wiem czemu móróć mnie przejął, ale żwawo po schodach biegłem. Wszakóć zadrżała mi ręka, jakem klanki dotknął i drzwi otworzył. Nie było w piérwszój izbie nikogo, w drugiej cóżem ja ujrzał? Na ziemi na brudnym sienniku klęcząca nasza biedna pani i modliła się gorąco: *szabosówka* słabo świeciła. Na odgłos kroków moich odwróciła głowę, a gdy ujrzał oblicze jój blade jak trupa, krzyknąłem i uchwyciłem za rękę całując ze łzami.

— Krzysztof!—zawołała z podziwem. — O! dziękuję Ci dobry Boże, nie zapomnieli więc o mnie. A pan? a dzieci zdrowe?

Ja przed płaczem słowa wyrzec nie mogłem, gdy nagle pani spojrzawszy we drzwi, jękała z bólem, wyciągnęła ręce i cichym głosem wyrzekłszy: „Łaski i przebaczenia“ padła i zsunęła się z siennika. Na progu stał pan w płaszczu, blade i zmieniony: drżał jak w febrze.

— Krzysztofie! podnieś panią, ja skoczę po dorożkę: trzeba ją ztąd co prędzej wyprowadzić.

Wziął świecę, a obejrawszy obie izdebki, wyrzekł z boleścią:

— Boże! co za nędza, jakże opuszczona!

Wybiegł na ulicę: ja położyłem panią na sienniku, a przy pomocy jakiejś starowiny sąsiadki z przeciwka, otrzeźwiliśmy ją i przywieśli do przytomności. Wtedy odgarnęła włosy co jej oczy zasłaniały, a ujrawszy mnie pochwyliła za rękę.

— Krzysztof! mój pocziwy Krzysztof!—przemówiła słodkim głosem.—A gdzie on?

I zakryła rękoma oczy i płakała jak bóbr rzewnie.

— Uspokój się kochana pani, wszystko będzie dobrze; dzieci zdrowe: pojedziemy do domu.

Ukłęka, zaczęła się modlić, a sąsiadka szepnęła mi w ucho:

— To tak zawsze jak tu zamieszkała: to tylko płacze, to tylko się modli!

Usłyszałem chód pana, wybiegłem naprzeciw.

— Weź panią i sprowadź na dół, ja tam czekam; odwieziesz do naszej stancyi, a czujduch zaprzęgaj, bo tej nocy wyjedziesz do domu: ja teraz biegnę zapłacić gospodarzowi za to liche mieszkanie.

Jak wróciłem, pani już stała gotowa; uściskała pocziwą sąsiadkę, i przy pomocy mojej zesłała na dół. Dorożka stała: wsiedliśmy razem.

— Gdzie pan?—zapytała zcicha.

— Nie wiem, ale zaraz kazał pakować i wyjeżdżamy tej nocy jeszcze.

Złożyła ręce i coś szeptała, usłyszałem tylko słowa:

— Zobaczę i przytulę do serca dzieci nim umrę.

Wkrótce stanęliśmy przed hotelem, pojazd już był zaprzężony. Pan zbliżył się do mnie i rzekł spokojniejszy:

— Siadaj z panią i jedź wolno, bo ona słaba; ja pocztą jadę, to prędzej przed wami stanę: powiedz niech będzie dobrej myśli, a nie zajeżdżaj od podwórza, ale od ogrodu, ja w szpalerze lipowym będę czekał.

Jak kazał tak zrobiłem. Jechaliśmy z wolna, na świeżem powietrzu zaczęła pani oddychać swobodniej, a gdym jej słowa pańskie powtórzył, że dzieci wciąż ją wzywały i czekają, słabe kolory na twarz wybiły i uśmiechnęła się boleśnie.

Stonko już było na zachodzie, gdyśmy na czwarty dzień dojeżdżali do domu. Z naszej dzwonnicy przykościelnej uderzono na *Anioł Pański*, kiedy stanęliśmy przed furtą ogrodową. Otworzyła się na nasze przyjęcie, a dziatwa z okrzykiem: „mama! mama!” rzuciła się ku pani i zaczęła całować i klaskać rączkami z radości. Pani porwała każde na ręce i uściskała wśród rzewnego płaczu.

Szliśmy ogrodem, we drzwiach dworu stał sędziwy nasz ksiądz proboszcz. Pani już nie stąpiła kroku, upadła na kolana, a składając ręce jakby o co żebrała, kornie pochyliła czoło. Ksiądz pro-

boszcz podbiegł, pobłogosławił, i zcicha szepnął słów kilka, których nie dosłyszałem, ale otarła prędko oczy, i prowadzona przez niego weszła do pokoju.

Tam stał pan bardzo blady, stał obok smutny stary Głowacz, który ujrawszy biedną panią ucałował jej ręce, a cofając się w kącie ciemny, zakrył oczy. Pani ze schyloną głową szła wiedziona przez naszego plebana, pan na jego skinienie podał jej rękę i wprowadził do jadalnej izby, gdzie poczciwa klucznica z krzykiem radości powita naszą panią.

Usiadła na kanapie i omdlała.

Wkrótce przyszła do siebie, dziatwa ją obsiadła, z nas każdy poszedł do swojej roboty; ksiądz proboszcz długo z panem chodzili po ogrodzie i coś żwawo rozprawiali. Głowacz podsłuchał nieco, i mówił mi potem, że to ksiądz proboszcz najwięcej pracował nad tem, że pan pojechał po panią i przywiózł matkę dzieciom. Pan wrócił późno i u chłopców spał na dawnym miejscu, pani kazała Łózczo do siebie przynieść i rzadko kiedy wychodziła ze swojej sypialni, chyba że ją dzieci wywabily do ogrodu, bo pan z jaki tydzień nie jadał razem obiadu.

Raz, przypadło jakieś święto uroczyste, ksiądz proboszcz zaprosił się sam na obiad. Pan uprzejmie mu się ukłonił, a Głowacz zacięrał ręce z radości w kącie. Jakoż pierwszy raz państwo usiedli razem z dziatkami; siedział Głowacz i klucznica, a ja usługiwałem.

Ksiądz proboszcz pobłogosławił stół i wszystkich, a przy kieliszku jak zaczął opowiadać wesołe dykteryjki światowe, bo to człowiek bywały, tak się pan śmiał serdecznie i pani się nawet uśmiechała; stary Głowacz coraz to pochrząkiwał a siwego zakręcał wasa.

Po obiedzie w ogrodzie dzieci dalej w płasy; ksiądz proboszcz przyklaskiwał niewiniątkom, i tak jakoś wszystko nakręcił, że pan podał rękę pani i przemówił po raz pierwszy. O! wszyscy wtedy odechnęliśmy, bo dotychczas było smutno, jak przed jaką burzą.

W miesiąc może potem, wieczorem późno wezwał mnie pan do siebie, trzymał w ręku jakiś list rozwarty.

— Krzysztofie!— powiedział— jutro skoro świt zaprzężesz parę siwków do bryczki, i będziesz czekał na mnie u furtki ogrodowej; ale tak się wybierz, żeby nikt cię nie widział, a szczególnież ze dworu.

Zrobiłem jak kazał; stałem już z dobrym pacierz przy furcie; zozra jeno co poświtywać zaczęła, gdy pan z jakąś szkatułką pod pachą wsiadł i zawołał:

— Ruszaj!

Naszym siwkom dość było świsnąć; dobrym klusem dwie mile przelecieliśmy w mgnieniu oka i stanęliśmy w miasteczku. Ja wyprzągłem konie, zarzuciłem siana, nasypałem w żłób owsa, napoiłem, i już się na dobre wyciągnąwszy na bryczce zacząłem drzémac, gdy pan mną wstrząsnął, a oddając szkatułkę rzekł:

— Chodź za mną!

Przeszliśmy na koniec ulicy, pan wszedł do jednego domu i wyszedł w towarzystwie trzech panów; między temi z przestrachem ujrzał pana Adolfa. Szli nie mówiąc słowa do poblizkiego lasu; tam rozmierzyli kroki, dwaj panowie coś na boku mówili, potem pistolety nabili. Pan Adolf pierwszy strzelił a mój pan upadł!

Krzyknąłem, przybiegłem myśląc że zabity, ale już się podnosił.

— To nic!—rzekł do mnie—kula raniła mnie w nogę: podaj mi kij lub gałąź na podparcie!

Podąłem łaskę jednego z panów, wtedy wsparty na niej, z uśmiechem przemówił do pana Adolfa:

— No! jeszcze mam dosyć siły, ażebym cię nikczemniku zabił!

Pan Adolf zbłądł okropnie, a gdy ujrzał, że mój pan mierzy do niego, zaczął co tchu uciekać.

— Trzymaj go! łapaj!—krzyknął mój pan i drugi.

Ja poskoczyłem zabiegwszy mu drogę, a jego sekundant już go doznał; schwycił za łeb i postawiwszy na mecie, trzymając silnie za czuprynę, zawołał:

— Strzelaj! już on się nie wywinie!

Mój pan wymierzył; błysło na panewce, a pan Adolf padł trupem: kula przeszła mu serce, ale i moje biedne panisko upadło z osłabienia, bo dużo krwi wyciekło. Skoczyliśmy wszyscy, rozebrali i jak mogli krew zatamowali; ja duchem pobiegłem, zaprzągłem siwki i zajechałem do lasu. Włożyliśmy pana i zaraz ruszyłem do domu.

We dworze był wielki rozruch po naszym odjeździe, bo pan do pani zostawił list, w którym ją żegnał, polecał dzieci, że jedzie na podjeunek i z kim się będzie strzelać.

Głowacza spotkaliśmy po drodze, co konno wyjechał naprzeciw; jak się dowiedział że pan tylko w nogę raniony a tamten zabity, wrzekł wznosząc ręce w górę:

— Sprawiedliwe są sądy Twoje, Wszchemogący Panie! I ruszył z kopyta, aby panią uspokoić.

Czekała na nas w ganku z dziećmi i domownikami; z okrzykiem radości dziatwa powitała ojca, a widząc że z Głowaczem musieliśmy go przeniść z bryczki do pokoju, zaczęła głośno płakać.

— Cicho, dziatki kochane—rzekł pan głaszcząc po kolei i całując—to nic!

Złożyliśmy go na sofie, pani już na krok nie odstępowała, śpiąc w nocy na sienniku, bo pan nie miał snu ciągłego dla bólu; doktor codzień opatrywał. W tydzień już siedział w krześle, palił lulkę, pani grała na fortepianie, dzieci skakały. Nieraz śmiał się serdecznie z ich gasków i figłów. Nasz poczciwy ksiądz proboszcz codziennym był gościem, a spokój i swoboda wracały pod strzechę naszego dworu. W kilka miesięcy pan wydobrzył, lubo jeszcze nalegał na nogę! Zaczął się przejeżdżać konno; nadeszła jesień, pokończyliśmy zasiewy: w grudniu wyjechaliśmy z panem na wojnę.

Po kilku bitwach, a w każdej byliśmy w gorącym upale, nasza dywizya zbliżyła się w nasze strony. Pan już krzyż dostał i został kapitanem. Że niedaleczko było do naszego dworu, wzięwszy swoich trębaczy wjechaliśmy do wioski. Jak utnie muzyka, a tu sielany z chałup wybiegli. Nuż płakać z radości, pana uściskali, mnie z konia ściągnęli. Wjeżdżamy na dziedziniec, aż tu ksiądz proboszcz z bractwem i chorągwiami stoi. Pani o niczym nie wiedząc, że to my pod swój dach przychodzimy, wystawić kazała stoły z jadłem i napitkiem, sama z dziećmi w ganku czekała. Aż tu na kasztanku jak się nie wysunie nasz kapitan, ja za nim; dzieci w krzyk: „To nasz, nasz tatko!” pani padła na kolana że go widzi jeszcze.

Pan zsiadł rzeźwo, pozdrowił serdecznie panią i dziatwę, brał je na ręce a całował ze łzami. Zmęźniał wiele, opalił się od słońca, a cięcie na czole, które otrzymał od huzara węgierskiego, było mu jakoś do twarzy. Uściskał sędziwego księdza proboszcza, ja go pocałowałem w rękę: on nas pobłogosławił, pokropił święconą wodą. Dopiero zasiedliśmy do stołów, bo sielacy porwali nam konie, wszystko koło nich oporzadzili, nakarmili, napoili i wyczyścili. Tak się bawimy wesoło do nocy, aż tu równo ze świtem rozkaz, marsz zaraz!

Wsiedliśmy na koń, ale jakoś ciężko było na sercu, jakby coś szeptało, że nie jeden z nas już nie ujrzy téj strzechy domowej. Jakoż nazajutrz o milę tylko zaszła z Austryakami krwawa i mordercza bitwa. Nasz pułk stanął na wzgórk, nieprzyjaciel nagle odsłonił baterią z dwunastu dział pozycyjnych: trzeba było ją wziąć albo zginąć.

Nasz szwadron na czele, ruszył wprzód kłusa, potem zaraz z kopyta marsz! Jak utniem szarzę, raz daliśmy wystrzelić; jużem ujrzał zbliżka te piekielne paszcze wyloty dział; jeszcze był kapitan na czele, gdy nagle, jak urzną znowu, nie wiem co się stało: ja z konia, kula urwała mi jak pan widzi po kolano nogę, a mój kochany pan kulą w piersi ugodzony, zginął! Padł zabity od téjże kuli i kasztanek, bo mu cze-rep zgruchotała. Nasi wzięli działa!

Tu Latarnik wstrzymał swoje opowiadanie, pochylił głowę na piersi i łzy ocierał rękawem. Mój stary Jan w rozczuleniu podał mu kieliszek wódki, ale inwalid odsunął, i pokręcił głową na znak że pić nie będzie; wtedy nałożył mu swoją fajkę i podał: nie odmówił, i widać było jak z dymem ulatywał powoli smutek jego. Po chwili wyrzekł:

— Oj! tak panie! zawsze bięda na świecie.

— Gdzieżes się potem obracał—zapytałem—coż się stało z panią i dziećmi?

— Ja poszedłem do szpitala, gdzie mi odcięto zgruchotaną nogę, wróciłem do wsi potem, ale nie zastałem już pani: wyjechała z dziećmi za granicę. Stary Głowacz przyjął mnie do siebie i wręczył od pani trzysta złotych. Było mi tam jak w raj, chodziłem co dzień na grób swego kapitana, modliłem się i płakałem. Nikt tego nie widział, aż raz Głowacz zcicha mnie podszedł; ale kiedy zobaczył, że ze łzami ca-

łowałem zimny na mogile kamień, sam się w głos rozbeczałem i uściśkałem mnie serdecznie.

We dwa lata stary umarł, kazał się pochować obok pana; spory trzosik zebranego pocziwie grosza darował mi przy śmierci. Siedziałem rok potem, ale jak wieś spalono i kościół zgorzał, księdza proboszcza pogrzebano, nie było co robić: przybyłem do Warszawy. Tak tęskno siedzieć z założonemi rękoma, a na cóż się zda kaleka? Ha! kupiłem sobie latarkę i choć cokolwiek na życie zarobię, bo panowie dobrzy! zawsze się jaki znajdzie co się ulituje. Ja przyświecam a nieraz i hojny datek dostałem. Ot! i człek żyje, dobrze też mówią: że kogo Bóg stworzy, tego nie umorzy; każdy ptak swoim się dziobkiem żywi!“

Burza powoli ucichała, już też i druga z północy uderzyła, rozszliśmy się na spoczynek. Nazajutrz wstawszy jużem nie zastałem latarnika. Jan mi doniósł, że bardzo rano wyszedł do domu. Odtąd często spotykałem mego inwalidę, często zachodził do starego Jana na gawędę.

We trzy lata może potem, przybywszy pod wieczór nie zastałem mego Jana; szukałem go napróżno. Położyłem się niespokojny w obawie, ażeby co złego starego wojaka nie spotkało. Około dwunastej w nocy, usłyszałem chód jego w przedpokoju i chrząkanie, co oznaczało w nim zawsze wzruszenie. Zawołałem na niego, szedł podwójnym krokiem, ale jak na mnie spojrzał zaniósł się od płaczu.

— Co ci jest mój Janie! ty płaczesz?

Stary wzięć się rozrzewnił, oparł głowę o mur i szlochał.

— Już go niema!—zawołał wreszcie. Pocziwy Krzysztof umarł! O! żeby pan był przy tém, toby panu serce z bólu pękło! Jak mi dali znać że bardzo chory, pobiegłem; on leżał na tapczanie konający. Jak mnie ujrzał, orzeźwił, wyciągnął ręce; ja mu się rzuciłem na szyję i płakaliśmy jak bobry. Jak odetchnął, oddał mi trzosik, w którym miał nieco grosiwa od Głowacza. Zaczął ciężko oddychać, musiałem mu głowę na poduszce położyć. Zbiegli się sąsiedzi, sąsiadka z pod strychu zapaliła święconą gromnicę; on coś trzymał w ręku i całował jak tylko do przytomności przyszedł, wreszcie zawołał na mnie:

— Janie! weź to... to krzyż com dostał; chowałem go na pierśsiach, jak relikwią z szkaplerzem razem: pamiętaj, pochowaj go ze mną!

Ja zdziwiłem się, on nic mi nigdy nie mówił, ani panu nie powiedział. Kiedym mu wszystko przyrzekł, a on po spowiedzi i przyjęciu Świętych Sakramentów dogorywał, nagle drzwi się rozwarły i młody pan stanął w kurtce ułauskiej.

— Krzysztofie! mój kochany Krzysztofie!

Na ten odgłos umierający roztworzył oczy, a ujrzawszy wołającego, zebrał ostatnie siły, uniósł się nieco i zawołał ochrzypłym głosem:

— Mój kapitan!

Podniósł rękę do czoła jakby salutował do kaszkietu, a potem zawołał: Naprzód wiara! zamknął oczy i skonał! A wie pan kto był ten młody oficer? To ów mały Tadeuszek co go piastował poczciwy Krzysztof, bardzo podobny do nieboszczyka ojca! On z całej rodziny tylko został. Matka, brat i siostra, wymarli za granicą, chciał zabrać do siebie Krzysztofa: zapóźno: poszedł połączyć się z temi, co kochał.

III.

Rybacy warszawscy.—Przewoźnicy.—Legia nadwiślańska.—Tracze.—Stare wiarusy.—Konfederat.—Hispaniol.—Murzyn.—Jakób z pod Łukowa.—Procesya Bożego-Ciała.—Wspomnienie.—Pogrzeb nędzarza.—Dwaj przyjaciele.—Azor.—Ostatni lirnik Warszawy Mateusz Dziubiński.—Teorbanista kresowaty.—Flisacy krakowscy.—Retman.—Babki koszykowe.—Magdalena szpieg Kościuszki. Jój grobowiec na cmentarzu Powązkowskim.—Kielbaśnicy.—Pan Piotr i jego dwór.—Żydzi w Warszawie. Faktorzy.—Branka do wojska.—Podatek rekrutowego.—Mustra.—Sposób nauczania strzelania z broni.

Wyniosłym wzrostem i urodą, pomiędzy ludem warszawskim odznaczali się szczególniej rybacy, przewoźnicy i rzeźnicy: wszystko to postaci czerstwe, składne i pełne życia. Rzadko szewc żeby dorównał któremu, lubo w odwadze osobistój i śmiałości do bójki nie ustępował żadnemu.

Mieszkańcy zajmujący całe wybrzeża po nad Wisłą, oddani różnorodnym zatrudnieniom i pracy na chleb codzienny, a nie należący do żadnego cechu miejskiego, nosili nazwę *legii nadwiślańskiej*, która powstała w początkach naszego wieku i przywiązana była pierwotnie do dzielnego pułku piechoty pod dowództwem pułkownika Konopki. Mnóstwo też *starych wiarusów* zamieszkiwało Powiśle, tu się skupiali ażeby żyć bliżej siebie. Wszystko to byli wysłużeni już żołnierze, którzy w sędziwych latach nie mogąc się pomieścić w korpusach *inwalidów* lub *weteranów*, ciężko na życie codziennym trudem zarabiać musieli.

Przeważnym ich zajęciem było piłowanie i rąbanie drzewa po domach miasta, gdyż nie znano wówczas ani torfu, ani węgla kamiennego; obfite i duże lasy w pobliżu Warszawy dostarczały na potrzebę aż nadto opału. Z piłą na ramieniu i siekierą w rękę, stały ich gromadki zwyczajnie pod *bramą krakowską* lub zasiadali na kamieniach w okolo posągu króla Zygmunta III. Malarz-artysta znaleźć mógł pomiędzy nimi tak piękne typowo-polskie oblicza i postaci, że mógł je w komnaty królewskie wprowadzać.

Rozmowa z nimi była nadzwyczaj zajmująca, mieli też co opowiadać to o pobycie w Italii, o krwawych i morderczych walkach z Murzynami na wyspie Saint-Domingo, to o szturmach do Saragossy pod

dowództwem Chłopickiego, to wreszcie o bitwach we Francyi, w Niemczech i ostatniej kłęsce w wyprawie 1812 roku.

Mój ojciec miał znajomych pomiędzy niemi traczy, którzy rok rocznie przychodzili piłować i rąbać drzewo w grubych kłocach zwieziane na obszerne podwórze. Matka moja przy zgodzie zawsze ich częstowała wódką gdańską i przekąską z chleba z sérem lub ogórkami kwaśnemi, bo właśnie dla traczy żniwo do zarobku otwierało się od początku jesieni.

Pięciu zwykle przychodziło ich do nas, a na ich czele *Mateusz* zwany *konfederat*. Jakoż rzeczywiście służył pod Kazimierzem Pułskim i należał do ostatnich obrońców Częstochowy. Cztery jego towarzysze połączeni scisłą z sobą przyjaźnią, byli to starzy wojacy z wypraw włoskich i kampanii hiszpańskiej. Okazywali wielkie poszanowanie dla pana Mateusza, ztąd też bacząc na wiek sędziwy, trzec drzewo piłą pozwalali mu, ale nigdy rąbać „bo to robota zaciężka dla naszego konfederata” mówił mi z cicha Jacek Godziemba, jeden z pilarzy, przezwany *Hispaniol*, bo całą wyprawę w Hiszpanii przesłużył. Był pomiędzy niemi *Murzyn* pan Kacper Gil, bo ten mu przydomek dano, że na Saint-Domingo, w krwawej walce z wściekłemi Murzynami ocalił życie kapitanowi Blummerowi, co zmarł w końcu 1830 roku w stopniu generała.

Wszystkich tych szczegółów dowiedziałem się od naszych traczy, kiedy zasiedli na swój obiad na pniach drzewa i spoczywali, a ja im przyniosłem kilka butelek piwa dubeltowego. Ztąd miałem i u nich łaski i zaufanie: chętnie też wspominali o latach swojej młodości. Wszyscy ozdobieni byli krzyżami *Virtuti militari*, a dwóch z nich Konfederat i Murzyn, mieli nadto krzyże *Legii Honorowej*, w które się ubierali tylko w niedzielę i święta uroczyste, gdy szli na mszę świętą do kościoła Trynitarzy na Solcu. Wszyscy byli żonaci, tylko w kawalerskim stanie został Konfederat, a jak mówili mi żartobliwie jego towarzysze, że to kawaler do wzięcia, i wszystkie młode dziewczuchy na Powiślu *zerkają* nań miłkiem oczkiem, bo każda pragnęłaby go zdobyć dla siebie! Konfederat liczył wówczas 75 rok życia, ale pełen był jeszcze siły i rzeźkości.

Kochali się jak rodzeni bracia i w stosunkach codziennych wzajemny okazywali szacunek; inaczéj nigdy jeden do drugiego nie mówił, jak „kolego,” a przy obcych zawsze „panie kolego.” Konfederat mieszkał przy żonatym Murzynie, i zasilał go nieraz, bo miał synowca pod Łukowem, gospodarza zamożnego, który stryjowi swemu a panu *kapralowi* jak go zwał, przywoził masło, sér, drób, kiełbasy, chleb razowy, a od żony kotacze. W jesieni jak spieniężył zboże po kilka talarów, prosił go nieraz ze łzami, aby swobodnie u niego w chałupie ciepłéj, przy dostatku jada na stare lata odpoczął; ale stary wiarus zawsze mu odpowiadał:

— Dziękuję ci, mój Jakóbie, pocziwe w tobie serce i Bóg zapłać, a obdarz swoją żonę i dziatki zdrowiem i łaską, ale ja bo widzisz od

kolegów moich odstać nie mogę, z tęsknoty umarłbym prędko, a człowiek chce jeszcze pożyć na tym Bożym świecie, dopóki i oni żyją.

Raz Jakób przyjechał z sutym gościńcem i stryjowi przywiózł sześć talarów: było to na kilka dni przed Bożem-Ciałem. Konfederat już synowca nie puścił, ażeby był na procesyi.

Od rana krzątania była wielka w mieszkaniu pana Kacpra Gila: pani Gilowa młoda i dorodna niewiasta, po ubraniu dwojga dzieci swoich, roztworzyła duży kufer i wyjęła najprzód kapotę pana Mateusza z czapką rogatywką, potem podobnyż strój dla męża. Gdy go obaj przywdzieli, wydobyla pudełko: na ten widok obaj stanęli jakby w szeregu *do frontu*, prawą ręką *salutowali*, kiedy gospodyni każdemu zawieszala to na niebieskiej wstążce, to na czerwonej, po dwa krzyże. Jakób na ten widok stanął osłupiały: razem poszli do kościoła. Po nabożeństwie przyszła chwila procesyi. Poruszono baldachim, wtedy wystąpił pan Mateusz i pan Kacper. Na ich widok obywatele, właściciele domów, spojrzawszy na ich piersi ozdobne dwoma krzyżami, pokłonili głowami i ustąpili z uszanowaniem pierwszeństwa; oni też ponieśli baldachim nad głową celebrującego kapłana.

Jakób patrząc pilnie na wszystko ze łzami w oczach, po procesyi gdy wrócili do domu, upadł do nóg stryjowi, ażeby choć na tydzień pojechał z panem Gilem, bo chce mu swoją kobietę pokazać i dziatki, aby je pobłogosławił. Konfederat nie mógł się oprzeć tak gorącej prośbie, namówił swego kolegę i razem pojechali. Jakóbowi szło o to, jak mi potem Hispaniol gdy drwa u nas rąbał, mówił, żeby w kościele parafialnym pokazać, jakiego ma krewniaka i przyjaciela. Jakoż zaraz w niedzielę ksiądz proboszcz widząc jacy to goście, dał im *patynę* pocałować, i oni w swoich odświętnych kapotach przy krzyżach nieśli nad nim w procesyi baldachim.

Jakób urósł w znaczeniu całej wioski: organista już inaczéj nie mówił tylko „panie Jakóbie,” za co częścicéj stryjowi i pani Gilowéj i jéj dzieciom przywoził gościńce.

Stare te wojaki kochali się prawdziwą miłością braterską. Jeden drugiemu w pracy dopomagał, w chorobie doglądał, dzielił się ostatnim z pod duszy groszem. Śmierć towarzysza broni była raną niezagojoną w sercu każdego. Dla pokazania jak silną pomiędzy niemi była przyjaźń, którą zachowywali do grobu, przywiode tu jedno smutne wspomnienie, które żywo zachowałem w pamięci.

Karawan o jednym koniu przywiózł jakiegoś nędzarza na cmentarz Powązkowski. Cały orszak pogrzebowy składał kaleka bez nogi, a za nim pies z dużych kundli. Wniesiono trumnę i pochowano w wspólnym dole ubogich. Pies zawył kilka razy przeraźliwie, a inwalid otarł łzy na siwy wąs spadające i smutnie opuściwszy głowę, szedł drogą do furty.

— Daruj mi mój przyjacielu—rzekłem—że się zapytam, kogożes to pochował?

— Atł swego przyjaciela, panie; ale był to człek więcéj jak przyjaciel, bo jak brat i ojciec dla mnie. Służyliśmy razem we wojsku, pa-

nie, ale on wyszedł cały i zdrow, a ja, jak pan widzisz, bez nogi, i ran kilka dolega!

I otarł znowu łzy rękawem od zniszczonej już kurtki.

— Mój bracie, to słusznie go płaczesz, kiedy to był taki przyjaciel jak mówisz.

— Cóż ja teraz bez Piotra zrobię?—mówił jakby do siebie—kto mnie pożywi, okryje i pocieszy na świecie?

A łzy starcowi tłumili mowę.

Wyszliśmy na drogę ku miastu: noc była pogodna, księżyc w pełni zajaśniał, głos tylko pubacza z cienia cmentarnego przerywał spokojną ciszę. Inwalida szedł zwolna i łkał ciągle, wołał i poświstywał:

— Na Azor! tu! Do nogi Azor!

Gdy się psisko ociągało i nie chciało iść za nim:

— To widzi pan, pies nie mój, tylko Piotra; ledwie go wyprowadziłem z cmentarza. Dwie teraz zostały sieroty, i ja umrę i psisko zdechnie z głodu, bo nie masz naszego Piotra!

Rozrzewnienie starca było bolesnym.

— Nie rozpaczaj, mój bracie—przemówiłem—Bóg dobry i litościwy czuwa nad każdym, to i wami opiekować się będzie!

— To prawda, panie, ale nie darmo mówią: „Boga wzywaj a ręką przykładaj,” a jak mi ręką do roboty przykładają, kiedy okryta ranami; siekiery nie podniesie, a i noga prawa pochowana na polach Raszyna.

I wskazał ręką w stronę zacmentarną.

W tej chwili na obliczu kaleki widziałem jak go to wspomnienie orzeźwiło, zdawało się że o swój ból zapomniał; ale krótko to trwało: znowu opuścił głowę na piersi, świsnął na Azora i szliśmy dalej.

— Bo to widzi pan—mówił westchnąwszy—Piotr miał żonę i troje dzieci. O! święta to była niewiasta! pracowali oboje, Piotr chodził z piłą i siekierą na zarobek; jak most zerwało, to miał kózdz swoją i przewoził, ba i w święto na *Saską-Kepę* państwo wozził, a Piotrowa prała, szyła bieliznę, bo to dworka była. Ja wtedy im pomagałem jak mogłem: nosiłem wodę dla Piotrowej, rąbałem drwa, niańczyłem dzieci, robiłem więcierze na ryby, to naprawiałem kózdz i jak płynęliśmy byłem przy rudlu. Mieszkaliśmy na Powiślu. Ale przyszła zaraźliwa choroba, umarło troje dzieci we dwa dni, po nich poszła matka. Zostaliśmy we dwóch i z Azorem, a lubił to psisko, bo dzieci się jego z nim bawiły, i Piotrowa lubiła, bo to stróż dobry, a dzieciaki nieraz konno na nim jeździły, a on im lizał ręce i nogi. Niedługo potem mnie się rany w rękę otworzyły, nic dźwignąć nie mogłem, a Piotr wzdychał i przyciskał mnie do piersi, a pracował jak mógł. Ja patrzałem jak niknął: chodziłem do Trynitarzy, modliłem się za niego gorąco. W rok po śmierci żony i dzieci, położył się na tapczanie i z niego już nie powstał. Pilnowałem go szczerze, może mi pan wierzyć, ale cóż bięda, bięda, a w końcu nędza. Sprzedawałem skryciec co było w chałupie, aby miał ciepłą strawę i lekarstwo i doktora. Raz

siedziałem przy kominię, gotowałem mu rosół z kury: wie pan, ja dla Piotra tę kurę ukradłem!... Bóg widzi, nie miałem jój za co kupić, a doktor kazał rosół z kury zgotować. Piotr się obudził i mnie zobaczył.

— Co tam robisz Janek?—zapytał.

— Rosół z kury dla ciebie.

— A zkądęsto wziął?—znowu mówi do mnie—to droga potrawa. Jam się odwrócił, bom się wstydził zajrzeć mu w oczy i odrzekłem zicha:

— Kupilem...

— Oto mi z ciebie wielki pan! Nie prawda, tyś ukradł tę kurę!

I zaczął płakać, ale tak rzewnie jak dziecko. Były to, panie, pierwsze łzy jego od śmierci żony i dzieci. Płacz, płacz, myślę sobie, może przyjdiesz do zdrowia. Ale gdzie tam, z temi łzami wyplakał i duszę! Nazajutrz o północy obudził się, kazał zapalić gromnicę i powiedział do mnie:

— Janie! módl się, ja idę do mojej Marysi i dziełek: widziałem wszystkich we śnie. Chodź tu, uściskaj mnie; a nie daj mu z głodu zdechnąć.

I położył rękę na łbie Azora, co stał przy łożu i lizał mu ją wychudłą i żółtą. Ja się zacząłem modlić, on mi oddał gromnicę, westchnął i skonał. Azor to pierwszy przeczuł, bo zawył, panie, tak strasznie, że ja krzyknąłem: Piotrze! mój kochany Piotrze! Ale on już słowa więcej nie przemówił.

Głos inwalidy przy tych słowach zadrzał, stanął, isć dalej nie mógł. Odpocząwszy chwilę mówił spokojniej:

— Sprzedałem co zostało na pogrzeb, i ot wracam do pustej izby, gdzie tyle lat szczęśliwie przeżył, w pustki, gdzie bywało tyle uciech i tyle serc poczciwych.

— Podaj mi rękę na pożegnanie, mój bracie,—i wsunąłem mu kilka złotych.

Starzec zmarszczył czoło i z boleścią zawołał:

— Ja! mużna!

— Nie! nie, mój przyjacielu, oddasz mi to później, zobaczymy się z sobą—odrzekłem zmieszany—wiem gdzie mieszkasz.

— Chyba że tak: bo widzi pan, ja ukradłem kurę, ale to było dla chorego Piotra, ale jeszcze nie zebrałem. Tymczasem dziękuję panu! Azor tu! dalej do domu!

I zniknął na zakręcie ulicy. Bóg opatrzny! Beznogi żył jeszcze lat kilka, znalazł przytułek u poczciwego szewca ze Starego-Miasta, wraz z nieodstępnym Azorem, rany mu się zagoiły i pomagał pracą swemu dobroczyńcy.

Pomiędzy starymi wiarusami nierozumiano różnicy stanów, żaden między niemi nie pytał czy to chłop czy szlachcic, ale jak był dobry kolega kochali się jednakowo. Czasem tylko nazwisko przypominało że może był szlachcicem, bo rzecz dziwna, a jednak prawdziwa jak się nasz chłopek wykształcał w wojsku pod chorągwią Napoleona I. Znałem

wielu oficerów a pomiędzy nimi i majora z 3-go pułku piechoty liniowej, który zawsze *ciął mazura*, gdy prowadził rozmowę, a wyrazy francuskie któremi ją przeplatał, tak były przetworzone w jego ustach, że niepodobne były do zrozumienia, tylko domyślać się ich trzeba było.

W tym okresie o którym wspominamy, nie mogę pominąć wielce wydatnej postaci naszego miasta.

W latach pomiędzy 1809 a 1812 rokiem zjawił się w Warszawie *lirnik*, którego poznałem w dzieciennych latach; wysoki, nachylny nieco, siwy jak gołąb, poważnego i czerstwego oblicza, które zdobiła gęsta, choć krótka broda. Okryty zawsze jasno-niebieskim szerokim płaszczem z krótkim kołnierzem, pod którym nosił lirę, chodził od gospody do gospody grając na niej, i przyspiewując dźwięcznym lubo drżącym głosem, dawne dumy i piosnki rozmaite. Zwiedzał traktyernie, kawiarnie i porządniejsze szynkownie. Taką była w oficynie domu mojego ojca przy ulicy Podwale nr. 52¹/₂, którą utrzymywał Skowroński. Tutaj to, latem, wiosną i jesienią widywałem go gdy wychodził z izby, siadał na dużym kamieniu, i zapoznałem się z tym lirnikiem. Wszędzie śpiewał piosnki wesołe, lecz skromne zawsze; z Karpińskiego: *Tęskność na wiosnę, Do Justyny, Już ja nie ten, Laura i Filon*. Śpiewał i piosenki swojego, jak utrzymywał układu; przed odejściem na zakończenie odśpiewywał zawsze z ujmującym uśmiechem do słuchaczy:

„W parze gołębie
Siedzą na dębie,
Skubią mech, mech, mech!
Kto nas nie kocha,
Kto nas nie kocha,
Bodaj zdech, zdech, zdech!“

I powstając z siedzenia, kłaniał się i odbierał w kapelusz i czapkę nagrodę pieniężną albo siadał do kolacji, którą mu goście dać kazali, za co pozostawał do późna w wieczór, aż ostatni jego słuchacz nie wyszedł.

Często i na publicznych przechadzkach, usiadłszy jak w Ogrodzie Krasieńskich, obudzał smętne tony swój melodyjnej liry. Pamiętam go dobrze! Ta twarz sędziwa zmarszczkami okryta, szlachetna, z młodzieńczym rumieńcem, ten włos siwy w długich splotach, cogo wiatr rozwiewał; płaszcz długi, ubiór niezwykły, przy wykwintnym stroju cudzoziemskim mieszkańców Warszawy używających przechadzki, cała postać wspaniała: ten głos drżący, co się tak dobrze godził z jęczącą struną liry, silne na młodzieńczym umyśle musiał czynić zawsze wrażenie.

Był to ostatni lirnik, śpiewak, w co wśród wielkiego miasta wyśpiewywał starodawne pieśni, których słabe echo nawet nie odbiło. Któż wtedy zwrócił uwagę na niego? Działwa tylko Ignęta do starca, i z tęsknotą oczekiwała na jego przybycie. Pamiętam jego słowa, gdy

raz wychodził z gospody, nie mogąc nic zarobić, zagłuszony wrzaskliwą katarynką:

— Złe że starego nie chcecie słuchać, a stary dawne rzeczy pamięta.

Kochały tego starca dzieci i on je nawzajem; to też pomnę z jaką uciechą przystrajał lirę i zaraz śpiewał gdy mnie ujrzał z datkiem wyproszonym od matki.

— Siadaj tu panostko moje—mówił z uśmiechem—coś ładnego ci zaśpiewam; ja tego nigdzie nie śpiewam, tylko dla was moje dzieci.

A było to jak latem na podwórzu, siadał pod cieniem wyniosłej topoli na kamieniu, i wtedy wyśpiewywał głosem silnym i wyrazistym jakies dumy to o Sobieskim, to o krwawych bitwach. Tu po raz pierwszy usłyszałem z ust starca dumkę ukraińską, i ten język śpiewny, melodyjny. W przerwach, kiedy umilkła jego lira, opowiadał zdarzenia ciekawsze których doznał w życiu. Nie zapomnę nigdy jakiego wzruszenia doznałem na opis walki, w której starzec miał udział i odniósł dwie rany widoczne jeszcze na piersiach i na głowie. Lirnik wspominając tę chwilę i gorącość bitwy, miał łzy w oczach, ja rzewnie płakałem. Uważałem że tylko z nami dziećmi śpiewał i mówił z całą swobodą, bo bywało jak zacznie śpiewać o Sobieskim, o Pułaskim albo o Sawie, lub też opowiadać, a starsi, natrętni zawsze, otoczyli go słuchacze, to zaraz zmieniał pieśń historyczną na jaką zwyczajną, albo powieść urywał i przygrywał na lirze.

Nie znałem wówczas jego nazwiska, zwano go tylko od ubioru *Niebieskim płaszczem!* *Niebieski płaszcz*, na ten odzew, rzucałem wszystko i biegłem do starca pewny miłego przyjęcia.

Nietylko w mojej pamięci ta postać głęboko utkwiała,—Roman Zmorski w *Domowych wspomnieniach i powiastkach*, poświęcił jęj ustęp.

„Między tą całą warszawską gawiedzią (pisze ten poeta urodzony w Warszawie), „*Niebieski płaszcz*” nie miał zapewne gorętszego wielbiciela, słuchacza nademnie, siedmio lub ośmioletnie natenczas dziecię. W domu gdzie mieszkałem bywał częstym gościem a czasami zostawał i na nocleg u poczciwego stróża Bazylego, Rusina z Podlasia. Każdy taki nocleg staruszka, był dla mnie wielką uciechą, bo go wtedy dowoli nasłuchać się mogłem. Lubił on mnie bardzo, pozwalał brząkać na swęj lirze, bawić się z brodą; opowiadał mi i śpiewał chętnie tak długo, aż zmorzony usnąłem na jego kolanach, albotęż gwałtem do domu mnie wzięto. Te jeszcze letnie wieczory, nieraz ku północy przeciągnięte, najczęściej sam na sam z dobrym lirnikiem spędzone, należały do najmilszych chwil mego dzieciństwa, a dziś do najmilszych jego wspomnień.“

W roku 1824 wyszedł na wędrowkę po kraju; był w Kielcach, później z kompanią poszedł do Częstochowy i wiódł ją grając na lirze i śpiewając pieśni nabożne. Tu w tém świętém miejscu bawił kilka

tygodni, i zarobiwszy sporo grosza, wrócił jeszcze czerstwy 1828 roku. W jesieni widziałem go kilkakroć, grał i śpiewał nowe pieśni, opowiadał wędrowkę swoją do Częstochowy i cuda jakich tam pielgrzymi pobożni doznali. Z pierwszym śniegiem już się więcej nie pokazał; na próżno go utęskniony oczekiwałem tam, gdzie zwykł codziennie przychodzić, nie ujrzałem już więcej *Niebieskiego płaszcza*. Lirnik ten nazywał się Mateusz Dziubiński, służył w młodych latach wojskowo, odznaczył się nawet w kilku bitwach; gdy zachorował, a znalazł przytulisko u wyrobnika na Powiślu, dawnego towarzysza broni, już więcej nie powstał.

Pochowano go w tym samym niebieskim płaszczu na Cmentarzu Powązkowskim, wspólnym dole ubogich, a lira na której nikt grać nie umiał, rzucona na komin, posłużyła do rozniecienia ogniska ubogiej rodziny, co pielęgnowała w ostatnich dniach życia, i zamknęła oczy przyjazną dłonią, temu ostatniemu lirnikowi Warszawy ¹⁾!

Choć i na nienależącym do naszego okresu, ale w żywém podaniu ludu warszawskiego, należy wspomnieć o sławnym teorbaniście Janie Zakrzewskim, który był znany całemu miastu. Był to konfederat Barski, mężczyzna wysokiego wzrostu, barczysty, ramion nieco podniosłych. Twarz wesola, sumiaste wąsy, nieco szpakowate zwieszały się długo po za brodę. Głowa zawsze podgolona, ręce długie muszkularne; w chodzie szybki, trzymał się prosto jak trzcina. Takim go przedstawiał jego wizerunek akwarelłowiy, w zbiorze rycin p. Wardyńskiego do r. 1830 w całości przechowany.

Mówiono że na Ukrainie nie mało spłatał sprawek, i ztamtąd wyniósł biegłość gry na teorbaniu i zapasy śpiewek, których się nauczył od czarnobrewek, a zwabiać je umiał do siebie. Jak grał biegle na teorbaniu, równie był zawołanym rębaczem. Umiał się bić z *przerzutką*, to jest przerzucając szablę z prawej do lewej ręki; znał wszystkich najstawniejszych rębaczy cięcia, i w pojedynku na pałasze nie miał sobie równego. Napadnięty przez sześciu dworskich hetmana Branickiego, obronił się dzielnie oparty plecami o ścianę, i każdego z nich obciął i naznaczył potężnie, za co od hetmana co się z okna

¹⁾ Równocześnie prawie z naszym lirnikiem Dziubińskim w Warszawie, żył Wojciech Korzeniowski włościanin lirnik, znany dobrze w Łomży. Mieszkał w ziemlance na piaskach, we wsi Łomżycy, gdzie się urodził, o kilka wiorst leżącej przed Łomżą; najczęściej wycieczki robił wzdłuż wzgórz ciągnących się nad Narwią, na wschodniej stronie miasta Łomży, gdzie się wznosiła kaplica u podnóża tych gór postawiona, jak niesło podanie, przez wdowę poległego jej męża w boju ze Szwedami. Kapliczka ta już nie istnieje. Łańcuch wzgórz tych, poprzecinany wązozami, okryty drzewami i krzewiną, tworząc malownicze widoki, ożywiały liczne podania i legendy, to o królowej wiodącej spory z swą córką, to o wspaniałych zamkach i złocistych pałacach. Lirnik Korzeniowski wszystkie znał te podania, i w pamięć młodszemu pokoleniu przelał, niemniej jak wiele dum i piosnek ludowych.

przypatrywał tój walce, dostał sto czerwonych złotych w pięknej sakwie, a zaproszony na dwór tego pana, siadywał u jego stołu przez kilka miesięcy.

Raz podchmielony, uderzywszy w twarz ulubieńca Branickiego, wyzwał go jeszcze na rękę. Hetman kazał mu dwór opuścić, bo nie chciał dworzanina swego na śmierć albo na pewne kalectwo lub zeszkaradzenie narażać. Na pożegnaniu darował mu konia z sutym rzędem i pięćdziesiąt dukatów złotem, a zarazem pogodził przeciwników. Zakrzewski wsiadł na konia i nazawsze opuścił dwór gościnny. Rok cały najeżdższy się na pięknym siwku, sprzedał go, i w roku 1789 pieszo z teorbanem przywędrował do Warszawy. Zachowywał zawsze doświadczoną szablę, na której były dwa następne wierszyki:

Sam tu do mnie! dalej smyki!

Proszę Waści na zraziki!

Szablę tę oglądałem u Tomasza Święckiego autora „Starożytnej Polski,” który miał ją sobie na dni kilka do obejrzenia udzieloną; pochodziła od jakiegoś sławnego rębacza z Wielkopolski: dużo nakrajawszy zrazów z ciał swoich przeciwników, kazał wyrzucić na niej ten napis, a Zakrzewski gdy raz w miasteczku Srodzie pokazał jak umie władać szablą, od tegoż rębacza, a już wtedy starca zgrzybiałego w darze ją otrzymał.

— Daję Waści tę szablę—rzekł on do młodego naówczas Zakrzewskiego—już nie dowidzę i ręka mi się trzęsie. Długo ona czekała na tak wprawną rękę jak Waści, to-żę sam węz z moim krzyżykiem.

Zakrzewski za dar taki i błogosławieństwo serdecznie podziękował, i szablę tę do śmierci zachował.

Za przybyciem do Warszawy, wchodził nietylko do ogrodów publicznych, domów zajezdnych i traktyerni, ale i do pałaców panów polskich. Śmiały, wesoły, dowcipny, wszędzie był miłym gościem. Zapas pieśni miał niewyczerpany, głos melodyjny i dźwięczny, któremu biegle na teorbanie wtórował. Kiedy stanął przed zebranym gronem, najprzód zapytywał jaka ma być piosneczka? czy skromna, romansowa, czuła czy hulacka? i do woli i smaku obecnych, uniał się wybornie zastosować. Ludek Starego-Miasta gdzie mieszkał, zwał go: *Teorbanistą kresowatym*, od potężnej kresy od szabli, która mu głęboką na prawym policzku bruzdę wyorała.

Król Stanisław August znał go osobiście, i gdy go w czasie pobytu w Łazienkach królewskich spostrzegł, kazał mu grać i śpiewać przed pałacem. Wtedy nasz teorbanista dobierał wesołe piosnki, często hulackie; raz rozochocony dobrą winą czy z umysłu, czy przez zapomnienie zaśpiewał mu pieśń konfederacką: od tój chwili już więcej w Łazienkach nie śpiewał.

W r. 1794 wszedłszy do wojska, z ran odniesionych, w miesiącu grudniu umarł w Warszawie. Do ostatniej chwili zachował całą przytomność umysłu, często kazał sobie ulubiony teorban podawać i do-

półki był silniejszy, śpiewał ulubione pieśni, i uczył takowych młodzież rzemieślniczą Starego Miasta, która lgnęła do niego, ażeby zachowano je w pamięci. Na krótką chwilę przed śmiercią, z całym zapałem odśpiewawszy piosnkę wojenną, z czasów swój młodości, spojrzął z uśmiechem na obecnych, zbladł nagle, ciężko westchnął, oparł głowę na pęku słomy na której spoczywał, a konając, wypuścił teorban z rąk już odrętwiałych. Pamięć jego młodzież wyuczona przechowywała długo i w naszym stuleciu: miłosne i czułe śpiewywały córki szewców i przekupek warszawskich szyjąc lub przędąc na kołowrotkach, a historyczne dumki powtarzała i lirnik Dziubiński. Miałem przepisany spory ich zbiorek tak polskich jak w małosyjskim narzeczu, ale w następnych latach, w życiowej burzy, z niemałym żalem zaginał mi niestety!

Jeżeli wzrostem i urodą żaden cech rzemieślników warszawskich nie dorównywał rybakom i przewoźnikom naszego miasta, znalazł się jednak równie rosłe pomiędzy starymi wiarusami w legii nadwiślańskiej piękne postacie męzkie, z prawdziwie polskiem obliczami. Nie jeden z nich, jak już wspominaliśmy, gdyby go ubrać w delię aksamitną i kołpak z czaplím piórem wyglądałby jak Jan Zamoyski lub Stanisław Koniecpolski. Flisacy krakowscy za to, którzy corocznie płynąc do Gdańska i wracając byli gośćmi w naszym Powiślu, tak postawą jak urodą zbliżali się najwięcej do rybaków.

Mieszkańcy nadbrzeżni, tęskliwie oczekiwali tej chwili, gdy lody pękały na Wiśle, i spłynęły, a wraz z jaskółką co się uwijała nad wodą i zaczynała lepić gniazdko na poddaszu, i śpiewem skowronka, co fruwał po nad zieloną już miedzą, spoglądali po falach spokojnych rzeki, czy się na nich nie zjawi *retman*, zwiastun nadpływających na nim tratw z drzewem i galarów ze zbożem.

Niedługo przed południową porą, ukazuje się gość upragniony, w łódeczce tak małej, że zdaleka wydaje się jak łupina orzecha, wywijający w górę wiosłem, i krzepkim głosem dający znaki i hasło flisom i oryloom jak idzie kierunek dobry wodnego gościńca.

Zaledwie wieść o tém doszła, całe Powiśle ożywia ruch niezwykły: mieszkańcy obecni w domach wylegali na wybrzeże, w gospodach flisowskich spiesznie zamiatano izby, ścierano stoły, i wszystko przygotowywano na przyjęcie tak długo oczekiwanych gości.

Za *retmanem* z wolna spływały tratwy i galary, w takt bijąc drygawkami: sternicy kierują je do lądu. Pierwszy wysiadł *retman*, wszyscy go witają okrzykiem radośnym, znajomsi ściskają w swoich objęciach. *Tratwa* za *tratwą*, *galar* za *galarem*, staje przy palu u wybrzeża, mocno liną przywiązane, a flisacy i oryle rozbiegają się zmęczeni do znanych gospód i znajomych. Dziewuchy mazurskie, które bliżej się z nimi poznały dawniej, pozdrawiają uprzejmie pożądaných *Krąkowiaków*, bo każdy z nich wita się ze swoją przywożąc gościnniec jaki, to sznurek koralí, to zwój barwistych wstążek, a dla gospodyń, dla zjednania sobie ich łaski, zgrabne gliniane garnki i miski, albo wyroby piękne drewniane górali z *Podhala*.

W całym Powiślu świat tu inny, inni ludzie, jak w zacieśnionych murach Starego Miasta, gdzie się tuliły charakterystyczne postacie *Babek koszykowych*. Nie mała była ich liczba, a dzieliły się na dwa rodzaje: pierwsze główne mieściły się z koszykami pełnymi ciastek lub owoców przy szkołach pijarskich, liceum, dominikańskich, przy teatrze narodowym i w pobliżu kościołów; drugie wędrując po ulicach obnosiły groszowe obwarzanki, jaja na twardo, kielbasy wędzone i séry, spoczywając niekiedy w sieniach kamienic lub chwilowo na schodach od ulicy. Były to już sędziwe niewiasty, złamane wiekiem, które tym drobnym przemysłem ratowały się od nędzy. Dzieje życia nie jednej z nich mogły dać osnowę do pięknej powieści. Znajdowały się w ich gronie dawne *panny respektowe*, które po upadku wielkiego domu, przechodziły smutne koleje życia, doszły do tego stanu: wiele wdów bezdzietnych po dworakach wojewodów, kasztelanów i starostów, jako też matki lub żony poległych wojaków na dalekich obcych ziemiach.

Do rzędu tych ostatnich należała jedna, którą poznałem szczególnym zdarzeniem. Miała już lat siedemdziesiąt, dobrego snąc wzrostu była i wiek ją nawet niewiele pochylił. Oczy czarne, niepozabawione jeszcze były żywego blasku; lica już gęstymi zmarszczkami fałdowane, ale na nich trzymał się jeszcze rumieniec jakby świeży, dowód skromnego życia i nie używania trunków: jakoż nic oprócz wody a czasem szklanki piwa nie znała.

Gdzie młodość spędziła, jaka jej przeszłość nie wiem: zwano ją panią Magdaleną, a była wdową po wojaku z pod buławy Kazimierza Pułaskiego.

W r. 1794 obchodziła ulice Warszawy, obnosząc w koszyku obwarzanki, sér, jaja i kielbasy. Kiedy Prusacy oblegli Warszawę, stanęła przed Kościuszką i ofiarowała swoje usługi jako szpieg wojenny. Wódz przyjął jej poświęcenie. Magdalena (nie pamiętam jej nazwiska) udając że się wykrada z Warszawy, przechodziła śmiało do obozu Prusaków, zbierała potrzebne wiadomości, sprzedając im za to drogo koszykowe zapasy.

Wiadomo już było że Prusacy straszny szturm przygotowali, na pozycją naszą pod Powązkami, której bronił generał Dąbrowski. Kościuszko stanął tam w odwodzie na czele municypalności Warszawy.

Magdalena poszła do obozu pruskiego z koszem umyślnie niedosolonych kielbas. Rozchwytali je chciwie, a zajadając chwalili mówiąc do niej:

— *Ja, dobre, aber ne slone!*

Magdalena uśmiechnęła się, pokręciła głową i odrzekła:

— No! no! bądźcie spokojni! Będziemy tu u was niedługo i dobrze wam przysolimy!

Jakoż nazajutrz, równo ze świtem odparto dwa szturmy, wygnano z zajmowanych pozycyj, i wielką klęskę zadano.

Poznałem ją za moich czasów szkolnych. Ojciec mój praktykujący lekarz w Warszawie wziął mnie raz z sobą.

— Chodźmy mój chłopcze pod *Zdroje*, poznasz tam najlepszego śpiega Kościuszki.

Wchodzimy już nad wieczorem do lichego dworku: izba była dosyć ciemna.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! (przemówił ojciec). Jak się wasani masz, czy ci już kaszel nie dokucza?

Z zaprzypiecka powstała Magdalena, a poznawszy ojca po głosie:

— A to mój dobrodziej!—zawołała, i co rychlej wystawiła stółek drewniany. O! już jegomościuniu kaszlu nie mam, a po lekarstwie co mi dał dobrodziej i piersi tak nie bołą, ale niedomagam, bo to starość nie radość.

— Przyprawiam wasani—odrzekł mój ojciec—mego syna; chłopak już jest w trzeciej klasie u Pijarów; pokażno wasani pismo co masz od pana Kościuszki, niech i on przeczyta.

Stara zapaliła łożówkę, dobyła z kufierka zawiniątko małe w płachcie białej, i z niej wyjęła zółtkły już nieco i naddarty papier; na nim na złożonym pół arkuszu, było pismo własnoręczne Kościuszki, w tych słowach, bo to zapamiętałem dobrze:

„Daję niniejsze świadectwo Magdalenie... która w czasie oblężenia Warszawy oddała wielkie i ważne ojczyźnie i mnie usługi. Gdy zaś żadnej nagrody jakkolwiek biedna i pieniędzy przyjąć nie chciała, polecam ją pamięci narodu.“

W kilka lat Magdalena umarła, ojca nie było w mieście, nie byłem więc na jój pogrzebie ale w parę miesięcy później zaprowadził mnie na Cmentarz Powązkowski i wskazał jój grobowiec.

Był to stojący płyt piaskowca, około dwóch łokci wysoki, na leżkiem podmurowaniu; na nim wypisano olejną farbą imię i nazwisko zmarłej, i dodano w końcu co do słowa ostatnie wyrazy z pisma Kościuszki wyżej przywiedzionego. Długo widziałem ten pomniczek; od roku 1829 nie zajrzałem na Cmentarz Powązkowski, w roku 1836 już nawet śladu po nim nie zostało.

Jak dla studentów pożądanę były te starowiny z koszykami ciastek, szczególnie gdy na dziesięć minut rozpuszczano klasy, tak dla uczniów akademii, młodych urzędników i oficerów niemniej pożądanymi byli, szczególnie w czasie karnawału *kielbaśnicy*, obnoszący gorące kielbaski w blaszankach z gorejącymi węglami, a w torbie chleb i bułki.

W owe czasy wczesnie się schodzono na tańczące zabawy; około godziny dziesiątej dawano już kolacyą, gdy ochota była potemu hulano nieraz do północy, a tancerze z dobrym apetytem wybiegali, ażeby gdzie złapać kielbaśnika.

Kilku już z nich czatowało w pobliżu domów, z okien których biło światło i muzyka brzmiała, pewni że wypróżnią blaszanki swoje i torby:

niezawiodła ich nigdy ta nadzieja. Pomędzy niemi odznaczał się pan Piotr, dawny dworus królewski, około lat czterdziestu, zwinny, obrotny, jowialista i zawsze wesoly. Był to ulubiony nasz traktyernik uliczny, miał bowiem doskonałe kiełbaski soczyste a gorące, chleb i bułki zawsze świeże, wyborną wódkę gdańską *Goldwasser*, po której pływały złote płateczki, i dowcipne słowo. Wkrótce pomędzy kiełbaśnikami taką zjednał sobie powagę, że wielu garnęło się pod jego opiekę. Od tej pory urządził swój dwór w ordynek, jak mówił, do zwykłych przysmaków dodał jeszcze sławne piwo Kazimirusa.

Pomnę, gdy gromadnie wychodziliśmy z domów gościnnych na Krakowskiem Przedmieściu lub poblizszych ulicach, o północy w zapusty: grobowa cisza wokoło, zamkowy zegar bił dwunastą, pierwszą lub drugą godzinę; o kilka kroków już stał ze swoim dworem pan Piotr, choć mród był siarczysty. Z jakąż serdeczną radością witaliśmy naszego żywiciela, wysuszono flaszkę goldwasseru, połknięto wszystkie kiełbaski, chleb, bułki, puste butelki po piwie poszły do koszyka; pan Piotr prawił nam zabawne dykteryjki, w końcu zaśpiewał hulaszczą piosenkę, a my wtórzac mu serdecznie dobrze nasyceni, nieczując wcale mrozu, rozchodziliśmy się radośnie do domów.

Wpóśród ludności Warszawy, czysto narodowej, nie możemy pominąć żydów, którzy w początkach naszego stulecia stanowili jedną piątą część mieszkańców, a następnie blisko czwartą.

Podług statystyki urzędowej w roku 1824, na 123,807 głów płci obojęd, liczono żydów 27,801. Rada Administracya Królestwa, dla położenia tamy ich napływowi do miasta, wydała w tymże samym roku postanowienie pod datą 9 grudnia że: „tym tylko żydom wolno będzie osiedlać się w mieście, którzy nabędą w Warszawie place pod budowę domów, albo téż wykażą środki utrzymania.“

Mając przeznaczone ulice jak Franciszkańska i Nowowiniarska, a w środku miasta w gmachu Marywilu tak zwany *Pociejów*, i pałac książąt Jabłonowskich (dzisiejszy Ratusz miejski) na handel starzynny, (na placu teatralnym), wcale nie ciążyli miastu swoim wpływem i przewagą, lubo przemysł swój rozwijali na szeroką skalę. Na rynkach Starego i Nowego-Miasta, żaden żyd nieśmiał stawiać straganu, boby ówczesne dzielne i zamaszyste przekupki warszawskie nie ścierpiały takiego sąsiedztwa.

Liczni faktorzy tylko uwijali się w hotelach i domach zajezdnych gotowi do każdej posługi dla przybyłych gości. Szlachta ze wsi, chętnie się niemi wyręczała, nawykła do opieki nad sobą swoich *arendarzy*, którzy demoralizując rozpajaniem lud rolniczy po karczmach, bogacili się ubogiem mieniem kmiecych rodzin, a we dworze każdym zajmowali wysokie stanowisko, gdyż w każdej potrzebie pieniężnej, arendarz przychodził z pomocą. Na szczęście w drugiej połowie naszego okresu, zniesiono arendarzy, te pijawki dobrobytu ludowego, którzy już w dobrém mieniu przynosili się do miast i miasteczek; niemało ich przy-

było i do Warszawy, i tu z lichwy żyjąc, pomnażając w krótkim czasie majątek, przychodzili do znaczenia i powagi.

Faktorzy usłużni, chociaż poprzestawali na skromnym wynagrodzeniu, mieli przecież niemały zarobek codzienny. Zwinniejsi pomiedzy niemi, po kilkunastu latach tego zawodu, otwierali handle, lub kupowali domy, nie porzucając nigdy ubocznego jeszcze przemysłu, z którego wyciągali nieustanne korzyści.

Jeżeli pomiędzy ludem warszawskim, a szczególnie też pomiędzy ulicznikami istniała nienawiść ku żydom, objawiająca się przy najmniejszej sposobności, w ukształconej Warszawie społeczności naszej, śladu jej nawet nie było. W szkołach pijarskich miałem kilku żydów kolegami, a stosunek przyjacielski zawiązany na tych ławkach, pozostał na zawsze. Żyd Berek pułkownik z czasów Księstwa Warszawskiego, który zginął walecznie 1809 r. w Kocku, niemało wpłynął na opinię publiczną co do starozakonnych.

Ludność ich tak w kraju jak i w samej Warszawie mnożyła się w postępie niesłychanym, bo przez długie lata umieli się zawsze uchronić od branki wojskowej. W początkach Księstwa Warszawskiego brano żydów w rekruty, wprawdzie owych rycerzy było bardzo mało, bo zamiast 3700 objętych spisem i powołanych do wojska, w ciągu lat od 1808 do 1811 służyło ich w całej armii Księstwa zaledwie siedemdziesięciu. Niechęć żydów i wstręt ich do wojska, utrudniał tak dalece onych pobór, że rząd ówczesny ujrzał się w konieczności, przychylić się do ich życzeń, i ustanowić w roku 1812 w miejsce służby osobistej, *podatek rekrutowego*. Po ogłoszeniu Królestwa Polskiego w r. 1816 uchylono ten podatek i zaczęto znowu brać żydów do wojska, ale z liczby 500 zaciągowych, tylko 144 dało się dostawić do pułków, a i z tych 18 zbiegło.

W owęj porze kapitan pierwszego pułku piechoty liniowej Grzegorz Pluciński, dostał kilku żydów do swęj kompanii; kazał ich przeto mustrować: w kilka tygodni po przybyciu pomienionych rekrutów, wpada pomieszany podporucznik i niemal z rozpaczą mówi:

— Już dłużej nie wytrzymam z temi żydami! Tylem się namordował nimem ich jako tako maszerować i robić bronią nauczyć; dziś nowa bięda: chcę ich uczyć strzelać, a ci strzelać nie chcą.

— Jakto nie chcą—zawałał groźnie Pluciński—kiedy nie chcą, to ich zmusić do tego.

— Łatwo powiedzieć, mój kapitanie, ale jakże zmusić, kiedy oni na sam widok prochu drżą ze strachu, boją się dotknąć panewki. Zmiłuj się, pójdz kapitanie, może co poradzisz.

Zabawna to była scena, patrzeć na owych biednych żydków, jak się pocili ze strachu, gdy im podporucznik kazał broń nabijać i strzelać. A gdy pomimo kilkakrotnej komendy: „*pal!*” żaden z nich nie odważył się dać ognia, zniecierpliwiony, przyskoczył i stojącemu z brzegu

pociągnął za cyngiel: rozległ się strzał, lecz zarazem i trzymający karabin żydek wrzasnąwszy *aj! waj!* padł jak długi na ziemię. Obecni żołnierze głośnym wybuchnęli śmiechem, a podporucznik i śmiał się i gniewał razem.

— No! i cóż z temi tchórzami robić?—biadał podporucznik zakałmując rękę.

— Ej! głupstwo! niema nad czém głowy suszyć, jakby to co wielkiego nauczyć tych kpów strzelać.

Temi słowy odezwał się stary wiarus, stojący na boku i przypatrujący się bacznie niefortunnym usiłowaniom. Ubodło to do żywego miłość własną oficera, że aż podskoczył oburzony przymówką wiarusa.

— O tak! tak!—zawołał—u was starych legionistów, to wszystko fraszka, wyście wszystkie rozumy pojedli, a my młodzi nic nie umiemy, nic nie znamy... zapewne!

— Ale z przeproszeniem, niech się pan podporucznik nie gniewa, bo Bóg mi świadkiem, nie chciałem go obrazić, korciło mnie tylko widząc, że pan z tém tafałajstwem nie możesz dać rady.

— A ty dałbyś im radę?

— Czemu nie?—odparł poważnie wiarus pokręcając siwego wąsa.

— Słuchajno stary, ze mną drwin nie masz; trzymam cię za słowo: podejmiesz się więc nauczyć tych żydów strzelać?

— Choćby jutro zaraz!

— O zakład?

— O zakład!

— Dobrze, stawiam pięć dukatów: jeżeli dokażesz swego, twoja wygrana, a jeżeli nie, to co?

— To skórą własną odpowiem. Dam sobie wyliczyć dwadzieścia kijów. Czy zgoda panie podporuczniku?

— Zgoda!

Nazajutrz stawił się wiarus, a odebrawszy pod swoją komendę owych rekrutów żydowskich, pomaszzerował z niemi na pobliską łąkę. Śnać stary wyga zmówił się ze swemi kamratami, bo ich kilku z bronią na ramieniu czekało go już na łące.

Co tylko żyło pobiegło, aby być świadkiem czyja będzie wygrana?

Wiarus uszykował żydków, kazał im robić bronią, i szło to nieźle, ale gdy zakomenderował *tuj! cel! pat!* ani rusz dalej; żydki *sza*, jakby ogluchli: nie myśleli i słuchać nawet.

— Aha! a co? kuso będzie z waszecią!—wykrzyknął tryumfująco podporucznik.

— Cierpliwości!—odrzekł spokojnie wiarus, a obracając się do swych kamratów, co to już na niego byli czekali na łące:

— Hej! bracia!—zawoła—pójdźcie do roboty!

Środkiem łąki wiła się mała, niebardzo głęboka rzeczka, przez którą zarzuconą była wązka kładka. Po obu końcach kładki zajęli miejsce żołnierze, wiarus zakomenderował *marsz!* i wprowadził żydków na kładkę.

— No! a teraz baczość na komendę: strzelać mi gładko, równo! A wy kochani koledzy—ręce obracając się do żołnierzy—patrzajcie a dobrze, jak mi który z tych żydków skrewi i nie da ognia, to go kolbą do wody.

I o dziwo! mustra poszła jak z płatka, żydki strzelali wybornie, strzelali więcej godziny, żaden z nich ani zemdlał ani drgnął nawet!

Stary wiarus wygrał zakład!

Kronika lwowska.

IV.

Obok ogólnego, powszechnie uznanego znaczenia, jakie w cywilizacji narodów mają sztuki piękne, spełniają one u nas jeszcze wyłączone zadanie, stosownie do wyłączonego naszego położenia. Mogą teoretycy upatrywać całą wartość sztuk pięknych tylko w ich własnej istocie, bez względu na ich stosunek i związek ze społeczeństwem; a przecież ten stosunek, nie ujmując im wartości wewnętrznej, nadaje im wartość zewnętrzną, czyni je przystępniejszymi narodowymi w miarę tego, jak zasilwszy się zasobami miejscowymi, dogadzają wymaganiom i potrzebom narodowym.

Ma tedy sztuka oprócz kosmopolitycznej swojej podstawy, jeszcze i powołanie szczególne, które jej nadaje znamiona wyróżniające, rodowe. Wpływy takie, wyciskając na wrażliwej duszy artystów ślady niestarte, przyczyniały się do wytworzenia znanych powszechnie szkół malarzkich, które noszą wybitne piętna nie tylko różnych wieków i różnych narodów, ale nawet różnych miejscowości w jednym narodzie.

Ciekawy i dla uważnego spostrzegacza bardzo pouczający jest rozwój sztuki malarzkiej, który się odbywa w oczach naszych, zapowiadając szkołę polską. Na to nie wystarczały najświetniejsze wzory obecne i piękne swojskie talenta. Potrzeba było jeszcze, aby talenta te urosły w siły do wyrobienia sobie niezawistej odrębności, aby pomimo uwielbiania sławnych powag, wyzwoliły się z ich poddaństwa. Nauk można nabyć i na obczyźnie, ale odrębności takiej, którą nazwaćby można pełnoletnością artysty, nabywa się tylko na rodzinną ziemi, je-

żeli się ją, jak stary Homer, nosi w swój duszy. Odrębność ta nie uwalnia wprawdzie od stałych prawideł, ale od manieri uwalnia; a jest to wolność bardzo potrzebna, bo niewola wydaje tylko naśladowców i konserwatystów.

Wiadomo, jak żywo poezya poruszała u nas umysły, przechylając się jak kwiat, ku słońcu, ku naszym dziejowym ideałom, które pod jej tchem dojrzewały rażno, ale owiane mrozną atmosferą, doznawały nieraz bolesnych zawodów. Więc ci, którzy nawykli oceniać wypadki według wrażeń współczesnych, nie dociekając ich właściwej przyczyny w głębiach przeszłości, ani dopatrując ich doniosłości na przyszłość, przypisywali takiemu nastrojowi umysłów wielką część klęsk i niepowodzeń. Zatem też poszło niejaki zobojętnienie dla poezyi, i głośne podnoszenie odwrotnego kierunku, zwanego pozytywizmem. Jak gdyby chciano usunąć słońce dlatego, że w upały letnie zdarzają się grady niszczące całoroczną pracę rolnika. Jak gdyby chciano przez umyślne odrętwienie uniknąć cierpień, połączonych z życiem. Jest to choroba duszy, pochodząca ze znękania i wymagająca środków zaradczych.

Otóż posłannictwo, jakie dotychczas spełniała w ten sposób źle oceniana poezya, posłannictwo to spełnia nateraz jej młodsza siostra, nasze malarstwo. Jest to nowa Westalka, mająca niecięć w piersi narodu, i utrzymywać świętą cześć ideału, aby nie wygasła. Tę cześć, bez której cała z upragnieniem wzywana oświata, wszystkie jej nauki, byłyby tylko kółkami w maszynie wirującymi pod naciskiem siły, prawidłowo, jednostajnie i niewolniczo, bez pobudek moralnych, bez innej chwały, jak ślepa uległość, nawet bez wstydu i nikczemnego służalstwa znoszonego dla interesu. Natchnienie czekałoby na rozkaz, miłość kraju też samo. Gdyby oświata uległa takiemu jednostronnemu prądowi, jakto na wielu oświeconych już widzieliśmy i w naszym wieku i w wiekach innych, gdyby taka podrobiona oświata mogła oślepić całe narody, jak pojedynczych ludzi, istotnie już zaślepiała i zaślepia, to ludzkość zostałaby pozbawioną najszczytniejszego daru Stwórcy, zapamięta, gotowego zawsze do poświęceń dla idei i przekonań, pozbawioną tego, szatańską moc pokonywającego wyboru ofiar i cierpień dla sprawiedliwości. Słowem, ludzkość stałaby się biernym organizmem, posłusznym matematyce, ale bez znamion człowieczeństwa. Gdyby nie sztuki piękne, Grecya nie miałaby Maratonu.

Jak niegdyś z gorączkową niecierpliwością chwytano do ręki każde pojawiające się dzieło Mickiewicza, tak teraz wyglądamy chciwie każdego nowego utworu Matejki.

Wystawy nasze uwydatniają się coraz bardziej nietylko pod względem ogólnym, artystycznym, ale także pod względem szczególnym, duchowych potrzeb społeczeństwa. Przeto wystawy te stały się już potrzebą, a publiczność zwiedza je coraz liczniej i z coraz większym zajęciem.

Początkujący artyści znajdują tam wzory godne uwagi, miłośnicy i znawcy znajdują zadowolenie z powodu wykonania, odpowiednich ich

pojęciu i wymaganiom; szersza publiczność znajduje wykształcenie w doskonalącym się poczuciu piękna, a wszyscy razem znajdują przyjemny pokarm, nie tylko dla uczuć ale i dla myśli, bo wrażenia, jakich doznają, wciskając się nieznacznie, jak nasiona w ich dusze i serca, wschodzą w różnych chwilach życia, to jakby myśl przypadkowa, to jakby jakieś, nie wiedzieć z kąd się biorące uczucie. Oto są zarody tej podniosłości moralnej, którą każdy, chociażby nieświadomie wynosi z wystawy.

Przywiódłem tu mniej więcej dosłownie początek przemowy, którą prezes lwowskiego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, hr. Leszek Dunin Borkowski, otworzył ostatnie, walne tegoż Towarzystwa zebranie, gdyż nie umiałbym zwięźle, gruntownie i podniosłej uzasadnić zajęcia, jakie obudzać powinien w inteligentnej części naszego społeczeństwa, szybki i najszlachetniejszymi ideami społecznej i artystycznej natury ożywiony wzrost malarstwa polskiego, w ostatnich latach. A uzasadnienie takie uważałem za konieczne, mając rzucić pogląd na tegoroczną lwowską wystawę sztuk pięknych, którą oglądaliśmy przez trzy miesiące letnie, w sali *domu narodnego*.

Towarzystwo nasze, najmłodsze z polskich, założone zostało d. 30 czerwca 1867 r. Prezesem jest od początku, a zatem w przeciągu lat z górą dziewięciu hr. Leszek Borkowski, głośny w swoim czasie pisarz i mówca parlamentarny, jeden z tego szczupłego co do liczby grona osób, które w latach pomiędzy 1830 — 1850 w Galicyi obudziły społeczność z odrętwienia i ożywiły ją pragnieniem umysłowego życia.

Działalność Towarzystwa w naszej prowincyi napotyka na przeszkody tak liczne i z zadawnionych przyczyn wynikające, iż w przeciągu lat dziewięciu skutki ich nie mogły uderzać w oczy. W rzeczach sztuki znajdujemy się u początków drogi. W czasie niezawisłego bytu Rzeczypospolitej, prowincya nasza nie była ani przez chwilę w tém położeniu szczęśliwém, iżby gdziekolwiek na jej gruncie wytrysnął żywszy ponik ducha umysłowego bytu. Naturalnie mówię tu o dawniej Rusi, a wyłączam Kraków, który jako stolica kraju, rozwijał się na zupełnie odrębnych, sobie tylko właściwych, a pobłogosławionych przez Opatrzność, podstawach. Wpływ tego grodu nie sięgał nigdy poza San, a co z tej strony rzeki leżało, nader luźnie uczestniczyło w literackim i artystycznym ruchu ówczesnej Polski. Nie posiano tu przeto tych ziarn życiodajnych, które chociażby długo im przyszło leżeć w glebie, to w chwili właściwej za hasłem, daném przez naturę, wystrzelają bujnym plonem i dojrzewają z podziwu godną siłą zasobów wewnętrznych. To też i dzisiaj, chociaż żyjemy w słońcu i chociaż w ostatnich czasach na całym prawie polu umysłowej produkcji, dążymy już do ściślejszego związania się z cywilizacją, nie snadnie przychodzi rozwinać się w nas temu czarującemu kwiecieniu sztuki, które wymaga roli tak umiejętnie i oględnie przygotowywanój.

Ogół naszego społeczeństwa nie ma jeszcze zamiłowania sztuki, bo niema najpierwotniejszych warunków smaku i estetycznego znaw-

stwa. Madonna Rafała, ani hymn Palestriny, nie podobają się przecież nigdy prostaczkowi, a w rzeczach sztuki kraj nasz cały nie urosł jeszcze po nad poziom wrodzonych instynktów, nie zdających sobie sprawy z podstaw i kierunku swych artystycznych upodobań. Ponieważ zaś instynkta wrodzone miewają pewną, genialną rzekłbym intuicyą prawdy i piękna, i do bezwiednego ich poczucia dochodzą często-kroć daleko łatwiej, niż teoria; przeto zdarza się u nas bardzo często, i to na całej linii artystycznych wrażeń, w rzeczach muzyki, teatru i malarstwa, iż sąd powszechny, chociaż nie przeczuwający, że istnieli kiedyś wielcy teoretycy, którzy wrażenia sztuki ujęli w prawa zasadnicze, wypada trafniej, aniżeli tam nawet, gdzie każdy mieszkaniec nosi w głowie, i mógłby wyliczyć na palcach wszystkie prawa Lessinga, Winkelmana i Vischera, zapewne najmądrzejszych prawodawców estetycznego sądu. I w tém to psychologicznie jasnym i uprawionym fakcie należy szukać przyczyny, że u nas przeciętna miara sądu jest bardzo wygórowaną a nie rzadko wyroki jego, chociaż wydawane raczej drogą prostego rozumu, niż teorii, bardzo słuszne. Ztąd to nie łatwo u nas doczekać się uznania i nie łatwo wypłynąć miernościom. Patrzymy na to, nie bez pewnej, nie zawsze dobrze zrozumianej chluby, że talenta tutejsze naukowe, literackie i artystyczne, w obec których w przychylném ocenieniu ich działalności, bywamy bardzo wstrzeźliwi, gdzieindziej daleko szerszém i ogólniejszém cieszą się powodzeniem, opartém już co prawda, nie na instynktowym, ale na wyrozumowanym sądzie krytycznym.

Jak powiedzieliśmy wyżej, gdzie nie ma znawstwa, tam nie może być mowy o zamiłowaniu. I w tém to należy szukać przyczyn, dlaczego lwowskie Towarzystwo sztuk pięknych nie zdołało dotąd jeszcze, pomimo dziewięcioletnich usiłowań, zdobyć sobie należytego obszaru wpływów i działalności. Przyznać trzeba że Towarzystwo krakowskie w nierównie przyjaźniejszych rozwija się stosunkach. Cyfry wymowniej poprą nasze zdanie w tój mierze.

Na pierwszy odgłos o zawiązaniu się u nas Towarzystwa sztuk pięknych, zgłosiła się odrazu bardzo wydatna liczba akcyonaryuszów. W pierwszym losowaniu uczestniczyło już 1020 akcyj; wzięwszy na uwagę względy, które wskazałem, powyżej mogło się wydać, iż skutek taki jest prawdziwie wspaniały, i że gdy pierwotna ta cyfra wzmaca się będzie w racjonalnej progresyi, doczekamy się w Galicyi wschodniej nadspodziewanie szybkiego wzrostu upodobania w sztuce, a tém samém i jój rozwoju. Pokazało się jednak, iż działała tutaj magicznie nowość, a nie gruntowniejsze zamiłowanie przedmiotu. W drugim bowiem roku z wysiłkiem zdołała wprowadzić dyrekcya Towarzystwa utrzymać mniej więcej na tój wysokości cyfrę udziałów akcyjnych, ale w trzecim już spadła ta cyfra znacznie i zjawisko to powtarzało się rok rocznie, aż dopiero w ostatnich znowu latach poczyna się liczba akcyonaryuszów stopniowo i systematycznie podnosić na poziom pierwszej listy. W r. 1869 uczestniczyło w losowaniu akcyj 1020, w 1870 r. 889,

w r. 1871, 853; w r. 1872, 920; w r. 1873, 945; w r. 1874, 954; w r. 1875, 956. Przyrost ten w latach ostatnich powolny wprawdzie, ale trwały i prawidłowy, jest objawem prawdziwie pocieszającym; nie jest to już bowiem ptoche rzucenie się za powabem nowości, ale wynik szerzącego się stopniowo zamiłowania w kulcie artystycznym. I to także jest rzeczą charakterystyczną, iż lista pierwotna w przeciągu pierwszych lat kilku najzupełniej się przeobraziła. Pomiędzy dzisiejszymi właścicielami 956 akcyj mała tylko znikoma garstka znajduje się posiadaczy owych, na pierwszy odgłos wezwania śpieszących 1020 ochotników. Przeobrażenie zupełne imienne listy akcyonaryuszów dostrzegamy już w trzecim roku istnienia Towarzystwa. I tu po raz tysiącokrotny, udowodniła się prawda przysłowiowa, jak mało bywa wybranych w rzeszy wezwanój.

Szczupłe fundusze Towarzystwa nie pozwalają mu zakupywać większej ilości dzieł do losowania. Mniej więc w roku zakupuje ono około 25 przedmiotów malarstwa olejnego, akwareli, rzeźb i t. d. Tu wypada słowo powiedzieć o udziale kraju w zakupie obrazów. Niestety, mały on dotąd i niezbyt chlubnie wyborem dzieł świadczący o znawstwie powszechném. W tym roku np. zakupiono prywatnie kilka obrazów, których usunięcia ze salonu wystawy domagała się poważniejsza część widzów i krytyki. Liczba dzieł zakupywanych przez nabywców prywatnych wzrasta wprawdzie z każdym rokiem; dotąd jednak nie przekroczyła nigdy cyfry 20, tak iż najwyższa cyfra zakupionych jednego roku z wystawy, dzieł sztuki, nie przeszła jeszcze nigdy po za 50. Niewielki ten stosunkowo odbył, jak na siły finansowe naszej prowincyi, zniechęca artystów do przysyłania swych utworów na tutejszą wystawę i ztądto jesteśmy świadkami dosyć napozór dziwnego zjawiska, iż pomimo faktycznego rozwoju Towarzystwa, wzmagania się we wpływ i siły, i coraz większej liczby akcyonaryuszów, cyfra wystawionych corocznie dzieł sztuki systematycznie i dosyć znacząco szczypleje. Na wystawie r. 1868 widzieliśmy 169 numerów w katalogu, w r. 1869, 166; w r. 1870, 114; w r. 1871, 137; w r. 1872, 139; w r. 1873, 97; w r. 1874, 148; w r. 1875, 115. Jest to złe, które usunie się dopiero wpływem powolnym i stopniowym; na razie zaś widzimy tylko jeden, wielkiój doniosłości środek: przeniesienie czasu otwierania wystaw dorocznych z pory letniej na jesienną lub zimową, w ogóle taką, kiedy w mieście pulsuje rańsze życie, kiedy każdy fakt artystyczny obudza głębsze zajęcie i gromadzi więcój widzów i uczestników. Natenczas i salon wystawy naszej donioslejsze wywoła echo u publiczności, wytworzy sobie znacniejszy zastęp nabywców, i silniejszą ponętą przemówi do artystów.

* * *

Przegląd salonu tegorocznego zacznijmy wedle starój, dobrej tradycyi, od malarstwa religijnego. Dwadzieścia lat nie minęło od śmierci Pawła Delaroché'a i Ary Scheffera, a pojęcie to, rodzaj ten, wydaje

się już prawie anachronizmem. Tak wiele spustoszeń w dziedzinie poczucia religijnego dokonał ostatni niestety zwrot umysłów, nadany przez filozofią Comte'a i popularny materyalizm Büchnera, że dziś zanim żywioły wyjdą z odmetu, i kilka nowych pojęć stanowczo się skryształizuje z chaosu wyobrażeń, na który patrzymy, trudno jeszcze zoryentować się w tej doniosłej kwestyi estetyczno-moralnej.

Kilka razy dotykaliśmy już gdzieindziej nasuwających się w tym doniosłym przedmiocie wątpliwości; aby się przeto nie powtarzać, wolimy odrazu wejść w rozbiór tych niewielu płócien o treści religijnej, które widzimy na tegorocznej wystawie. Tém wyjaśnimy i przekonania nasze w tej mierze.

Pan Izidor Jabłoński malarz krakowski, wystawił dwa obrazy: pierwszy bardzo znacznych rozmiarów, przedstawiający „Madonnę z Lourdes,” drugi mniejszy „Święta głowa św. Katarzyny.”

Madonna zjawia się w kamienuj, fioletowo-ciemnej grocie, w której panuje mistyczny pomrok. Stała, jakby na piedestale, na złomie skały, otoczonej bujnym kwieciami róż, dzwonek, saksifragów i innej roślinności właściwej przyrodzie górskiej i skalistej. Przeczysta Dziewica nosi szatę białą, urozmaiconą tylko błękitem szerokiej przepaski ze spływającą na dół wstęgą; na rękę ma różaniec. Głowa pławi się w złotej aureoli, wśród której widnieją głoski: *Je suis immaculé conception*. Postać ta co dopiero zapewne wywiata się z niebieskich eterów, odwinęła z obłoku, który ją przyniósł na ziemię i umieścił po nad cudownym źródłiskiem. Taką jest niezawodnie myśl kompozycyi; inaczej nie odpowiadałaby naturze przedmiotu, poczętego w sferze wiary i natchnień, które nie mają nic wspólnego z materyalną, cielesną rzeczywistością. W takim jednakże razie przychodzi nam ubolewać, iż artysta Madonnie swój odjął ów niezbędny pierwiastek duchowości, która się przyobleka tylko chwilowo w szatę form stworzonych, ale nie zapiera swój po za światowej genezy wyrazem oblicza, a nawet układem ciała. W malarstwie religijnem symbolika utrzymana w pewnych granicach, ważną odgrywa rolę. Ciało ziemskie powinno ciężać ku ziemi, już samém brzemieniem materyi, którą dźwiga na siebie; ciało niebieskiego zjawiska, jakkolwiek postawione na gruncie czysto-ziemskim, powinno bezwiednie, że tak powiem, instynktowo, połotem form swoich dążyć ku swój dziedzinie górnej, ponadświatowej. Jest to rzeczą delikatnego taktu artysty, iżby w układzie form wyraził wyższy ten początek bytu istoty, która *chwilowo* przedzierzgnęła się w ludzką postać. Układ ten zarysem swych linii będzie dążył zawsze ku niebu: postać niebieska, zaledwie dotknęła stopą ziemi, już będzie pragnęła unieść się napowrót w górę. Punkt ciężkości takiej postaci należy zawsze przenieść jak najwyżej; tego wymaga idea oswobodzenia się z pęt, materyi, która w takiej kompozycyi powinna się plastycznie wypowiedzieć. W tém już przeto zbłądził pan Jabłoński, iż zamiast w górę, zepchnął figurę Matki Boskiej jak najmocniej ku dołowi. Takie widok Jój sprawia wrażenie, jak gdyby jakiś barczysty mężczyzna położył żo-

łazne ramię na wiotkiej dziewicy i gwałtownie starał się wyniosłą jej postać ugiąć ku ziemi, wtłoczyć ją w głąb jaskini. Widzimy to po układzie kolan i jakimś przypłaszczeniu całej figury. Gdyby nie więcéj, to ten błąd kompozycyi odbiera już jej ów polot mistyczny, który mógłby wywrzeć wrażenie, nastrojone na ton religijny. Dusza w obec tego obrazu, zamiast pchnąć się w dziedzinę pobożnej ekstazy, czuje się instynktowo popchniętą na dół, w sferę wyobrażeń poziomych i ziemskich. Ten błąd jednakże płynący z braku natchnienia iście religijnego, mógłby uchodzić jeszcze tylko za niezręczność rysunku. Uwaga pada przede wszystkim na oblicze zjawionej Dziewicy, i szuka tutaj pierwiastku wyższego, któryby zdołał obudzić coś w rodzaju ekstazy, możliwéj przecież nawet w chłodnym schyłku XIX wieku. Madonna p. Jabłońskiego wydaje nam się raczéj przyjemną, ale cikliwą i trochę na anemię cierpiącą heroinę sielanki pasterskiej, aniżeli przeczystą Dziewicę chrześcijańskiego nieba. Jeżeli ten brak krwi miał wyrażać usunięcie pierwiastku zmysłowego z natury i temperamentu Madonny, to pomysłu tego nie nazwalibyśmy trafnym; wszak Madonny Rafaelowskie kwitną czerstwém życiem i mają zdrową krew w żyłach, a przecież są najidealniejszym wyrazem chrześcijańskiego natchnienia. W takim wypadku nie o kilka kubków krwi chodzi, ale o zdolność takiego przyobleczenia świętego oblicza poświęcając czystości i wzniesienia go po nad poziom żądz, uczuć, namiętności ludzkich, w jakim streszcza się idea bóstwa. Skoro Grecy umieli swoim namiętnym Olimpijczykom nadawać ten wspaniały, posągowy spokój dusz niepragnących niczego, o coby w trosce walczyć musiały, dusz wewnętrznie silnych, wzniosłych i harmonijnych; to czyż byłoby trudniéj artyście, bądź co bądź chrześcijańskiemu nastroić się, chociażby w naszym stuleciu, na dyapazon ideału boskiego? Szkoda że Madonna polskiego artysty, tak ubogą jest w barwy duchowe, pomimo iż tak sympatycznie piękną ma twarzyczkę. Do słodyczy i prostoty téj twarzy czysto ziemskiej, potrzeba było tylko dolożyć gran boskości, a kreacya byłaby dobrze pomyślaną, forma wypełniałaby ideę. Uwydatnienie idealnego pierwiastku utrudnił sobie przytém artysta zupełném wykluczeniem tych środków kompozycyi, które podnoszą i charakteryzują bliżéj naturę pewnego przedmiotu. Madonna, jak już wspomnieliśmy, koniecznie musiała spłynąć ze mgły lub eteru, cóż naturalniejszego, ażeby szczątki téj mgły pozostały z lekka tu i owdzie rzucone na obrazie, jakoby echa obłoku, który służył Madonnie za rydwan? Czynniki ten fantastyczny spotęgowałby charakter kompozycyi i przemówiłby głośno za naturą jej nieziemskiej osnowy. Tak zaś jak jest, wszystko co tu widzimy przedstawia tylko materią i jej ciężkość, nic powiewnego, ulotnego, rozplývonego w obrazie, który przecież miał wyobrazić zjawisko będące wieczystą, tajemniczą antitezą materyi. Niechby sobie artysta przypomniał Madonnę Sykstyńską; ile w niej polotu: patrzące oko widzi, wyobraźnia czuje, że ta postać dopiero co spłynęła ze sfer niebieskich, i że tam jej domowy przybytek. Jak potężnie efekt téj myśli podnosi tu posłanie z obłoków pod nogami

Madonny rozpiętej! Wolno było wprawdzie Holbeinowi w jego „Darmstadtzkiej Madonnie” dojść do kresu pozornego realizmu przez pomieszczenie Dziewicy Niebieskiej w gronie filisterskiej rodziny Meyerów, bez wszelkich idealnych domieszek i emblematów, ale prosimy przyjrzyć się jój obliczu, ile się tam boskości zmieściło! Holbein nie potrzebował sztukować prawdy swych uczuć szczytami symboliki; w tym jednak wypadku, o którym mówimy, było to widać rzeczą konieczną. Streszczając uwagi nasze, musimy kompozycyi p. Jabłońskiego odmówić charakteru religijnego, ubolewać nad poziomym jego nastrojem i powierzchowną, czysto zewnętrzną, wszelkiej psychologicznej głębi pozbawioną intuicyą. Zalety pędzla nie mogą również podnieść miary wrażenia, które obraz obudza; brak bowiem pędzlowi p. J. tej samej subtelności, której nie posiada jego fantazyja twórcza: jest on wydatny i silny, ale ciężki i pozbawiony odcieni. O harmonijném zlianiu się barw nie ma tutaj mowy: najsilniejsze kontrasty szorstko nawzajem się zwalczają bez zapośredniczenia naturalnych przejść kolorystycznych. Biała suknia Madonny zdaje się osnutą nie z tkanki mgławej, ale z grubego płótna, w którym do twarzy naszym motodycom wiejskim, ale nie takiej Dziewicy, z innego świata. Wdzięk pewien i artystyczną wartość w dużym, efektowym i nie bez kokieteryi malowanym obrazie p. J., ma tylko to, co stanowi uzupełnienie jego osnowy: otoczenie skał i kwiatów, oplatających powabną nóżkę Madonny. Rzeczy te malowane są w dobrym guście, i stanowią stafaż godny lepszego dzieła.

O wiele wytrawniej malowany jest inny obraz tegoż artysty: „Święta głowa św. Katarzyny.“ Jakkolwiek kompozycyą takiej osnowy należy zawsze policzyć raczej do rzędu studyów patologiczno-anatomicznych, aniżeli do malarstwa religijnego, to jednak w tym razie tém chętniej podnosimy rzetelną wartość dzieła p. J., że objawił się w niém pierwiastek poważniejszy. Artysta miał pole istotnie trudne, chodziło mu bowiem o przedstawienie w twarzy św. Katarzyny, nie samej tylko prostracyi śmierci, ale i znamion przegastego życia w jego ostatniej fazie nim skonało. Fakt ten musiał zajść niedawno, przed godziną może. Głowa, trupiiej już bladeści, stoczyła się ze szafotu, na niższy tegoż stopień i spoczęła na niebieskiej tkaninie, którą szafot jest powleczone. Po nad nią blade rąbek aureoli: a wyżej na szafocie leży jeszcze miecz krwią broczący i palma męczeńska. Twarz świętej wspaniale regularna, nosi cechę majestatycznego spokoju na sobie, przez czarne włosy przewleka się sznur pereł. Wyraz oczów zaszklonych i zmartwiałych stanowi najmisterniejszy rys tego obrazu; śmierć przemawia z nich daleko wymowniej, niż w bladeści lica. Akcesorya malowane są z precyzją i prawdą. Obraz już ten z natury przedmiotu nie może nigdy obudzić sympatycznego echa we widzu; możnaby nawet posądzić zeń artystę o pewien chorobliwy nastrój fantazyi; pod względem jednak wykończenia technicznego i w ogóle uplastycznienia pomysłu, świadczy on o sumiennych studyach z natury i troskliwości. Z poglądu na obydwie religijne malowidła p. Jabłońskiego nietrudno wy-

ideę Bóstwa, a zatem duch w całym roztoczeniu swęj sily i szlachetności: ciało powinno kryć się wstydliwie po za nim, powinno być widocznie tylko formą jego chwilowego przejawu, narzędziem kruchém i wiotkiém, które pod tchnieniem woli ducha spadłoby zeń, jak mgła z ponad jeziora za piérwszym promieniem słońca. Tę myśl należy koniecznie wyrazić w ustosunkowaniu cech duchowych i fizycznych na wizerunku Chrystusa. Otóż u p. Proszkowskiego Chrystus jest potęgą fizyczną, z którą nie lada Goliat mógłby się zmierzyć: tém jałowszą i uboższą jest natomiast strona duchowa przedmiotu. Modelowanie głowy i całego biustu „Chrystusa“ jest wzorowém, nie ulega szczegółowym zarzutom, oprócz owego zarzutu ogólnego. Koloryt wydał nam się także wymownym i szlachetnym; co najważniejsze zaś, natura jego licuje dobrze z idealnem charakterem motywu. Tło błękitne oblewa jakąś tajemniczą poświatą cały obraz, a kilka wydatniejszych smug bladego światła podnosi energią niektórych rysów twarzy. Głowa nurza się w aureoli artystycznie ustopniowanej szeregiem odcieni, coraz bledszych. W ogóle obraz ten zdradza pewien wyższy instykt natchnienia i pędzel, na dobrych wzorach zaprawiony, chociaż dotąd nie dojrzały.

P. Jan Gałuszkiewicz (z Paryża) jest wzorowym i sumiennym kopistą. Jego na wystawę przysłane kopje „Wniebowzięcie Matki Boskiej“ Murilla, „Zaślubin św. Katarzyny“ Coreggia i „Głowy św. Katarzyny“ Coracciego, dochowują wiernie styl i ducha kolorytu każdego z mistrzów. Kopje te acz nie są oryginalném dziełem sztuki polskiej, przynoszą jej zaszczyt, świadcząc, iż w p. Gałuszkiewiczzu posiadamy reproduktora dzieł klasycznych, poważnie i wytrawnie pojmującego swą rolę artystyczną.

Przechodzę do malarstwa historyczno-rodzajowego.

Floryan Cynk (z Krakowa) nadesłał obraz dużych rozmiarów: „Długosz nauczający synów Kazimierza Jagiellończyka.“ Obraz ten nasunął nam pewne myśli, z których wypowiedać nam się wypada. Historia kraju naszego jest nawskroś rycerską. Ustrój Rzeczypospolitej każdego szlachcica powoływał pod broń w razie napadu z zewnątrz, i w chwili bojowego starcia, każdemu otwierał szranki bohatérskiego wyróżnienia się. Indywidualnością, doprowadzoną do granic przesady i politycznego błędu, kierowała się Rzeczpospolita nasza od początków XVI wieku; na niwie politycznej otwierała ona szerokie wrota samowoli i prywacie, stanowiła czynnik rozprzegający jednolitość rządu i spoistość władzy. Myśliciel polityczny nie może usprawiedliwić takiego rozczłonkowania całokształtu państwowego na atomy, bezsilne a wyuzdane i kapryśne. Taż sama indywidualność cechowała nasze dzieje bojowe, nasze przedsięwzięcia rycerskie. Nie mając przez czas tak długi wojsk regularnych i zlecając pospolitemu ruszeniu szlachty całą obronę kraju przeciw tylu ościennym wrogom, Rzeczpospolita stała bohatérstwem jednostek a nie strategią wodzów i systemem militarnym, prawidłowo urządzonym.

Taki ustrój rzeczy, zarówno w politycznym jak wojskowym porządku, cobykolwiek przeciw niemu powiedzieć należało ze stanowiska teorii państwa i wojny, nadawał dziejowemu życiu Polski, barwności ruchu i bohaterskiego wdzięku. Są to pierwiastki, mające artystycznej fantazji dostarczyć niespożytego wątku do wydobycia motywów czerstwych, silnych, ożywionych i głęboko wzruszających. Przeglądając karty historii naszej, co krok spotykamy wielkie ofiary, wielkie porywy i wielkie warcholstwa. A wszędzie tkwi tam silny pierwiastek dramatyczny. Dotąd, ilekrotnie poczują słowa czy pędzla dotykamy naszej historii, umieliśmy z niej wydobywać efekta tylko liryczne; sfera samychże czynów, nie komentowanych uczuciem, ale przedstawionych w całej sile i nagości plastycznej, oczekuje dotąd na swych rapsodystów epickich i malarzy prawdziwie historycznych. W tej ostatniej dziedzinie dopiero Matejko, Henryk Rodakowski we „Wojnie kockoszej“ i skromniejszy od nich Walery Eliaszczyk poczęli wypowiadać faktyczną, bohaterską ośnowę naszej historii obrazami o bogatej treści, przedstawiającami pewne wybitniejsze momenta dziejowe, w których streszczał się duch i charakter dziejów rodzimych.

Pragnęlibyśmy rozwinięcia się naszego malarstwa historycznego w tym kierunku. Dotąd jest ono bowiem raczej ornamentyką dziejową aniżeli malowaniem dziejopisarstwem. Nieskończoną mnogość wrzekomo historycznych motywów malarzom naszym dostarcza zewnętrzna, czysto, rzekłbym, dekoracyjna treść historii; od wielkich przedmiotów, silnych i poważnych ośnową, malarstwo nasze gorliwie stroni, skazując się samowiednie na jałowość i ubóstwo twórczej myśli: natomiast efekta dekoracyjne lub ciche sceny rodzajowo-liryczne, oto pole dotąd prawie wyłączne tego malarstwa. Naturalnie, iż takie motywy, w pomysłach, kompozycjach i wykonaniu o wiele mniej przedstawiają trudności do pokonania, ale też mniej pożytku przynoszą sztuce i utrzymują powszechny nastrój tejsze na wcale niskim pod względem idei poziomie.

Obraz Cynka jest ilustracją poglądu, który co dopiero wyraziliśmy. Nie szukać w nim szerszego obrazu dziejowego, pochwycenia jakiejś idei historycznej w jej chwilowym przejawie; jest to spokojna, pretensjonalna scena z przeszłości, przedstawiająca ks. kanonika krakowskiego w gronie królewiąt polskich, z pomiędzy których później aż trzech zasiadło na tronie. W poważnej, uczonym że tak powiem, półmrokiem powleczonej komnacie, pośród ksiąg i globów, w wysokim krześle usiadł sędziwy mistrz historii, a zewsząd otoczyła go młodociana drużyna pacholąt królewskich. Jeden z nich oparł się o krzesło nauczyciela i śledzi najpilniej, zdaje się, biegu opowiadania; które, Długosz wysnuwa z mądrej księgi, trzymanej w ręku. Trzech innych usiadło królewiczów przed nim, a dwoje najmłodszych bawi się w głębi sali, u lewych ram obrazu. Postać mistrza cechuje się łagodną powagą i tym spokojnym ukojeniem wewnętrznym, które człowiekowi nadaje mądrość, przenikającą istotę wszech rzeczy. Twarz pięknie i cha-

rakterystycznie wymodelowana, włos poważną linią sływa na ramiona. Postać więc Długosza powiodła się artyście: trudnoby ją przedstawić sobie inaczej. Natomiast inne figury nie dorastają do miary wyższego artysty prawdziwej twórczości kompozytorskiej. Są to postacie mniej więcej naturalne i swobodne, ale w pojęciu ich nie widnieje samoistność artystycznego poglądu: urobione są według pewnego, dosyć już spospolitowanego modelu, który nie zdradza znamion subtelniejszej charakterystyki. Ani pod względem technicznego wykonania, powabne te zresztą figurki chłopięce, nie wydobywają się po nad poziom szablonu: pędzlowi p. Cynka brakuje lekkiego dotknięcia, delikatnego poczucia formy i kolorystycznych półtonów. Jedną z postaci tu występujących obudza żywsze i sympatyczne zajęcie, jest to ów w białej, szarym barankiem podbitej sukmance, św. Kazimierz, który uwiadł w kwiecie wieku, wycieńczony ascezą. Na bladej, zamorzonej twarzyczce jego widzisz ślad nocy przeczuwanych na modlitwie i ekstazy widzeniach. Mało on zdaje się zwracać uwagi na mądrość światową, którą wykłada z pergaminowej księgi Długosz: wewnętrznym polem duszy wznosił się gdzieś w tej chwili w empireum zachwytów niebieskich i marzy o męczeństwach a blaskach seraficznych. Za pomysł trywialny i nie smaczny uważamy włożenie mu na głowę wianka z róż białych; ta białość kwiatów ma zapewne symbolizować czystą duszę świętego chłopięcia, a może jest ona już *a priori* włożoną mu przez artystę aureolą świętości. Takie przedwczesne ukanonizowanie św. Kazimierza, wyprzedzające Watykan i bullę papieżką, artystycznie rzecz biorąc, jest pomysłem płaskim, nie świadczącym o głębszym zrozumieniu natury poważnego malarstwa historycznego; podobnie też i ubranie przyszłego kardynała Fryderyka w purpurowe szaty i kardynalski kapelus, na obrazie nie sprawia pożądanego wrażenia a kompozycji odbiera właściwy nastrój. Streszczając nasz sąd o tym najnowszym obrazie utalentowanego artysty krakowskiego, szczegółom tylko możemy oddać pochwały, całości brak polotu i zajmującej treści psychicznej, akcesorya zaś i koloryt mają właściwy, epoce odpowiedni charakter.

Kazimierz Mirecki, malarz płodny i wielostronny, ale często chrobliwą zdradzający fantazyą, wystawił obraz historyczny wielkich rozmiarów: „Wprowadzenie muzyki włoskiej do Polski przez królową Bonę.“ W dużej, powietrznej, oświeconej czerstwym promieniem słońca sali zgromadził się cały dwór Zygmunta I z monarszą parą na czele, aby przysłuchiwać się nowym dźwiękom, aż z Italii zaklętym przez piękną księżniczkę włoską, na tronie naszym osiadła. W środku samym obrazu piękny, smagły, ognisty w spojrzeniu Włoch trąca o melancholijne struny gitary; król Zygmunt siedzący na tronie (może niepotrzebną była aż taka parada!) z żywym zajęciem śledzi biegu akordów, miękką ręką Włocha wydobywanych; królowa Bona, w żółtej ciężkiej sukni utonęła w jakiejś mgławiej zadumie: może tony te włoskie przeniosły ją myślą w daleki kraj ojczysty. Poniżej na sto-

pniał tronu usiadły i przytuliły się do siebie dzieci królewskie; w chłopczyku niepodobna jednak rozpoznać tradycyjnie znanych rysów Zygmunta Augusta. Co było świetniejszego stanowiskiem i urodą na dworze krakowskim, zebrało się teraz w sali; na pierwszym planie usiadły damy, z pomiędzy których piękna Włoszka o kruczych warkoczach najwięcej estetycznego obudza zajęcia, a w układzie swym najwięcej zdradza swobody i taktu pędzla. Grupa ta odwróconą jest bokiem od widza; natomiast wprost przed nim rozwija się bogata i strojna grupa przeciwna, w głębi obrazu rozłożona, z nuncyuszem papieżkim i orszakiem dostojnych dworzan a przodującą mu damą w koronkach i białych atłasach, trochę w tył przechyloną ku kardynałowi, z którym zdaje się prowadzić rozmowę. Po prawej na pierwszym planie usiadł w wysokim fotelu, w stroju cudzoziemskim jakiś sędziwy magnat; trudno rozpoznać, Włoch to, czy Polak, i zamyśliwszy się a czoło w posępne bruzdy przyoblekłszy, słucha z ciałem ku gitarzyście podaném, jego gry nowój dla siebie lub dawno niesłyszanój; o poręcz krzesła jego oparł się mężczyzna w dojrzałej pełni męskiego wieku, o twarzy ciemnej, czarnym, krótkim zarostem otoczonój, z którego oczów bije jakiś blask ponury, demoniczny. Jest to w całym obrazie najwybitniejsza psychiczna postać. Poza nim wije się jeszcze grono dworzan i pazik, trącający ukradkiem o struny gitary, położonój na krześle. Całość zamyka piękny pejzaż parku, wyzierający z poza wielkiego, śmiałym i wydatnym łukiem arkady uwieńczonego portalu.

Treść obrazu, jak widzimy, bogato wyposażona, ale nie wiele dająca artyście pola do zagłębienia motywu. W każdym razie jest to tylko wielobarwna scena teatralna, w której górować musi pierwiastek spokoju i kontemplacyi po nad ruchem, wyposażonym jakąś dramatycznością, lub uszlachetnionym psychologiczną ideą. Od obrazu takiego wymagać można tylko porządku i logiki w układzie, wdzięku i smaku kompozycyi, harmonijnego zlania się pojedynczych epizodów w jednolitą całość, a pojedynczych efektów kolorystycznych w pewien zasadniczy ton kolorytu. Przedewszystkiem zaś wymaga się i to już despotycznie, poprawności rysunku. Wymaganiom tym, bogaty i wielki w rozmiarach obraz p. Mireckiego nie podołał. Artysta ten, który z niezaprzeczoną wdzięką umie odtwarzać sceny o nastroju lirycznym, nie wymagające zawikłanych kombinacyi w układzie, nie zdołał odszukać w tym chaosie nasuwających się form i grup charakterystycznych, pewnych ognisk, zarówno formalnych jak psychicznych, na którychby oko widza naprzód padało, i które stanowiłyby jedność w mnogości, zestrój w rozproszeniu. Potrzeba na to niewątpliwie dużo zręczności, dużo zynystu syntetycznego i wielkiej rutyny kompozytorskiej. Na obrazie pana Mireckiego widzimy więc chaos pierwiastków składowych, pragnących a niezdolnych ułożyć się w porządną zarys linii; mało tu która z figur zna prawo swojego bytu, mało która wie, dlaczego jest zdrobniąką lub wielką, wysuniętą naprzód albo cofniętą w tył, żywym blaskiem barw z tła wydobytą, albo płowo-szarym catu-

nem w nie wtłoczoną. A przytém figury te w znacznej części źle są rysowane; artysta, czemu się bardzo dziwimy, nie umie posadzić osoby na krześle: ztąd postacie jego zdają się przyklejonymi do foteli manekinami. Błąd ten zdradza brak głębszych studyów anatomicznych i nikłe poczucie natury, połączone z powierzchowném traktowaniem perspektywy. Obraz ten jednakże, pomimo zaniedbania w mnogich szczegółach, pomimo wadliwego rysunku i małego zasobu żywiołu psychicznego, posiada zalety zasługujące na uznanie. Prawa część obrazu w ogóle daleko lepiej malowaną jest od lewej. Postacie starca w krześle i mężczyzny poza nim stojącego wymodelowane są starannie i tłumaczą się pewnym ciepłym wyrazem duszy, a szczególnie ów demoniczny Włoch, któremu włoska muzyka obudza w duszy jakieś posępne, gniotące wspomnienia i wydobywa z niej dawno przytłumione uczucia nienawiści, zamierzonej a może i dokonanej zemsty. We wzroku jego płonie jedna z tych posępnych i krwawych pochodni ducha, które w czynie gaszą się wielką zbrodnią albo wielką ofiarą. Z tego cośmy tu powiedzieli, gdy zwrócimy jeszcze uwagę na gustownie pojęty i subtelnie koloryzowany krajobraz, wypadnie, iż panu Mireckiemu nie brakuje talentu, ale gruntowniejszych studyów i wyżej wzbijającego się natchnienia. Pierwsze otwarte są dla każdego człowieka dobrej woli, drugie uszlachetnia się i podnosi dłuższém przebywaniem w atmosferze donioślejszych idei, wsłuchiowaniem się w tajemniczą mowę duszy ludzkiej i kształceniem smaku na arcydziełach poezji i sztuki we wszystkich jój formach i przejawach.

Wystawa tegoroczna zapoznała nas z jedném z wybitniejszych malowideł polskich, które chociaż nie uderzające pomysłem, niemniej policzonóm być powinno do utworów niespożytej wartości. Mówię o obrazie historyczno-rodzajowym Bolesława Łaszczyńskiego z Monachium „Tajna wiadomość,” do którego osnowę dostarczyła znana opowieść z czasów konfederacji barskiej o kozaku, któremu na wygolonej łąsinie wypisano wiadomość o terminie wybuchu wojny konfederackiej; gdy zaś mu czupryna odrosła wyprawiono go z tą awanturniczą depeszą na miejsce przeznaczenia. Tam zgolono znowu głowę kozaka i odczytano sztafetę. Tę to ostatnią chwilę odtworzył artysta. W Łaszczyńskim sztuka polska zyskuje adepta niepospolitą a odrębną wartość; jest to bowiem faktem, że z całej plejady młodszych malarzy naszych, daleko większa część hołduje teorii, przeciw której my przynajmniej, mielibyśmy wiele zastrzeżeń do uczynienia. Powłóczysta brawura powinna zastąpić według nich subtelność pędzla; całą wagę kładzie tu się zwyczajnie na zarys głównych linii, na kontur powieczony kilku wydatnemi smugami jednolitej barwy, usuwając, niby dla nierozpraszania całości w szczegółach, wszystko co nazywamy wykończeniem, precyzją, dokładnością rysów i kolorytu. Najbardziej utalentowanym, ale też najbardziej ugrzęzłym w taką manierę jest Józef Chełmoński z Paryża, którego obraz: „Lekka kawalerya” najwymowniejszą stanowi ilustracją faktu zauważanego. Jest to malowanie wielkimi rzuta-

mi pędzla, w których zaciera się charakterystyczność pojedynczych linii, gubi znaczenie szczegółu a wydobywa mdła monotonia wielkich obszarów, jednym zapuszczonych kolorytym, albo kontur kształtów zaledwie z lekka naznaczonych. Artysta więcej tu każe pracować wyobraźni widza, aniżeli fantazyi własnej. Cóż w jego szerokiem płótnie, w obec ubóstwa pomysłu, może nas zająć? Czyli ten długi smug jednobarwniej zieleni, nacętkowany jakąś apokaliptyczną florą, której w rzeczywistości przyrodzie nie tak łatwo przyszłoby się doszukać? Czy tych trzech jeźdźców śpieszących przez łąkę z drogi na ukos ku lasowi, który zarysowyywa się w głębi? Na obrazie nic więcej nie ma, oprócz zieleni, rażącej cczą monotonią i trzech jeźdźców na tyłuż, zbyt hazardownie, a przeto źle odmalowanych koniach? Gdyby to wszystko malowane było z precyzją wchodzącą w szczegóły, a nie z ową „genialną“ zamaszystością, która dąży do „powszechnego uogólnienia“, że tu filozoficznego użyję zwrotu, to nawet i ta, pierwotną prostotą pomysłu nacechowana kompozycya mogłaby grać pojedynczych kształtów, troskliwie wymodelowanych, grać przejść kolorystycznych, zająć. Tak zaś, jak jest, owłada nami uczucie jakiejś bezbrzeżnej czczości, uczucie, które budzi się za pierwszym wejrzeniem na ocean Sahary. Otóż nie tą drogą idzie p. Bolesław Łaszczynski, i ztąd obraz jego: „Tajna wiadomość“, pomimo, iż nie ma w nim osnowy, samiej przez się dramatycznością lub poetycznym nastrojem, przykuwa do siebie na długo uwagę widza i sprawia mu rozkosz prawdziwie artystyczną. Jest to malowanie, które umie zachować umiejętną harmonią pomiędzy częścią a ogółem, znaczeniem formy i znaczeniem idei. Każda z postaci tu wprowadzonych i ten poważny, myślący magnat, który oczekuje na odkrycie dopeszy, i ten mnich karmelita przecierający już okulary, aby ją odczytać, i ten podstarośći podtrzymujący drzwi komnaty, żeby nie wszedł do niej nikt obcy i nie przerwał tajemniczego posiedzenia, i sekretarz, co wyziera z poza stolika, rychłoli operacya balwierska się ukończy, i sam nareszcie, zrezygnowany kozak, na którym odbywa się *experimentum in anima vili*, wszyscy oni żyją głośno, energicznie i wymownie; ani śladu w nich szablonu, każdy jest zarazem typem czasu i charakterem indywidualnym. Pędzel, który ten szereg wybornych kreacyi typowych przelał na płótno, ciepły jest i serdeczny, a umie patrzeć w życie. Ani cienia przymusu: wszędzie prostota i swoboda; wszędzie świeżość linii i czerstwość kolorytu. A grupę całą podnosi tło, wychuchane z bezprzykładną precyzją i wyposażone bogactwem powabnej, urozmaiconój a harmonijnój ornamentyki. Tu każdy szczegółik, niby dłutem Benvenuto Cellini wyrzeźbiony w kształt wykwintny, misterny, pełen wdzięku, i rzeklibyśmy, pedantyzm pędzla, gdyby ten pedantyzm nie był najchlubniejszym pierwiastkiem zdolności artystycznej tego malarza. Draperye, dywany, obicia, meble, boizerye, brzozy, wszystko to odmalowane ręką dziwnie subtelną i estetycznie dojrzałą. Ztąd całość nosi piętno arystokratycznego wykwintu, technicznej doskonałości, imaginacyi, dla której idee i atomy żyją pełnią kształtów

i kolorów. W zakresie tej artystycznej misterności pędzla dorównywa panu Łaszczyńskiemu tylko pan Leopold Loefler z Wiednia, którego: „Mały psotnik,“ powabna scenka salonowa, zdradza tenże sam smak wybredny i też samą gracyą pędzla. Jest to osobna poezya, która nic nie ma wspólnego ze sferą uczuć, prawdziwa poezya pięknej formy. Ton kolorytu ślizgający się w prześlicznych półcieniach buduaru, układ grupy złożonej tylko z filuternego chłopczyka i z białej, najeżonej papużki na berle, którą swawolny panicz drażni, oddycha taką swobodą i wdziękami, iż na widok tego artystycznego pieścica uczuwa się całą potęgę prostoty.

Co innego jest liryzm pędzla. Spójrzmy na duży obraz Antoniego Kozakiewicza z Monachium: „Opuszczona“. Jakieś piękne, smagłe dziewczę, o czarnych jak heban, pierścieniach włosów, po stracie rodziców albo kochanka, tuła się po świetle, jak wiatr po jesiennym polu, z węzełkami na plecach i garstką kwiatów w dłoni, jakby na przekór nędzy, która nie zna uśmiechu nawet zieleni polnej. Z tej wiązanki polnego kwiecia odczuwasz, że to dziewczę ma w sobie pierwiastek marzycielski, że ją z marzeń straszliwie zbudzono. Błakając się przez dzień cały, bez przytułku i pociechy, oto usiadło teraz u węgła kościołka wiejskiego i twarz na twardej dłoni oparłszy, дума o rozkoszach śmierci... Po górnym rzędzie głazów stanowiących ścianę kościoła, ślizga się krwawa łuna zachodzącego słońca, dziewczyna sama usiadła już w beznadziejnym zmroku. Obraz ten nie mógł i nie powinien być ubrać się w ową misternie wydzierganą koronkę drobnych i efektowych szczegółików dekoracyjnych, które tak wybornie licują z charakterem obrazów Loeflera i Łaszczyńskiego. Duch kompozycji p. Kozakiewicza zupełnie jest innym, zrozumiał to artysta, i w obrazie żywym unikał rozprószania wrażeń na drobiazgi a skupił je, jakoby w optycznej soczewce, w idei obrazu. w uczuciowym jęj żywiole. To też malowidło p. Kozakiewicza, jakkolwiek ma rysunkowe usterki, nie razi niemi: widz oblicza się najprzód z ekspresją psychologiczną obrazu, a potem, i to dużo potem dopiero, z technicznym jego przyborem. Takie obrazy można malować pędzlem grubszym, syntetycznym, w kilku wielkich rysach streszczających całe gromady kształtów nierozwiniętych, zaledwie w pączku ugrzęzłych. Tu musi przeważać żywioł psychiczny, nawet zaniedbanie formy, utraciłoby tu swą kary godną poczytalność. Podobny nastrój liryczny nosi obszerna kompozycja pana L. Benedyktowicza z Krakowa: „Nad mogiłą.“ Jestto grupa osób zgromadzonych w cichym ustroniu leśnym u krzyża brzoźowego nad mogiłą z darni, w której spoczywa młodzieniec, zapewne co poległ w jakim boju. Może się mylimy co do intencji malarza, ale charakter obrazu pozwala przypuszczać, iż osoba która w mogile spoczęła, nie umarła cicho i dobrowolnie. Grupa złożona ze sędziwego starca, kłęczącego nad grobem, jak szary posąg, z jasnowłosej, w czarną suknię ubraniej kobiety, może żony poległego, z dwojga dzieci bezwiednie trwogę w sercu uczuwających w obec uroczystego spoko-

ju mogiły, ich opiekunki również w żałobie, zapewne siostry zmarłego, mężczyzny w guni i karbowego w szarj sukmanie. Wszystko to otoczyło mogiłę panicza, który tak prędko zerwał bohaterską pieśń życia. Postacie te, ugrupowane z pewną niezręcznością, gdyż pomieszczone na jednej prawie, zbyt długiej i monotonnej linii, mają dużo wyrazu i uczucia; a malowane są naturalnie, z głębokim poczuciem prawdy i z mętnym powabem pędzla. Charakter pejzażu poźółtkiego podnosi usposobienie całości.

Rozwiedliśmy się obszerniej nad obu tymi obrazami „rodzaju lirycznego,“ nie bez przyczyny. Pogląd na nie doprowadza nas do pewnej konkluzji! Czy w dziedzinie motywów artystycznych nie moglibyśmy wyszukać sobie pewnego odrębnego rodzaju, którego uprawa nie nastęrczałaby nam niepokonanych trudności a przedstawiała widoki powodzenia na widowni powszechnej sztuki? Czy do europejskiego salonu artystycznego nie moglibyśmy wnieść jakiegoś żywiołu, który byłby wybitnie naszym, odrębnym, rodzimie polskim, i który mógłby z czasem urość do wysokości znamienia polskiej szkoły malarzkiej? może uda nam się to w dziedzinie pejzażu? Oto wiszą obok siebie na ścianach wystawy „Przystań w Sorrento“ Łaszczyńskiego i „Cerkiewka w Kruszelnicy“ Henryka Grabińskiego? Co może się podobać snadniej europejskiemu ogółowi? Czy ten czarodziejski świat błękitu, ta wysniona w ekstazie poety fantasmagorya kształtów i barw, uśmiechniętych wieczyście; czy też nasza uboga grupa świerków poważnie szumiących gawędą starych czasów, albo płacząca brzoza, która nad potokiem deszczowym samotne łzy roni, w naiwnej prostocie i cichym swym rzewnym spokoju? Czujemy, iż dla nas ten świerk uroczysty i ta brzoza melancholijna i to niebo ołowiane w „Pochmurnym dniu“ Grabińskiego, daleko więcej mają powabu, bo wiążą nas do siebie pasmem uczuć serdecznych; ale dla cudzoziemców, cóż ich obchodzić może melancholia polskiego pejzaża! Powiedzą że to nudne i monotonne.. A „rodzaj“ (*genre*) polski, czyż ma on przyszłość w gronie europejskich szkół malarzskich? Sądzimy, że także nie. Łoże nasze go życia bardzo ścienione; formy jego są bardzo ograniczone: nie mają tej bujnej rozmaitości rysów, które mogłyby układać się w tysiączne kombinacje nęcące zawsze świeżym, zawsze oryginalnym, zawsze swobodnym pomysłem. Życie nasze było i jest o wiele jednostajniejsze i pod względem żywiołu charakterystycznego uboższem od ruchliwego życia ludów romańskich, wschodnich a nawet germańskich. Czyż nie może więc pędzel nasz światu nic dać takiego, coby go wyróżniło stylem od szkół innych narodów i utrwaliło typ sztuki polskiej? Sądzimy, iż możnaby dokonać tego drogą „rodzaju lirycznego,“ jaki widzimy na obrazach co dopiero wspomnianych, albo w dziwnie rzewnej i ujmującej prawdą kompozycji Witolda Proszkowskiego: „Kiedy ranne wstają zorze.“ Jesteśmy plemieniem smutném i zbolatém, liryzm, to właściwy ogółowi naszemu nastrój duchowy; na tle tego stanu psychicznego społeczeństwa możnaby snować szereg motywów, psychologicznie ciekawych, głęboko uczuciowych, o struny powszechno ludzkiej natury

silnie trącających. Takie malarstwo szłoby nam z duszy, cechowałoby się prawdą, owym najżywotniejszym pierwiastkiem sztuki, mając po sobie siłę prawdy; pędzel nasz stałby się wymownym, wyrobiłby sobie wszystkie przymioty artystycznego udoskonalenia i zjednałby dla dzieł swych poważanie i zajęcie świata europejskiego. Może ta myśl nasza, gdyby poważniejsze pióra rozprowadziły ją szerzej i poparły szeregiem rozumowań, na które nam w tej chwili miejsca i czasu niestaje, mogła stać się w przyszłości płodną i użyteczną dla rozwoju malarstwa krajowego.

W przeglądzie naszym tegorocznej wystawy lwowskiej stanęliśmy obecnie w obec działu czysto rodzajowego i pejzażu. Dział ten z istoty swój bywa zawsze najobfitszym, ale też obok utworów rzetelnych, prawdziwie artystycznej ceny, najwięcej bywa w nim rzeczy tuzinkowych, pospolitych miernot, nie wrastających pod miarę, która zasługiwałaby na uwzględnienie w piśmie, przeznaczonem ku podnoszeniu górujących tylko i trwalszych faktów z pola działalności ludzkiej. Pragnąłem w Bibliotece podnieść tylko takie dzieła, które bądźto osnową swą, bądź charakterem wykonania mogły nam podać sposobność wypowiedzenia uwag, nieco ogólniejszych, poglądów nieco szerszych na pracę pędzla polskiego. Z tego stanowiska, zdawało mi się, należy traktować rzecz tę w piśmie, którego właściwem zadaniem jest wydobywać ostatecznie konkluzje z faktów notowanych przez prasę codzienną lub tygodniową i przekazywać takowe pamięci trwalszej od współczesnego pokolenia. Pragnąc taki charakter nadać mojemu sprawozdaniu, musiałem pominąć z konieczności utwory takie, które, jakkolwiek celujące nawet mistrzostwem wykonania, zbyt są z natury swój indywidualne, iżby malarstwu krajowemu nadać mogły jaki wybitny, odrębny charakter szkoły. W ten sposób wyrzekłem się przeglądu obfitej galerii portretów, która na tegorocznej wystawie stanowi prawdziwą jej chlubę, mieszcząc w sobie znakomite utwory Matejki, Henryka Rodakowskiego, Wilhelma Leopolskiego, Ajdukiewicza, Daniela Buthera, portrety pastelowe Tytusa Maleszewskiego, subtelne akwarele Franciszka Tepy. Musiałem także pominąć rzeźbę dla wskazanego powyżej powodu: jakkolwiek bowiem w naszym salonie tegorocznym spotykamy się z kilkunastu już niepoślednimi dziełami dłuta, Marcellego Gujskiego, Tadeusza Barączka, Teodora Rygiera, jakoteż kilku próbami talentów młodych, to jednakże, bądź co bądź, są to dopiero pierwsze zawiązki rzeźbiarstwa naszego i z przeglądu pojedynczych utworów nie dałaby się dziś jeszcze wysnuć żadna myśl syntetyczna o stylu polskiego dłuta.

PODOLE.

PRZEZ

A. Krauzęgo (Podolanina).

III.

Ług Zhorowy.—Grobła Świdrygiełty.—Typ dawny.—80 letni starzec —Gubernator Iliniec.—Jak się obronił w czasie koliszczyzny.—Sewerynowka.—Czarniatyn.—Stodulce.—Benedykt Hulewicz.—Jego córki chore.—Wieś Łuka.—Starzec Seweryna.—Bracia Zaliwscy.—Nowy Konstantynów.—Powiat Mohylowski, Bar, jego zamek.—Szkoła.—Kościoły.—Loch grobowy.—Jałtuszków.—Wierzchowka.—Matka Słowackiego.—P. Bekin Sulatycki.—Pierwszy płodozmian.—Szarogród.—Mohylów.—Gościna baszy w Mohilowie, uciekającego przed stryczkiem.—Mytko Wereszczatyński.

Z Lityna przejechawszy ogromną wieś Bahrynówce ze spustoszałą cukrownią, widać długą moczarską dolinę, podlewaną wciąż wodami Zharu. Rośnie tu wielka szerokolistna trawa, ostra w dotknięciu, zwana osoką; pokąd młoda, zdatna na pokarm, później staje się twardą i nic jej nie jé. Na tej dolinie mnóstwo kępin, tu się gnieźdzą bekasy i odbywają się częste polowania. W połowie doliny jest duży nasyp, zwą go groblą Świdrygiełty. Tradycya chodzi, że ksiązę Świdrygiełto usypał go odgraniczając Litwę od Polski. Ztąd przebywszy kilka jarów i grobel dostaniem się do Winnikowiec własności Stępowskich. Ojciec terażniejszych właścicieli, starzec 80 letni, był to typ żywy przeszłości. Zachował obyczaje i powierzchowność dawnych czasów. Dawny żołnierz, bo służył jeszcze na kresach i pamiętał Mohorta, miał w postawie energią i grozę żołnierza gotowego na wszystko. Służył z Kościuszką, ale od pół wieku odpasał karabele, osiadł na grzędzie i myśliwską sprawą przypominał tylko sobie dawne zajęcia. Był to głośny w okolicy pogromca wilków. Miał sieci na kilka-wiorstwowe obrzucenie; gończe jakich mało u kogo, ludzi wielu wprawnych, broni dużo i doskonałej. Od 1 września dom winnikowiecki przemieniał się na obóz. Nie było już o niczem mowy, tylko w którą stronę obrócić łowy. Gdy wypolował swoje obszerne lasy i oczerety, jechał do sąsiedów i po kolei wszystkie knieje splądrował. Choć już mu ręce się trzęsły, strzelał celnie. W długich wycieczkach, nie mogąc chodzić jeździł na małym koniu. Całe dnie trawił za domem. W lasach jadał obiady, nigdzie tak smacznych nie spotykałem bigosów i miodów które sam warzył. Synów wprawił do myśliwstwa, broń Boże żeby który

źle strzelał. Lubił pieśni, nie zapomnę jak czystym głosem acz taki stary huknął nieraz: „Kto żubra z ostępu, wywiedzie za rogi.” A był to człowiek wysokiego wzrostu, nosił wąs zawieszisty. W ostatnich latach zapuścił brodę: tak go odmalowano. Na codzien ubierał się w czujkę z domowe sukna, długie buty; od święta w amarantowy żupan i kontusz perłowy, a miał szat kosztownych pełne skrzynie, bo po śmierci jego każdemu z synów a było ich sześciu dostało się po kilka kosztownych ubiorów i bogatych pasów. Karabele sadzone kamieniami, wisiały w jego pokoju. Zimowemi wieczorami grywał w maryasza, lubił słuchać muzyki, do której sam często przyspiewywał. Dzieci i żona kochali go i szanowali. Dobry był dla wszystkich, ale czuj duch gdy się zmarszczył. Trybem staropolskim władzę najwyższą silnie trzymał w rękę. Posiadał znaczny majątek. Wsie: Winnikowce, Czernelowce, Makarów, Huta, Stępów były jego własnością. W powiecie Uszyckim miał Subocz i Kułaczkowce. Ojciec jego za dawnych czasów posiadał znakomity stopień. Był dowódcą całej partyi ukraińskiej, pogranicze od Dniestru do Bohopola należało do zakresu jego władzy. Posiadał duży klucz Strużski, gdzie jego zwłoki spoczywają w grobie familijnym w marmurowej trumnie. Żonę miał z domu Ilnicką, która go o wiele lat przeżyła. Sam ją pamiętam mieszkającą na dożywociu w Czernelowcach. Stanisław, ojciec dzisiejszych posiadaczy Winnikowiec, ów starzec 80 letni opowiadał mi historye małżeństwa swego ojca.

W Ilnicach, dobrach ks. Czartoryskich, był gubernatorem stary szlachcic Ilnicki. W czasie koliszczyzny okolica tamta była w niebezpieczeństwie. Kto był mniej odważny i mógł, wynosił się w głąb kraju, bo bandy zbrojnej czerni mieczem i ogniem płądowały Ukrainę. Nie było nocy żeby który dwór nie spłonął; wiadome są morderstwa i sceny krwawe, katastrofa w Humaniu, gdzie tysiące szlachty, niewiast, dzieci i żydów, szukających tam schronienia padło pod nożem morderców; podczas tego straszego kataklizmu, Ilnicki w Ilnicach, leżących w środku prawie Ukrainy, zebrawszy kilkuset ludzi odważnych, stawiał czoło tej burzy. Znany był z odwagi i hartu. Sprawiedliwy dla ludu miał poważanie u podwładnych; nicby to nie pomogło śród takiego rozdrażnienia i poduszczania od rozjuszonych gromad, co się uzuchwality słabym oporem szczupłych sił, gdyby nie imponował gotowością do przyjęcia boju i nie dał kilku dowodów mężstwa i przewagi, broniąc napadniętych sąsiadów. Oddziały acz silne zbuntowanego chłopstwa, nie śmiały uderzyć na Ilnice, czekały złączenia się z wielkimi partyami. On miasto obstał wierną strażą, czuwał, nikogo podejrzanego nie puszcza na swe terytorium, oddział swój mustrował i z różnych stron pokazywał go, że zbuntowani myśleli iż ma dziesięć razy większą siłę niż ją miał. Tak przetrwał cały czas straszego powstania, nikt w dobrach Ilnickich nie zginął; większe siły pokonane przez wojska koronne przyspieszyły rozproszenie się tłuszczy i jedne prawie Ilnice wyszły cało. Po uspokojeniu kraju pojechał do Warszawy zdać sprawę ze stanu powie-

rzonych mu dóbr. Książęta właściciele, myśląc że Ilinieckie dobra padły w gruzy, z wielką radością przyjęli mężnego Ilnickiego, który im niespodzianą przyniósł wiadomość. Na uczczenie i podziękę sprosili wszystkie znakomitości stolicy, dali świetną ucztę na której był i sam król i tam Ilnicki na żądanie wszystkich musiał opowiadać co się działo, jak się bronił i wyszedł cało z powszechnej kłeski. Stał się bohaterem chwili. Prócz powszechnego uznania, nagród i honorów otrzymał prośbę o rękę córki od pułkownika Stępowskiego, który ją znał w Ilincach. Wszyscy byli radzi, wysoką partją dla ubożego gubernatora. Książę wziął tę sprawę do serca, Ilnicki miał to za zaszczyt, córka się zgodziła chętnie, bo kochała pułkownika i małżeństwo osypałe życzliwością powszechną i hojnemi darami przyszło do skutku.

Za Winnikowcami przejechawszy wieś Dubowe, gdzie była cukrownia, Hołowczyńce wielką wieś Adama Piegłowskiego, zaczynają się dobra niegdyś Seweryna Orłowskiego, dziś jego córek. Wielka wieś z kilku wsi przeniesionych, Sewerynowka miała piękny pałac, dziś zgorzały. Bogaty właściciel i gospodarz pierwszorzędny, który spadek po rodzicach w dziesięćnasób powiększył, ozdabiał pałac z wielkim smakiem i ogród wspaniały założył. Mikler go urządził. W pałacu miał posągi marmurowe i piękne grupy, znakomitych artystów dzieła. Miał jeden pokój ubrany pięknymi malowidłami na porcelanie, które wyjęte z ram, przemieniały się na talerze, któremi przy wystąpieniach zastawiał stoły. Z okien pałacu widać na górze, za długą wstęgą rzeki Rowu, niepospolite gmachy Czerniatyna, majątku Ignacego Witosławskiego oboźnica koronnego; dziś ten majątek na licytacji kupił Lwów. Pałac w Czerniatynie sztychowany wielokrotnie odznacza się kształtami niepospolitemi. Na dachu trzeciego piętra miał dziewięć wieżyc ciosowych. Dom z pięknymi frontami, opasany Miklerowskim ogrodem, pięknie i bogato urządzone wewnątrz, był jednym z najokazalszych na prowincyi. Sam Ignacy Witosłowski używał powszechnego szacunku. Należąc do najpierwszych towarzystw, często przemieszkował w stolicach. Gospodarstwo rozległe szło jak Bóg dał. W domu gościnny, miał wielu odwiedzających i warto było gościć w Czerniatynie. Mieszkanie urządzone po pańsku, na szerokich i ozdobnych korytarzach, mnóstwo osobnych pokoi, komfort wszędzie. Biblioteka znaczna, rozmowa z gospodarzem i żoną jego interesująca. Cukrownia z okien pałacu wyglądała jak drugi pałac. Od niejakiego czasu zapał do cukrownictwa stał się namiętym na Podolu. W Sewerynowce wzniosła się jedna cukrownia, czerniatyńska druga, o kilka wiorst w Dubowie trzecia, a pół mili w Noskowcach czwarta. Wszystkie te cukrownie, to jeszcze dawniejszej daty; później od 1872 roku, namiętność doszła do przesady. W dalszym ciągu wyliczę ile się założyło nowych, z jak wielkimi nakładami. Z Czerniatyna przejechawszy długą a wązką groblę na Rowie, wieś Tokarowkę, dostajemy się do Stodulec wsi niegdyś Teodora Mańkowskiego, od którego ją nabył Benedykt Hulewicz, niepospolita postać w wypadkach z końca XVIII

wieku. Ulubieniec Szczęsnego Potockiego, sekretarz konfederacji Targowickiej, literat, lew salonów warszawskich. Ożeniony ze śliczną kobietą z domu Jurkowską, która na salonach króla Stanisława Augusta należała do pierwszych gwiazd. Hulewicz pierwszą żonę młodą opuszcza na pewien czas, wysłany przez Potockiego do Warszawy. Spotyka się z Jurkowską, zachwyca się, szaleje, zrywa związek z pierwszą żoną, rozwodzi się i przygotowuje ofiarę swój niestałości o pomieszczenie zmysłów, po którym wkrótce umarła. Żeni się z Jurkowską i sprowadza ją na Podole. Przed upadkiem konfederacji Targowickiej, wiadomo jak świetniał Tulczyn. Mieszkał tam Szczęsny Potocki, magnat pierwszorzędny. Mieszkali przy nim rezydenci dworów zagranicznych, i jego dwór osobisty wyglądał na królewski. Tam Hulewicz wprowadził nową żonę. Trębecki, Bończa Dyzma Tomaszewski, generał Haczekiewicz i cała plejada owoczesnych okolicznościowych znakomitości hołdy jej składała. Jest dotąd portret jej u wnuków, malowany przez Bacciarellego. Przypomina portrety piękności owoczesnych, które się znajdują w Łazienkach. Benedykt Hulewicz średniego wzrostu, krępy, jasnych włosów, wpadających w czerwoność, nieco zszpecony od ospy, odznaczał się niepospolitą zdolnością. W prywatnym życiu był to człowiek poszukiwany, przełożył Owidyusza, pisał wiele poezji okolicznościowych, korespondował z znakomitemi osobami i uczonymi. Widziałem wiele jego rękopisów. W stosunku z włościanami uprzedził o wiele lat demokratyczne dzisiejsze usposobienie. Na chrzcinach i weselach ich bywał. Tańczył z dziewczuchami. Żona jego, której długi czas byłem sąsiadem, mówiła o nim z szacunkiem i żalem. Zostawił kilka córek, które także znałem. Nieszczęśliwe to były istoty, jakby fatum jakieś ciążyło nad tym domem, wszystkie trzy którem znał, dotknięte były strasznymi chorobami. Jedna miała pomieszanie zmysłów, druga konwulsje codzienne, trzecia najulubieńsza ojca, Sofronia, oprócz przerażającej powierzchowności chodzić nie mogła. Czarna, z kręcącymi się, ciągle zburzonymi włosami, ospą pocętkowana, słowa wymawiała z ciężkością, jakimś przerażająco chrzypliwym głosem; nie na tém koniec, tak ciągle drgała całym ciałem że nie można jej było na chwilę zostawić; służąca, duża kobieta musiała ciągle siedzieć na jej nogach. Matka tych córek, była przez kilkadziesiąt lat, jakby przełożoną nad szpitalem. Dom Stodulecki w istocie tym był. Samo wejście, już tęskno usposabiło. Dom duży, ciemny, pomalowany w postaci mitologiczne, ryby i ptaki, kilka wkoło podłużnych foteli, na których siedzą drgające jakieś postacie, służba cała kobięca, a tak liczna, że w każdym kącie widać było kogoś, bo potrzeba było pilnować chore. Po przejściu do osobnego pokoju, gospodyni uprzejma, oswojona z niemogącym się poprawić losem córek, przyjmującą była bardzo. Ciekawa z nią była rozmowa, znała wszystkie znakomitości swego czasu. Już stariej, bo dożyła prawie 80 lat, została dawna żywość, dar słowa a nawet powierzchowność miła. Biblioteka po Hulewiczu została znaczna, miałem prawo z niej korzystać. Pod

koniec życia pełno tu było księży. Rządzą jednak była do śmierci. Majątek utrzymał się w dobrym stanie. Za Stodulcami leży wieś Łuka Barska, w której urodziłem się. Miła to dla mnie tylu wspomnieniami i piękną i wielką wieś. Tu lat przeszło pięćdziesiąt mieszkał mój ojciec, urodzony w Gołkowie pod Warszawą, uczeń Nikuty znakomitego warszawskiego profesora. Był to człowiek ukształcony, całe życie zajęty literaturą i wychowaniem licznej rodziny. Znał wiele języków, bywał na wielkim świecie, w różnych stolicach; ale ożeniwszy się na Podolu, już się ztąd nie ruszył, troskliwie się nami zajmując. Miałbym wiele do napisania o nim, ale o ojcu jest to pisać jak o sobie; to tylko dodam, że lepszego, więcej kochającego, troskliwszego, chyba już nie ma na świecie.

Wspomnę jeszcze o jednym włościaninie z Łuki, którego postać żywo mi stoi przed oczami. Był to starzec 80 letni, nazywał się Seweryna, dziad mego szkolnego towarzysza i sługi Alfonsa, który był przy mnie lat przeszło trzydzieści. Starzec to był wielkiego wzrostu, włosy miał prawie czerwone, twarz białą, niezmarszczoną. Zajmował się pasieką. Pamiętam ile razy przyjechałem do dąbrowy, w której była pasieka, witał mnie miły starzec, wspominał dawne czasy, dawnych panów Łuki, Lubomirskiego właściciela Baru, którego widział jak z okna zamku rzucał ludziom złote pieniądze. Opowiadał jak był świadkiem sceny krwawej w Łuce, gdy należących do koliszczyzny ludzi, na grób rodzinny przyprowadzano i tu ich śmiercią karano. Zawsze dobrze się odzywał o dawnych panach, o dawnych czasach. Dożył blisko stu lat.

Kończąc o powiecie Lityńskim, wspomnę jeszcze o dwóch oryginałach. Byli to bracia Zaliwscy, mieli wieś Nowosilce nad Zharem. Jeden z nich miał imię Kilijan, drugiego imienia nie pamiętam. Kilijan to czysty don Kiszot. Wysoki pod sufit, chudy, z wzrokiem zagastym, włosy miał konopiane, zawsze rozstrzępione, ręce długie nadnaturalne, głowę pustą, ale jakiś popęd do jeżdżenia ciągle z domu do domu. Karmiono go wszędzie i bawiono się nim. Opowiadał rzeczy bez ładu i szyku, niby waryat. Kochał się ciągle w najpiękniejszych kobietach, które z niego żartowały, bo był śmieszny, głupi i ubogi; ale na igraszkę uśmiechały się do niego, co on brał za pewność że którą zechce, dostanie za żonę. Drugi jego brat był jurystą, brzydki jak orangutan, chrypliwy miał głos a wysoki i chudy, żem go się bał w młodości. Pamiętam jak bawił zgromadzonych w pewnym domu, śpiewając majufes żydowski. Krawiec co obok pracował, przyleciał zdziwiony, i mówił że to musi być żyd przebrany.

Jest jeszcze w Lityńskim miasto Konstantynów nowy, nad Bohem. Na oko wydaje się pokaźnie, ma duży kościół o dwóch wieżach murowanych, dwie cerkwie. Kilkaście domów murowanych z wystawami, ale wjechawszy doń widać że życia, handlu tu braknie. Domy opuszczone. Leży nad Bohem. Majątek ten od książąt Czartoryskich nabył Czesław Jaroszyński, dziś jest własnością Koczubeja. Lasy ma rozległe, gleba gliniasta.

Powiat Mohylowski od strony Lityńskiego, zaczyna stare miasto Bar; zwał się niegdyś Rowem, nad rzeką tegoż nazwiska położony, niegdyś handlowny, miał bogatych mieszkańców, zamek dotąd świecący kilku ścianami, założony przez Beauplana. Bielski o nim pisze: Tatarowie wtargnęli na Podole w roku 1452, i tam Stogniewa Reja starostę zamku z żoną pojмали, i wielu innych wzięli. Król Zygmunt nadał go Bonie, 1538. Na własny koszt zaciągawszy kilkuset żołnierzy, Bona wzniosła zamek i miasto z jej rozkazu Strzechowski opasał go basztami i wałami. Podług inwentarza było w zamku hakownic 56, półhakownic 1120, zbroi polerowanych 2, z hełmem 1, z przyłbicami 6, gołych przyłbic 56, przyłbic czapkami zielonymi obszytych 52, kaftanów zamaszowych 6, mieczów 11, prochu beczek 23, lepszego centnar, kul 4731. Zamek ten odparł Wołochów i wódz Pretwic starosta znaczną zadał im klęskę. „Za czasów Pretwica, wolna od Tatarów granica,” stała się przysłowieciem. Stanisław Żółkiewski stał tu obozem, z kąd pisząc do króla przewidywał klęskę, która nastąpiła pod Cecorą. W roku 1635 otrzymał Bar przywilej na składy win i miodów z zastrzeżeniem by nikt z innych miast nieważył się pod karą i utratą trunków jeździć po nie do Wołoch, ani innemi drogami do kraju prowadzić. W roku 1648, kozacy zdobywszy zamek, mnóstwo wycięli schronionych tu obywateli i żydów. Firlej, odzyskał Bar, ale w roku 1651 znowu go kozacy zdobyli. Później Rzeczpospolita nadała go Wyhowskiemu hetmanowi kozaków. Syn jego sprzedał Bar Lubomirskiemu. Turcy za króla Michała zajawszy Podole, znaczną tu osadzili załogę. Jan III go zdobył, nie na długo. Dnia 1 marca 1768 roku zawiązała się tu konfederacya. Marszałkiem jej był Michał Krasieński, a związku wojskowego Józef Pułaski pisarz koronny. W kolegium pojezuickim osiedli Bazylianie. Ksiądz Marek Karmelita założył klasztor, który dziś stoi w rozwalinach, niedaleko dawnych wałów opasujących miasto. Ponieważ ta konfederacya głośną była i pociągnęła za sobą ważne skutki i jej uczestnicy jak Kazimierz Pułaski, który zginął pod Sawanach w Ameryce, ks. Marek zostali postaciami historycznymi, opiewanemi przez poetów; przytoczę kilka pamiątek po ks. Marku, które znalazłem w archiwum Sławuty. Ksiądz Marek Karmelita 1759 roku był przełożonym w klasztorze w Horodyszczach pod Szepetówką. W 1768 r. znajdował się w Barze, jeden z najgorliwszych opiekunów konfederacyi, wielce poważany od drobnój szlachty i magnatów. Po upadku konfederacyi przeniósł się znowu do klasztoru Horodyskiego i tam umarł. List ks. Marka do Sanguszkowój marszałkowej wielkiej litewskiej 1759 r. z oryginału: „Jaśnie Oświecona Pani Dobrodziejko! Nieba całego i kościoła świętego zasługami otaczam cię! sam zaś biegnę do Polski, nawiedzić książąt umartwionych śmiercią JO. księżnej Miecznikowój Koronnój. Bywaj mi zdrowa. X. Marek, m. p. Biegnę z JW Oboźnicem Ożarówskim, 30 Marca.” Drugi list 17 sierpnia tegoż roku: „Nie mając czasu pisać, mówię, bądź zdrowa,

żyj długo Jaśnie Oświecona Pani Dobrodziejko moja. X. Marek z Anopolu.”

Bar był miastem rozleglejszém niż obecnie, miał następujące klasztory: Bazylikański, złożony z kilkunastu księży, sprowadzonych tu po kasacie Jezuitów; Dominikański, dziś obrócony na parafialny, zbudowany ze składek staraniem księdza Szadbeja; Franciszkański opasany wielkim murem, nie był jeszcze dokończony, ale miał już księży i w jedném skrzydle odprawiało się nabożeństwo. Wokoło był wielki ogród pełen drzew owocowych rzadkich gatunków; Karmelitański założony i zbudowany przez ks. Marka Karmelitę. Wielka środkowa nawa i osobne dwa długie pawilony; podobno nie był jeszcze zamieszkały; w późniejszym czasie został obrócony na stajnię dla wojska, nawa zaś na skład prowiantów. Był jeszcze w Barze kościół parafialny, który się spalił; prócz tego kilka cerkwi murowanych, które są dotąd.

U Bazylianów była szkoła liczna; professorami byli księża z uniwersytetu wileńskiego. Młodzież duchowna kosztem klasztorów była tam wysyłana i po otrzymaniu stopni uniwersyteckich zajmowała katedry w klasztornych szkołach. A było ich kilka na Podolu: w Barze, w Lubarze, w Humanu, Kaniowie. W Barze było wielu zdolnych ludzi: K. Manaczyński professor wymowy, Tymonowicz biegły matematyk, Prawosudowicz fizyk, Ignatowicz gramatyk, rektorem zaś był Rubanowicz, dawniej professor fizyki, powszechnie szanowany, opiekun i ojciec prawie szkoły. Szkoła miała nazwisko Sztad-Gimnazjalnej; uczniów nieważa przeszło tysiąca. Znajdując się w ognisku drobnej szlachty, wielu dała oświatę; przyjmowała i włościan, zachęcała do braterstwa i wielu z tej szkoły ludzi znałem co później byli arcy-potęźni i doszli do poważnych stanowisk. A była przystępna dla najuboższych: kto miał dwadzieścia złotych (trzy ruble) i mógł dać parę korcy zboża, miał mieszkanie i stół na kwartał; za prawo uczenia nie się nie płaciło. Nic nie mający posługiwał bogatszym, za to mieszkał i żywił się przy nich, chodząc do szkoły; znałem kilku takich, co potem zostali professorami lub doszli do znaczenia i majątku na inną drogę. Kto mógł po skończeniu szkoły barskiej jechał do licun krzemienieckiego lub do Wilna na uniwersytet. Ze wspomnień o Barze przypominam sobie, że będąc małym chłopcem pojechałem z matką do kościoła. W czasie nabożeństwa służący nasz dał mi znak abym wyszedł: posłuchałem. On wziął mnie na ręce i zaniósł do drzwi jakiegoś lochu, otworzył je, wniósł mnie wewnątrz. Szaro było, że mało co z początku mogłem rozeznąć, ale stopniami owidniało, że w końcu obaczyłem ludzi szeregiem stojących po pod murowaną ścianą. Myślałem że to żywi, ale towarzysz wywiódł mnie z błędu. Powiedział że to nieboszczycy pochowani w tym lochu cmentarnym. Jakoż przybliżył się do kilku, stukał o ich piersi. Z początku jak mi to powiedział zląkłem się, alem prędko przyszedł do siebie: przypatrywałem się temu orszakowi umarłych. Niektórzy byli w sukniach całych, najwięcej w kontuszach i pasach: niektórzy nadzy. Kilkadziesiąt trumien stało na podkładach,

jedną małą otworzył, leżała w niej dziewczeczka, widać tylko co umarła, z wianuszkami na głowie, w białej sukience. Taki mnie żal przejął na jej widok, że płakałem i służący mnie wyniósł. Długo ten salon podziemnego świata stał mi w myśli, służący żądał aby matce nie mówić gdzie mnie nosił, a na me pytanie dlaczego jedni byli ubrani a drudzy nadzy, odpowiedział że nie było trumien dla ubogich, więc u dawniej zmarłych wzięto, a nieboszczyków ustawiono pod murem. Dziwna jednak o ile sobie dziś przypominam, że ci ludzie nie byli w prochu rozsypani, że zaschli, bo sam widziałem jak kołatał o ich piersi i echo się odzywało; że wszyscy prawie mieli ciało i cały wyraz ludzki. Może tam między nimi był i Stefan Chmielecki, słynny pogromca Tatarów i obrońca Ukrainy. Był on wojewodą kijowskim, umarł 1630 r., pochowany w Barze. Sławny mówca Birkowski uczcił go pogrzebową mową. Chmielecki pobił Tatarów pod Białą cerkwią: dowodzili nimi Nuradyn i Kantymir. Straszny stał się nieprzyjaciółom kraju. W Tatarszczyźnie dzieci jego imieniem straszono.

Z Baru przejechawszy długą, pełną jam, od niepamiętnych czasów źle utrzymywaną groblę, na rzece Rowie, i gliniastą, zwaną Łysą górę, wjeżdża się między małe wioski (Okładne, Palijówka, Adamówka i t. d.) i przejechawszy Tereczki własność Władysława Radziejewskiego, całą dziś obróconą na plantacje cukrowych buraków, jedzie się jedną drogą do miasteczka Jultuskowa z wielką cukrownią, leżącego nad Ladawą, drugą zaś przez Seferówkę do Wierzchowki. Piękna to wieś, także nad Ladawą i w dobrych gruntach. Była własnością Michalskich. Jest tu miły ogródek zwany Julińki nad wodą, założony dla Julii córki Michalskich, żony Januszewskiego. Tu niegdyś poznałem panią Beku, matkę Juliusza Słowackiego. Była pierwój za Euzebiuszem Słowackim professorem uniwersytetu wileńskiego. Kobięta wykształcona, wielkiego serca, matka takiego poety była bardzo interesującą postacią. Przepędziliśmy cały wieczór w Julinkach. Panna Julia, jeszcze wówczas niezamężna należała do naszego towarzystwa. Miła to była osoba, pełna uroku i naturalności. Wkrótce poszła za Januszewskiego. Był to człowiek zdolny, szacowany powszechnie. Związek szczęśliwy wkrótce się zerwał straszną katastrofą. Straciła ukochanego męża nagle, w pełni sił i odtąd nie miała jaśniejszego dnia, do śmierci, która niebawem zabrała i ją, został tylko syn.

O milę od Wierzchowki zaczynają się rozległe dobra p. Kałacera Sulatyckiego, dziś syna jego Januarego: Sulatycki pierwszy na wielką skalę wprowadził płodozmian. Kilkadziesiąt lat, dochody całe wkładał w ulepszenie majątku. To też budowie w każdym folwarku, wzorowe. Grunta poprawione, wsie bogate wyglądają i w stronie gdzie niema śpilkowych drzew, on je ozdobił lasami świerków i modrzewi. Był to człowiek wielkiej energii, niegdyś żołnierz, gospodarstwo prowadził z akuracnością wojskową. Przy ogólnym zaniedbaniu lasów na Podolu, jego odróżniają się; okopane, czyste, zdaje się zieleńsze od innych. Śmierć jednego z synów Kleofasa, pełnego nadziei młodzieńca

zniósł ze stoicką cierpliwością. Starzec 80 letni, do śmierci był czynny; każdego dnia, oblawszy się zimną wodą, niezważając na deszcz czy śnieg, robił wiorstowe piesze wycieczki. Dzisiejszy jego spadkobierca, zbiera obfite plony długoletniej pracy ojca, jest jednym z najbogatszych właścicieli na Podolu. Poszedł za ogólnym popędem do cukrownictwa, założył wielką cukrownię w Chrzanówce. Nieodlegle ztąd są Jurkowie, majątek p. Jana Sulatyckiego, długi czas prezydenta izby cywilnej podolskiej, nakoniec marszałka gubernskiego. I tu jest cukrownia, która 300,000 rubli dała kapitału. Dziś po śmierci Jana majątek spadł na Januarego.

Ozarzyńce nad Niemiją i Łuczyniec nad tą rzeką, majątki Sobańskich leżą w tej stronie. Jesyszów zaś nad Ładawą. Szarógród nad Muraszką. Witold książę litewski dał słudze Wasylowi Karaszewskiemu ziemię gdzie dziś miasto; założył je Zamoyski i obwarował. W roku 1595 wpadli kozacy i gród złupili. W roku 1650 Chmielnicki go opanował, wyparował go Marcin Kalinowski, lecz znowu zdobył Neczaj. W 1672 r. Turcy go zajęli, ozdobili i nazwali Kuczuk Stambuł (mały), długo było obronne. Po Zamoyskich stało się własnością Konicpolskich, następnie Lubomirskich; później dostało się Sosnowskim: Sosnowska wniosła znowu klucz Szarogrodzki w dom Lubomirskich. Sterczące w polu rumowiska świadczą, jak niegdyś rozległe było miasto. Dziś Szarógród jest własnością księcia Romana Sanguszki. Ziemia Szarogrodzka i okoliczna dobrego gatunku; urodzaje zboża znaczne. Właściciele zamożni, włościanie dobrego bytu. Wsie ogólnie prawie wielkie, gęsto nasiadłe po nad jary. Lasów dostatek, górują liściaste i dębów jest dość.

Mohylów przy ujściu Derły do Dniestru. Miasto jedno z większych na Podolu; ludności ma do dziesięciu tysięcy: dochodzi prawie budynkami do samiej rzeki, co go czasem naraża na zalewy, Fizyognomią różni się od innych miast tutejszych. Większych gmachów niema, ale ma porządne domy; widać zamożność, kupcy bogaci tu mieszczą, handel prowadzą znaczny. Długi czas prawie połowa zboża podolskiego z Mohylowa Dniestrem wysyłała się do Odessy; dziś żelazne drogi skierowały go inaczej, chociaż i dotąd handel tu jeszcze nie ustał. Zjeżdza się do Mohylowa z długiej i wysokości góry, śliczny widok przedstawia miasto długo ciągnące się nad wspaniałą wstęgą Dniestru. Za rzeką widać Otaki, i tam świecą mury; z góry patrząc zdaje się że Mohylow i Otak jedno miasto, rzeką przecięte. Mohylow założył Stefan Potocki wojewoda braclawski. Żonę miał Mohylankę córkę hospodara Mołdawii. Mąż dla pamięci jej rodzinnego nazwiska, miasto nazwał Mohylowem. Z początku osiedlone przez Greków, Ormian i Wołochów, wielki prowadziło handel do Kijowa i Czerwonj Rusi. Domy miało w kształcie azyatyckim. O dni dziesięć wcześniejsza tu wegetacya z powodu gór od północy. Winograpy słyną. Mieszkańcy wyprawiają safiany, wyrabiają jedwabie, sprzedają wina, bakalie i towary wschodnie. Miasto było własnością rodziny Potockich

do pierwszej ćwierci XIX wieku. Tradycya chodzi, że Szczęsny Potocki syn Szczęsnego z Tulczyna, wielki marnotrawca przegrał go w karty. Przy końcu przeszłego wieku Potocki ojciec, przyjął tu w gościnę baszę bałckiego. Część kraju za rzeką Kedymą należała do Turcyi. Basza stracił łaskę dworu i ostrzeżony ze Stambułu że może się spodziewać posta ze stryczkiem, udał się pod protekcją Potockiego. Ten go przyjął i dał mu w Mohylowie schronienie. Musiał to być Turek zamożny, bo w kilkaset osób przybył do miasta. Miał harem z 200 kobietami, dwór liczny, samych koni kilkaset. Potocki go podejmował własnym kosztem przez dwa lata, potem go zaprosił Branicki do Białej Cerkwi. Potocki wyjednał mu przebaczenie i powrót do kraju za wstawieniem Stanisława Augusta. Wiadomość o tém znajdowała się w archiwum Tulczyńickim.

Mohylowski powiat długo się ciągnie po nad brzegami Dniestru. Są tam piękne wsie, jak Czackiego Serebryniec, i wyżej majątek Władysława Górskiego, Wołoszynowskich Niemircze, dawniej Józefowiczów dziś Buszczyńskich, bliżej ku Barowi wielka osada szlachecka Popowce i Hulcynce, Grabowce Lewickich. Mytki własność głośnego w swym czasie Mytka Wereszczatyńskiego, z którego życia epizod malujący starego szlachcica, jego dwór i obyczaje, zajmująco opisał Leon Bożawola Romanowski. Praca ta warta ogłoszenia, bo rzuca światło na stan umysłowy i towarzyski końca XVIII wieku w tych stronach. Tu w Mohylowskiem mieszkał długi czas Apollo Korzeniowski, i Stefan Buszczyński oba znani w literaturze.

Snitków miasteczko i Sopówka majątek dawniej stariej rodziny podolskiej Dzierzków, dziś przeszedł w inne ręce: rodzina Dzierzków prawie wygasła.

GABRYELA.

KOMEDYA W PIĘCIU AKTACH,

Emila Augier.

TŁUMACZYŁ

Kazimierz Kaszewski.

AKT V.

(Taż sama dekoracya).

(Przy podniesieniu zasłony dwaj lokaje wnoszą lampy i kawę, stawiając na stole na prawo).

SCENA I.

GABRYELA (*przed stołem*), TAMPONET, STEFAN, ANIELA.

TAMPONET. Dobrzem podjadł. Nie żebym lubił jeść obficie;
Lecz trzeba przecież jakoś...

ANIELA. (*siadając na kanapie*). Podtrzymywać życie.

TAMPONET. Ja też je podtrzymuję. Jestto prawda szczerą,
Która dla uczuć moich ujmy nie zawiera:
Zły żołądek nie grzeje, a dobry nie ziębi.
(*do Stefana*).

I cóż pan na to?

STEFAN. Ja?.. Nic.

(*na stronie*). Ten głupiec mnie gnębi.

GABRYELA. Kawy, braciszku; dobrze?

TAMPONET. Wszystko jak przystało

W kolój, bo ja nie zamknę oka przez noc całą,
I z młodym przyjacielem mym się nie rozdzielię.

(*na stronie*)

Bo mi tak kazał Prosper.

STEFAN. Panie, to zawiele;

Ja śpię w nocy.

TAMPONET. Ej, ktoby tam spał na folwarku,

W karczemném łóżku.

STEFAN. Będę.

(*na stronie*). Nakręcę mu karku.

TAMPONET. Będziemy się przechadzać po świetle miesiąca.

STEFAN. Dziękuję!

TAMPONET. Nie chcesz? Szkoda, bo noc czarująca.

- GABRYELA. *(do Stefana, podając kawę).*
Mogę prosić?
(Stefan kłania się i podchodzi do Gabryeli).
- ANIELA. *(cicho do Tamponeta).*
Wyprowadź go.
- TAMPONET. *(cicho).* O, jam gotowy.
- STEFAN. *(cicho do Gabryeli).*
Gabryelo, potrzeba mi chwili rozmowy:
Postaraj się oddalić siostrę i szwagierka.
- GABRYELA. *(cicho)* Nie mogę.
- TAMPONET. *(przy oknie).* Patrz, Stefanie, jak ta gwiazda zerka!
Żeby człowiek jaknajmniej miał poezyi w duszy,
Ta gwiazda, świetna Wenus, serce w nim poruszy.
- STEFAN. Więc dla czegoż pan nie chcesz iść w pole?
- TAMPONET. Stefanie!
Jakto, nie chcę?.. Zapalmy sobie po hupmanie,
I w drogę. Nic miłszego, kto kocha naturę,
Jak chodząc po księżycu, kłęby puszczać w górę.
- STEFAN. O, ja wolę pozostać w miejscu gdzie są damy.
- ANIELA. Jeżeli o to chodzi, to my pozwalamy.
Mamy właśnie coś sobie powiedzieć w sekrecie.
- STEFAN. Jeśli jestem zanadto, to odchodzę.
- TAMPONET. Przeciel!
Pójdź pan, pójdź; pogadamy.
- STEFAN, *(na stronie).* Ha! wiem co mnie czeka.
Jakby tu się uwolnić od tego człowieka?
(namyśla się).
- TAMPONET, *(biorąc pod rękę Stefana).*
Wybornie!.. Dobry będzie środek na natręta.
O! natura, to matka wielka, arcyświęta!
(wychodzą).

SCENA II.

GABRYELA, ANIELA.

- GABRYELA. Jakiż to sekret?
- ANIELA. Jaki?.. Ja sędzę, przez Boga,
Że ten sekret jest twoim, Gabryelo droga!
- GABRYELA. Coż takiego?
- ANIELA. Nic prawie. Naprzykład to słowo,
Co cichaczem przemknęło nad Stefana głową.
- GABRYELA. Nic nie wiem.
- ANIELA. Więc się dla mnie ufność twoja zmienia.
Lub nie śmiesz mi otworzyć już swego sumienia?
- GABRYELA. Jam ci wyznała wszystko.

ANIELA.

Nic mnie nie przekona:

Gdy on podszedł do ciebie, przed wyjściem z téj sali,
Szeptaliście coś z sobą; coście wy szeptali?

GABRYELA.

Al przypominam sobie... rzekłam, żem znużona.

ANIELA.

Nic więcój?

GABRYELA.

Nic.

ANIELA.

Przysięgniesz?

GABRYELA.

Aniello kochana,

Czemu wątpisz?..

ANIELA.

Ja wkrótce widziałam Stefana.

On, który chwilę przedtém był w takim zapale,
Teraz o ożenieniu nie myśli już wcale.

Dlaczego?

GABRYELA.

Tak... ja nie wiem... Eh! kłamią nikczemnie!
Aż mi serce się burzy. Kłamstwo! precz odemnie!...
Należę do Stefana.

ANIELA.

Oh!

GABRYELA.

Słowem jedynie.

ANIELA.

Jednakże...

GABRYELA.

Cicho!.. Nie wiem co myślę, co czynię;

Szaleję; żar, gorączka mnie opanowała;
Słowem, jestem zgubioną, oto prawda cała.

ANIELA.

Jeśli tyle przed błędem cierpisz, biedne dziecie,
To cóż to będzie potem?

GABRYELA.

Ja jestem kochaną!

ANIELA.

Zdaje ci się. I téj się zdawało kobiecie,
O której smutnych dziejach wspomniałam dziś rano.
Cieszyła się tą myślą w tym okropnym wstydzie,
Który w ślad za występkiem jak groźny cień idzie!
Bo kłamstwo, moja droga, jestto tyran srogi,
Wieżnie zrosły z występny jak kula u nogi,
I niebo sprawiedliwe te jego męczarnie
Rzuciło na kobiety co grzeszy bezkarnie.

GABRYELA.

Wiem.

ANIELA.

Nie! Gdyby ci przebieg był jego wiadomy,
Nie szłabyś dalej po téj drodze złój i stromój.
Łatwe to jeszcze kłamstwo, gdy ono osłania
Przed światem duszę pełną uroków kochania;
Lecz w jakąż ono straszną boleść się zamienia,
Gdy niema nic osłonić krom zgryzot sumienia.
Ty się przekonasz o tém w téj okropnej chwili,
Gdy się zapał kochanka twojego przesili.
Kochanek twój znajomój był nędznikiem: oto
Cała rzecz.

GABRYELA.

ANIELA.

Nie; ten człowiek miał serce jak złoto,

Posiadał niezwycajne dusz wielkich zalety,
Ale przestał mnie kochać.

GABRYELA.

Więc to ty!

ANIELA.

Niestety.

GABRYELA.

Nie rumień się, Aniela, to jedno ogniwo
Więcej w uczuciach naszych: byłaś nieszczęśliwą!
Niech więc wyrozumiałém nieszczęście twe będzie,
Dla mnie com ci jest siostrą po krwi... i po błędzie.

ANIELA.

Nie będę ci win moich ukrywała dłużej;
Gdy mnie słowo zdradziło, posłuchaj mej doli,
I niech ci za przestrogę moja boleść służy!

GABRYELA.

Słucham, lecz by wziąć udział w tém co ciebie boli.

ANIELA.

Stara to jest historia, chociaż zawsze żywa.
Jeśli to zwie się szczęściem, byłam ja szczęśliwa
Rok cały. On mnie kochał, wierzył w swe kochanie,
Przysięgą na aniołów uręczał mi za nie;
Potém nawykł. Lecz kiedy minęły zapały,
Uczul że taka miłość to nie jest świat cały...
Kiedy się zastanawiać uczucie zaczyna,
To niebawem ostatnia bije dlań godzina:
Kochanek, gdy go pierwszy zapal nie rozgrzewa,
Wszystko widzi zmienioném i wszystko go gniewa;
Zwolna przestajem jego być serca potrzebą,
Aż widzi czczość i nudę, gdzie wprzód widział niebo;
A gdy się coraz bardziej niesmak w nim rozpręża,
Przeciwko nam, czy słyszysz?.. bierze stronę męża,
Tak mu uczwim, biedném, zda się to nieboże,
Od czasu gdy on nic już ukraść mu nie może.

GABRYELA.

Toż to podkość!

ANIELA.

Bynajmniej, to zwyczajne świata

Koleje, to występnych miłostek zapłata.

Ależ com wycierpiała!.. istny to sąd Boży!..

GABRYELA.

Rozumiem!

ANIELA.

Dość powiedzieć, że kochając szczerze,
Jam mu śmierci życzyła.

GABRYELA.

Wierzę ci, oh! wierzę.

I nie zerwałaś?

ANIELA.

Właśnież, to było najgorzej:

Lecz mnie resztką nadziei wstrzymywała jeszcze.

A on dzwigał téż, dzwigał to jarzmo złowieszcze

I w ostatnim wysiłku pięknej serca strony,

Choć mógł odejść, on nie chciał opuścić zgubionej.

I tak oto te związki sromotne, rok cały,

W strasznych rozdarciach duszy tajemnie przetrwały,

I Bóg wie dokądbyśmy się w tych mękach wili,

Aż raz mąż odkrył wszystko. Czy wierzysz?.. W téj

[chwili

Jam się czuła tak srodze złamaną, zbolałą,
 Że mi się to nieszczęście dobrodziejstwem zdało.
 GABRYELA. Biędna duszo!.. Nie mogę o tém słuchać dłużej.
 ANIELA. Niech ci tedy mój przykład za naukę służy;
 Bo i nad tobą wisi dola opłakana.
 GABRYELA. Ależ z nim porównywać nie można Stefana;
 O jego serce żadnej nie czuję obawy,
 On swego poświęcenia dał mi dowód krwawy;
 Ja mu wierzę, a w całej perypetii waszój,
 Według twój opowieści jeśli co mnie straszy,
 To kłamstwo, w które i ja popadłabym może,
 Tylko ta twoja powieść ostrzegła mnie w porze.
 Dziękuję ci.
 ANIELA. Zgubiona!

SCENA III.

GABRYELA, ANIELA, STEFAN.

STEFAN, (*do Anieli*). Mąż czeka na panię,
 Bo od stóp do głów musi przemienić ubranie,
 A pani ma podobno kluczyk od komody.
 ANIELA. Cóż to się znowu stało?
 STEFAN. Ot, skoczył do wody.
 GABRYELA. Co pan mówisz?
 STEFAN. Kazał mi podziwiać naturę,
 Jak księżyc z chmur wychodził, to zachodził w chmurę,
 I recytował wiersze, śliczne, nie wiem czyje;
 Wtém naraz on się w ziemię zapada po szyję.
 Patrzę, aż tajemnica wyjawia się cała;
 To beczka zakopana co tam z wodą stała,
 Wypełniona po brzegi. Przyskakuję do niej
 I wyciągam małżonka, co zębami dzwoni,
 A teraz mokry, drżący, czeka zmiłowania,
 By mu przynieść na górę kluczyk od ubrania.
 ANIELA, (*podając kluczyk*).
 To zanieś mu pan.
 STEFAN. Ja mam?..
 ANIELA. Jeśli łaska, panie.
 STEFAN. W każdym razie jam gotów jest na zawołanie,
 Lecz pan Tamponet prosi osobiście żony;
 Obawia się... i prawda mocno przeziębiony.
 Jabym mu nie na wiele przydał się w tej sprawie.
 ANIELA. Więc pójdę.
 (*na stronie*). Lecz ich długo samych nie zostawię.
 (*wychodzi*).

SCENA IV.

GABRYELA, STEFAN.

STEFAN. Przecież, po wielu trudach zostaliśmy sami;
Aż złość mnie zdejmowała z temi natrętami.
Ledwie się mógł ich pozbyć.

GABRYELA (*jakby do siebie*).

Niech się co chce stanie!

(*do Stefana*).

Jam dziś pierwszy raz w życiu skłamała, Stefanie.
Przed chwilą ja skłamałam, wobec siostry, jutro
Skłamię przed mężem; a gdy kłamstwa te się utrą,
Jeśli miłość występna broić będzie skrycie,
Ja na kłamstwo skazana będę całe życie.
Lecz godność moja z gościem takim nie zasiędzie
Pod jednym dachem, podłość stawiając na błędzie.
Nie!... Ja, żeby z téj walki czystą unieść duszę,
Oddając się jednemu z drugim zerwać muszę.

STEFAN.

Dziwna sympatya, dziwna, łączy nasze myśli;
Miałem właśnie na ustach to co pani kręśli.
Nasza miłość nie może być życia zakałą,
Nie czołgać się, lecz winna iść dumnie i śmiało.
Uciekniemy, nieprawdaż?

GABRYELA.

Tak. Kiedy?

STEFAN.

Téj nocy.

Nie zwlekajmy, by potem nie uledez przemocy.

GABRYELA.

Świat nas potępi; tego bądź pewnym, Stefanie.

STEFAN.

Chcę tego potępienia, pragnę, czekam na nie!
Niech świat, którego gniewu tak się wszyscy boim,
Połączy nas na zawsze, właśnie gniewem swoim.
Ja temu wyrokowi rad będę najszczerzój,
Co w moje tylko ręce dołą twą powierzy;
Bo jeśli czyje serca rozumieć się mogą,
To nasze, Gabryelo! Jakżeś ty mi drogą!

GABRYELA

Niestety!

STEFAN.

Co to znaczy? Serce twoje wzdycha,
Z oczu spuszczonech spływa na lice łza cicha;
Czyż żałujesz radości jakąś mi sprawiła?
Powiedz!

GABRYELA.

Zrywać z przeszłością, sprawa to nie miła.

Ta przeszłość dziwne splata koło nas ogniwa,
Których nie czuć aż wtedy kiedy się je zrywa.
Przebacz słabości mojej, mnie się wydawało,
Gdy mówiłeś, że widzę moję młodość całą,
Powstał splotany anioł, wyciągnął tajemnie
Ręce ku mnie, błagając: nie odchodź ode mnie.

STEFAN. Złudzenie! Dla nas szczęścia wybija godzina.
Twoja młodość!.. Toż ona teraz się zaczyna.
Przedtém nic nie liczyło się dla nas. Dopiero.
Miłość nasza jest pierwszą w życiu naszym erą.
Zacznijmyż więc żyć, zdala od zawiści świata,
Pójdźmy w cichym zakątku pędzić słodkie lata.
Znam, jeśli chcesz, w Bretanii przyjemne ustronie,
U stóp skały, za którą szumią morza tonie,
Istne gniazdko miłości; samotność go strzeże,
Odgłosy świata nikną w Oceanu szmerze.

GABRYELA. O Boże!.. Zatem nicość, lub życie tułaczel!..
(rozglądając się po domu).
Achl ten dom mnie udreęca; zdaje się że płaczel!..
— Cicho, ktoś idzie.

SCENA V.

STEFAN, PROSPER, GABRYELA.

GABRYELA (z przestachem). Prosper!..
PROSPER (bardzo spokojny, trzyma papiery pod pachą).
To ja, moi mili,
Przybywam do was wcześniej niżście sądzili;
Lecz dobre wieści, snadniej niż nocne straszydła
Podróznemu do nogi przywiązują skrzydła.
Cóż takiego?

STEFAN. Noc czasem niespodzianki stwarza:
PROSPER. Przywożę ci w tój tece urząd sekretarza.

STEFAN. Zkądże to?..

PROSPER. Ztąd, ażeby przekonać cię o tém,
Że przyjaźń nie jest u mnie krasomówczym zwrotem.

STEFAN. Wstawienie pańskie wprawdzie jest mi bardzo miłym;
Lecz pan pewnie zapomniał że ja odmówiłem.

PROSPER. Ja, kiedy kogo kocham, miły mój kolego,
Działam g'woli pożytku nie kaprysów jego.
Powiedz, że dyabła warta ma uczynność szczerą,
Żem brutal, niedyskretny, wścibski, et caetera;

STEFAN. Mnie tam tyle obchodzi cała twa tyrada,
Co krzyk pacyenta, gdy mu chirurg nóż zakłada.
Serdecznie panu wdzięczny za przyjaźń tyle,
Lecz wybacz, od jój następstw jeśli się uchylę;
Póki mój ojciec....

PROSPER. Jakto, czy jeszcze te żarty?

STEFAN. Proszę cię, mój Stefanie, nie bądźże uparty.

PROSPER. Lecz, jeśli mych powodów wyjawić nie mogę...

STEFAN. Skoro tak, to otwartą zostawiam ci drogę...

(składa papiery na stole).

- Lecz nie bez tego aby mnie nie urażało
To, że mojej przyjaźni zawierzasz tak mało.
- STEFAN. Gdyby to moja tylko była tajemnica,
Przysięgam....
- PROSPER. Ha! miłostka jakaś w tém prześwieca:
Byłem pewien.
- STEFAN. Więc czemu pyta mnie pan o to?
- PROSPER. Bo cię chcę, niewdzięczniku, bronić przed sromotą.
- STEFAN. Daremne upomnienia! Pan wiesz o przyczynie:
Miłość moja wraz ze krwią w żyłach moich płynie.
- PROSPER. Nie myślę jęj dobywać, niech sobie tam będzie;
Lecz co ci ona może przeszkadzać w urzędzie?
Czyż ci kochanka cały czas zabiera?
- STEFAN. Panie!
Kochając, ona czystą jest i pozostanie.
- PROSPER. Czemuż więc?...
- STEFAN. (*zakłopotany*). Ja odjeżdżam, bo taka jej wola.
- PROSPER. Ej, przedtém nieraz jeszcze siew uprzątą z pola.
- STEFAN. Jutro.
- PROSPER. Istotnie?
- STEFAN. Słowo.
- PROSPER. A!...
- GABRYELA! (*na stronie*). Co za tortury!
- PROSPER. Wiem, że jesteś młodzieńcem szlachetnej natury;
Lecz i ona... jakkolwiek świat tę rzecz ocenia....
Za taki czyn jest dla mnie godną uwielbienia.
- GABRYELA, (*cicho do Stefana*).
Dreżczy mnie jego chwalba. Powiedz mu w téj chwili
Wszystko, Stefanie, wszystko!
- STEFAN. Ależ pan się myli:
Nie sam odjeżdżam.
- PROSPER. (*na stronie*). Boże!... Precz te szału dreszcze....
Cicho!... do krwi rozlewu dosyć czasu jeszcze.
- GABRYELA. Pogardzasz tą kobietą?
- PROSPER. Nie. Jeśli nie może
Powstrzymać serca które idzie na bezdroże,
Zawsze to serce wyższe, gdy zgubić się woli,
Niżeli kłaść kłamstwem w bezpiecznej swawoli.
I wreszcie ten występki, zdaniem mém jest zbrodnią
Ohydną, jeśli grozy nie błysnie pochodnią;
I jak potok błotnisty, w kałużę się zmienia,
Gdy wszystkiego nie porwie w odmęty zniszczenia.
- STEFAN. Więc pan usprawiedliwiasz... tę kobietę!...
- PROSPER. Prawie;
Jeżeli już nie może dotrwać w dobrej sławie.
— A czy ona ma dzieci?

STEFAN, (wahająco) Ma. To nieszczęśliwa!
 PROSPER.

Żal za nią, za sieroty, duszę mi przesywa!

STEFAN. Może zabrać...,
 PROSPER, (silnie). A ojciec!...

(spokojnie). Jakiś niedołęga,
 Który uczuciem swoim daleko nie sięga...
 Bo gdyby kochał dzieci, byłby miłym żoniec!
 Ja też wcale nie jego żałuję i bronię;
 Lecz téj biédnej kobiety i ciebie mój drogi,
 Was, co się narażacie na gniew świata srogi;
 Choć ni ona, ni ty się nie domyślasz, bracie,
 Z jak ciernistego drzewa krzyż swój wyrzynacie,
 I jaka to samotność straszna, nieprzebyta,
 W łono waszój występnej miłości zawita!
 Lecz samotność we dwoje...

STEFAN. Gorszą jest o wiele,
 PROSPER. To loch w którym zamknięci dwaj nieprzyjaciele.
 Boć znana rzecz że związek ten, niepoświęcany,
 Zaczasem się zamienia w sromotne kajdany,
 W których zakute serca, po przebytych szale,
 Zcicha wzajemne sobie wyrzucają żale.

STEFAN. Moje serce nic nigdy wyrzucać nie będzie.
 PROSPER. Być może. Ale ona będzież, po tym błędzie,
 Na ostatnią chłopiankę patrzeć bez łzy w oku,
 Co idzie śmiało, dumnie, przy mężowskim boku?
 Gdziekolwiek wiarolomne skryjesz z nią pożycie,
 Wszędzie ona wzrok spuści i zapłacze skrycie;
 Widząc że dobry człowiek każdy od niej stroni
 I nie odkryje głowy przechodząc koło niej.
 Biédnaż ona!... Jój oko błędząc po błękiecie,
 Za straconym pokojem ustawicznie goni,
 I ustawicznie zwraca się w tę stronę świata,
 Gdzie jój własna, pocziwa, dymi bez niej chata;
 Gdzie weszła jako panna czysta i pobożna....
 A teraz czeka na nią komora przydrożna,
 Gdzie w oczach towarzysza czyta wyrzut srogi
 Za to, że mu się stała ciężarem u nogi.

STEFAN. Nie! To kochanek, który daje téj kobiecie
 PROSPER. To czego szuka łzawe oko jój po świetle.
 (do Gabryeli). Czy myślisz że kochanka ona uszczęśliwi?...
 Nie, on tém nieszczęśliwszy jest im kocha żywiój;
 Im więcej czei prawdziwój w uczucie swe złoży,
 Tém go zazdrosna pamięć dręczyć będzie srożej;
 Bo niechaj co chce będzie, przeszłość się nie zmienia,
 Ona dzieliła przedtém cudze uniesienia!

Może mu oddać piękność, cześć, życie; bez granic
Ofiary nieść: czystości nie odda mu za nic.
Próżno wspomnienie męża kochanek oddała,
Wszędy go ścigać będzie to widmo rywala,
Którego pieszczotami kochanka skalana...

(poruszenie Gabryeli).

- STEFAN. Jeśli wątpisz, to spojrzysz na bladłość Stefana.
Będę ja umiał strząsnąć to smutne wspomnienie,
Więcej ja wreszcie przyszłość niżli przeszłość cenię.
- PROSPER. Nie masz szczęścia, jak tylko śród utartej drogi:
Kto się rzuca w przepaście pewnie złamie nogi.
Przeszłość drażni, obecność, oh!.. w tej nie wytrwacie;
Przyszłość utracasz również biedny waryacie!
- STEFAN. Tęm lepiej. Przyszłość, której złudne nęcą blaski,
Posiada spokój wody drzemiącej i płaskiej.
Wolę ja pełne morze z jego uragany,
Z tym szaleń, który sprawia wichur rozchukany;
Z tą burzą co z obłoków zagłębia w odmęty
I z toni ku niebiosom unosi okręty.
Bierne szczęście być może właściwem dla tchórza,
Lecz ja nie chcę bierności, mym żywiołem burza.
- PROSPER. Piękna to jest poezya, żywa, ani słowa;
Znam ja jednakże inną, co jest silna, zdrowa,
Pożywniej karmi serce, bo w każdej godzinie
Niezmaconym nektarem zadowolęń płynie.
Jest to spełnienie świętych obowiązków, cicha
Praca, którą dzień cały, część nocy oddycha;
Gdy cały dom uspiiony w milczeniu głębokim,
Gdy ją orzeźwia dziecię co śpi pod jej bokiem.
Przystoi samolubom i pustakom butnym
Szaleć w tym nieporządku, w gruncie czczym i smutnym,
Tworzyć tę miłość, która w bezbożności swojej,
Na równi z jakąś kłuską płodną być się boi;
Lecz my bądźmy ojcami, to znaczy, Stefanie,
Prowadźmy w domy nasze to czyste kochanie,
Jakie wnosi kobieta w zacności wytrwała,
Z której duszy ma wyniść synów naszych chwala.
A pewni być możemy, że z wiernego łona,
Co wyjdzie będzie wiernem i zacnem jak ona!...
Oto godność miłości, to cel życia prawy!
Reszta są to przegrywki lub płochy zabawy.
Na takiej drodze rozkosz wyrasta prawdziwa,
Która człowieka nigdy nie odczarowywa!
I ty masz ją pod ręką. Zmiłuj się Stefanie,
Niedoli i występku nie zamieniaj za nią!
Rozważ.

STEFAN.
PROSPER.

Minęła pora.

Wcale nie minęła.

Pora nigdy nie mija do dobrego dzieła.
Ale wymowniejsemu w tém są nasze panie:

(do Gabryeli).

Gabryelo! Ty poprzyj zdrowe rady moje,
Pomóż mi uratować tych szaleńców dwoje.
Zostawiam was na chwilę. Pora wczasu blizka;
Muszę jeszcze ułożyć gdzieś te papierzyska.

(podchodzi do stołu i zabiera papiery).

(na stronie). Zrobiłem dla niej więcj niżli człowiek może;
A resztę w Twoje ręce składam Wielki Boże!
Miłosierdzia!... jeżeli nie dla mnie, to dla niej.

(wychodzi na prawo).

SCENA VI.

STEFAN, GABRYELA.

GABRYELA. (po chwili milczenia i niepodnosząc oczu).

Żegnaj pana na zawsze, na zawsze.

STEFAN

(podobnie).

Tak, pani.

(wychodzi wolno z głową spuszczoną).

SCENA VII.

GABRYELA

(sama). Cóż to za jasność głowę moją rozwesela!
To ja dałam się uwieść?... To ja, Gabryela?...
Nad taką straszną przepaść?.. Gdzieżbym ja już była,
Gdyby nie słów Prospera dobroczynna siła!
O! jakież to szlachetny, wielki mąż w rodzinie!
A jaki on potężny... przy tamtęj dziecinie!

SCENA VIII.

PROSPER, GABRYELA.

PROSPER.

Gdzie Stefan?

GABRYELA.

Nie wiem.

PROSPER.

Jakto?

GABRYELA.

Odszedł Bogu chwała!

Odszedł, mężu dlatego, że ja go kochała.

Tą kobietą ja jestem. Mężu mój i panie,
Sprawiedliwości twojej niech się zadość stanie!

(pada na kolana).

PROSPER.

Powstań, córko! Mogę ja mieć prawo i serce
Stawać tu jako sędzia dumny i surowy,

Gdy sam pytam się właśnie, kto z nas w tój rozterce
 Więcej odpowiedzialnym za twój szal chwilowy:
 Czy ty, żeś dozwoliła unieść się tym szalem,
 Czy ja, że nad mym skarbem nie dosyć czuwałem?
 Tak, ja, co bez wytchnienia w pracy zagłębiony,
 Sądząc że tego dosyć jest dla szczęścia żony,
 Nie spostrzegłem jak codziem potrosze ronikiem
 To, co pożycie czyni uprzejmém i miłém;
 Aż mnie ta jednostajność nie wyrozumiała
 Uczyniła kimś innym, niż ten kogoś znała!
 Więc przebaczenia kiedy ty żądasz odemnie,
 Ja ci na to powiadam: przebaczymy wzajemnie.

GABRYELA. Jesteś łaskawym jak Bóg!

PROSPER. Jak ojciec, kochanie;
 Lecz odzyskam twą miłość, na to sił mi stanie...

GABRYELA. A czy wrócisz mi swoje?

(Prosper chwytą ją w objęcia).

SCENA ostatnia.

TAMPONET *(w szlafroku)*, PROSPER, GABRYELA, ANIELA.

TAMPONET *(zakatarzony, kicha, wymawia b za m).*

O! tak, to aż miło.

PROSPER. Cóż to za głos?

TAMPONET. Eh! katar, licho podkusiło...

W nocy... Oh! ten twój młodzik, to wisus troszeczkę:
 Niemogąc się odczepić wpakował mnie w beczkę;
 Lecz ja się na nim pomszczę: mam ja sól w języku,
 Zapłacisz ty mi za to mój śliczny młodziku.

ANIELA *(do Gabryeli).* Cóż, czy nie milój zostać uczciwą kobietą?

GABRYELA *(podając rękę Prosperowi).*

O! ty, ojczyźnie rodziny!... Kocham cię poeto!

K O N I E C.

SYNOWIE HETMAŃSCY.

O P O W I A D A N I E H I S T O R Y C Z N E .

PRZEZ

Wł. Chomętowskiego.

Tom II.

IV.

Na gościńcu pomiędzy Tomaszowem a Zamościem 1697 r. stała nędzna karczma żydowska Łabunie. W tej karczmie w pierwszej połowie miesiąca lutego, w dzień śnieżny i wietrzny, około godziny czwartej po południu siedziało ośmiu ludzi w kozuchach i w wytartych kontuszach, naprzeciw płonącego na kominie ogniska. Ludzie ci uzbrojeni w pistolety i pałasze mieli pozór wojskowych, wąsy długie i zawiesiste, wzrok dziki i hardy, nakoniec namiętny wyraz rozpustnego żywota, nie pochlebne dawał wyobrażenie o ich charakterach i rzemiośle. Na stole przed nimi stała beczka wina, z której pili kolejno, tocząc poufną półgłosem rozmowę. Obecny żyd gospodarz niespokojnym wzrokiem śledził gości, jako też nadstawiał bacznie ucha na rozmowę, z której kilka dosłyszał ustępów. Jeden z nich, sądząc z pozoru, przywódca bandy, w karmazynowym wytartym kontuszu, rzekł do obok siedzącego towarzysza:

— Czekamy już całą godzinę a niewiadać jeszcze nikogo... Zadrwi z nas wojewodzina haniebnie, jeżeli pozostała w Zamościu.

— To być nie może—odrzekł drugi—bo starosta miał pewną przez żyda relacją...

— Nie jest to wcale pewna relacja: gdyby wyjechała wojewodzina równo ze świtem z Zamościa, już dawno stanęłaby na popas w Łabuniu.

— Nic dziwnego, że nie pospiesza, bo okrutna szaruga i zawieja.

— Prawda, że śniegiem haniebnie są zasypane drogi, ale jadą na saniach i sześcioma końmi; zresztą trzy mile tylko, toć i piechotą stanęby już można...

— Tak, ale o wypadek nie trudno, zwłaszcza jeśli ślad tracą i zablakają się w polu.

— Mają do pomocy trzech rajtarów i przewodnika, gdyż słyszałem, że czterech konwojuje ludzi, z których trzech przy karcie, jeden zaś pilnuje karawanu z rzeczami.

— Zapewne trzech rajtarów pana wojewody?

— Tak jest...

— Mają się snać na baczości... ale z trzema rajtarami poradzimy sobie...

Potem rozmawiali tak cicho, że żyd gospodarz nie mógł dosłyszeć ani słowa. W przeciągu niespełna jednej godziny wypróżnili gości całą beczkę wina, z widocznym zmartwieniem gospodarza, obawiał się bowiem że zażądają więcej, choć niebezpiecznie byłoby dopominać się o zapłatę. Lecz podróżni okazali się nadspodziewanie dyskretni, bo odsunęli na bok wypróżnioną beczkę, poczem zabawiali się spokojnie grą w karty. Żyd zbliżył się ostrożnie do stołu, stanął za plecami gościa, który zdawał się rej wodzić między innemi, podziwiał grę jego i koncepta, zaczęł ośmielony przyjazną postawą podróżnych, jał wypytywać się nieznacznie: dokąd jadą i czy nocować będą w gospodzie, albowiem w takim razie pomyśli o przygotowaniu im pościeli. Zapytanie to nie podobało się mniemanemu dowódcy i rzekł z przekąsem:

— Nie myśl o naszym noclegu i posłaniu, pamiętaj tylko o tém, co ci zapowiedziałem, ażebyś przygotował izbę na przyjęcie pań, które tu pewnie zanocują!

Zaledwie wyrzekł te słowa podróżny, rozwarły się drzwi komnaty i wbiegł zasypany śniegiem mężczyzna wysokiego wzrostu, w krótkim kożuchu, z pod którego wychodziły poły granatowego żupana. Człowiek ten snać powracający z jakiejś wycieczki, zbliżył się do gościa w karmazynowym kontuszu i rzekł:

— Spotkałem kolaskę wojewodziny, ale za nią jedzie na saniach jakiś pan młody z dwoma rajtarami i hajdukiem na koniach!

— „Jakiś pan młody na saniach i trzech ludzi konno”...—powtórzył gość w kontuszu i po chwili zapytał:

— Więc ilu ich jest wszystkich w orszaku wojewodziny?

— Siedmiu.

— Siedmiu...—powtórzył z widocznym niedowierzaniem pierwszy i zapytał:

— Jak daleko ich spotkałeś? czy nadjadą prędko?

— Spotkałem ich o milę, ale pędziłem szybko; oni zaś jadą wolno, jak zwyczajnie w taką zawieruchę i pogańską drogę, więc nie staną tu pewnie prędzej, jak za godzinę.

Po tej rozmowie, podróżny, który zdawał się być dowódcą bandy, zwrócił się do innych i rzekł:

— Wkrótce nadjedzie wojewodzina, pan jeden i siedmiu ludzi jej towarzyszą... siodłajcie czémprędzej konie, a ja tymczasem rozmówię się z żydem.

Wszyscy wyruszyli na rozkaz dowódcy do stajni, on zaś skinął na żyda, stojącego na progu alkierza z żoną. Skoro tenże zbliżył się do niego, zamknął się z nim sam na sam w komnacie i rzekł:

— Masz przekłąty niedowiarku zapłatę za wino i za siano!

To mówiąc rzucił przed nim na stół kilkanaście sztuk srebrnej monety i tak ciągnął dalej:

— Jeżeli zrobisz jak ci każę i dochowasz sekretu, dostaniesz w nagrodę trzydzieści talarów...

Żyd wzięwszy ze stołu pieniądze uklonił się nisko, poczem nadstawił ucha z wyrazem zaciekawienia...

— Ale nim powierzę ci sekret—mówił dalej dowódzca—ostrzedz cię muszę, że jeśli zdradzisz mnie poganinie, spalę twój dom z żoną i bachurami, ciebie zaś samego upiekę na rożnie...

— Za co miałbym zdradzać JWPana?—rzekł żyd omdlewając z przestachu...

— Więc słuchaj! przyjedzie tu wkrótce wojewodzina belzka, z panną, z niemi jakiś pan młody i kilku ludzi. Nie wątpię że nie pojedą dalej w tak okrutną szarugę i tutaj nocować będą. Wyjeżdżam teraz z moimi towarzyszami, ale skoro te panie rozgoszczą się w gospodzie, wrócimy tu później wieczorem... pamiętaj więc, ażebyś natychmiast roztworzył bramę, skoro do niej zastukamy.

Żyd słuchał z wytrzeszczonemi oczami, lecz nie odpowiadał ani słowa.

— Rozumiesz mnie żydzie, że skoro zastukam, masz natychmiast roztworzyć bramę?

— Rozumiem JWPanie, ale co ja zrobię jeśli panowie, którzy tu nocować mają, nie pozwolą mi roztworzyć bramy?—zapytał gospodarz drżący i wyblady.

— Jakto? czyż mogą zabraniać gości, abyś nie wpuszczał innych podróżnych do gospody? Słuchaj poganinie, ty kłamiesz i myślisz mnie zdradzić; może obawiasz się rozboju i dlatego chcesz się wymówić od spełnienia mego rozkazu. Owóż wiedz, że jestem dobrym szlachcicem i nie bawię się wcale rozbojem. Mam ważne polecenia od pewnego wielkiego pana, do jednej z dwóch dam, które nocować będą w tej gospodzie. Jeśli więc nie chcesz mnie zdradzić, a pamiętaj że tu idzie o twoje życie! otworzysz mi wrota i wpuścisz do karczmy pocichu, nie budząc nikogo. Skoro wykonasz mój rozkaz wiernie, przysięgam, że ani tobie, ani nikomu z twoich włosów z głowy nie spadnie. Wyliczę ci natychmiast trzydzieści talarów, nadto odbierzesz za tę usługę tak wielką od mego pana nagrodę, o jakiej ani tobie, ani ojcu twojemu się nie śniło.

Żyd kłaniał się zakłopotany, ale nie mógł ochłounąć z przestachu który widocznie zamykał mu usta.

Podróżny uśmiechnął się na widok trwogi gospodarza i rzekł klepiąc go po ramieniu:

— Czyń tak, jak ci powiadam i nie obawiaj się niczego... Idzie tu tylko o pannę, którą mój pan uwieźć chce z sobą.

Wiadomość ta nie uspokoiła żyda bynajmniej, przebiegał bowiem myślą różne i groźne następstwa zamierzonego gwałtu, więc żalosnym zawołał głosem:

— Ja żyd biédny JWPanie i nie rozumiem na co to wszystko się przyda... Niech JWPań zrobi jak mu się podoba, ale ja głupi żyd i mnie JWPanie nic do tego!

To powiedziawszy rzucił się do nóg podróżnemu, powtarzając ciągle: ja głupi żyd i mnie JWPanie nic do tego!

— Powtarzam ci raz jeszcze, nie obawiaj się poganinie, lecz wykonaj rozkaz i roztwórz bramę, skoro zastukam do niej; bo jeśli się przeniewierzysz, nie wymkniesz mi się, na Boga, i najokrutniejsza czeka cię kara. Teraz nie mam więcej do stracenia czasu, gdyż mrok już zapada i zalada chwilę przyjadą tu nowi goście... Tymczasem jeśli ci drogie życie, nie wygadaj się przed nikim, lecz pamiętaj dobrze co ci powiedziałem.

Żyd leżał jeszcze na ziemi, kiedy podróżny wyskoczył szybko z komnaty. Wkrótce rozległ się tętent koni, więc ośmielony gospodarz podniósł się z bijącym sercem i wyjrzał przez okno.

Podróżni pędzili szybko na koniach i znikli za chwilę w cieniach wieczoru.

Zakłopotany żydek chodził jak obłąkany po izbie i rozmawiał sam z sobą, rozmyślając nad grożącym mu niebezpieczeństwem i nad sposobem uniknięcia tegoż, ale niestety, nie nastęrczał mu się żaden praktyczny środek. Jedyną tylko widział kotwicę ocalenia w spełnieniu rozkazów nieznanomego a następnie w zachowaniu się w neutralnym stanowisku, w razie nastąpić mogących wypadków. To też powtarzał od czasu do czasu, niby dla uspokojenia swego sumienia: „ja żyd jestem biédny i głupi, niech co chcą robią, mnie nic do tego!”

Już noc zapadła ciemna, kiedy rozległ się przed karczmą trzask bicia i zajechała karetą na saniach w sześć koni, za nią zaś parokonne sanie; z nich wyskoczył mężczyzna w sobolowym futrze i pobiegł ku drzwiczkom powozu. Rajtarowie i hajducy posiadali z koni i uszykowali się przy wrotach karczmy. Lokaj w liberyi Sieniawskich roztworzył karetę, z której przy pomocy młodego pana, wysiadły dwie damy.

Wraz z zapadającymi cieniami nocy, tak okrutna nastąpiła zadymka, że w odległości kilkunastu kroków żadnego nie można było rozpoznać przedmiotu. Dwie damy z młodym mężczyzną weszły do oberży, za nimi wjechała karetą i studzy wraz z eskortą.

Żyd wybiegł na powitanie gości, kłaniał się nisko wszystkim, państwu, rajtarom i hajdukom, poczem wskazał na prawo małą, brudną izdebkę, do której weszły dwie damy i towarzyszący im młodzian. W gościnnej tej komnacie stały dwa dębowe łóżka, stolik pod oknem i dwa nie zgrabne stołki z wysokimi nieproporcjonalnie grzbietami. Córka gospodarza, piętnastoletnia żydówka, rozczochrana i zasmolona, wniosła świecę w mosiężnym lichtarzu, syn zaś jego, w kaftanie nieokreślonego koloru, w krymce, z długimi pejsami, przyniósł wiązkę drzewa i rozpałił ogień na kominic. Następnie wniesiono ławkę i postawiono naprzeciw komina. Służąca zdjęła futra swych pań i położyła

na łożku. Hajduk stanął przy drzwiach i czekał na rozkazy. Damy usiadły na krzesłach i wskazały miejsce na ławie towarzyszowi. Starsza z dwóch pań rozpoczęła rozmowę:

— Jeżeli jutro równie przykrą jak dzisiaj mieć będziemy drogę, nie prędko staniemy w Oleszycach i dwa przynajmniej czekają nas jeszcze w karczmach noclegi. Dałby Bóg, ażeby nadjechał karawan z rzeczami, bo inaczej noc całą przyjdzie nam przepędzić bezsennie...

— Dziękuję już i za to Bogu—odparła z uśmiechem młodszą— że trafiono przynajmniej na ślad drogi i że stanęliśmy w tej karczmie, gdyż lękałam się srodze, że przez noc całą będziemy się błąkać po polu.

— Słusznie mówisz, Tosiu, gorszy nierównie nocleg mogliśmy mieć w polu, ależ trudno się tём pocieszać, skoro pomyślę, że na tych brudnych łożkach bez pościeli nocować nam wypadnie. Trzy mile dopiero ujechałyśmy od Zamościa, ale ta fatalna całodzienna podróż utrudziła mnie tak mocno, że wątpię abym do Oleszyc dojechała zdrowo.

To powiedziawszy westchnęła ciężko pani Sieniawska, poczem spojrzała na towarzysza podróży i rzekła:

— Bóg zapłać, mości chorąży, że wyjechałeś na nasze spotkanie i opiekujesz się nami, obecność WMPana dodaje nam odwagi w trudach i niebezpieczeństwach tej drogi.

— Szczęśliwy jestem, że choć tak małą mogłem oddać postługę, żal mi tylko że niepodobną było obmyśleć wygodniejszego noclegu. Wszakże, jeśli prędko nie nadejdzie karawan z rzeczami, radziłbym WMPaniom wypocząć chociaż na sianie, po całodziennych fatygach i frasunkach tej pogańskiej drogi. Tymczasem każę przynieść ciepłą polówkę z piwa, która w podróży, zwłaszcza w zimowej porze, najlepszym i najwięcej pokrzepiającym jest lekarstwem.

To powiedziawszy wysunął się Aleksander Jabłonowski spełniający wiernie powinność kawalerską przy swój bohdance.

Panna Teofila Sieniawska czułym przeprowadziła wzrokiem odchodzącego chorążego, poczem nachyliła się ku wojewodzinie bełzkiej i z zarumienionem licem rzekła nieśmiałym głosem:

— Ja to powinnam WMPani bratowej tysiączne złożyć dzięki za spokój i szczęście, jakiego doznaję w tej chwili. Niedawno złowrogie przeczucie i obawy tak opanowały mą duszę, że nie mogłam wspomnieć bez drżenia na niebezpieczeństwa podróży. Atoli bez zezwolenia i porady WMPani bratowej, nie odważyłabym się była nigdy na napisanie listu do chorążego z wezwaniem, aby wyjechał na nasze spotkanie... Obecność jego rozproszyła moje obawy, nie lękam się przy nim nawet spotkania z włóczęgami i napastnikami, o których tak często słyhać w tych niespokojnych czasach...

Pani Elżbieta Sieniawska przyjęła z uśmiechem to wyznanie panny i odpowiedziała:

— Zarówno i dla mnie, kochana Tosiu, pożądana jest obecność JMPana Aleksandra Jabłonowskiego, chociaż nie obawiam się tyle

włóczęgów i napaści, jak raczej złej i błędnej drogi. Cieszę się że przy jego boku, czujesz się tak spokojną i szczęśliwą, znać że sam Bóg ci przeznacza go za dozgonnego towarzysza i opiekuna. Spodziewam się że wkrótce nawet nadejdzie ten upragniony dla was obojga moment, w którym na ślubnym ujrzycie się kobiercu. Atoli burzliwe dziś czasy i różne mogą zajść a niespodziewane wypadki, bądź przeto mężną Tosiu i nie folguj zbyt żalowi, jeżeli nieraz jeszcze rozłączyć się wam wypadnie.

Ostrzeżenie to przykre sprawiło wrażenie na umyśle panny, wywołując wspomnienie doznanych przeszkód i zawodów, mianowicie ze strony brata, w którego rękach ważyły się dotąd jej losy. Pochyliła więc smutnie główkę, jakby pod wpływem ciężkiej, trapiącej ją myśli. Wejście chorążego a za nim służącej z polówką, przerwało zadumę panny Teofili. Ale on uprzejmém tylko słowem pożegnał panią wojewodzinę i pannę życząc im dobrej nocy, poczem wydalik się na spoczynek rozkazawszy wnieść do pokoju damskiego siano, przeznaczone na tymczasowe postanie.

Zanim położył się chorąży, zapowiedział gospodarzowi, aby zawiadomił panie skoro przybędzie karawan z rzeczami i pościelą. Wydawszy to rozporządzenie owinął się nasz podróżny płaszczem, podłożył pod głowę futro i wyciągnął się na ławie. Wkrótce sen zmorzył utrudzonych całodzienną podróżą gości. Wszyscy sładzy za przykładem państwa udali się na spoczynek. Rajtarowie drzémali wraz z panem w szynkownej izbie, hajducy przy koniach w stajni.

Jeden tylko żyd gospodarz siedząc obok komina, nie mógł ani na chwilę zamrużyć powieki. Dręczyła go myśl tajemniczego najazdu i prawdopodobnie gwałtu, którego pomimowolnym stał się współnikiem. Nieraz pasując się z myślami chciał już biędny izraelita ostrzedz chorążego o grożącym niebezpieczeństwie i prosić go o radę i pomoc, ale pamięć na pogroźkę dowódcy bandy i obawa jego zemsty zamykała mu usta. W tak ciężkim frasunku tę tylko znajdował pociechę, że otrzymawszy od chorążego polecenie, nie będzie posadzony o zdradę, jeśli w miejsce karawanu z rzeczami wpuści do gospody najezdników. Kiedy tak trapił się i usprawiedliwiał sam przed sobą nieszczęśliwy gospodarz, usłyszał nagle że zakołatano do bramy. Uderzenia powtarzały się coraz silniejsze. Struchlały żyd powstał i posunął się ku drzwiom, ale chwiał się na nogach i nie mógł przestąpić progu. Chorąży zbudził się ze snu, uchwycił za pistolet, z którym nie rozstawał się nigdy w podróży, ale przypomniawszy sobie, że miał nadjechać karawan z rzeczami, zawołał na śpiącego w pobliżu rajtara, aby wstał i roztworzył bramę. Atoli żyd usłyszawszy groźną klątwę podróżnego kołatającego do karczmy, uprzedził rajtara i roztworzył wrota.

Zapowiedziani goście, w liczbie dziewięciu, posiadali już z koni, przywiązali do stupa i oczekiwali przed progiem karczmy.

Dowódzca bandy pchnął w piersi żyda wołając groźnie:

— Czemu tak długo nie otwierałeś bramy?... Zapomniałeś już o moim rozkazie? Chcesz mnie zdradzić poganinie!

Upadł z jękiem na ziemię izraelita i nie myślał podnieść się wcale, obawiając się okrutniejszych wyrzutów i kary, ale podróżny uchwycił go silnie za ramiona i rzekł:

— Mów gdzie są panie, jak wielu jest ludzi i gdzie się znajdują?

Żyd zaniemiał na chwilę z przestachu, wskazał więc tylko ręką, najprzód na izbę gościnną, potem na szynkowną komnatę, gdzie spał chorąży z rajtarami, nakoniec na karetę i na sanie.

— Pytam ci się po raz drugi poganinie, jak wielu jest ludzi i gdzie się znajdują?—zawołał stłumionym głosem dowódzca, grożąc szablą.

— Tu trzech.... tu czterech, JW Panie—rzekł prawie umierającym głosem gospodarz.

— Zatarasujcie drzwi jaknajprędzej i zwiążcie hajduków w stajni—rzekł dowódzca do podwładnych, potem zwracając się do żyda:

— Słuchaj poganinie! mówiłem ci już, że muszę uwieźć pannę.... Zapukaj do drzwi i powiedz, że nadjechał karawan z rzeczami.... Skoro roztworzą, porwiemy ją i uwięzimy na saniach. Pamiętaj, że zginięsz w tej chwili, jeśli nie spełnisz rozkazu.

Powiedziawszy to, przyłożył pistolet do piersi żyda, który widząc śmierć oczywistą przed sobą, rzucił się szybko ku drzwiom i zapukał kilka razy.

Tymczasem, kiedy najezdnicy zabięrali się do wykonania polecenia swego wodza, nim zdążyli zatarasować drzwi wiodące z sieni do głównej izby, wyskoczył chorąży, a za nim dwóch rajtarów, z których jeden trzymał zapaloną głównię w ręku.

Niektórzy cofnęli się spłoszeni tym widokiem, najzuchwalsi atoli zabrali się do wiązania bezbronnych hajduków, którzy nagle przebudzeni ze snu słaby stawili opór. Dowódzca odwrócił natychmiast pistolet ku stronie chorążego i zawołał: Wracajcie do izby, bo wystrzelę! Dwóch z bandy najezdników rzuciło się z pałaszami na rajtarów, ale w okamgnieniu odparci i oparzeni zostali głównią. Chorąży zamiast odpowiedzi wyciągnął również pistolet. Wkrótce dwa dały się słyszeć wystrzały. Kula przeszła nad głową chorążego i utkwiała w ścianie: strzał jego był pewniejszy, bo najezdnik upadł z jękiem na ziemię...

Na odgłos wystrzałów i na widok śmiertelnie ranionego dowódcy, czterech ludzi uciekło natychmiast z karczmy. Inni, którzy wiązali hajduków, porzuciwszy swych jeńców, uderzyli z dobytymi pałaszami na rajtarów stojących w bramie. Walka trwała nie długo, bo brama była roztwarta, dwóch więc rajtarów nie mogło zagrozić drogi czterem pozostałym z bandy, którzy też uciekli w ślad za towarzyszymi.

Skoro ucichł zgiełk bitwy, rozległ się przeraźliwy krzyk żydowskich bachurów, na czele których wybiegła z alkierza żona gospodarza

z latarnią. Żyd omdlały z przestrawu leżał obok postrzelonego, który był ugodzony kulą w samo czoło.

Chorąży zbliżył się do umierającego, nachylił się ku ziemi, i poznał w nim towarzysza hussarskiej chorągwi i dawnego dworzanina swego ojca. Uczucie zgrozy i politowania napełniło serce młodzieńca; podniósł głowę rannego i zawołał:

— Leśnikowski! ciebież to widzę, bracie?

Zapytany okazał znak życia, podniósł oczy i rzekł pocichu:

— Przepuść mości chorąży, przepuść mi panie!

Ta była ostatnia rozmowa Aleksandra Jabłonowskiego z dawnym dworzaninem, który tak fatalnie zakończył żywot. Oczy postrzelonego stanęły słupem i śmierć zapieczętowała mu na wieki usta.

Tymczasem żydówka i jój dzieci, na widok omdlałego żyda, ozwały się przeraźliwszym jeszcze niż pierwój głosem. Przyniesiono czémprędzej konewkę z wodą i otrzeźwiono gospodarza, który z pomocą żony podniósł się z ziemi, ale długo nie mógł ochłonać z pierwotnego wrażenia, więc jękiem tylko lub obłąkanym wzrokiem odpowiadał na pytania.

Chorąży rozkazał ciało poległego położyć na saniach, ze względu bowiem, że Leśnikowski okazał skruchę przed śmiercią i prosił go o przebaczenie, postanowił się zająć jego pogrzebem.

Po śmierci Leśnikowskiego i ucieczce jego współników, trudne było wyśledzenie istotnego sprawcy zamachu. Skoro żyd odzyskał przytomność, badał go chorąży w przedmiocie poprzedzających chwilę najazdu szczegółów. Otóż porównyując zeznanie żyda z relacją księdza Perkiewicza, nie bez przyczyny powziął podejrzenie chorąży, że wzmiankowanym przez Leśnikowskiego starostą, sprawcą zamachu parwania panny Sieniawskiej, mógłby być zawiedziony w nadziejach konkurent, starosta spizki.

Kiedy odgrywał się pomieniony dramat w sieniach oberży, w gościnnym pokoju, pani Sieniawska i panna leżały krzyżem na ziemi i w łzach i modlitwie wzywały ratunku nieba. Ale skoro panna Teofila usłyszała głos chorążego i po nim dwa następujące wystrzały, okrzyk boleści wyrwał się z jój piersi, jak gdyby strzał ten ostatnią zabił jój nadzieję...

Niedługo pozostawione były panie w niespokojności i trwodze o los własny i chorążego. Skoro uciekli z karczmy najezdnicy, niebawem oznajmił Jabłonowski paniom, że żadne nie zagraża im już niebezpieczeństwo. Po uprzątnieniu zaś ciała poległego i po wystuchaniu żyda, udał się do ich komnaty.

Opisywać nie będziemy uczucia podziwu i zgrozy które napełniały serca i umysły pań, w czasie opowiadania chorążego o szczegółach i celach najazdu. Wrażenia téj nocy nie dozwoliły zmrużyć im oka, pomimo utrudzenia podróży. Około północy przybył karawan z rzeczami, ale młode panie nie mogły już marzyć o odpoczynku, lecz w rozmowach i modlitwie doczekały się poranku. Równy ze świi-

tem wyruszyły w dalszą podróż na Tomaszów do Oleszyc. Chorąży przebaczył żydowi winę, skoro wyznał z płaczem, jako obawiając się zemsty najezdników, mianowicie ich dowódcy, nie ostrzegł w porę o grożącym niebezpieczeństwie.

Panna Sieniawska uczyniła téj nocy votum do Najświętszej Maryi Panny do Jarosławia, jakoż w kilka tygodni po opisanych wydarzeniach, podróżni nasi odwiedzili cudowne miejsce, gdzie pozakupywali msze święte i hojne złożyli ofiary. Pod wpływem tych przykrych, lecz pamiętnych wrażeń, umocniły się jeszcze ściślej ogniwa wiążące serca oblubieńców; zdawało się nawet, że cel ich życzeń miał spełnić się niezadługo, kiedy nowe nieprzewidziane przeszkody stanęły w poprzek ich drogi.

V.

Zbliżał się czas rozpoczęcia elekcyjnego sejmku. Dzięki staraniom hetmana Jabłonowskiego i ofiarom królowej, nastąpiła ugoda z wojskiem związkowém, które oświadczyło, jako powraca pod władzę hetmanów i Rzeczypospolitęj. W dniu 10 maja mieli przybyć naczelnicy związku do Lwowa, dla odprawienia uroczystej ceremonii i prześlągania hetmanów. Wieść o rozwiązaniu konfederacyi rozbiegła się wkrótce po całym kraju i dobre na umysłach sprawiła wrażenie, chociaż stronnicy Hieronima Lubomirskiego nie mogli ukryć niezadowolenia, z powodu powszechnego uznania, że pożądane rozwiązanie téj sprawy zawdzięcza się głównie trudom hetmana w. koronnego i jego przyjaciół.

W miarę zbliżającój się elekcyi, występowały coraz jawniej namiętności stronnictw i pojedynczych osób, które stosownie do okoliczności i przyszłych widoków, z jednego do drugiego przerzucały się obozu.

Kandydatami do korony polskiej byli: książę Conti, królewicz Jakób Sobieski, Maksymilian elektor bawarski, Karol książę neuburski, Ludwik książę badeński, Leopold książę lotaryngski i Don Livio Odescalchi. Atoli z siedmiu wymienionych książąt, imiona dwóch tylko pierwszych kandydatów były przedmiotem zabiegów rozmaitych stronnictw chociaż i ci nie cieszyli się popularnością.

Mówiliśmy wyżej o przyczynach, które zachwiały w ostatnich czasach w opinii publicznej wpływ księcia Conti. Nie podlega też żadnej wątpliwości, że ani elekcyja krewnego Ludwika XIV, jednego z najsamowładniejszych monarchów, ani téż Jakóba Sobieskiego, nie była w widokach szlachty, zazdrosnej swych swobód, niezadowolonej z rządów zgasłego króla, oraz podejrzliwém patrzącój okiem na dynastyczne zamiary rodziny Sobieskich. Ztąd, ludzie bystrzejszym udarowani wzrokiem, przewidywali łączno, że w chwili elekcyi szala powodzenia może przechylić się na stronę trzeciego, potężniejszego kandydata. Sąsiednie dwory, niesprzyjające wyniesieniu na tron polski księcia francuzkiego, przygotowywały w dyplomatycznój ciszy wielką demon-

stracyą na korzyść nieznanego dotąd kandydata, Fryderyka Augusta, elektora saskiego. Pierwszy dwór berliński związał tę intrygę, wybrawszy za narzędzie do przeprowadzenia swych planów Przebendowski kasztelan chełmiński. Tajemniczy agent berlińskiego i drezdeńskiego dworów, badając i przygotowując w ciszy umysły szlachty do przyjęcia nowego kandydata, na początku jeszcze sejmu elekcyjnego odgrywał rolę stronnika i przyjaciela królewicza Jakóba. Osłaniając tym sposobem istotne swoje zamiary, starał się Przebendowski zarazem osłabić wpływ księcia Conti, który jedynym niebezpiecznym mógł być dla elektora saskiego współzawodnikiem. Chytry ten i przebiegły człowiek, nie posiadający żadnych politycznych przekonań, zrećźnie i gorliwie służył interesowanym w sprawie elekcji dworom. W skutku jego zabiegów, jak zobaczymy wkrótce, stronnicy Jakóba zgodzili się wreszcie na wybór księcia, popieranego przez dwory berliński i petersburski, a nawet pod koniec przez dwór wiedeński, który wolał przchylić się na stronę elektora saskiego, niż widzieć na tronie polskim francuzkiego księcia.

Tymczasem, w przededniu sejmu elekcyjnego, jak powiedzieliśmy wyżej, przywódcy dwóch najczynniej występujących stronnictw, nie znali jeszcze tajemnych planów berlińskiego i petersburskiego dworów, ani nazwiska nowego kandydata do tronu. Przebendowski kasztelan chełmiński zrećźnie łudził przez długi przeciąg czasu posta francuzkiego, tak iż tenże zaliczał go do grona najgorliwszych swych sprzymierzeńców. Nie tańł zatém swego rozczarowania, skoro ujrzał go po stronie nieprzyjaznego obozu. Później tak samo zwodził kasztelan królewicza Jakóba i jego stronników, zanim wystąpił jawnie z kandydaturą elektora saskiego, którego oddawna był tajemniczym agentem.

Nadzieje rodziny Sobieskich polegały najwięcej w ostatnich czasach na Jabłonowskich. Głowa tego domu, hetman w. kor. zabawiony naprzód aktem rozwiązywania konfederacji wojskowej, następnie przyjmowaniem posłów tatarskich, mieszkał ciągle we Lwowie aż do ostatnich dni maja. W przeciągu tego czasu odbierał listy od zagranicznych książąt i posłów, jako téż od znakomitych w kraju osób, które proponowały mu różnych kandydatów do tronu, ale on pozostawał dotąd wierny zobowiązaniom względem rodziny Sobieskich. W początku, w epoce sporów królewicza Jakóba z matką, myślał hetman o wyniesieniu na tron królewicza Aleksandra, w skutku zaś zrzeczenia się młodszych synów króla Jana, chciał proponować zięcia, Maksymiliana elektora bawarskiego. Ale mąż Teresy Sobieskiej nie starał się usilnie o koronę polską. Hetman więc stanął na czele stronnictwa, popieranego ostatecznie przez królową Maryą Kazimirę, na korzyść najstarszego jój syna. Oprócz Dąbskiego biskupa kujawskiego i innych, którzy stali dość długo i wiernie przy królewiczu Jakóbie, Rafał Leszczyński generał wielkopolski, zięć hetmana Jabłonowskiego, był jednym z najpotężniejszych filarów tego stronnictwa. Mąż ten, jako po-

wiernik Maryi Kazimiry, stał się celem obelg i pocisków, miotanych przez jej nieprzyjaciół. Syn jego Stanisław, młody starosta odolanowski, zasłynął już wówczas z niepospolitego rozumu, dowcipu i wymowy. Dziad jego Jabłonowski i wszyscy stronnicy Sobieskich wielką w nim pokładali nadzieję, starali się więc usilnie, aby on został wybrany marszałkiem sejmu elekcyjnego. Wnoszono nie bez przyczyny, że los królewicza Jakóba i dynastji Sobieskich, zależy od wyboru marszałka, który zazwyczaj wywierał wpływ niepośledni na sprawę elekcyi.

Z drugieji strony poseł Polignac i Lubomirski nie zasypiali też swojej sprawy. Przejścia z jednego do drugiego obozu i tym podobne odstępstwa były wówczas na porządku dziennym. Adam Sieniawski, długo stronnik królowej, porozumiawszy się z kontystami, mianowicie z prymasem kardynałem Radziejewskim i z Hieronimem Lubomirskim, wyłamał się z pod wpływu żony, porzucił stronnictwa królewicza Jakóba i ofiarował swe usługi księciu francuzkiemu.

Walka w sferach politycznych wywoływała częstokroć niesnaski w rodzinnych kołach. Wiadomość o zmianie stanowiska męża, przyjęła najprzód pani Sieniawska z niedowierzaniem, następnie z oburzeniem i zgrozą. Więść ta dotknęła żywo pannę Teofilę, widziała bowiem teraz brata i narzeczonego w dwóch przeciwnych obozach, które za lada chwilę mogły zamienić się w scenę bratobójczej walki.

W pierwszych dniach maja, w zamku Oleszyckim czyniono przygotowania do podróży. Wojewoda miał jechać na sejm elekcyjny do Warszawy, żona jego wybierała się w podróż do Gdańska, w ślad za królową Maryą Kazimirą. Anna Potocka łowczyzna koronna zabierała z sobą siostrę Teofilę Sieniawską.

Wojewodzina bełzka, opuszczając dom męża i rozłączając się z nim na czas nieograniczony, postanowiła raz jeszcze użyć swego wpływu i skruszyć węzły, łączące go z stronnictwem księcia Conti. Odstępstwo męża dotkliwą jej miłości własnej zadało ranę. Adam Sieniawski porzucił obóz królowej w stanowczej chwili, kiedy stronnicy dynastji Sobieskich, połączyli się pod chorągwią królewicza Jakóba, wyrzekłszy się myśli popierania elektora bawarskiego i młodszych synów króla Jana.

Około godziny 5 po południu siedziała pani Sieniawska w błękitnej sali zamku Oleszyckiego, obok marmurowego stołu, na którym leżały gazety i listy świeżo odebrane z poczty. Zajęta była w tej chwili czytaniem listu Maryi Kazimiry, która pisała do niej z Częstochowy, przed wyjazdem do Gdańska. Poleciała się królowa pamięci swych przyjaciół, mianowicie Jabłonowskich i Adama Sieniawskiego, nie wiedząc jeszcze o odstępstwie męża swęj przyjaciółki. Prosiła ją następnie, aby pośpieszała za nią do Gdańska, jeżeli nie zajdą jakie nieprzewidziane przeszkody.

Po przeczytaniu tego listu oparła wojewodzina głowę na dłoni, i w głębokiej pograżyła się zadumie. Jej twarz blada, lecz pełna wyrazu, z oczami błyszczącemi dowcipem i prawie mężką energią, jaśnia-

ła w tój chwili pięknoscia i dziwnym urokiem. Ubrana była w dniu tym skromnie, lecz wdzięcznie, w wyciętej szafirowej sukni, w zarzuconym niedbale tureckim szalu, nie zakrywającym białych okrągłych ramion, na które spadały czarne pukle jój włosów. Zadrżała nagle, usłyszawszy stapanie w przyległym korytarzu. Była to godzina, w której wojewoda przychodził zazwyczaj do sali dla czytania gazet i korespondencyi. Nastąpiła chwila, w której pani Sieniawska postanowiła użyć całego wpływu wdzięków niewieścich i wymowy, na pokonanie uporu męża.

Wszedł wojewoda z listem w rękę i zatrzymał się na środku sali, gdyż żona zdawała się niesłyszeć jego kroków, zatopiwszy wzrok w stosie rozrzuconych przed nią papierów. Uśmiechnął się patrząc na piękne zadumane oblicze małżonki, poczem zbliżył się do niój i rzekł żartobliwie:

— Przychodzę do ciebie, moja panno, z ważną, otrzymaną w tój chwili korespondencyą. Poseł francuzki i nasz prymas donoszą mi, że królewicz Jakób rzeka się zupełnie swych pretensyi do tronu, w dowód czego przysyłają mi list wojewody braclawskiego, który jak wiadomo był zawsze jednym z najwierniejszych sług i przyjaciół domu królewskiego. Uradowany kardynał prymas pisze w zakończenu listu: Vivat książę Conti, przysły król Polski!

Pani Sieniawska, po wysłuchaniu słów męża, zatapiając wzrok bystry w jego twarzy, rzekła z namysłem, wolnym i stanowczym głosem:

— Nieprzeliczone jak widzę są fortele i koncepta posła francuzkiego, któremi chce zwodzić i jednać sobie łatwowiernych stronników. Dziwna, zaprawdę, wieść i trudna do uwierzenia, że królewicz Jakób rzeka się pretensyi swych do korony, w najfortunniejszej właśnie dla niego chwili, kiedy z dniem każdym zwiększa się liczba jego stronników. Owoż nie wierzę wcale temu doniesieniu. Widzę tylko, że JMPan wojewoda braclawski, złudzony obietnicami stronnictwa francuzkiego, zachwiał się w dawniej wierności względem królewicza Jakóba, jakoż chce wytłumaczyć swą zdradę rozgłoszeniem tój fałszywej wieści...

Wymawiając ostatnie wyrazy, nie mogła ukryć pani Sieniawska uczucia oburzenia i gniewu, usta jój ściągnęły się szyderczym uśmiechem.

Wojewoda siadł na krześle obok żony, wziął ją za rękę i rzekł łagodnie:

— Powtarzam ci moja panno, nie wierz doniesieniom o sukcesach królewicza Jakóba. Sprawa jego upadła najzupełniej i sama królowa Jejmość nie ufa już jego powodzeniu. Jedyne przez złość i inwidyę dla Polignacka, instancyonuje ona za swoim synem. Nie dziwię się też wcale, że mąż tak roztropny jak wojewoda braclawski, porzuca w końcu sprawę, uważaną powszechnie za przegraną. My wszyscy, równie jak on, dawni przyjaciele królewskiego domu, bronili-

śmy wiernie interesów królowej Maryi Kazimiry i jej synów, dopóki jakąkolwiek mogliśmy mieć nadzieję, że dynastia Sobieskich utrzyma się na tronie. Dziś szaleństwem jest upierać się przy kandydaturze królewicza Jakóba, który znienawidzony przez szlachtę, nie może już nawet na postronną rachować pomoc, skoro poseł cesarski oświadczył wyraźnie, że pan jego nie wyda w interesie królewicza ani jednego talara.

Wojewodzina westchnęła ciężko, spojrziała żalonym wzrokiem na męża i odpowiedziała:

— Protestuję przeciw argumentowi, jakoby królewicz Jakób znienawidzony był przez szlachtę... Tylko szlachta zostająca w usługach osobistych nieprzyjaciół królowej Jejmości i jej syna, podbechtana przez nich, może okazywać nienawiść względem domu królewskiego. Wprawdzie, panowie ci szkodzą wielce sprawie królewicza, wystawiając jego osobę w jak najohydniejszej postaci. Za ich to staraniem wychodzą na świat owe teatra i opery, gdzie opisany jest najstarszy syn ś. p. króla Jana, jako straszliwe monstrum, przeznaczone na zagubę swobód i wolności polskiej, w razie ukoronowania na króla. Oni to czynią go niemcem, nieprzyjacielem i zdrajcą własnego kraju. Ale rzecz dziwna, że ci sami, którzy uczynili go niemcem, głoszą teraz, że królewicz na postronną pomoc nie może rachować wcale? Zarzut więc zdrady, jak wiele innych, wyniewontowany jest przez złych ludzi, w celu oczernienia królewicza przed współstwem, które chętnie nadstawia ucha na wszelkie paszkwile i kalumnie. Zgadzam się, że dom Sobieskich wielu dziś liczy nieprzyjaciół, oraz że nie może rachować na pomoc obcych potencji... Czyż godzi się dlatego nazywać szaleństwem wierność i poświęcenie ludzi, którzy jak hetman W. Kor., syn jego wojewoda wołyński i zięć generał wielkopolski, nie zachwiali się w wierze i przyjaźni dla królowej Jejmości i całej rodziny?

— Hetman W. Kor. i syn jego—odparł poważnie wojewoda—zajęci sprawą wojska i likwidacją żołdu we Lwowie, nie wiedzą jak stoi sprawa królewicza Jakóba; więc złudzeni przedstawieniami królowej Jejmości, przeszli wraz z innemi stronnikami elektora bawarskiego do obozu najstarszego z synów króla Jana. Ale skoro dowiedzą się że królewicz zrzeka się pretensyi do korony, zadeklarują się i oni za innym kandydatem.

— Ale tym kandydatem nie będzie książę Conti!—podchwyciła porywczco wojewodzina i dodała po chwili:—Ręczę, że hetman W. Kor. nie opuści do ostatniej chwili domu królewskiego, w razie zaś zrzeczenia się królewicza, nie połączy się z jawnymi nieprzyjaciółmi Sobieskich.

— Nie wiem, czemuby hetman W. Kor. nie miał stanąć po stronie księcia protegowanego przez największego z europejskich królów, a którego bohaterские akcyje znane są całemu światu?

— Nie zadeklaruje się za nim nigdy!—rzekła z uniesieniem pani Sieniawska—dla wielu i bardzo ważnych racyi, z których ta jest naj-

pryncypalniejsza, że poseł francuzki zdradzając królowę Jejmość i jej rodzinę, na żadną nie zasługuje wiarę. Tak jest, ksiądz Polignac zdradził ją w chwili, kiedy z najgorętszą oświadczał się przyjaźnią a pracował już wtedy nad zdradą domu Sobieskich, pomimo woli swego monarchy, który zalecał mu kandydaturę jednego z młodszych królewiczów lub elektora bawarskiego. Mężu mój! kto szanuje pamięć zmarłego króla, kto nazywał się przyjacielem jego domu, nie może łączyć się z wrogami Sobieskich, dla wyniesienia na tron francuzkiego księcia...

Tak mówiła pani Sieniawska z wzrastającym zapałem, poczem zatrzymała się nagle, jakby oczekując na odpowiedź męża.

Wojewoda zadumał się na chwilę, poczem biorąc za rękę żonę odpowiedział:

— Fałszywe to jest zadanie, jakoby wszyscy stronnicy księcia Conti, byli wrogami ś. p. króla Jana i jego rodziny. Pierwszy ksiądz kardynał Radziejowski dał jawne dokumenta przyjaźni królowej Jejmości, występując na sejmie konwokacyjnym w obronie jej dożywocia i majątku. Toż i inni zacni senatorowie, jak: Stanisław Małachowski wojewoda kaliski i Stefan Bidziński kasztelan sandomirski ofiarowali z początku swe usługi królowej. Nie ich zaś wcale jest winą, że królowa Jejmość nie chciała słuchać niczyjej rady i rozpoczynszy najprzód walkę z własnym synem, wielu potem skrytych i jawnych narobiła sobie nieprzyjaciół. Czyżaj jest winą, że wdowa po królu Janie, zamiast wszelkiemi siłami dopomagać synom, sama zamyślała o przywłaszczeniu berła przez poślubienie jednego z panów hetmanów? Ale fatalnie nie udała się impreza, bo JMPan Sapieha, zakłopotany sporem z biskupem, potem konfederacją na Litwie, nie chciał żenić się z starą królową i brać pewny kłopot na głowę, dla niepewnej nadziei korony. Toż i JMPan Jabłonowski nie przyjął jej propozycji, jako człowiek rozumny i stateczny...

Kiedy wymawiał wojewoda ostatnie wyrazy, żona jego miotana uczuciem zgrozy i żalu, zawołała z oburzeniem:

— Takie to potwarze, rzucane na królową Jejmość i jej rodzinę, mając być dowodem szczerości i wdzięczności dawnych sług ś. p. króla, którzy ofiarowali z początku swe służby i pomoc jego rodzinie? Oświadczenia ich tak były fałszywe jak fałszywe są rzucane przez nich potwarze. Wołę jawnych nieprzyjaciół królewskiego domu, jak JMPan podskarbi, stryj mój, niż owych przeniwierców, jak kasztelan sandomirski i jemu podobni!

To powiedziawszy z najżywszém uniesieniem wyrwała dłoń swoją z rąk męża i zmierzyła go wzrokiem pogardy.

Wojewoda zerwał się z miejsca i zawołał z gniewem:

— Więc stryj WMPani jest wrogiem a mąż przeniwiercą: pragnąłbym wiedzieć kogo nazywasz swym przyjacielem?

— Kto jest przyjacielem królowej, ten jest i moim, innego nie znam i nie chcę znać wcale, bo przyjaźń królowej Jejmości droższą mi jest od wszystkich koligacyi na świecie.

— Dodaj jeszcze WMPani, od ojca i od męża!—krzyknął zapezrony wojewoda.

Pani Sieniawska zakryła twarz rękami, jakby nie mogąc znieść niemiłego widoku. Wojewoda przeszedł się kilka razy wzdłuż sali, poczem zatrzymał się przed żoną i zawołał:

— Jeżeli wszyscy Kontyści, nie wyłączając męża, są nieprzyjaciółmi WMPani, nie wielu naliczysz przyjaciół, skoro księżę ten nie za długo okrzyknięty zostanie królem!—to powiedziawszy, ściągnął usta wymuszonym uśmiechem.

Pani Sieniawska podniosła dumnie głowę a twarz jój blada oblała się nagle rumieńcem, kiedy rzekła uroczystym, jakby natchnionym głosem:

— Księżę Conti nie będzie nigdy królem polskim!

— Zkąd to wiesz WMPani?—zapytał szyderczo wojewoda.

— Znam wiele powodów, dla których księżę ten nie otrzyma pożądanęj przez niego korony, ale wyliczać ich dziś nie mam żadnej potrzeby, zwłaszcza że wyliczeniem tych przyczyn nie przekonam gorliwych jego partyzantów. Z czasem, przysznacie mi dopiero słuszność, skoro sprawdzi się moja przepowiednia.

— Może królowa Jejmość z panami Jabłonowskimi i WMPanią nie pozwolicie na jego elekcyą?

— Może!—odpowiedziała z dumą pani Sieniawska.

— Nie obawiam się tój przeszkody i nie straszy mię WMPani prorocstwo. Wątpię, aby znaleźli się tak szaleni ludzie, którzyby zechcieli za królewicza Jakóba domową zapalać wojnę.

— Nie chcecie polskiego królewicza, myśląc że wprowadzicie na tron francuzkiego księcia. A ja ostrzegam WMPanów, że stokroć prędziej niż Francuza, rodowitego dostaniecie Niemca.

— Wiem, że partyzanci Jakóba, wolą stokroć więcej widzieć na tronie niemieckiego niż francuzkiego księcia. I nie dziw, skoro ich królewicz, najwięcej w niemieckich smakuje potrawach i w niemieckim kocha się obyczaj. Co do mnie, ofiarowałem usługę moję księciu Conti i bronić będę jego elekcyi: nim spełni się WMPani prorocstwo i nim niemca nam narzucą na króla, my ogłosimy królem księcia francuzkiego.

Powiedziawszy ostatnie wyrazy, wybiegł szybko wojewoda z komnaty, jakby nie chciał przedłużać niemikiej z żoną dysputy.

Wojewodzina mocno była wzruszona. Trapiła ją najwięcej myśl upokorzenia, jakiego dozna w obliczu królowej i przyjaciół, którym ręczyła niedawno za męża, że wytrwa w wierności względem domu Sobieskich. Przekonała się z tój rozmowy, że nie podola już przełamać uporcu męża, i jako ten poddał się najzupełniej wpływowi księdza Polignaca i Lubomirskich; jakoż z obojętnego sprzymierzeńca królewicza Jakóba, stał się teraz jednym z najgorliwszych stronników księcia Con-

ti; postanowiła więc niezwłocznie w dniu następnym wyjechać za królową do Gdańska.

Drezczona myślą niemiłych świeżo doznanych wrażeń, przechadzała się wojewodzina szybkimi krokami po komnacie, ale wkrótce mocnym dotknięta bólem głowy, chcąc wolniejszym odetchnąć powietrzem, wybiegła przez długi korytarz i wschody, wiodące ku stronie ogrodu.

Słońce chyliło się ku zachodowi i konary drzew kąpały się w jego promieniach, kiedy pani Sieniawska weszła do ogrodu i zasiadła w ustroniu pod lipą na darniowej ławce. Puściwszy swobodne wodze myślom, tworzyła różne plany podźwignienia sprawy rodziny Sobieskich. Postanowiła w przejeździe do Gdańska zatrzymać się dni kilka w Warszawie, gdzie miała naradzić się z królewiczem Jakóbem, z kanclerzyną Wielopolską i innymi wpływowymi osobami, na których przychyłość mógł królewicz najwięcej rachować. Wiedząc, że ojciec jej Stanisław, nie sprzyja rodzinie zmarłego króla i jest stronnikiem księcia Conti, równie jak wszyscy Lubomirscy, postanowiła nie powierzać nikomu z rodziny swych planów, lecz porozumieć się potajemnie z osobami, nie związanymi jeszcze silniejszym węzłem z żadnym stronnictwem. Miała tu na myśli dawnych przyjaciół Maryi Kazimiry, którzy zwątpiwszy o sprawie dynastji Sobieskich, zamierzali dopiero przejść do obozu księcia Conti, lub wahali się w wyborze i do żadnego nie należeli dotąd stronnictwa.

Takie układała plany pani Sieniawska, kiedy usłyszała za sobą szelest i odwróciwszy głowę ujrzła zbliżające się siostry męża: łowczynę koronną i pannę Teofilę. Pierwsza szła z głową podniesioną, chociaż z wyrazem zakłopotania w obliczu; druga zdała się być złamana świeżem cierpieniem, o czém świadczyły wymownie blade jęj lica i oczy zamglone.

Zauważała wojewodzina tę zmianę, więc niespokojnym zapytała głosem:

— Co to jest, Tosiu, czy jakie nowe stało się nieszczęście?

— Nic nowego, miła pani bratowo: zawsze ten sam los niefortunny prześladowuje mnie i pana chorążego.

To powiedziawszy, zapłakała i zakryła twarz chustką. Pani Sieniawska, szanując boleść panny Teofili, zwróciła się ku jęj siostrze z wyrazem głębokiego współczucia. Pani łowczyzna wyręczając siostrę, rzekła:

— Prawda, że niefortunną odebrałyśmy wiadomość ze Lwowa. Píše mój mąż, że sułtan Kazi Gerej, stanął z wielką ordą pod Sniatynem i że zagroził całemu Pokuciu. JmPan hetman w. kor. oddał generalną komendę memu mężowi, który z p. chorążym wybiera się do obozu. Nie cieszy mię ta wyprawa, bo już pewnie nie zastanę męża we Lwowie, a miałam bardzo ważne komisa od pana brata do niego. Ale nie myślę poddawać się desperacyi i łaję za to Tosię, że za lada niefortunną wieścią płacze i traci głowę.

— Nie mów tak, siostrzo!—z goryczą zawołała panna Teofila.— Nie jestem tak szalona, ażebym desperowała nad tém, że chorąży wyjeżdża naprzeciw inkursyi tatarskiej. Jestto powinność każdego szlachcica walczyć w obronie kraju i wiary. Uchowaj Boże, ażebym ja, córka hetmana, miała płakać nad rycerską chorążego akcją; płacze raczej nad tém, że znów niezastużone spotykają mię wyrzuty i niełaska pana brata...

— Wyrzucił ci mój mąż zapewne miłość dla chorążego?—zapytała pani Sieniawska.

— Tak jest, zawołał mię przed chwilą do swego pokoju i powiedział, ażebym doniosła chorążemu, że nie wyprawi nam nigdy wesela, jeżeli on i brat jego p. wojewoda wołyński nie ogłoszą się jego przyjaciółmi i nie będą mu dopomagać na elekcyi. Kiedy zaś protestowałam się przed nim, że nie mogę wtrącać się do politycznych akcji panów Jabłonowskich, jakoż nieznanne są mi w téj mierze ich intencye, rozdał się na mnie pan brat srodze i rzekł, że nie znam nic prócz amorów, któremi zabałamuconą mam głowę. Na to odpowiedziałam z winną submisją, jako za zezwoleniem brata i opiekuna, przyrzekłam niedawno dozgonną przyjaźń chorążemu. Ztąd jeszcze większą uniósł się furią i zawołał: „Zezwalałem wtedy pod warunkiem, że przyszły szwagier akomodować się zechce i będzie mi przyjacielem. Jeśli panowie Jabłonowscy nie zechcą usłuchać méj propozycyi, nie będzie nigdy między nami zgody i wszelkie zrywają się układy...” Témi mię pan brat pożegnał słowy i wyszedł zagniewany okrutnie, choć Bóg świadkiem, że nie wiem, czém zasłużyłam na tę niełaskę...

Pani Sieniawska uściśnęła z współczuciem drżącą rękę panny Teofili i rzekła:

— Bądź dobrej myśli, Tosiu, uzbrój się w cierpliwość i czekaj, przeminie ta burza i lepsze nastaną czasy. Żal mi że z tobą rozstać się muszę i może na długo.... Pojedziesz z siostrą do Dzwinirodu, gdzie będziesz częste odbierać o panu chorążym relacje. Poczieszaj się myślą, że chorąży nie złamie ci wiary, skoro dał tyle dowodów niekłamnego afektu, Zresztą, czas temu wszystkiemu zaradzi.

Odpowiedź bratowej nie pocieszyła panny Sieniawskiej. W przeciągu trzechletnich konkurów chorążego, tyle doświadczyła zawodów, że z bojaźnią spoglądała w przyszłość, która w coraz ciemniejszej przedstawiała się jój barwie.

— Opuszczasz mię więc, miła WMPani bratowo!—zawołała składając ręce wojewodzianka i dodała po chwili smutnie zwieszając głowę:—Jak ty odjedziesz, któż ze mną biedną instancyonować będzie do pana brata?

— Nie frasuj się moim odjazdem, miła Tosiu. Nie zapomnę o tobie i pisywać będę z Gdańska. Obecność moja tutaj i instancya nic dziś nie pomoże. Przyjaźń dla królowej Jójmości poróżniła mię z mężem, który do przeciwnéj należy partyi. Gniewa się na mnie, równie jak na pana chorążego i na wszystkich panów Jabłonowskich

za to, że nie protegujemy księcia Conti. Spodziewam się, że z końcem elekcyi króla, nadejdzie szczęśliwa pojednania chwila, zatem zagładzą się niechęci i dawnéj przyjaźni utwierdzą się ogniwa. Ufaj w Bogu, miła Tosiu, polecam cię Jego Wszechmocnej opiece.

Mówiąc te słowa przycisnęła wojewodzina do serca pannę Teofilę, która westchnieniem i łzami odpowiedziała na jęj pieśczoćy.

Łowczyzna koronna, widząc rozczulenie siostry, ruszyła ramionami z wyrazem politowania na twarzy i poszła ku stronie pałacu.

Zmrok już nastał zupełny, kiedy jeszcze siedziała wojewodzina bełzka z siostrą męża w ogrodzie, pocieszając ją i podając rady, jak ma zachować się teraz względem brata i narzeczonego. Ta zaś treść była rady, ażeby panna nie sprzeciwiała się woli brata, lecz oczekiwała spokojnie w Dźwinigrodzie dokończenia elekcyjnego sejmu. Pocieszała ją przytém, że skoro tylko przyjaźniejsza nastanie chwila, ona odbierze ją z domu siostry i starać się będzie najusilniej o doprowadzenie do skutku ich małżeństwa: tymczasem zalecała jęj cierpliwość i wytrwałość w przeciwnościach.

Rady te, jakkolwiek rozumne i z szczerego wypływające serca, nie mogły uspokoić wojewodzianki, serce jęj bowiem drżało na myśl rozłączenia się na czas długi z bratową, która w sieroctwie jęj była drugą, przybraną matką.

W dniu następnym wyruszyła pani Sieniawska w podróż do Warszawy i do Gdańska, na trzeci zaś dzień mąż jęj wyjechał na sejm elekcyjny do Warszawy. Panna Teofila Sieniawska udała się z siostrą do Dźwinigrodu.

VI.

Listy Aleksandra Jabłonowskiego chorążego koronnego, do księdza Jana Perkiewicza.

z Warszawy, d. 1 Junii.

Obligowałeś mię, Ojcze Janie, abym donosił o moich prywatnych i publicznych akcyach w czasie sejmu elekcyjnego, przyrzekając, że komunikować będziesz listy moje w Dźwinigrodzie JMPani łowczyńni koronnej i jęj siostrze. Odkąd więc przyjechałem do Warszawy, notuję wszystkie dzienne sprawy i wierną przesyłam ich relacyą. Wiész zapewne, Ojcze, że skoro nie przysłała do skutku projektowana wyprawa, odebrałem w obozie od pana ojca instrukcyą i rozkaz pospiesznego wyjazdu do Warszawy. Chcąc w oznaczonym stawić się terminie, nie mogłem żadną miarą wstąpić do Dźwinigrodu. Tandem zaczynam teraz od doniesienia, że na przyjeźdnie do Warszawy, zafrasował mię mocno list JMPana Sieniawskiego, który grozi utratą łąski i gniewem, jeżeli nie będę mu dopomagać do elekcyi księcia Conti. Tymczasem, wiadomo już wszystkim, że dom nasz wcale inne układa projekta. Jegomość mój ojciec dobrodzięj, po konferencyi z posłem bawarskim, zdaje się, że odstąpi elektora i zadeklaruje się jawnie za

królewiczem Jakóbem. Szwagier mój JMPan Rafał Leszczyński, chociaż rozniewał się teraz na królewicza, jako wierny sługa i przyjaciel królewskiego domu, gotów jest zgodzić się na jego elekcyą.

Nazajutrz po moim przyjeździe, poszedłem do domu szwagra, zastałem siostrę wielce zafrasowaną. Opowiadała mi prawie z płaczem, że złe i niesforne języki, starają się znieśliwić dom ich zadaniem, jakoby mąż jój był autorem związku. Wymyślono tę kalumnię dla przeszkodzenia elekcyi synowi, który jest kandydatem do marszałkowskiej łaski. Siostrzeniec mój Stanisław potwierdził słowa matki i opowiadał o burzliwych sprawach rozpoczętego sejmu. Żądano najprzód oddalenia gwardyi i astystencyi pańskich, które to żądanie poparli Sandomierzanie wielce szaloną akcyą. Kilkuset wpadło w okopy z dobytymi szablami, protestując przeciw imprezie Działyńskiego krajczego koronnego, który przeszło pięciuset ludzi pod okopy sprowadził. Cóż sami Sandomierzanie afrontowali niedawno francuzkiego posła i strzelali pono do jego karety. Tandem dzień za dniem schodzi na próżnych gadaninach i kłótniach. Nie chcą w kole obierać marszałka, dopóki nie odkryją autora związku. D. 29 Maii pojechałem z Jegomością dobrodziejem i z bratem do okopów. Wszedłszy do koła pomiędzy postów, spotkałem się najpierw z przyjacielem naszego domu JMPanem Stamirowskim, który pracuje najgorliwiej pomiędzy szlachtą, nad skaptowaniem głosów dla starosty odolanowskiego na marszałkowską łaskę. Aliści ledwie przemówiłem słów kilka z przyjacielem naszym, powstał szmer w kole, i wszystkich zwróciły się oczy na Gruszczyńskiego posła kaliskiego, który grzmiącym ozwał się głosem: „Królowa Jejmość spraktykowała związek, mam dowody na to w kopiach jój listów do p. Baranowskiego pisanych.“ To powiedziawszy oddał dawnemu marszałkowi papiery, ztąd powstał tumult straszliwy, jedni bowiem *urgent*, aby czytano, drudzy nie zezwalali, lecz żądali okazania oryginałów. Marszałek prosił, aby na później odłożono tę materią, teraz zaś zagrzewał do obioru nowego marszałka. Znaleźli się też gorliwi obrońcy honoru królowej i szwagra mojego generała wielkopolskiego, między innymi, p. Naramowski burgrabia poznański rzekł: „Nie zdobi to JMPana Gruszczyńskiego, *quod assumpsit infame genus delatoris* ¹⁾, niech Jegomość dowiedzie tak haniebnego zadania.“ Gruszczyński na to: „Nie żadna dependencya ani interes prywatny wiedzie mię do tego, ale miłość publicznego dobra nakazuje mi ogłosić fakcyą szkodliwą ojczyźnie. Oryginały dokumentów znajdziecie panowie bracia u panów podskarbich.“

Usłyszawszy to, jedni chcieli natychmiast posłać do podskarbich i zapytać ich o dokumenta, w téj liczbie byli przyjaciele generała wielkopolskiego i nasi, którzy domagali się osądzenia sprawy i zdjęcia zarzutu infamii. Niektórzy radzili piérwój obrać nowego marszałka, podając tę rację, że pod starą łaską nie może być sąd legalnym. Inni,

¹⁾ Że stawia się w niecnym charakterze oskarżyciela.

jawni nieprzyjaciele królowej i panów Leszczyńskich, wołali że przed elekcyą powinien być usunięty od konkurencyi starosta odolanowski, jako obowiązany domowi królewskiemu. Kiedy tak różne dają się słyszeć vota i opinie, siostrzan mój starosta odolanowski, zwrócił się do Wielkopolanów i rzekł: „Tuszę po afektach WMPanów, że mając wzgląd na wielkie *merita* antenatów moich, nie odstąpiacie mi *suffragiis suis* a ja postaram się wszelkimi siłami zaradzić publicznej potrzebie i życzeniu WMPanów.” Po tej przemowie starosty odolanowskiego, stanęli znów Poznańczycy w obronie ojca jego JMPana generała, jakoż jeden z nich prawił w ten sens: „Upadło *lumen et columen* ¹⁾ Rzeczypospolitej, skoro na tak nieskalanego pana i na dom jego rzucane są bezecne kalumnie. Pomści Bóg tę krzywdę i okaże niewinność sprawiedliwego.” Potem różne były protestacye, ale najmądrzej mówił przyjaciel nasz Stamirowski. Wywodził on najprzód, jako fundament elekcyi jest obranie marszałka, od czego potrzeba było dawno już zacząć; dalej prosił o *judicium* i karę na delatora za okazywanie kopii dokumentu, którego nikt nie widział oryginału. Zatem tak jeszcze prawił: „Zadają JMPanu generałowi wielkopolskiemu, jako wziął sto tysięcy za fakcyę; proszę o sąd WMPanów, bo czyż godzi się czynić takie zadanie mężowi, który żadną nie zmazał się podłością?... Czyż nie jest wiadomo wszystkim, że pieniądze dane przez królowę użyte zostały na rozwiązanie konfederacyi?” i t. d. Rzeczą zaś całą zakończył propozycyą, ażeby odrzuciwszy potwarze przystąpiono do elekcyi marszałka. Ale nie przyszło do kręskowania i zalimitowano sessyą.

W następnych dniach sam tylko jeździłem do koła, gdyż Jego-mość dobrodziej i brat mój oddawali wizyty: księdzu Dąbskiemu biskupowi kujawskiemu, wojewodzie wileńskiemu i innym, z którymi naradzali się w materji kandydatów. Skoro przyjechałem dnia 30 do szopy, usłyszałem znowu krzyki na mniemanego autora związku. Rzuczono te same kalumnie na JMPana generała wielkopolskiego, czem oburzono srodze jego defensor JMPan Naramowski rzekł: „Czyż można wierzyć, ażeby syn spraktykował związek przeciw ojcu? boć przecie każdy wie o tém że konfederacya wojskowa wymierzona była głównie przeciw panu hetmanowi w. kor. Ale któż z nas nie zna wielkich zasług JMPana generała wielkopolskiego, który jest jednym z pierwszych obrońców naszej wolności? Pamiętam kiedy ongi ś. p. król Jan rzekł na radzie: „Najłacniej i najprzystojniej samemu królowi sprawować rządy Rzeczypospolitej;” najpierw oponował się temu JMPan generał, mówiąc: „wolę umrzeć w wolności niż żyć w spokojnej niewoli!” Mamy nadto jawny dokument, jako niesprawiedliwie jest mu czynione zadanie spraktykowania związku, w tém że tenże sam JMPan generał wydawał przeciw konfederatom jak najostrzejsze uniwersały, gdzie nazwał ich zdrajcami ojczyzny.

Po tej mowie p. Naramowskiego, jedni bronili honoru królowej jéjmości i jéj marszałka p. Rafała Leszczyńskiego generała wielkopol-

• ¹⁾ Światło i filar.

skiego, inni przeciwnego byli umysłu; ztąd ciągłe protestacye i kłótnie, aż w końcu wniósł marszałek poselski propozycyą zaproszenia w dniu następnym senatorów do szopy, dla połączenia się z izbą poselską; ale natychmiast zaprotestowali niektórzy posłowie mówiąc, że „emulacye pańskie tamują wszelkie obrady i że nie będzie dobrze, póki nie wyrzekniemy się tój opieki.” Poseł Gurowski z Rawskiego powiedział: „Nie jako z matką ojczyzną sobie postępujemy, ale jako z macochą; w niczém się nie zgadzamy: jeden chce popa, drugi popadya; któż to robi jeśli nie panowie senatorowie, którzy tu na tém miejscu mają swoje *subiecta*? póki się nie pogodzą, nie będziem mieć *unionem* i zapraszalibyśmy ich daremnie.” Potém były znowuż protestacye różne, ale na niczém się skończyły.

Wypisałem jegomości pokrótce wszystkie akcye rozpoczętego sejmu, których świadkiem byłem od dnia mojego przyjazdu. JMPana wojewody bełzkiego nie widziałem dotąd z bliska, lecz tylko raz jeden spotkałem go w przejeździe do koła. Nie raczył on wtedy spojrzeć na mnie i odwrócił zapłonione gniewem oblicze. Na list jego pisany do mnie w materji elekcyi księcia Conti, odpisałem politycznie i grzecznie jako nie mogę dopomagać mu teraz w niczém, albowiem oddany jestem cały na usługi jegomości dobrodzieja, mojego ojca... Nateraz nie mam nic ważniejszego do doniesienia WMPanu.

List drugi.

z Warszawy, die 9 Junii.

Od czasu wyeksperyowania mego pierwszego listu, to najprzód *notandum*, że po długich wreszcie swarach przystąpiono do kręskowania na elekcyą nowego marszałka. Kandydatami są: p. Kazimierz Bieliński podkomorzy koronny i p. Stanisław Leszczyński starosta odolanowski. W dniach tych jeździliśmy do szopy z jegomością dobrodziejem i bratem. Siła szlachty przeciw nam wyjeżdżało i witało. Jegomość mój ojciec zaprosił szlachtę do stodoły, gdzie na ogromnych stołach zastawiono różne przekąski, jako téż gąsiory z wódką, piwem i winem. Naliczyłem przeszło sześciuset szlachty zgromadzonej w stodole; wszyscy byli wdzięczni bardzo jegomości dobrodziejowi i długo pili za jego zdrowie. Opowiadali się z wielką życzliwością dla naszego domu i dla krewnych naszych JMPanów Leszczyńskich, jako téż przyrzekli *solemnissime* popierać elekcyą starosty odolanowskiego. W materji elekcyi króla nie zaszło nic nowego; ciż sami kandydaci: elektor bawarski, królewicz Jakób, ksiązę Conti, badeński i Neiburczyk, proponowani są przez zagraniczne dwory. To tylko *notandum*, że jegomość dobrodziej, brat mój i koligaci nasi opuszczają Bawarczyka i deklarują się za królewiczem Jakóbem. Dawny partyzant księcia Conti, JMP. Przebendowski kasztelan chełmiński deklaruje się także za królewiczem i pisał nawet w tój materji do jegomości dobrodzieja, ofiarując się przytém dopomagać do elekcyi krewnego naszego JMPana Stanisława Leszczyńskiego na nowego marszałka sejmu.

Wczoraj, to jest dnia 8 Junii jeździliśmy wszyscy do szopy. Kréskowały się różne województwa i ziemię jako to: ruskie, wołyńskie i ziemia Dobrzyńska. Owóż kiedy Dobrznianie przystąpili do kréskowania na marszałka, wystąpił jeden ze szlachty z protestacją, że tamuje *activitatem*, dopóki nie wyłącza tych, którzy powciskali się z innych województw dla liczniejszego komputu krések. Dobrznianie prosili go z początku, aby odwołał protestację, ale kiedy szlachcic stał twardo przy swoim słowie, rzucili się na niego z hukiem i szablami. Skoro spostrzegłem tak jawne *periculum* nieboraka, ująłem się za nim i zawołałem: „Wstyd WMPanowie bracia porywać się wszystkim na jednego.” Na to usłyszałem odpowiedź: „większy on nam wstyd czyni, że będąc z nami jednej myśli, teraz dał się przefakcyonować dla pieniędzy, ale go wnet za to rozniesiemy na szablach.” Wielkopolanie ujęli się znów za szlachcicem, wywodzili że on ma rację i protestowali się przeciw kréskowaniu téj ziemi. Dobrznianie okrutnym na to zapalili się gniewem, kilka naraz z ich strony ozwało się głosów: „nie wdzieraliśmy się do waszego województwa, nie damy się téż wam wdierać do naszój ziemi!” Jeden z tłumu wyleciał obces na mnie z dobytą szablą. Nie miałem czasu się zasłonić i przypląciłbym niewątpliwie srodze, gdyby nie przytomność pana marszałka, który rzucił laskę i umitygował zawziętość mojego adwersarza. *Tandem* uspokoił się szlachcic, ucichli Wielkopolanie i kréskowała się ziemia Dobrzyńska. Ale pod koniec dnia, ktoś wieść fałszywą rozniósł w kole, że nową zawiązano konfederacją, zkąd wielki powstał tumult, liczne wyzywania i okrzyki. Osobliwie téż w dniu tym zafrasowany zostałem, bo spotkałem się oko w oko z panem Sieniawskim, który rzekł z wielkim rankorem: „jesteście moimi nieprzyjaciołmi, ale powiadam waszności, że nie doczekasz się z siostrą moją wesela.” Kiedy zaś zaprotestowałem przeciw zadaniu, jakobyśmy byli jego nieprzyjaciołmi, odpowiedział z większą jeszcze furją: „znam wszystkie wasze projekta, staracie się teraz o laskę dla starosty odolanowskiego, ażeby przy jego pomocy wynieść na tron Jakóba lub innego jakiego Piasta; ale przysięgam, że nic nie będzie z téj imprezy, bo podkomorzy koronny przekréskuje starostę, zaś Conti niezawodnie zostanie królem.” To powiedziawszy, odwrócił się natychmiast z wielką moją konfuzyą w obecności licznie zgromadzonej szlachty, i kilku panów z senatorskiego koła, którzy podsłuchali tę rozmowę. Owóż dzień ten wczorajszy podwójnie był fatalny dla mnie: najprzód z powodu napaści szlachcica z Dobrzyńskiej ziemi, który o małą głowy mojej nie rozmierzył szablą; powtóre, z okazji furji JMPana Sieniawskiego, grożącego mi, że nie doczekam się nigdy z siostrą jego wesela... Proszę więc Ojczy Janie, pokaż ten list lub donieś o wszystkim pannie Teofili. Niech przygotuje się zawczasu na pogróżki i wyrzuty brata, który w zapaleczywości ku nam strofuje ją tak często za stały afekt i wypróbowaną przyjaźń... Co do mnie, mam stałą intencją oczekiwać cierpliwie na zakończenie sejmu elekcyjnego, poczem nie zniosę już chyba dłużej prześladowań JMPana

wojewody, rzucę się do nóg panny i prosić jęj będę, aby dla złości i fantazy opiekuna i brata, nie pogardzała dożywotnim sługą, który gotów jest dla nięj na wszelką narazić się imprezę.

List trzeci.

z Warszawy, die 20 Junii.

Ważną komunikuję wiadomość, Ojczy Janie, że od dni kilku narodził się nowy kandydat do tronu, Fryderyk August elektor saski. Doniósł nam o tém najprzód JMPan Przebendowski, niegdys partyzant księcia francuzkiego, nie dawno jeszcze mniemany szczerý przyjaciel królewicza Jakóba, ale słowem krętaćz i oszust, który jak jednemu tak drugiemu nie dochował wiary. Przyszedł już do nas przed kilkoma dniami wieczorem i długo konferował z panem bratem. Mówił najprzód szeroko o partyi księcia Conti, jako nachyla się do upadku, odkąd Sapiehowie zadeklarowali się za Nejburczykiem. Dalęj prawił o partyi królewicza Jakóba, jako na zagraniczną pomoc nie może już rachować, gdyż cesarz jest obojętny dla niego i wszystko mu jedno, czy królewicz, czy którykolwiek z niemieckich książąt zasiądzie na naszym tronie, byleby tylko Conti nie został królem. Konkludował w końcu, że cesarz obojętny dla Jakóba, przystanie łatwo na elekcyję kandydata, którego zaproponuję dwór berliński.

Słyszając to zapytaliśmy jednocześnie: któż jest tym kandydatem?

— Fryderyk August elektor saski jest kandydatem, którego proponuję w imieniu swego pana, Owerbek poseł brandeburski.

— Ależ Fryderyk August jest lutrem!—okrzyknęliśmy się razem.

Na to kasztelan odpowiedział:

— Przeciwnie, Fryderyk August został już katolikiem, zatem widziany jest dziś dobrze u dworu cesarskiego. Ale mówię waszmość panom o tém pod sekretem. Rozgłoszenie tej wieści mogłoby zaszkodzić sprawie królewicza Jakóba. Nowy kandydat jest najmożniejszy ze wszystkich, bo ma pieniądze, wojsko i protekcyję sąsiednich dworów. Jeżeli nie utrzyma się królewicz, wtedy nie Conti, lecz on niezawodnie zostanie królem...

Kiedy tak mówił kasztelan chełmski, spojrzeliśmy z zadziwieniem po sobie. Zauważył to i zagadnął nas znowu:

— Mówię że niezawodnie zostanie królem, boć wątpię, ażeby znaleźli się między nami tak szaleni ludzie, którzyby chcieli za Francuza prowadzić wojnę?

Brat mój zamyslił się głęboko, poczem w ten sens odpowiedział.

— Ani my, ani nikt z naszych nie przejdzie na stronę księcia Conti, tás więcęj nikt za niego nie myśli prowadzić wojny. Ale tész dziwi nas mocno, że WMPan przyjaciel królewicza Jakóba, tak gorąco rekomenduję Sasa?

— Elektor saski—odrzekł znów Przebendowski—jest pan wielce hojny i potężny; obawiam się więcę, że ten nowy kandydat może

zaszkodzić haniebnie elekcyi królewicza, który jak waszmość panom wiadomo, wyczerpał znacznie swą szkatułę; nie wielu zresztą liczy przyjaciół i zdaje się że sam nawet zaczyna już powątpiewać o swęj fortunę. Owóż powiem WMPanom szczerze i pod sekretem, że jeżeli nie utrzymamy się przy Jakóbie, musimy zadeklarować się za Sasem, lub przejść na stronę francuzkiego pretendenta i prowadzić za niego wojnę...

Tak okolicznie prawił kasztelan, wyraźnie chcąc nas wyciągać na słowa. Brat spojrział się na mnie, potem zwracając się do Przebendowskiego rzekł:

— O jakiej waszmość mówisz wojnie?

Kasztelan na to:

— Elekcyja księcia de Conti może okrutną sprowadzić wojnę, bo sąsiednie potencye nigdy na niego nie zezwolą. Słyszałem nawet, że wkrótce ma przybyć poseł od Cara z protestacją przeciwko kandydaturze księcia francuzkiego.

Mój brat zamyślił się znowu i odpowiedział po chwili:

— Obawiam się, aby różność głosów na sejmie elekcyjnym nie rozerwała Rzeczypospolitej na dwa lub trzy walczące obozy, gdy jedni wołać będą za francuzem, drudzy za niemcem, trzeci za królewiczem Jakóbem. Mojem więc zdaniem powinniśmy stać wiernie przy domu królewskim i starać się o elekcyą królewicza. Przeciw elekcyi téj sąsiednie dwory protestować nie będą, zaś partya francuzka, podupadła w ostatnich czasach, nie utrzyma się długo. Mówią już nawet, że JMPan Lubomirski marszałek wielki koronny, jeden z najpotężniejszych filarów księcia francuzkiego, występuje z jego szeregów. Co zaś dotyczy się elekcyi Sasa, o której waszmość wspomniałeś przed chwilą, nie mogę odpowiadać z dwóch racyi: 1) że królewicz Jakób; na którego elekcyą zdecydowaliśmy się niedawno, żyje dotąd i nie zrzeka się swych pretensyi; 2) nie słyszeliśmy wcale o propozycyach nowego kandydata, przeto nie wiemy, jak korzystne dla kraju mogą być jego warunki.

Tak polityczną odpowiedzią zakończył brat mój rozmowę z JMPanem Przebendowskim. Tandem przekonaliśmy się, że kasztelan chełmiński nie rachuje już wcale na dom królewski, odstąpił Jakóba i przeszedł do Sasa.

Zanieśliśmy natychmiast tę wiadomość panu ojcu. Jegomość dobrodziej wiedział już o tych zamysłach elektora saskiego, bo poseł brandeburski pisał do niego w téj materyi. Ale oświadczył, że dla żadnego nowego kandydata nie opuści domu królewskiego, dopóki królewicz Jakób, równie jak brat jego Aleksander, nie zrzekną się formalnie wszelkich pretensyi do tronu.

W dniu 12 Junii był wjazd publiczny wielkiego posta cesarskiego *Comitis de Lamberk Episcopi et Principis Passaviensis*. Jechał on od Karmelitów z Leszna w wielkiej karecie księcia kardynała prymasa. Przed nim szło trzydzieści siedm karet pańskich poszóstnych, za nim; sześciu trębaczów i dobosz w bogatej barwie dzikawego sukna, z galo-

nem aksamitnym, karmazynowym, złotem przerabianym. Za temi szła jazda polska, około tysiąca koni. Nakoniec jechał poseł w karecie, naprzeciw niego siedział JMPan Oborski wojewoda podlaski, deputowany od prymasa do przeprowadzania. Ośmnastu drabantów szło przy karecie w płaszczach barwianych, oraz sześciu hajduków pod strusiami piórami. Oficer jechał za karetą i prowadził dwudziestu czterech rajtarów w bogatych płaszczach, na dzielnych koniach. Za temi toczyło się kilka karet, siedzieli w nich kawalerowie i panowie z orszaku pośła. Na ulicach stało w rzędzie uszykowane wojsko, piechota i rajtarya. Chorągwie marszałkowskie przeprowadzały pośła, który tak jechał przez miasto i bramę Krakowską do kwatery swój, która była na Krakowskiem Przedmieściu, w pałacu nieboszczyka Matczyńskiego wojewody ruskiego. Jegomość dobrodziej mój ojciec, był z wizytą u pośła cesarskiego, ale nie dobrą przyniósł wiadomość dla domu królewskiego; oświadczył bowiem poseł wyraźnie, że w razie niepowodzenia królewicza Jakóba, nie będzie instancyonował więcej za jego domem i innego proponuje kandydata.

Dnia 15 Junii niefortunnie dla domu królewskiego i dla nas wszystkich wypadła elekcyja nowego marszałka. Siostrzeniec mój Stanisław Leszczyński przekręskowany został przez JMPana Bielińskiego. Mój szwagier dowiedziawszy się o tój przygodzie syna, zachorował gwałtownie. Pobiegliśmy do ich domu i zastaliśmy siostrę zdesperowaną okrutnie. Pocieszaliśmy do późnej nocy panią siostrę, ale nie mogliśmy uspokoić lamentów i srogiego żalu. Nic zresztą nie masz Ojczy Janie, nateraz do doniesienia. Nie mogąc doczekać się żadnej wiadomości ze Lwowa ani z Dźwinigrodu, od WMPana ani od pani łowczyni koronnej, pisałem wprost do panny Teofili, od której spodziewam się rychlejszą otrzymać odpowiedź.

List czwarty.

z Warszawy, die 26 Junii.

Ostatni ten tydzień jest prawdziwie wielki, bo i liczne i wielkie zaszły w nim przygody i rewolucye. Najprzód w dniach 20 i 21 Junii byłem świadkiem bardzo burzliwych sesyi. Litwini domagali się porównania w prawach hetmanów i podskarbiów litewskich z koronnemi; Koroniarze zaś żądali wykrycia i osądzenia autora związku. Owóż marszałek, widząc że w sporach tych i zamieszaniu czas napróżno się trawi, wniósł, aby odłożono na później rozprawy o porównaniu w prawach. Litwini oburzyli się na tę propozycyą, ztąd powstał tumult i straszna zwada w województwach. Panowie litewscy skoczyli z wielkim krzykiem, z dobytymi szablami *in medium*. Wzbił się w górę tłum kurzu tak ogromny, że jedni drugich rozpoznać nie mogli. Czterej hetmani i dwaj podskarbiowie ruszyli się z miejsc swych, z obawy poniesienia szwanku. Przybiegli do prymasowskiego krzesła i przy nióm stali z dobytymi szablami. Książę prymas *intrepidus* siedział, obwarowawszy dobrze tył krzesła swego towarzystwem i szlachtą. Wjazd

posła cesarkiego uspokoił tę burzę. Przyjechał on w licznej asystencji karet, paziów, lokajów i trębaczów. Wyszli naprzeciw niemu panowie marszałkowie obojga narodów, marszałek sejnu i niektórzy senatorowie przyprowadzili go do koła. Przyszędłszy, pokłonił się poseł na wszystkie strony i oddał listy kredencyonalne przez ks. sekretarza pry-masowi, poczem siadł między marszałkami i czytał instrukcyą, w której zalecał cesarz królewicza Jakóba. Po tej audyencji, czytano listy królów i książąt do kardynała. Dowiedzieliśmy się z listu Fryderyka Augusta elektora saskiego, że tenże wyrzekł się na prawdę wiary luterskiej, o tém zaś nawróceniu tak pisze, że jeszcze przed dwoma laty za natchnieniem Ducha Św. przedsięwziął drogę do Rzymu, i tam *in Urbe, Orbis domina*, do poznania wiary katolickiej przyszedł. Przekonałiśmy się téż wkrótce, że ten nowy kandydat wielu i gorliwych przyjaciół liczy. Odtąd JMPan Przebendowski, nie potajemnie już, lecz jawnie instancyjonuje za elektorem, opuściwszy królewicza Jakóba.

Na bankiecie u Jegomości dobrodzieja w d. 24 Junii mnóstwo zebrało się osób. Oprócz naszych krewnych, panów Leszczyńskich i Dzieduszyckich, był kasztelan chełmiński i inni panowie z senatorskiego i poselskiego koła, lecz nie było żadnego z partyzantów francuzkich. JMPan Przebendowski oświadczył nam po skończonym bankiecie: 1) że królewicz Jakób zrezygnował już formalnie w liście pisanym do Chomętowskiego wojewody bractawskiego; 2) że prawie wszyscy senatorowie i hetmani zadeklarowali się, że dopomagać będą do elekcyi Sasa. Dziwna i prawie nie do uwierzenia zdała się nam ta relacya, tém więcej zaś podejrzaną była wieść o rezygnacyi królewicza, przypomniawszy, że przed niedawnym czasem rozgłosili już ją raz Kontyści, w celu zaszko-dzenia jego sprawie. Bądź co bądź, łatwo można było przekonać się teraz o prawdzie téj wieści. Kiedy więc Przebendowski zalecał elektora saskiego, wspominając o pieniądzech jego, jako mają być złożone już we Wrocławiu, na zapłatę wojska i kosztu elekcyi, Jegomość dobrodziej mój ojciec, odpowiedział mu politycznie: „Trzymałem dotąd z domem ś. p. króla mojego i niedawno jeszcze dałem na to słowo, jako nie odstąpię sprawy królewicza Jakóba; dopóki więc nie przekonam się o rezygnacyi, z ust jego lub z własnoręcznego pisma, nie mogę za żadnym innym deklorować się kandydatem.“ W dniu następnym to jest 25 Junii przekonaliśmy się dokumentnie, iż prawdę mówił kasztelan chełmiński, albowiem wojewoda bractawski pokazał własnoręczny list królewicza, w którym rzeka się pretensyi do tronu; przyczém narzeka na opieszłą pomoc przyjaciół a szczególnież na niemiecką zdradę. Tandem Jegomość dobrodziej zwołał w dniu tym wszystkich przyjaciół na naradę. Postanowiono jechać natychmiast do koła i próbować, ażali nie uda się jeszcze podnieść sprawy domu królewskiego; ale nim Jegomość ojciec wyjechał do koła, przybył doń poseł saski, Fleming, z propozycjami swego pana. Pół godziny trwała sekretna audyencya, na której znajdował się i mój brat starszy. Po odejściu Fleminga, Jegomość dobrodziej był zamyślony i smutny. Posłano natychmiast zaproszenie do

JMPana Feliksa Potockiego wojewody krakowskiego. Skoro tenże przyjechał do nas, naradzano się nad kandydatami do tronu. Najprzód mówił ojciec dobrodziej, jako po zrzeczeniu się królewiczów pretensyi do tronu, słaba jest nadzieja utrzymania domu królewskiego. Wykładał dalej, że najniebezpieczniejszym dla spokoju Rzeczypospolitej kandydatem jest książę Conti, z dwóch głównie racy: 1) że naród na niego się nie zgodzi, jego zaś partyzanci: kardynał i panowie Lubomirscy, nie mając dość siły do wprowadzenia na tron swego kandydata, wywołać mogą tylko wielkie zamieszanie i burzę; powtóre, że elektor brandeburski i car Piotr protestują najsolennie przeciw elekcyi księcia Conti. I dobrze mówił Jegomość dobrodziej, albowiem poseł carski przybył już do Warszawy z hramotą swego pana, który grozi, że wyśle 100,000 wojska do Polski, jeżeli ogłoszą Polacy królem księcia francuzkiego. Poseł ten był już u kardynała prymasa z listami, lecz nie został przyjęty, zatem ma wręczyć hramotę naszemu ojcu. W następnej rozprawie oświadczył ojciec dobrodziej, że utraciwszy nadzieję wyniesienia na tron jednego z potomków ś. p. króla, gotów zadeklarować się w końcu za elektorem saskim, jeżeli przekona się dokumentnie że książę ten został już katolikiem, na co poseł saski Fleming przyrzekł okazać dowody. Zatem mówił jeszcze Jegomość dobrodziej w ten sens: „Propozycye elektora nie są do pogardzenia. Przyrzeka zaprzysiężone *pacta conventa* dotrzymywać narodowi wiernie, dalej że odbierze od Turków Kamieniec oraz inne oderwane od Rzeczypospolitej prowincye; dostarczy na każdą wojnę 6000 żołnierzy Sasów, nadto wypłaci wkrótce dziesięć milionów złp. w gotowiznie i naprawi własnym kosztem uszkodzone fortece.

Po wysłuchaniu tych racyi oznajmił JMPan Potocki, jako przekładał mu już Przebendowski propozycye elektora. Zgadza się on zupełnie ze zdaniem mojego ojca, iż najpotężniejszym z kandydatów jest Fryderyk August elektor saski; jakoż oprócz znacznych korzyści w przyrzeczonych pieniądzach i w wojsku, książę ten gwarantuje nam przyjaźń sąsiedzką postronnych mocarstw. Brat mój aprobował sentencyą Jegomości dobrodzieja i JMPana Potockiego, i wyznał, jako zadeklarował się już p. Przebendowskiemu za Sasem.

Potem jeździliśmy do koła. Wszystkie województwa stały uszykowane w polu. Prymas objeżdżał konno i zatrzymywał się przed każdą chorągwią. Pułkownicy wyjeżdżali ku niemu z komplementem, on zaś błogosławił znakiem krzyża chorągwie. Następnie objeżdżał województwa ojciec dobrodziej, po nim p. Lubomirski marszałek w. kor., nakoniec JMPan Sapieha hetman w. W. ks. litewskiego. Dzień ten zresztą zakończył się spokojnie wybraniem deputatów do *pactów conventów* i do konstytucyi, oraz uchwałą artykułów porównania praw W. ks. litewskiego z Koroną.

Wieczorem złożył poseł carski ową hramotę swego pana, jegomości dobrodziejowi mojemu ojcu.

Dziś nadszedł termin elekcyi nowego króla. Dąbski biskup kujawski i wszyscy hetmani deklarują się za Sasem.... Daj Boże, aby dzień ten tak wielki zakończył się bez wielkiej burzy, albowiem w tój i z owój strony biegają partyzanci, jedni za Sasem, drudzy za Francuzem, trzeci za Nejburczykiem.... Często słyhać okrzyki: „Vivat Conti!” przytém odgrażanie przeciwko saskim i innym niemieckim partyzantom.... Na tём muszę zakończyć dzisiejszą relacyą, bo Jegomość dobrodziej ważne i liczne daje mi polecenia.... Wkrótce z nim i z bratem wyjeżdżam do okopów. Racz mi donieść, Ojcze Janie, co słyhać w Dźwinigródzie. Dawno już żadnej nie miałem wiadomości od panny ani od jój siostry pani Łowczyny koronnój. Nie wiem czemu przypisać mam to milczenie i obawiam się, czy znów jaka niefortunna nie spotka mię przygoda....

List piąty.

z Warszawy, 15 Julii.

Wiész już zapewne, Ojcze Janie, o podwójnej elekcyi, Francuza i Sasa, o wielkiej wiszącej nad nami burzy i okrutnych kłótniach Kontystów z naszemi. Dziś już brat mój wojewoda wołyński i Jerzy Dzie duszycki wyjechali w poselstwie do elekta naszego Fryderyka Augusta. Naprózno Jegomość dobrodziej chciał nakłonić przeciwników do zgody i proponował różne w tym celu zjazdy. Kontyści żadną miarą nie chcą przyzwolić na Sasa. Najzarliwszy jest kardynał prymas. Rozesłał już listy do zagranicznych dworów, z doniesieniem o ogłoszeniu królem polskim Franciszka Ludwika de Bourbon, księcia Conti. Mówią, że wyda wkrótce uniwersały zwołujące szlachtę dla poparcia wolnej elekcyi. Tak więc Rzeczpospolita rozerwana jest teraz na dwie połowy, a Bóg wie, jak srogie jeszcze na nią zwalić się mogą *calamitates* i burze. Rezydent moskiewski przyniósł znów list od cara, w którym protestuje powtórnie przeciw elekcyi księcia francuzkiego. Wszystkie więc sąsiednie potencye, nie wyłączać cesarza zadeklarowały się za Sasem. Ale Kontyści żadnej nie chcą słuchać racyi i sprzysiegają się przeciw naszej elekcyi. Jegomość dobrodziej zafrasowany jest tём mocno, trapi się szczególnie rozdwojeniem w wojsku, przejściem niektórych chorągwi do Kontystów. Wyjeżdżam wkrótce z polecenia Jegomości dobrodzieja do obozu, gdzie wiozę pieniądze dla wojska, które znów szemrać zaczyna za niewypłacenie żołdu. Daj Boże, abym tam lepszego doznał powodzenia niż w domowych sprawach, gdzie same napotykam zawody.

Jednocześnie odebrane wiadomości wszelką odejmują mi nadzieję. Jak widzę z listów WMPana i z odpowiedzi Łowczyny koronnój, propozycya moja rozgniewała pannę Teofilę. Przyznaję, że propozycya ta była może zbyt rezolutną i hardą, ale nie spodziewałem się nigdy zasłużyć na tak wielki gniew i na taką niełaskę. Konkurując od lat czterech o rękę panny Sieniawskiej, kiedy po wielu zawodach i przygodach niefortunnych, spodziewałem się w końcu przybić do pożądanego

portu, nieprzyjazne wiatry stają znów na przeszkodzie i bronią mi dostępu. Nieszczęśliwy i skołatany przeciwnościami żeglarz, powziąłem tę hardą rezolucyą, nie widząc innego sposobu ratunku. Długo z najwyższą submissyą oczekiwałem na zezwolenie opiekuna i brata panny, poddając się rozrządzeniom zmiennej i kapryśnej jego woli. Niedawno nawet najsolenniejsze z ust jego otrzymałem słowo, jako zgadza się na oddanie mi ręki siostry, kiedy nagle w przeciwnym stanawszy obozie, bez żadnej z méj strony winy, jeno z politycznych racyi, grozi zupełnem zerwaniem i nie chce słyszeć o spełnieniu obietnicy. Owóz zwątpiwszy na zawsze, abym mógł kiedykolwiek otrzymać zezwolenie opiekuna i brata, zdecydowałem się w końcu zakołatać wprost do serca i afektów JMPanny, prosząc, ażeby nie odwoływała się więcej do zmiennej woli i postanowienia brata, lecz zaapellowała raczej do własnego afektu i przyjęła mię bez omieszkania na dożywotniego sługę. Jednocześnie napisałem list do JMPani Łowczyny Potockiej z pokorną prośbą, aby mi dopomogła w materji połączenia się związkim ślubnym z jej siostrą, jeżeli ta zechce przyjaźną odpowiedzią ukoronować moje vota. Owóz po długim milczeniu, które było prognostykiem mego nieszczęścia, odebrałem odpowiedź pani Łowczyny, z ostrými wyrzutami i jaknajśroźszém zadaniem, że chcę bałamucić jej siostrę i że szarpie sławę Sieniawskich domu. Zamysł mój ożenienia z panną bez zezwolenia brata nazwała zuchwalstwem i szaleństwem... w końcu zaś oznajmiła mi w imieniu siostry, abym nie korrespondował z nią więcej i nie oczekiwał żadnej innej odpowiedzi.... W tym sensie pisany list Łowczyny odebrałem w dniu elekcyi, nazajutrz zaś przyniesiono mi list WMPana, w którym wyczytałem niepocieszłą wiadomość czyli potwierdzenie, że JMPanna Sieniawska nie z dobrym przyjęła animuszem prośbę i propozycyą ślubu, oraz że jej siostra okrutnym wybuchła gniewem. Długo po odczytaniu tych listów żadnej nie mogłem znaleźć pociechy. Atoli wyręczając ojca dobrodzieja w różnych publicznych akcyach, przesiadując często na sesyach i zjazdach, gdzie wśród tumultu i gwaru obrad, zatapiając pamięć ciężkiego mego frasunku. Teraz zaś otrzymawszy rozkaz wyjechania do obozu, chętnie podejmuję się tego poselstwa z myślą, że służąc tak źle samemu sobie, znajdę przynajmniej sposobność usłużenia sprawie publicznej.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

En Kariole.—Podróż po Szwecyi i Norwegii p. Alberta Vandal. *Powieściopisarze współczesni.*—Studjum krytyczne przez Maryusza Topin: Georges-Sand.—Wiktor Hugo.—Balzak.—Juliusz Sandeau.—Ksawery Marmier.—Paweł Feval.—Alfons Daudet.—Trzy powieściopisarki nagrodzone przez Akademią: pani Craven, Caro, Bentzon.—Szkoła realistyczna.—Gustaw Flaubert, Emil Zola.—Powieść naukowa: Juliusz Werne.—Poemat *Sen* p. Beaugard.—*Olivier* Franciszka Coppée.—Korespondencye zmarłych literatów: Listy Georges-Sand.—Sztuka francuzka i amerykańska w Filadelfii.—Wazon porcelanowy na cześć niepodległości Stanów Zjednoczonych, wykonany w Limoges.—*Historya elektryczności* w obrazach.—*Era wyobraźni.*—*Era nauki.*—Towarzystwo naukowych podróży w około świata.—Roczne sprawozdanie klubu alpejskiego.—Nowe odkrycia antropologiczne.—Obraz Rafaela: *Wieczera Pańska*, odkryty w Nowym Orleanie.

Przy dzisiejszej łatwości podróżowania, opisy różnych krajów zasypują literaturę francuzką. Ktokolwiek przebiegł kilkaset mil, układa w snopak płony zebrane na cudzych grzędach i przynosi je w darze chciwym nowości czytelnikom. W tych snopach niestety, więcej zwykłe kłakolu i miotły, niżli czystego ziarna. Prawdziwie zajmująca podróż, stanowi dotąd wyjątek w literaturze; musimy jednak przyznać, że takie wyjątki coraz się częściej napotykają. Dosyć tu przypomnieć *Podróż do kraju miliardów* Tissota, która w ciągu roku miała trzydzieści z górą wydań. Nie odmawiając bynajmniej talentu panu Tissot, powiedzmy jednak, że do wziętości jaką zdobył opisując kraje niemieckie, nie mało przyczyniły się pociski, rzucane dowcipnie na Prusaków. Te rzuty zaprawne niewyczerpaną werwą, a częstokroć palącym jadem, musiały znaleźć szczerą oddźwięk w sercu każdego Francuza.

Równe zajęcie, lubo z innych powodów, obudził tu opis podróży po Szwecyi i Norwegii p. Alberta Vandal, wydany u Plon'a p. t. *En Kariole*. Sam tytuł rzecz tłumaczy. Autor nie poprzestał na parowcu i wagonie, ale większą część drogi odbył jednokonną karyolką, przez ciemne wąwozy i urwiska granitowych skał przecinających wzdłuż i w poprzecz półwysep Skandynawski. Ta właśnie część podróży najsilniej porywa uwagę: Stokholm, Upsal, Chrystiania, znane już z tylu opisów, ale zagrzebane w górach wsie Dalekarlii i Nordenskiöldu, po raz pierwszy wystąpiły tak wydatnie z ciemni, pod piórem zdolnego podróżnika.

Z miłością autor opisuje Skandynawów, którzy serdeczném przyjęli go także współczuciem. W charakterystyce tych ludów, uderza go

przedewszystkiem, nadzwyczajne zamiłowanie domowych pamiątek. Wielki to dowód, że tradycya może iść w parze z postępem, wbrew nowo wymyślonym teoryom. Wiadomo przecież jak szybko ludy skandynawskie posuwają się na drodze wszechstronnej cywilizacji, nigdzie jednak przeszłość nie jest bardziej jak u nich szanowaną. Ktokolwiek przyczynił się do chwały narodowej, odbiera tu gorący hołd, tak za życia jak i po śmierci. Któż nie wie, z jaką miłością Duńczycy sprowadzili do kraju siedemdziesięcioletniego Torwaldsena, jak pyszne urządzili muzeum ze wszystkich jego utworów, czyto w oryginale czy też w reprodukcji. Któż nie pamięta, że w roku zeszłym Kopenhaga okryła się żałobą po śmierci Andersena, że król sam postępował za trumną wśród pogrzebowego orszaku.

Żadne w świecie miasto, uważa autor, nie posiada tyle, jak Stokholm posągów i napisów pamiątkowych. Co krok widać tu królów ulanych ze spiżu lub wykutych z kamienia. Panują nad niemi dwie olbrzymie postacie, Gustawa Adolfa i Karola XII, szczególnych ulubieńców narodu. Słynni wodzowie, konno z rozwiniętym proporcem, strzegą placów publicznych. Berzeliusz i Linneusz odbierają cześć równą królom i bohaterom.

W muzeum monarchów, z jednakiem poszanowaniem ukazują skrzypki poety Bellmana i dyplom Linneusza, jak berło Gustawa Adolfa i laskę marszałka Francji Bernadottego. W pośród hełmów i zbroi damasceńskich, zachowany tu ze czcią gruby mundur z granatowego sukna, twarde juchtowe buty, zardzewiałe ostrogi, kapelusz filcowy cały zszarpany kulą. Mundur to prostego drabanta, nosił go przecież bohater, Karol XII, w dniu kiedy poległ na murach Frydrychshalu!

Ale nie w samych tylko muzeach i na placach publicznych zachowują Szwedzi pamiątki swjej przeszłości; żywią je niemniej w sercu, odnawiają tradycyjnym obrzędem. Autor opisuje uroczystość, w której brał udział, na cześć słynnego przed stu laty poety Bellmana. Było szwedzki Beranżer. Przez trzydzieści lat improwizował pieśni, które Stokholm umie dotąd na pamięć. Lubił szczególniej Djurgarten, odwieczny las nad Bałtykiem, zamieniony w cudną przechadzkę. Tu zbudowano mu pyszny pomnik, i tu co rok w dniu 26 czerwca, Stokholm obchodzi tryumf ulubieńca swego. Towarzystwo poetów, zwane drużyną Bellmana, śpiewa pospołu jego pieśni, wobec nieprzeliczonych tłumów. Puchar tymczasem krąży z ust do ust, w końcu drużyna napełnia go winem i wylewa na głowę poety. Na to hasło tysiące kapeluszy leci w górę, tysiące rąk przyklaskuje z zapalem. Po wrzawie następuje głęboka cisza, tłum z odkrytą głową otacza pomnik, hymn narodowy rozlega się po skałach.

Pomnik ten istnieje lat pięćdziesiąt. Inauguracja jego odbyła się uroczystie, w obecności królewskiej pary. Żyła wtenczas jeszcze wdowa Bellmana. Patrząc na hołdy ludu, rzewnemi zalewała się łzami. Widząc to królowa przybliżyła się do niej.

— Ileż ten dzień—rzcze—nasuwa ci pamiątek?

— O, tak! wiele, bardzo wiele—odeprze matrona. Wasza królewska mość nie zdoła nawet pojąć, jaki to był nudziarz w domu własnym!

Pół wieku odtąd upłynęło. Wdowa spoczęła w grobie, po trudach pożycia z tym, który sypał ziomkom czarodziejskie kwiaty poezyi, a piołuny i ciernie chował dla najbliższych. Ogół przepomniał słabostek człowieka. Postać poety coraz bardziej olbrzymieje przed oczyma potomnych.

W starożytnym Upsalu, autor bierze udział w niemiłej ważnej uroczystości. Uczniowie upsalskiej wszechnicy przyjmują uczniów z trzech wszechnic skandynawskich: z Kopenhagi, Chrystianii, Lundu i z sąsiedniego Helsingforsu; z nimi razem składają kongres naukowy. Upsalczyki witają braci ze skandynawską gościnnością. Przez pięć dni toczą się dysputy na zadany temat, wobec profesorów i starszyzny akademickiej; wieczory poświęcone wesołej lecz najprzyzwoitszej zabawie. Starożytna katedra otwiera wreszcie żelazne podwoje. Przy dźwięku dzwonów i chórze tradycyjnych pieśni, młodzież wprowadza pod sklepienia nowomianowanych doktorów. Najprzód kroczy poważny rektor, za nim cztery akademickie fakulteta. Wszyscy ubrani w czarne togi, w wielkie krochmalne kryzy, w birety naksztalt infu; długie szable szczękają im u boku. Dalej ciągnie służba uniwersytecka w stroju rycersko-zakonnym, za nią młodzież podzielona obyczajem średnich wieków, na tak zwane *narody* czyli *provincye*: dalekarlijską, gocką i ostrogocką. Zakończają pochód młodzi doktorowie, z bluszczowemi wieńcami u guzika: dawniej noszono je na głowie. Następują uściski i mowy tak po łacinie jak po szwedzku.

Z tego świata uniwersyteckiego, autor wprowadza nas do zagrody wieśniaczej. Nic oryginalniejszego jak taka zagroda w Dalekarlii, zwana Görd, obejmująca niekiedy przestrzeń zwyczajnej wioski. Wyobraźmy sobie z jakie dziesięć domków drewnianych, malowanych zwykle na czerwono; słupki tylko po rogach białe, równie jak ramy okien. Dworki opasują dziedziniec w około, tworząc mniej więcej kształtny czworobok; każdy z nich ma właściwe przeznaczenie: ten służy na skład rzeczy, tamten na piekarnią, w innym sypia, w drugim jada, trzeci stanowi kuchnię; reszta oddana czeladzi, pozostającej w służbie od pokolenia do pokolenia. Czworobok ten opasany drugim szeregiem budynków: są to stodoły, stajnie, obory i t. p. Wkoło nich ciągną się uprawne pola i żyzne pastewniki.

Do takiego to gördu przybył nasz podróżnik, żądając wózka, czyli tak zwaną *karyoti*. Gospodyni przyprowadziła konia, syn dwunastoletni młodzieniec miał służyć za woźnicę; gospodarza nie było w domu, zasiadał w téj chwili na sejmie.

Lud wiejski wyłącznie panuje w izbie niższej. Zdobył on stowisko swoje, gotowością do wielkich ofiar dla dobra kraju. Ilekroć wi-

dnokrąg dziejowy zachmurzał się, pospolite ruszenie kmieci ocaliło Szwecyą. Dalekarlia największe położyła zasługi.

Po unii Kalmarskiej, Duńczycy opanowali kraj; Gustaw Waza przepędzany z miejsca na miejsce, jak jelen party obławą, widząc niepodobieństwo dalszej walki, postanowił opuścić już własną ziemię. W chwili gdy ma wsiadać na okręt, przybiega do niego prosty kmięć, oznajmia mu imieniem włościan, że gotowi zrzucić obce jarzmo, czekają tylko wodza. W kilka lat potem, Gustaw Waza pokonał Duńczyków na czele armii złożonej z wiejskiego tylko ludu.

Dalekarlia zachowała dotąd pamięć tych zapasów, otacza też wielką czią każde miejsce, które je przypomina. Około Raus-Kyttan ukazują podróżnym stodołę, gdzie Gustaw Waza, przebrany za prostego Dalekarlijczyka, młócił zboże w pośród poddanych swoich. Dalej prowadzą do chaty, gdzie nikczemny gospodarz miał już wydać króla w ręce wrogów: żona zdrajcy ostrzegła o zamachu i ocaliła niepodległość Szwecyi.

We dwa wieki później, kraj szwedzki szarpany wewnątrzniemi zatargami, wyczerpany długiem pasmem wojen, zwrócił na siebie oczy groźnych sąsiadów. Gustaw III odwołał się do włościan Dalekarlii, jak niedys wielki jego pradziad; z ich udziałem pokonał stronnictwa, zreformował rząd i wrócił Szwecyi dawne jęj stanowisko. Odtąd zaczyna się przewaga wiejskiego ludu na sprawy państwa, wzmocniona ostatecznie konstytucyą 1865 roku.

Niemniej ciekawy obraz przedstawia lud norwesk. Autor pokazuje nam chaty wieśniacze o płaskim dachu, zasiane w górze jęczmieniem albo żytem. Gospodarz siedzi zazwyczaj w prog u ogromną fajką i przybrany w szatę, podobną krojem do sukien panów dworskich z czasów Ludwika XV. Ma na nogach długie kolorowe pończochy, sięgające powyżej kolan, i trzewiki z metalowemi sprzączkami; na głowie czerwoną kapuzę w kształcie czapki frygijskiej. Gdy zażadasz koni, zmierzy cię dumnym wzrokiem, a potem prowadzi do wielkiej izby. Każdy sprzęt nosi tu cechę odległych wieków. Pod ścianą stoją łózka, wsparte na drewnianych kolumnach, osłonięte w górze baldachinem i szafy rzeźbione w różne wzory. Wśród obrazów, pierwsze miejsce zajmuje portret panującego króla, a tuż obok karta konstytucyjna, zawotowana w Eidwold r. 1814, przez wieśniaków norweskich. Każdy umię ją na pamięć. Często napotkać tu można i wizerunek Napoleona I.

Izba cała przepękniona kłębam i dymu, wszyscy bowiem tak młodzi jak starzy, niewyłączając nawet kobiet i dzieci, mają w ustach cygaro. Młodzi Norwegczycy z rudym włosiem, z twarzą ocienioną bujnemi faworytami, krzepcy i muszkularni, przypominają nieco amerykańskich Jankesów. Młode dziewczęta uderzają cerą śnieżną białości, wkrótce jednak, ogorzałe na słońcu i wietrze, tracą młodzieńczą krasę, zostaje im tylko czerstwa i krzepka postać. Matka rodziny krząta się przy ognisku, wydaje rozkazy dziewczętom; pilnym wzrokiem śledzi ich

obroty, niby wódz doświadczony. Dzieci roją się w izbie, nie widać im oczu z pod ogromnych czerwonych czapek.

Niektórzy wiejscy gospodarze odznaczają się prawdziwie wyższym ukształceniem. Autor, przejeżdżając karyolą od wsi do wsi, wstąpił do domu prostego wieśniaka, który doskonale mówił po angielsku. Odbył on w Drontheim wyższą szkołę, nabył w niej wiele ogólnych wiadomości, poczem wrócił do roli i do pługa. Nie jest to żadna wyjątkowa postać: całe młodsze pokolenie wieśniaków norweskich, postępuje w ten sposób.

Autor przytacza rozmowę przy ognisku z tym kmieciem erudytą, powtórzmy ją za nim.

— Słyszałeś pan zapewne — rzekł wieśniak — o naszych królach norweskich, starszych niżli mury katedry w Drontheim? Nieustraszeni to byli wojownicy i pili dzielnie, śmiało przebiegali łożdżami wszystkie morza! chciałżebyś pan widzieć jednego z ich potomków?

— Alboż ich nie widzę przed sobą — rzekłem z uśmiechem — wszyscy jesteście krwią z ich krwi i kością z ich kości.

— Ja nie żartuję wcale — odparł wieśniak — w sąsiedztwie mojem żyje rodzina pochodząca ze krwi królewskiej. Wywodzi ród od Harolda długo włosego, który opanował pierwszy całą Norwegią, zmusił innych wikingów do posłuszeństwa, i stał się protoplastą królów. Rodzina ta zachowała jeszcze drzewo genealogiczne i odwieczne swe pargaminy. Tych dostojnych sąsiadów, zwiemy Tofte, od miejsca gdzie mieszkają. Są bogaci, mają do trzechset krów, ledwie przez tydzień mogą zwiedzić wszystkie posiadłości swoje. Każdy ich zna w kraju, lubo nikt ich nie widuje, gdyż żyją i żenią się tylko pomiędzy sobą. Kiedy im mówimy, że ród ich wygaśnie tym sposobem, odpowiadają na to: „Prawda, ale toć lepiej ojcu nie mieć syna, niż mieć dzieci mniej szlachetne od siebie.“

Słowa te obudziły ciekawość podróżnika. Postanowił zwiedzić gniazdo ostatnich orłów skandynawskich. Nazajutrz rano puścił się piechotą do Tofte, z uczonym gospodarzem. Patrzmy jak opisuje tę wycieczkę.

„Dochodziliśmy do zagrody, ukrytj w załomie gór, gdyśmy na drodze spostrzegli starca z dwudziestoletnim młodzieńcem. Był to naczelnik domu Tofte i syn jego jedyny. Zobaczyli nas z góry, wyszli na spotkanie. Ojciec wysokiego wzrostu, suchy, nieco pochylony, ma postać zarazem dumną i nieśmiałą. Jak wszyscy wieśniacy z Dowrefieldu, nosi kostium z czasów Ludwika XV, obuwiem jego proste saboty, czapka frygijska dopełnia malowniczego stroju. Syn blady, wątły, wygląda bardzo chorobliwie.

— Oto dwaj cudzoziemcy — rzekł nasz przewodnik do starca — słyszeli o starożytnym rodzie twoim, przychodzą cię odwiedzić.

— *Tacka* (dziękuję) — odparł starzec, podając rękę gościom — witajcie w domu moim. I poprowadził nas do obszernj zagrody pobudowanj w czworobok, jak wszystkie gürdy norweskic.

— Oto nasza siedziba—dodał ukazując domek nieco wyższy od innych — przyjmowaliśmy tu dwóch królów: Karola Jana XIV i Oskara I.

„Przeszliśmy bramę rzeźbioną, i nagle ogarnął nas wyziew obory. Dół cały dworku przeznaczony dla bydła. Sto krów przeżuwało spokojnie siano, nie tylko pod okiem, ale pod stopami panów swoich. Kręte wschodki powiodły nas na piętro. Pierwsza sala nie odróżnia się od zwykłej siedziby wieśniaczej. Na głównej ścianie zawieszona konstytucya, na przeciw niej zaś, w miejsce portretu królewskiego, widać za szkłem drzewo genealogiczne, poniżej pnia wypisane imiona królów z ich tradycyjnymi przydomkami: *Harold długo włosy, Hardrath o bosych nogach, Harold Rudy, Biorn Bystrooki*. Wierzchołek drzewa bardzo rozgałęziony, a najwyższa odrośl rozczepiona na dwoje, nosi imiona starca i syna jego. Widać ślad innej jeszcze płonki, odłamanej w samym zawiązku.

— To zapewne syn zmarły?—spytałem przewodnika.

— Nie umarł on—odręcze zagadniony—ale rodzina odtrąciła go od siebie. Ożenił się z wieśniaczką obcego rodu, ojciec wypędził go z gniazda naddziadów.

„Z tej sali weszliśmy do innej, jestto skarbiec rodzinnych pamiątek. Gałązki sosnowe rozrzucone na podłodze, zaprawiają powietrze żywiczną wonią. Belki pułapu malowane czerwono, odbijają na tle jasno błękitnym. Ściany ozdobione w fantastyczne arabeski. Obrazy na drzewie przedstawiają starych wikingów norweskich, w żelaznych kołczugach i wysokich szyszakach z długimi oszczepami w rękę, na czole ich obręcz żelazna, godło królewskości. Po za nimi morze i łądź ozdobiona łbem smoczym. W głębi sali nad podwyższeniem, przybite wielkie półki, na nich porozstawiane srebrne naczynia starożytnego kształtu, puławy misternie rzeźbione, rogi obfitości, pasy, ogromne misy kute z miedzi, na których można rozświetlować wołu całego. W pośrodku, na słupie leży wielka i ciężka korona. To znamie królewskości nie jest przecież oznaką dawnej władzy. W Dowre-Field, każda zamożniejsza rodzina kmieca posiada podobną koronę, i kładzie ją w dniu wesela na głowie panny młodej. Pamiątka ta przechodzi od pokolenia do pokolenia.

„Królewski kmieć opowiadał nam historią każdego przedmiotu. Postać jego wyprostowała się, głos brzmiał uroczyście, czoło błyskało dumą. Zrozumieliśmy czemu przeczowano niegdyś Norwegów, *Kastylijczykami Północy*.

„W roku 1814, Bernadotte przejeżdżał przez Dowre-Field, do Dronthejmu, gdzie miał na grobie św. Olafa, przyjąć koronę norweską. Nocował pod dachem Toftego z całym sztabem. Naczelnik rodziny, ojciec dzisiejszego starca, przygotował dla dworu wspaniałą ucztę: wydobyto ze skarbcza odwieczne srebra, zastawiono niemi długie stoły. W głębi sali, pod baldachinem z gałęzi sosnowych, wzniesiono stolik honorowy, panujący po nad innymi. Były na nim dwa tylko nakrycia:

przy jednem zasiadł Karol Jan, ukoronowany żołnierz, drugie miejsce chciał zająć Adlerkrantz pierwszy minister Bernadottogo, pokryty gwiazdami i wstęgami, ale gospodarz zatrzymał go nagle: „Aby się u tego stołu, rzekł, potrzeba mieć w żyłach krew królewska.“ I siadł sam przy boku monarchy.

„Mieliśmy opuścić dom Toftego, dodaje autor, kiedy weszła do sali kobieta z cerą zwiędłą, ale dziwnie dumnej postawy. Niosła w ręku wielki dzban, pełen *ottwij*, czyli wódki pędzonej z ziarna; nalała każdemu po kubku, podała nam także kuche ciastka i smażony tatarak. To siostra gospodarza domu. Żyje tu otoczona poszanowaniem, w sąsiadach budzi cześć i zabobonną trwogę. Nie poszła za męża, aby nie splamić rodu, zagrzebała się cała w tradycjach wielkiej przeszłości. Ona to w długie wieczory zimowe, opowiada rodzinie stare sagi, przypomina bohaterkie czyny Norwegów. Kiedy bratanek zawarł niegodne siebie związki, ona to wypędziła go z pod dachu ojców i nad głową jego wyrzekła straszną klątwę: „bodajby żadne drzwi nie rozwarły się przed tobą, bodajbyś nie znalazł szklanki wody gdy będziesz pragnął, ani płaszcza gdy zziębiesz, bodajbyś żałował, żeś nie postradał życia, skoro postradałeś cześć twoją.“

„Dnia jednego obcy przybysz gościnnie przyjęty pod dach Toftich począł nakłaniać ich, aby się rzekli tak odrębnego życia i połączyli z ludem. Dumna dziewczyna powstaje na te słowa, prowadzi obcego przed próg chaty, wyciąga rękę ku skalistej górze, ukazuje orła szybującego w obłokach.

— Widzisz-li — rzecze — tego orła? wielu takich gnieździ się w pośród gór, wszystko to szare orły. Ale niegdyś Dowre-Field posiadał inny ród orłów piękniejszych i dzielniejszych. Tym niedość było porywać kozy i wydierać łupy krogulcom: walczyły one z ludźmi! Kiedy napastnik darł się ku nim po krawędzi skał, nie ulatały z gniazda, rzucały się na wrogów, wyżerały im oczy! Było to plemię białych orłów! Ich liczba zmniejszała się z dniem każdym, w końcu została ostatnia tylko para. Dnia jednego samiec pomknął na łowy, za powrotem znalazł zburzone gniazdo, piskłeta rozproszone. Żli ludzie wdarli się na szczyt góry, zabili matkę i porwali orlęta. Orzeł długo zwoływał swoich, a potem siadł na skale, gdzie niegdyś było gniazdo, wlepił oczy w dolinę. Szare orły przybiegły ku niemu, rozpostarły nad nim skrzydła, ale on nie widzi ich, nie słyszy wzrokiem, tylko zatacza po dolinie. Inne orły przyniosły mu jadło, on go nie dotknął... jadło zgniło na skale. I odleciały szare orły, i długo widziano go z doliny, siedział milczący, nieruchomy, jakby szponami wrosł w opokę. Nakoniec jednego ranka, strzelcy zapędzeni za zwierzem, odkryli w témże miejscu wyschły i samotny szkielet orła. I my — dodała siostra Toftich — jesteś my z plemienia białych orłów.

Takie to żywe szczątki przeszłości napotyka p. Wandal przebiegając karyolą wąwozy i krawędzie gór skandynawskich. Co chwila w opisach jego, uderza nas jakiś obrzęd uświęcony tradycją wiekową. Do

najciekawszych należy obraz sobótek, palouych na górze Awasaxa w Lapouii, w dniu 24 czewca. W tym dniu letniego przesilenia dnia z nocą, słońce wcale tu nie zachodzi. Chwila, kiedy kończy się wczora a rozpoczyna jutro, nie istnieje w tym dniu dla Lapończyków. Tłumnie też przybiegają na górę, z kąd fenomen widzialny. Narzeczeni zamieniają tu pierścionki, odbierają błogosławieństwo krewnych i rodziców. Młodzież rozpala ognie, wesołe koło snuje się w płasach po urwiskach opok, nad niezmierną okiem przepaścią. Góry górą powtarzają dźwięki pieśni. Tak tu było przed tysiącem lat, kiedy słońce odbierało hołdy ukorzonych przed niem czcicieli, tak tu bywa dziś jeszcze, tak będzie i jutro. Cała Skandynawia pielęgnuje tradycyą, niby świętą puściznę przeszłości. Nauka nie zabiła jej w sercach. Poeci i artyści czerpią w tym zdroju najżywotniejsze natchnienia.

W pośród innych autor wspomina duńskiego malarza Exnera. Jak Andersen w powieści, Exner w obrazach maluje życie ludu: pokazuje zwykle rodzinę zebraną u ogniska: ojciec odpoczywa po pracy w wielkiem krześle, matka kręci wrzeciono, stara babka opowiada sagi wnuczętom tulącym się z trwogą do jej kolan. Ta dziatwa wzrosnie omotana złotą przedzą domowych podań, napojona mlekiem swojskich pieśni, i taż sama Skandynawia, która niegdyś wysyłała drużyny wikingów, na wszystkie lądy Europy, aby zbudzić do czynu omdlałe po trudach, lub śpiące jeszcze dziecinnym snem plemiona, taż sama Skandynawia, roześle jeszcze na dalekie wybrzeża, już nie nowych Haroldów, Ruryków i Rollonów, ale krzepkie dźwięki domowej liry swojej, która cudowną siłą wykrzesze iskrę z serc potarżanych w bagniskach realizmu.

Przeczuwa to widocznie autor, to też zbierając w końcu rozpierchłe wspomnienia swęj wycieczki, wyraża się z najżywszém współczuciem o tych nowo poznanych ludach. „Przed okiem mojem, mówi on, przesuwają się jeszcze Melar z tysiącem wysp swoich i nagi step Laponii, i Awasaxa oświecona o północy promieniem słońca. Widzę jeziora szwedzkie i ciemne wąwozy Norwegii, jej fieldy i malownicze fiordy, i lodowiska Justedal, i wodospady Hardangeru. Pyszne to panorama. Ale wśród tego roju wspomnień stają mi szczególnie w myśli krótkie godziny spoczynku, kiedy w starożytnym górdzie zasiadałem u ogniska ludu skandynawskiego, kiedy uściśnąłem rękę wieśniaka, kiedy żyłem chwilę życiem tego plemienia, tak pełnego siły, cierpliwości, słodczy i najgorętszych uczuć. Skandynawi, to lud w wielkiem znaczeniu tego słowa. Nie mają oni miękkości południowej, ani fatalizmu wschodnich plemion, ani gburowatości innych mniej posuniętych na północ ludów. Charakter ich silny a prosty, krzepki a pełen wdzięku. Zbliżamy się do nich z współczuciem, żegnamy ich do gruntu poruszeni. Wśród tylu innych cnót mają jeszcze jedną, która napełnia wdzięcznością serce podróżnika: enotę nieporównanej gościnności.”

Z nie małym podziwieniem ujrzelśmy wśród nowych publikacyj, studia krytyczne nad powieściopisarzami współczesnymi, przez Maryusza Topin. Znany ten autor pracował dotąd wyłącznie na polu historii. Cztery prace jego historyczne: *Życiorys kardynała Retz*, *Człowiek z maską żelazną*, *Europa za Ludwika XIV* (gdzie zamieszczony opis elekcji w Polsce), *Ludwik XIII i Richelieu*, cztery mówimy prace historyczne, zjednały mu w różnych czasach akademickie nagrody. Ostatnia z tych nagród przypadła mu świeżo w początkach bieżącego roku. Co mogło, pytamy, zwrócić autora z pola, które z taką uprawiał wytrwałością i na którym bogate zbierał plony? Może chciał odświeżyć myśl w potoku wody żywej, tak samo jak Michelet, kiedy po obrazach krwawych zapasów Ligi z Hugonotami, lub bezwstydnym orgii z czaców reagenta orleańskiego, jął kreślić obyczaje skowronków, turkawek i motylów. Bądź co bądź, Paryż powitał z radością krytyczne dzieło poważnego erudyty, napisane sumiennie, a do tego rozjaśnione wysoko idealnym poglądem.

Autor zapowiada w przedmowie, iż tym dziełem rozpoczyna seryą krytycznych rozpraw nad współczesną literaturą. Jeżeli podejmuje nasamprzód powieść, to dlatego że widzi więcej siły twórczej rozwiniętej dziś w tym kierunku, niżli na każdej innej drodze. „Powieść—mówi on—nie tylko że się utrzymuje na stanowisku, na jakim postawiło ją przeszłe pokolenie, ale co więcej powieściopisarze dzisiejsi, umieli nadać jęj formę nową i tchnąć w nią żywotną siłę, jakiej nie miała dotąd.”

Inny jeszcze powód kieruje autorem, powód godny historyzofa. Nie przenosząc bynajmniej powieści nad poezją, nad historją, nad wymowę, nad dramat, ani też nad krytykę literacką, nie czyniąc jęj alfą i omegą literatury, jak Emil Girardin czyni dziennikarstwo, pan Topin naznacza przecież powieści ważne miejsce w historii dawnego społeczeństwa. „Chcemyż wiedzieć—pyta on—jaki ideał miłości utworzyło sobie społeczeństwo XVI i XVII wieku? odczytajmy *Amadysa*, *Astreę*, *Cyrusa i Klelię*: powieści te pozostały wiernym zwierciadłem serca nadszadziców naszych. Kiedy historia pokazuje nam ich czyny, romans daje nam poznać ich myśli i marzenia. Romanse tych dwóch wieków, oddaliły się niewątpliwie od prawdy, nie kreśleniem potwornych obrazów, ale pogonią za niedocieczonym ideałem. Ich autorowie malują człowieka, nie takiego jakim był, ale jakim być mógł i powinien. Przesadzali jego zalety, aby tém większy dać pochoł ku dobremu. Osoby stworzone ich wyobraźnią, nadziejskie są lecz nie skrzywione: to fikcye ale nie kłamstwa. Wspaniałomyślność tych bohaterów, odwaga posunięta do najwyższych ofiar, ich dozgonna wiara w miłość: wszystko to malowało jeśli nie obyczaje ówczesnych pokoleń, to przynajmniej, ich dążność, ich pragnienia. Wiek, który czytał z zapałem *Amadysa* i *Astreę*, godzien pochwały; aczkolwiek błędził, umiał jednak zrozumieć delikatne i wzniosłe uczucia.

Dalęj wspomina autor idylliczne powieści XVIII-go wieku, świadczące wśród powszechnego skażenia, o tęsknocie do zatraconej prostoty,

do idealnej ciszy wiejskiej. Tak samo jak romanse rycerskie nie były wiernym odbiciem rzeczywistości, tak znów *Paweł i Virginia* nie dają nam obrazu wiejskiego życia, ale obraz marzeń ówczesnych. Z początkiem XIX wieku rzeczy przemieniają się nagle. *Réné Chateaubrianda* chorobliwy, skłócony z życiem, wprowadza w powieść ton fałszywy, pretensjonalny. Zamiast uczucia widzimy tu czułośćkowość, zamiast zadumy, czcze marzycielstwo. Réné w mniemaniu pana Topin, jest prototypem tych rozgorączkowanych bohaterów powieściowych, co się stali plagą literatury, jak niemniej zarazą społeczeństwa. Odtąd, mówi krytyk, potworność zapanowała w powieści i autorowie poczęli tworzyć typy dziwaczne, wyjątkowe. Prąd ten wycisnął charakterystyczne piętno, tak na literaturze dramatycznej jak powieściowej.

Dodamy, że prąd ten odbił się zarówno we wszystkich wydziałach sztuk pięknych: malarstwo dziś jeszcze nie może się wydobyć z tego wpływu. Mówiąc o wystawie tegorocznej wskazaliśmy ów dziwaczny kierunek, w utworach najzdolniejszych nawet malarzy.

Autor nie doprowadził myśli swojej do ostatecznych wyników; nie powiedział jaki wniosek wyprowadzi historia, z tego szafu, co przez lat czterdzieści buchał z literatury jakby złowrogi pożar. Ażaliż nie dopatrzeć w nim blżkiego związku z ową łuną pożarną, co tak złowrogo buchała nad Paryżem?

Jakkolwiekby, przeciwko temu szalonemu prądowi, powstaje dziś potężna reakcja. Samo już dzieło p. Topin, jest nawidoczniejszym jej objawem. Chłozcze on surowo tę pogoń za potwornością. „O ile—mówi—pobłazamy autorom, którzy gardzą prawdopodobieństwem dla poszukiwania ideału, o tyle potępiamy tych, którzy oddalają się od prawdy dla kreślenia potwornych obrazów. Jeżeli do pewnego stopnia, wolno wyjść ze zwykłych warunków natury ludzkiej, to podnosząc się nad nią, nie zaś zstępując na niższy od niej szczebel. Nielitościwi też dla tych, co z upodobaniem malują bezeceństwa, pobłazliwi dla tych, co porzucają prawdę dla ideału, całe uwielbienie nasze zachowamy dla autorów, którzy pokazują nam prawdę, piękną w całej prostocie swojej!“

Według takiego to kryterium, p. Topin sądzi utwory powieściopisarzy dzisiejszych we Francyi. Rozpoczyna studyum od Georges-Sand. Podziwia jej styl jasny, potoczny, pełen wdzięku, porównywa go ze stylem Jakóba Rousseau; podziwia niemniej cudowną zdolność obrazowania, i tę niesłychaną siłę twórczą, której nie wyczerpała czterdziestoletnia praca. Mimo to pokazuje całą chorobliwą stronę pierwszych utworów autorki. *Lelia*, równie jak Réné, jak Werter, to według niego, smutny plód wieku, zarażonego nudotą i niesmakiem. Koroną wszystkich prac Georges-Sand, mieni krytyk ludowe jej powieści: *Fadette*, *Champi*, *Kalużę Dyabłą*. Do tych perel dolicza jedną z ostatnich powieści *Flamarande*, pełną świeżości i zapału, lubo siedemdziesięcioletniemu już nakreślonej piórem.

Wiktora Hugo nie zalicza krytyk do grona powieściopisarzy, tak w utworach prozą jak wierszem, widzi w nim przede wszystkim poetę. W Balzaku podziwia nadzwyczajną twórczość i wielkie bogactwo wyobraźni, ale zarazem surowo potępia genialnego pisarza, za sponiewieranie najszlachetniejszych uczuć ludzkich i uitorowanie drogi licznym naśladowcom, którzy zanurzyli powieść w becznych bagniskach realizmu.

„Powieściopisarze tego wieku—mówi krytyk—wyższy okazali talent niżli ich poprzednicy, ale wyobraźnia ich bardziej rozhułkana. Zuchwałą ręką poważyli się zdzierać zasłony, które dotąd świat uszanował. Dla obudzenia częściej ciekawości, poczęli wybierać typy, wśród istot najniżej strąconych, brudzić wszystko co święte, głosić najgubniejszą zasadę, wypowiadać walkę społeczeństwu.“

Z tój powodzi wypłynęła jednak zwyciężka garstka wiernych czcicieli ideału. Na czele ich krytyk stawia Juliusza Sandeau. O ile, mówi o nim, inni popychali społeczeństwo do rozbicia, o tyle on krzepił je w duchu, nie ukrywając bynajmniej słabości ludzkich, ale stawiając nad nimi najwyższe prawo, powinność!

Sandeau wystąpił śmiało przeciw tym zuchwałym szermierzom, którzy taranami wymowy uderzali w małżeństwo, chcąc obalić ustanowiony od wieków porządek. Powieścią p. t. *Maryanna* zadał nowatorom najdotkliwszy pocisk i zburzył fałszywe ich teorie. I on także maluje miłość gwałtowną, rozprężoną z wszelkiego jarzma, łamiącą najświętsze prawo. Obraz jego siłą i kolorytem nie ustępuje wcale jaskrawym obrazom przeciwników. Też same tu rany serca, też sama namiętność, tak w najszczytniejszych swych porywach jak i w najboleńszym upadku; też sama forma, lecz jakże ceł odmienny! Podczas kiedy Lelia dręczona wątpliwością, uganiania coraz to nowe ideały, kiedy Indyana wyrzuca gorzko społeczeństwu swoje boleści i zawody, Maryanna przeciwnie, pokazuje nieszczęście własne, jako nieuchronne następstwo winy. Historia jój serca wtajemnicza nas w srogie męczarnie istot, które chcą się wyłączyć z pod ogólnego prawa. Tu widok złego nie popycha do rozpacz, lecz zwraca ku dobremu. I kogóż nie poruszy ta biędna Maryanna, kiedy w ostatniej chwili gasnącym wzrokiem ogarnia dach małżeński, dobrowolnie opuszczony i wypowiada żal pełnym znaczenia słowem: „Tu jednak było szczęście!”

Wszystkie powieści Juliusza Sandeau mają cel wielki, we wszystkich przyświeca prawda otoczona idealnym pięknem. Dosty tu przypomnieć *Jana Thommery*, cudną powieść co wycisnęła we Francyi tyle łez i tak dzielnie podniosła serca!

Do autorów, którzy najdrowszy wpływ wywarli na dzisiejsze społeczeństwo, zalicza p. Topin Marmiera, tego niezmordowanego podróżnika pełnego miłości ku ludziom, który przebiegł obie świata półkule szukając wytrwale ideału. Szczęśliwszy od tylu innych, co marnowali siły na daremnej pogoni, Marmier napotykał wszędzie owo niebiańskie ptasze! czemu? bo go nie szukał w niedoścignionych okiem sferach, ale

przy ciepłym ognisku rodzin, w opowieści starców, w pieśniach matek nad kołyską niemowląt! Z każdej wycieczki powracał tryumfalnie, przynosząc do kraju pęk kwiatów zebranych, to na podbiegunowych lodowiskach, to na skwarnych stepach Kanady. Wszystkie powieści jego zaprawne kolorytem miejscowym. W ślicznym obrazie *Narzeczonych ze Szpiebergu*, pokazuje lud finlandzki w pierwotnej swęj prostocie: w *Gazidzie* maluje tubylców kanadyjskich, wzrosłych pod żarem południowego słońca. W *Podróżach Skandynawczyka Nielsa*, opisuje własne wędrówki po świecie. Z każdego kraju przynosi stare podania i legendy, przypowiadki i pieśni, przechowane wiernie w cieniu strzechy domowej, przechodzące z pokolenia na pokolenie, jak najdroższa puściźna po naddziadach.

„Głęboka ta nauka—mówi słusznie pan Topin—wyływa z tyłu żywych pomników ludowych, któremi Marmier przeplata swoje opowieści. W każdym kraju wieśniak jest poetą. Umie on wiernie obrazować zjawiska przyrody i nadać im formę, to smętną, to wesołą, zawsze wielką w prostocie swojej. A jakaż to znów uderzająca łączność w legendach najdalszych od siebie krajów! Każdy lud wierzy głęboko w życie po śmierci. W pojęciu jego umarły nie umiera zupełnie, ale przenosi z sobą do grobu pamięć uczuć, które go niegdyś ożywiały. W sagach północnych Orn kołaczę do mogiły ojcowskiej; zmarły ojciec słyszy i poznaje głos syna. W legendach Bretonów sumienny oracz przez kilka dni po skonie, wychodzi z pługiem na zagon, aby doorać wyznaczonę miary i uiścić się z długu. W podaniach tyrolskich i alzackich, młode matki powracają karmić niemowlęta.”

Ktokolwiek zna tradycyę ludu naszego, wie jaki związek łączy je z podaniami wspomnianych wyżej ludów. Autor przypomina tu nawet przysłowie powszechne, jak mówi, w dawnęj Polsce, jeśli nie pod strzechą wieśniacza, to po dworach i zamkach: *Morte quid fortius? gloria et amor!*

„Chwała Marmierowi za to, kończy krytyk, że należy do najczystszych pisarzy naszych czasów. O ile inni wyszukują skandalu, o tyle on unika go ze wstrętem. Czuje on głęboko jak ciężka odpowiedzialność czeka pisarza za nakreślenie choćby jednęj gorszającęj kartki!”

Obok Marmiera, p. Topin pokazuje Pawła Fevala, jako wytrwałęgo krzewiciela zdrowych myśli w społeczeństwie francuzkiem.

„Poważny i nieskażony w życiu—mówi krytyk—ten popularny pisarz od lat czterdziestu nie napisał ani jednęj książki, któraby wprowadzała zamęt w pojęcia ludu i serca zaprawiała goryczą.” W wielu powieściach Feval nieodrodny Bretończyk, rozmiłowany w własnéj gnieździe, w dzwonnicach starych kościółków, wziął sobie za cel ostrzeżać ludność wiejską, na jak straszne niebezpieczeństwa i zawody naraża się opuszczając lekkomyślnie próg ojców i święty płomień domowego ogniska. Okropny kreśli obraz tego Paryża, co jak bajeczny potwór odradza się bezustanku, wysysając najżywotniejszą krew niebacznych, którzy chcą mu służyć za pastwę. Ilużto goniających za chwałę zepchnął

w piekło cyganii literackiej! ilużto chciwych złota, wtrącił za kraty więzień! Za jednego co się wdął szczęśliwie na szczyt masztu, tysiące utonęło w bezdennej otchłani. Myśl tę wysokięj doniosłości podejmuje bezustanku zacny powieściopisarz, przybierając ją w coraz to nową formę.

Z pomiędzy młodszego pokolenia pisarzy, krytyk z najwyższem uznaniem wyróżnia Alfonsa Daudet, krzepkiego Prowansalczyka, wzrosłego pod błękitnëm niebem, wykołysanego pluskiem śródziemnej fali. Wysoko podnosi znakomitą powieść *Fromont i Riesler*, wymowny obraz mieszczaństwa paryzkiego; utwór zdrowy, krzepki, wzniosły, pokazujący z jednej strony występki w całej ohydzie, z drugiej prawość i enotę w najszczytniejszym blasku. W ostatniej powieści p. t. *Jack*, autor wziął sobie za cel przeprowadzić upokorzenie i boleść syna występnej matki: obraz to prawdziwie dramatyczny.

Drobne powiastki Daudeta odznaczają się niemniej wielką siłą i głębokiëm uczuciem. Jedną z nich podaje krytyk w treści, zowiąc ją arcydziełem w swoim rodzaju. Mały Alzateczek opowiada ostatnią lekcję daną dziatwie przez francuzkiego nauczyciela, nim go zastąpił professor Niemiec.

„Mistrz włożył piękny zielony surdut i bieluchny żabot zaprasowany w fałdki i czarną haftowaną czapeczkę: tak się ubierał tylko na szkolną uroczystość, przy rozdawaniu nagród. Cała klasa świąteczną miała postać. W około sali na ławkach zwykle pustych, siedziała starszyzna wiejska, w głębokiëm pogrążona milczeniu. Pan Hamel głosem słodkim i poważnym zapowiedział, że poraz ostatni występuje na katedrze, iż poraz ostatni daje lekcję języka francuzkiego!

Po lekcji przyszło do pisania. Na ten dzień p. Hamel przygotował nam nowe wzory. Nakreślił na nich wielkimi literami: *Francya, Alzacya*. Kartki te przyczepione przed każdym z nas do drążka nad pulpitem, powiewały jak chorągiewki. Trzebaż było widzieć z jakim pisaliśmy zapałem! W sali panowała cisza głęboka, pióra tylko skrzyślały po papierze. Chmara chrząszczy wleciała oknem, lecz nikt na nią nie zważał, nawet malcy, którzy kręsilili proste laski z wytężoną uwagą, w mniemaniu że i te francuzkie. Na dachu szkolnym gołębie pogruchiwały zcicha, a ja mówiłem sobie w duszy: czyż i one śpiewać będą od jutra po niemiecku?

Ilekróć spojrziałem w górę, widzę jak pan Hamel siedzi w krześle nie poruszony, oczyma tylko zatacza dokoła, jakby chciał zabrać spojrzeniem cały szkolny nasz domek. Pomyśleć że tylko!... od czterdziestu lat, siedział zawsze w jedném i témże samém miejscu. Naprzeciw niego okno od podwórza i klasa pełna uczniów. Zawsze jedno i jedno, tylko że ławki wytarły się długiëm użyciem, że orzechowe drzewa w dziedzińcu rozrosły się szeroko, że chmiel przez niego posadzony oplótkł okna i rozpiął się po dachu. Jakiż to żal dla nieboraka pożegnać to wszystko! słyszy jak siostra na górze zamyka skrzynki... naza-jutrz mają odjechać, opuścić kraj na zawsze!

Miał jednak odwagę doprowadzić lekcją do końca. Od pisania przeszliśmy do historii!... a potem malcy śpiewali razem *ba be bi bo bu*. A tam w głębi sali i stary Hauzer włożył na nos okulary, podniósł oburącz elementarz i nuż syllabizować z nimi! Głos mu drgał,... zabawnieź to było, chciało nam się zarazem śmiać i płakać! O! nigdy nie zapomnę téj ostatniej lekcyi!

Nagle zegar kościelny wybił dwunastą; dzwon uderzył na Anioł-Pański. W téjże chwili trąbki Prusaków, którzy wracali z mustry zabrzmiały tuż pod oknem. Pan Hamel zbladł, powstał na katedrze: nigdy jeszcze nie wydał nam się taki wielki.

— Dzieci moje! wybąknął, dzieci moje!... ja... ja...

Ale coś zadławiło go w piersi, nie mógł dorzucić słowa.

Wówczas to zwrócił się do tablicy, pochwyił kredę i przyciskając ile sił napisał ogromnemi literami: „Niech żyje Francya!” A potem stał tam, głową wsparty o ścianę; nie rzekł nic... i tylko machnął ręką, co znaczyło: już koniec... możecie sobie odejść.“

Nie mało francuzkich łez potoczyło się na tę prostą a tak wymowną kartkę.

Z pomiędzy powieściopisarek dzisiejszych, oprócz Georges-Sand, krytyk wspomina trzy najwięcej utalentowane: Caro, Craven i Bentzon. Najznakomitsze ich utwory: *Fleurange* p. Craven, *Magdalena* p. Caro, *Julietta* p. Bentzon, są wymowną protestacją przeciwko *Indyanie* i *Le-tii*. W sercu tych trzech bohaterek toczy się gwałtowna walka ślepego uczucia z powinnością. Wszystkie trzy, wysileniem woli umieją zaplanować nad sobą i spełnić najwyższą ofiarę.

Wymienione powieści trzech autorek, nie ustępują sobie wzajem, ani w piękności języka, ani w silném narysowaniu charakterów, ani w dramatycznym uwydatnieniu sytuacji; wszystkie trzy ściągnęły uwagę akademii francuzkiej, i zaszczytną odebrały nagrodę. Pan Topin jednakże z pomiędzy trzech powieściopisarek, wyróżnia szczególnie panią Bentzon. Gdy dwie pierwsze zatrzymały się w miejscu, ostatnia podąża ciągle naprzód, coraz to potężniej rozwija się twórczą. W ośmiu dziełach, wydanych od lat kilku, coraz to widoczniejszy postęp. Powieść *Życie chybione*, ujęta cała w ramy ślicznego krajobrazu; inna powiastka z życia bretońskich wieśniaków *Skrzypki Joba*, uderza prawdziwą oryginalnością.

Wyjdźmy nareszcie z téj zielonej oazy, oświeconej słońcem ideału, a rzucmy pobieżnie okiem na szkołę realistów, niedawno dumnie triumfującą, dziś zatrzymaną w rozwoju. Szczególna bezsilność ogarnęła pierwszych jej naczelników; niektórych zaś potęgą talentu porywa na drogi, sprzeczne z wygłoszoną teorią. Nic w tém dziwnego, materya sama nie wystarczy; zdroje natchnienia wyschnąć muszą, gdy ich nie zasili nieskończoność!

Zobaczymy jak krytyk określa teorią realistycznej szkoły.

„W świecie fizycznym pomieścić wyłącznie koło obserwacyi; odrzucić duszę jako wychodzącą za obręb zmysłów. Brać za przedmiot wszystkie istoty, szczególnie upośledzone i skrzywione; wyszukiwać sta-

ramie wyjątków: malować je z upodobaniem. Zamiast uczuć serca, postawić instynkt zwierzęcy, zamiast idealnych porywów myśli, plastyczne kombinacje życia powszedniego; opisywać wszystko, najdrobniejsze nawet rzeczy; opisywać, nie jak czynili starożytni, wlewając życie w przedmiot, ale pokazując go ze strony materialnej. Nie rozbudzać czczych marzeń, ale rozwijać po prostu panoramę; nie myśleć o urozmaiceniu barw i łagodzeniu formy; przeciwnie, uwydatniać stronę szorstką i charpawą; unikać pilnie tego co przemawia do serca, ale rzucać w oczy obrazy jaskrawe i krzykliwe; w wykonaniu widzieć środek, cel, koniec, słowem wszystko: na tém polega cała doktryna materializmu.”

Pan Topin nie zgadza się w ogólności na zasadę, aby sztuka miała być sama dla siebie celem; szczególnież zaś, zrozumieć nie może, jakim sposobem szkoła realistyczna, mogła przyjąć takie prawidło. „Sztuka—mówi on—wyłącznie oddziaływa na wyobraźnię, sztuka jest wyrazem duszy; sztuka jeśli istnieje, jeśli ma charakter niebiański, jaki nadała jej starożytność, to jedynie dlatego, że poddaje wrażenia zmysłowe pod panowanie ducha. Sztuka nieśmiertelną jest wówczas tylko, gdy pokazuje przewagę idei nad materją. Sztuka nieskończoną wtedy jedynie, kiedy porzucając świat fizyczny, ciasny z natury swojej, rzuca się w świat wyższy, bez granic, ogarniający duszę, wieczność, nieśmiertelność, życie w świecie i poza światem!”

Powieść realistyczna, zamknięta w ograniczonym kole świata fizycznego, musi wyczerpać prędko cały swój zasób. Krytyk nie dziwi się też wcale, że naczelnik szkoły Gustaw Flaubert, człowiek wszechstronnie uczony, obdarzony wysoką zdolnością, świetnie władający językiem, zdobył się na jedną tylko powieść znakomitą pod względem formy artystycznej. Sławna *Pani Bowary*, przy całej potworności swojej, blyszczy w literaturze. Późniejsze utwory Flauberta: *Salambo*, *Wychowanie sentymentalne*, daleko za nią pozostały. Zabrakło snąc wątku autorowi, zużył odrazu wszystkie farby z palety swojej. „Gdziekolwiek się posunie, wszędzie napotyka zapory; jeżeli cofnie się wstecz, naśladowuje sam siebie; czemu? bo wzgardziwszy duchem, pracował wyłącznie dla ciała, a to ciało umie tylko cierpieć, potem umrzeć, bo za nic mając głos sumienia, dał nam tylko dźwięki, barwy i formy; bo malował tylko przyrodę, w szczupłych zamkniętą granicach, a kazał milczeć duszy nieskończonę!”

Pokryjmy zasłoną tę potworną bohaterkę, którą Flaubert w ostatniej scenie powieści, ukazał czytelnikom w najsroźszych mękach konania, „z klapoczącymi zębami, wywieszonym językiem, oczyma w słup, ciałem drgającym konwulsyjnie.” Bodajby trup pani Bowary nie powstał już z grobu i nie mącił spokoju żywym! Nie żałujemy, jeśli zdroje natchnienia wyschły nagle przed autorem.

Nie wyschły one dotąd przed innym adeptem szkoły i najgłówniejszym dziś jej reprezentantem, Emilem Zolą. W dziele p. t. *Moje nienawiści*, skreślił on kurs nowęj estetyki: *niszczyć, burzyć, walić*, oto

jego programat, niechaj przyszłość buduje na tych gruzach! Uderza też na wszystko, nie bronią satyry. Zola nienawidzi satyrów, jak i wszystkiego co starożytność wydała, wali ciężkim toporem, wali dopóki nie zabije.

Krytyk wpatrując się baczny wrokiem w utwory Zola, dostrzegł w nich jednak dodatnią stronę; wyróżnia go też z tłumu realistów: nie traci wiary w jego przyszłość. „Zola, mówi on, maluje *zło* jaskrawemi barwy, lecz nie staje nigdy po jego stronie; przyjmuje także *dobro*, pozwala mu tryumfować, gdyż tak nieraz widział w rzeczywistości. Podczas, kiedy u Flauberta wszystkie osoby budzą śmiech lub pogardę, w powieściach Zola można spotkać niejedną postać piękną i sympatyczną: słowem utwory Zola, wyższe od jego systematu.

W *Brzuchu Paryża* maluje powieściopisarz z drobiazgową dokładnością, świat przekupek paryżkich. Wszystko tu żyje, wszystko się rusza; każda pos. nacechowana właściwem sobie piętnem. W *Powiastkach do Ninony*, odkrywa autor bliźny własnego serca, opisuje swoje rodzinną kolebkę, słoneczną Prowancją, którą opuścił młodzieńcem, gdzie kochał pierwszą miłością, gdzie pozostawił własną duszę. W innej znów powieści, *Teresie Raquin*, pełnej ohydnych obrazów, w której, jak biegły fizyolog, przykładą rękę do drgającej piersi ludzkiej, pokazuje straszliwe a nieuchronne następstwo zbrodni.

Teresa, zakochana w Laurentym, pomaga mu do zabicia swego własnego męża. Usunąwszy zapórę, kochankowie łączą się węzłem gorąco upragnionym, zaprzysięgają sobie wieczną wiarę. Żywa dusza nie wie o zbrodni, i cóż im przeszkadza do szczęścia? Oto ofiara staje bezustanku pomiędzy nimi, nie da im chwili wytchnąć. Gdzie się ruszą, zawsze ich troje! Kiedy rozmawiają, trup zimny, milczący, sztydzi z ich słów, zatapia w nich wzrok straszny! Zabili, aby odzyskać wolność; blade widmo panuje nad nimi! Usiłują przemódz wstręt, oswoić się z widziadłem: próżno!... Umarły stokroć uporczywszy od żywych. Kiedy wyciągają ręce do siebie, nie z miłości, ta już dawno zgąsła w ich sercu, ale ratując się nawzajem; kiedy chcą zabić trwożę, jak zabili człowieka, czują lodowatą rękę trupa, roztrącającą ich dłonie. Pokonani, przestają walczyć, kończą samobójstwem, aby wyjść z przeklętego koła, jakiego sam Dante nie wymyślił w swém piekle!

Teresa Raquin wywołała zgrozę powszechną. Okrzyczano autora niemoralnym. Krytyk protestuje przeciw temu. „Można zarzucić Zoli, mówi on, że się lubuje w szkaradach, że rozgrzebuje śmiecie; można przeklinać książkę, co nam zgania sen z powiek: ale taki obraz nie popycha do zbrodni. Więcej zaraźliwego miazmatu wybiega z tych buduarów, opisanych wytworném piórem, gdzie występki przejrzyście osłonięty gazą, pociąga do siebie tak ponętnie!”

Z tej ciężkiej atmosfery, czas nam już wybiedz na szeroką przestrzeń. W ślad krytyka, rzućmy okiem na powieści Juliusza Werne, żywotne jak powiew oceanu, rzeczywiste jak nauka, która służy im za

podstawę, a mimo to zaprawne całym bogactwem fantazyi poetycznej, opromienione wiarą.

Werne stworzył nowy rodzaj; wprowadził do powieści swoich świat fizyczny, „podbił przyrodę,” mówi krytyk, przyrodę w najświetniejszych, a zarazem najgroźniejszych jej objawach, odgadł jej niedocieczone zagadki. Spragniony coraz to nowych widnokręgów, przebiega świat wokoło; pokazuje tajemnicze dno morza i bardziej tajemnicze wnętrze ziemi. Nie dosyć jeszcze na tém. Wzrokiem sięgnął on dalej; przez szerokie przestrzenie eteru, śmiałym rzutem wpada na księżyc. Kiedy inni anatomizują brzydoty ziemskie, on daje poznać cuda wszechświata, wśród których spełniają się nasze losy.

Zbadał Werne ów świat, zbadał go o tyle, o ile pozwala na to stan dzisiejszej nauki. Zna on krańcowe wyniki pracy współczesnych przyrodników; czytał się w sprawozdania najślynniejszych eksploatorów tej epoki; ztąd też fantastyczne jego powieści, tak ściśle oparte na wywodach naukowych, że według świadectwa specjalistów, uczą tyle niemal, jak dzieła Franciszka Arago. Wsparty na danych pewnikach, Werne rzuca zuchwałe hipotezy, rozwiązuje niezbadane dotąd problemata, słowem puszcza wodze najbujniejszej fantazyi. To prowadzi bohaterów swoich, w te podbiegunowe lodowiska, które pogrzebały już tyle ofiar; to ich wiedzie w samo serce Afryki, to statkiem podmorskim, partym się łą elektryczności, wypycha ich w otchłanie oceanu.

W tych fantastycznych polotach, nigdy jednak Werne nie spuszcza z oka czystej nauki. Wierzy on, jak mówią, w prawdę swoich hipotez, tę wiarę umie przelać w czytelników. Jeżeli nawet wymyśla sytuacje dalekie od prawdy rzeczowistej, trzyma się zawsze w granicach prawdopodobieństwa. W powieściach jego, nauka dzielnie posługuje sztukę; jej prawa rozwiązują zwykle poplątane nici dramatu; jej cudowność, podniesiona do wysokości poezyi, rzuca na obrazy jaskrawe i żywotne światło.

Trzydzieści lat dobiega, jak Werne rozpoczął literacki zawód, z razu jednak przeszedł niespostrzeżony. Po pierwszych próbach umilkł nagle, przez lat dziesięć nie dał najmniejszego znaku życia. Czas ten poświęcił naukowym badaniom. Owocem tych badań była nasamprzód powieść *Pięć tygodni w balonie*, wydana r. 1863. Wielkie powodzenie, jakie znalazła, zachęciła autora do nowych prac w tymże kierunku. Wkrótce potem *Przygody kapitana Hatterasa*, i *Dzieci kapitana Grant*, bardziej jeszcze rozślawiły jego imię. Werne stworzył nowy rodzaj w literaturze powieściowej.

Wszystkie prace autora tchną myślą zdrową i prawdziwie podniosłą. Maluje on zawsze człowieka w obce przyrody, walczącego z nią całą potęgą woli i rozumu, aż ją w końcu podbije pod swe prawo. Wielu pisarzy od stu lat wpadało na ten pomysł. Daniel Foe otworzył im drogę swym nieśmiertelnym *Robinsonem*. Cooper, Gabryel Ferry, Maine-Reid i tylu innych, wzięło sobie za cel pokazać przewagę człowieka nad przyrodą. Werne, wsparty dzielnie zdobyczami współcze-

snych w dziedzinie naukowej, wyścignął poprzedników, i nowy krok postawił na tej drodze.

Aby wydobyć tém większy zasób energii z duszy ludzkiej, powieściopisarz nagromadza niesłychane trudności w około bohaterów swoich. W *Przygodach kapitana Hatterasa*, więzi ich w łodach podbiegunowej sfery; na *Wyspie tajemniczej*, kędy spuszcza garstkę rozbitków powietrznych, oddziela ich od świata szeroką przestrzenią oceanu. Wytrwałą wolą i twórczym rozumem przełamują oni zapory, w czém dzielnie pomaga im Opatrzność. Bohaterowie Werna, pochylają czoło przed tą nadprzyrodzoną potęgą. „Im głębiej on zbadał tajemnice nauki, mówi krytyk, tém wyżej podnosi myśl do Boga!”

„Juljusz Werne, dodaje w końcu p. Topin, jest najpopularniejszym z powieściopisarzy współczesnych, i powiedzmy z radością, najśluszniej należy mu ten zaszczyt. Wszystko, co wyszło z pod jego pióra, zdrowe jest, krzepkie i podniosłe. Zuchwały wynalazca, logik ścisły, budownik niezmordowany, pisarz pełen ognia i siły dramatycznej, cudownie odmalował piękności materialnego świata i zbudował przyrodzie godny jej pomnik. Nie z samąj czerpie on tylko wyobraźni, ale i z osobistych wrażeń. Ma własny statek, w towarzystwie dwóch majtków, opływa nim ciągle brzegi Francyi. Przy pogwarze fal morskich. w obec widnokregu bez granic, stwarza coraz to nowych bohaterów. Nic dziwnego, że pomysły zrodzone pod takim wpływem, mają charakter wzniosły, pełen świeżego wdzięku, że piękno moralne bije z nich całym blaskiem, obok prawdy czysto naukowej.“

Studjum pana Topin nad dzisiejszą powieścią, nie dozwala nam powątpiewać o jej przyszłości. Są tu zapewne grube cienie, ale światło przemaga, a wielka popularność, jakiej używają pracownicy, siejący wytrwale zdrowe ziarno, „czyni, jak mówi krytyk, zaszczyt epoce naszej. Niech co chcą utrzymują pesymiści, dodaje z chlubą, obyczaje poprawiają się, skoro dobre książki znajdują tylu czytelników.“

Autor nie wyczerpał przedmiotu. Wkrótce wyjdzie tom drugi, poświęcony jeszcze współczesnym powieściopisarzom, poczem pan Topin zamierza zwrócić krytyczny pogląd na inne dzieła literatury.

Od powieści przejdźmy do poezyi. Wpadł nam niedawno w ręce szczególny poemat p. Beauregard, pod tytułem *Le Réve*. Sen to jakiś zagadkowy i długi, ciągnie się bowiem przez dwieście pięćdziesiąt stronnic! rozwiązanie zagadki wypowiedziane dopiero na ostatniej. W prologu poeta opowiada, jak razu jednego, w obec tłumów oblegających giełdę, uganiających się gorączkowo za złotem, przyszło mu na myśl, wykraść serce z piersi sąsiada i zbadać czyli to serce bije, czy śni o celu szlachetniejszym niż zimny kruszec. To wykradzione serce opowiada mu swoją Odyseję, boleśniejszą i bardziej bezowocną, niżli podróz króla Itaki. Serce to ukochało, ale niestety bez wzajemności, gdyż ta wybrana od młodych lat poślubiła żywot swój Bogu, lubo zakonna nie wiąże jej przysięga. Nieszczęśliwy próżno odgania dręczącą go mi-

łość,.. radby zapomnieć... trudno... Puszczą się w podróż, drogi obraz goni go wszędzie, nie daje mu chwili wytchnienia. Widzi ukochaną i na lagunach weneckich, i w ciemnych wąwozach Kalabrii, i u stóp Etny, buchającej płomieniem. Raz tylko uczuł świeżą jej dłoń na palającym czole. Kłamliwa to ułuda!.. Choremu na gorączkę, doktor przyłożył do czoła bryłę lodu! Gorączka ustąpiła, lecz miłość bez nadziei, dręczy jak dawniej serce.

Epilog oznajmia nam, kim była owa tajemnicza istota.

Tą wybraną mojej duszy,
 Jasną gwiazdą na mém niebie,
 Tyś poezyo nieścigniona!
 Czyż cię głos mój nie poruszy?
 Już w objęcia chwytam ciebie,
 Do drżącego tulę łona...
 Ty ubiegasz znów przedemną,
 W duszy pusto, w oku ciemno,
 Myśl szaleje, serce kona!

Nie jeden z naszych poetów opisywał stokroć piękniej ową pogoń za ideałem. Kto nie zna cudnych Rusałek Bogdanowych? Pamiętamy także pieśni Deotymy do Oblubieńca. Utwór pana Beauregard, lubo nie bez zalet, nie zna tej doniosłości. Ramy nadto szerokie, nie harmonizują z obrazem. Francuzi treściwi czasami aż do zbytku, nie smakują w tych ciągłych powtarzaniach. Jeden z krytyków ośmieszył ów *Sen*, mówiąc, że za długi na jedną noc francuzką; aby go prześnić potrzeba na to sześciomiesięcznej nocy Eskimosów.

Inną Odyseę, inną pogoń za ideałem, opiewa Franciszek Coppéc w poemaciku pod tytułem *Oliwier*. Bohatér ten żegluje do krainy ideału przez kałuże najohydniejszej rzeczywistości, a kiedy jutrzeńka błysła utęsknionym jego oczom, odwraca je z boleścią wyznając, że kto uganiał błędne ogniki po topieliskach, ten niegodzien spojrzeć w oblicze słońca.

Przypatrzmy się bliżej temu smutnemu bohaterowi, w którym autor, jak łatwo zgadnąć, uosobił sam siebie.

Oliwier, młody poeta, pod szczęśliwą urodził się gwiazdą. Nie miał jak tyłu innych prawa, uskarżać się na ludzi i na losy.

Myśl jego w cudne zawsze rąbki przysłonięta,
 Hodował swoje pieśni jak w klatce ptaszęta,
 A gdy skrzydła krasnemi porosły im pióry,
 Że mogły w nadpowietrzne ulecieć lazury,
 Szczelnie zwarte drzwi klatki rozmykał nareszcie,
 I ptaszyny po całym rozbiegły się mieście;

A lubo z gościnności to miasto nie słyńcie,
 Ten i ów dał przytułek wędrownęj ptaszynie:
 Czy w pałacu złoconym, czy w progu poddasza,
 Każdy rad miłym gościom, nikt ich nie wyplasz.

Oliwier jednak, lubo zwieńczony w wawrzyny i obsypany oklaskami salonów, nie czuł się szczęśliwym w tój sztucznej atmosferze; życie nie ma dlań najmniejszego powabu, użył go i nadużył: z dawnych uroków został mu tylko niesmak. W dzień dżdżysty, wiosenny, smutno wygląda oknem na jedną z głównych ulic Paryża. Radby jak ptak zatrzepotać w skrzydełka, ulecieć w siną przestrzeń na góry i na lasy. Oblicza się z myślą własną, widzi całą nicość błyskotek, za które tak uporczywie gonik.

Twój piersi nie odetchnąć w czym kadzidla dymie,
 Cóż, że sława powtarza daleko twe imię;
 Że bluszcz na twojém czole zakwita zielony,
 Jeżeli ręka matki, ni biała dłoń żony
 Przy ognisku domowém nie zawiesi wieńca!
 Tęskna myśl zaciężyła na piersi młodzieńca...

Postanawia wyjechać... gdzie? on sam nie wie! Siedzi zadumany, i rzewna piosenka wybiegła mimowoli z ust jego. Ockniony dźwiękiem tój dobrze znanęj pieśni, myślą zwraca się w przeszłość.

Ach! znana ta zwrotka

Brzmiała niegdys do taktu z wirem kołowrotka,
 Przez usta drogięj matki, gdy dziecinką małą
 Bawił się u jęj kolan, a słońce padało
 Na próg domu, gdzie wdowa snuła dni w żalobie,
 I tęskną myślą spoczął przy świeżym jęj grobie,
 Co pod cieniem kościołka murawą porasta,
 Gdzie spokój Boży święta znalazła niewiasta.
 Niechże na tęj mogile zapłacze jak dziecię,
 I krzyż na nięj żelazny kwiatami oplecic;
 Niech obejrzy raz jeszcze swój domowy kątek,
 I serce czarem drogich nakarmi pamiątek.

Na tę myśl mało z piersi serce mu nie skoczy.
 Obraz wioski rodzinnej staje mu na oczy.
 Rzęd wysokich topoli tam nad wodą rośnie,
 Z szumem listków ptaszęta coś gwarzą radośnie,
 A na tle widnokręgu w szaręj mgle nad rzeką,
 Mury i wieże miasta bieleją daleko.
 Widzi dworek rodzinny, rozwarłe wszędy wrota,
 Lipy rosna w podwórku, a róże u płota;
 W sieni odwieczna strzelba przybita do ściany:
 Nosił ją kiedys ojciec, sierocie nieznany.

Tam sypialnia matczyna, jój łóżko tak świeże,
 Na półkach rozstawione czarki i talerze,
 Za dworkiem się ku rzece ciągnie ogród spory,
 Cały w grzędy pokrajan; matka według pory
 Zbierała w nim owoce i jarzynki nowe,
 Koszyk wisien, pęk szczawiu, lub kapusty głowę;
 Dalej szkoła: tu psota nie uszła na sucho;
 Dyrektor nieraz ucznia wytargał za ucho,
 Istny sęp, w okularach i czarnym birecie.
 Tam był wiąz, kędy młodzież zbierała się w lecie,
 Brzmiały skrzypki i basy, śmiech, wrzawa i tany:
 Niestety! wiąz ten runął piorunem strzaskany.

Obraz ten odbity w wyobraźni poety, pojawi się niebawem jego oku. Oliwier opuszcza Paryż, pędzi lokomotywą, wsiada następnie do pocztowego wozu, przebiega znane mu pola i łąki.

Nic się tu nie zmieniło, choć minął czas długi,
 Jak dawniej we dwa rzędy polem ciągną pługi;
 Wśród drzew prosto, jak strzelił, idzie droga bita,
 Wszystko tu go poznaje, radośnie go wita;
 Oczyma za nim goni, nawet krówka sada
 Patrzy słodko i szyję do plotu przykłada;
 Ryk bydła się rozlega po dolinie całej,
 Młyńskie kola turkoczą, tak jak turkotały;
 Most na grobli niepewny zatrzęsł się w przejeździe
 Jak dawniej, a rój ptasząt utulony w gnieździe,
 Rozwarł szeroko dziobki, przeczucie nie myli,
 Chórem pieśń powitalną druhowi zakwili.

Czy poeta zwiedził rodzinny domek, czy potrząsnął kwiatem grób matki? nie mówi nam tego autor; wiemy tylko, że skoro się rozeszła wieść po miasteczku o przybyciu młodziana, którego imię powtarzane tylekroć w pismach, doszło już z chlubą do tej cichej ustroni, stary przyjaciel domu, zamieszkały w pobliskiej wiosce, zabrał go gwałtem i na całe zaprosił lato. Przyjaciel ten ma córkę jedyną, świeżą jak pączek, Zuzię. Dzieweczka liczy zaledwie piętnaście latek. Najczystszy to ideał niewinności i dziewiczego wdzięku. Tak poeta kreśli jój postać:

Gdy myśl moja na skrzydłach w jój ślad się zapędzi,
 Ona mnie się pojawia jak puszek labędzi;
 Jak lilijka bieluchna, jak ten śnieg co pruszy
 Zimą po gór wierzchołkach. Oh! trzeba mieć w duszy
 Myśl przeczystą, pogodną, nieskażoną niczém,
 By godnie serce poić tém tchnieniem dziewiczém.
 Gdy szczebiocze do ciebie drobnuchnými usty,
 Jój głosik pieścizliwy, a uśmiech tak pusty;

Ale dziwna powaga uderza z jój czola,
 Usteczka to dziecięcia, spojrzenie anioła.
 Jak zgrabnie białą rączką odrzuca ze skroni
 Złoty włos, gdy jój oczy na wietrze zasłoni;
 Przed czarem tego wdzięku niech wszyscy pokłękna.
 A jednak, ta dziewczeczka... ona nie jest piękną!

Poeta znalazł wymarzony i przeczuty ideał, niestety! znalazł go zbyt późno! serce jego zwiędło, odarte z młodzieńczej ułudy. Wyobraźnia zgorączkowana, ściga jakieś widma na każdym kroku. To rzucone jakieś na wiatr słowo Zuzi, przypomina mu wyrażenie zalotnej hrabiny, która przez rok trzymała go w swém jarzmie; to znów radość, z otrzymanych klejnotów, jaką naiwnie okazuje dziewczeczka, stawia mu przed oczy jakąś nikczemnicę, która za złoto zaprzedała cześć własną. Poeta szarpany z jednej strony niewiarą w niewinność kobiety, z drugiej gorzkim wyrzutem za zmarnowaną młodość, ucieka od tój, która pierwsza w życiu zaświeciła mu blaskiem przeczystej gwiazdy. Czyż odrodzony w duchu wielkiem uczuciem, rozwinie jak orzeł skrzydła i uleci ku promienistym wyżynom ideału? czyliż ukocha sztukę wyłączną, wielką miłością, i szukać w niej będzie balsamu na niezgojone serca rany? Bynajmniej! poeta powróci do Paryża, tam rzuci się znowu w ten szalony wir, który niedawno tak przeklinał, zatraci w nim ostatni szczątek iskierki Bożej, słowem utonie w piekle najohydniejszego realizmu.

Taka jest treść chorobliwego poematu. Coppée naśladowuje w nim Musseta, który ze swój strony szedł w ślady za Byronem i Hejnem. Nic też dziwnego, że utwór chybiony, mimo kilku pięknych ustępów, nie doda ani jednego listka do dawnego wieńca poety.

Bałwochwalstwo dzisiejszych realistów dla Alfreda Musseta, odgania sen od powiek Coppego. Postanowił bądź co bądź, stać się jak zmarły poeta bożyszczem nowój szkoły. Musset co do kolorytu i formy pozostanie w rzeczy samój na długo, wzorem godnym naśladowania. Jest on pod tym względem w literaturze francuzkiej, tém czém u nas Juliusz Słowacki, mistrzem niezaprzeczonym.

Gdyby Coppée usiłował dorównać mu w harmonii wiersza i poprawności języka, niktby mu ztąd nie czynił zarzutu. Ale młody poeta nie poprzestaje na tém. Wie on, że istotnym powodem popularności, jaką Musset zyskał dziś u realistów, jest właśnie ta nuta czysto zmysłowa, swawolna, dźwięczna może dla ucha, ale rażąca estetyczny smak tych, którzy szukają dla poezji, szerszych widnokręgów nad rzeczywistość ziemską. Na tój to drodze Coppée zdąża dziś w ślady za Mussetem i kto wie czy wkrótce nie prześcignie nawet mistrza swego. W tój chwili oto, wpadł nam w rękę wierszyk ulotny zamieszczony w jedném z pism illustrowanych. Coppée maluje skwarny lipiec, boleje nad spaloną przyrodą, opiewa w dziwnie realistyczny sposób, własne cierpienia spowodowane upałem. Skwar letni poruszył w nim *zółć*, nagromadził

*wewnętrzne kwas*y, wzdął serce zgrzyzotą: „Pęknij-że serce! woła nakoniec, pęknij; skoro nie masz odwagi wyrzucić z siebie jadu (*comir le poison*).“ Pęknił a ja obryzany czerwonym twojem błotem, niech jak on starożytny apostata, z bezsilną klątwą na ustach, rzucę pełnemi garściami własną krew, przed oblicze stonia szydercy!

Wiersz ułożony wytworną formą, ale pytamy, jestże poezya w tój patologicznej analizie? Czytając takie rzeczy, nie dziwimy się estetykom francuzkim, że tak dziś podnoszą wzory Greków, widzą w nich jedyną tarczę, przeciw powodzi realizmu tak złowrogięj dla poezyi.

Publiczność paryzka chciwa wrażeń, zaciekawiona setkami artykułów skreślonych dorywczo po zgonie Georges Sand, wyglądała niecierpliwie po dziennikach listów zmarłej autorki, których mnóstwo pozostało w ręku przyjaciół. Oczekiwania te zawiedzione zostały, zwłaszcza gdy wyczytano w pismach, odezwę syna skreśloną lakonicznie: „Pan Maurycy Sand prosi o przypomnienie osobom, które posiadają listy matki, aby żaden z tych listów nie był ogłoszony drukiem wprzód, nim otrzymają wyraźne jego upoważnienie, jak brzmi ustanowione prawo.”

Odezwa ta wywołała żywą polemikę. Wiele osób powstało przeciw istnjącemu prawu, zarzucając mu niedorzeczność. List, jak mówią, od chwili gdy go wrzucono do pocztowej skrzynki, przestaje być własnością tego, kto go pisał, a staje się własnością osoby, dla której przeznaczony. Nowy właściciel może zniszczyć go lub zachować, może dać go czytać komu zechce, godziż się ograniczać jego prawo? Wszelki przedmiot darowany za życia przez zmarłego, nie wraca przecież do spadkobierców, dla czegożby list miał stanowić wyjątek?

Pomimo silnych protestacyi nikt jednak nie poważył się wydrukować żadnego listu Georges Sand; Francuzi bowiem lubo krzyczą na prawo i prawodawców, szanują przecież istniejący porządek, dopóki ten pod naciskiem opinii nie ustąpi miejsca nowemu.

Listy Georges Sand wyjdą wkrótce na widok publiczny, zapewne ogłoszone przez syna; obejmą one kilka lub kilkanaście tomów. Autorka utrzymywała stale bardzo liczną korespondencyą. Co dnia pisywała długie listy, podejmowała w nich rozmaite pytania filozoficzno-psychiczne, rozbiierała sztukę i literaturę, jakto widzieliśmy z listów do Karola Edmunda (Chojackiego), drukowanych przy wspomnieniach w r. 1867. Tyle bluszczów kwitnie na czole autorki, że nie sądzimy, aby wydane listy dorzucić miały nowy liść do jęj wieńca. Publikacye tego rodzaju, jeśli przyniosły wydawcom materyalną korzyść, mało za to przyczyniły słaawy autorom zmarłym od lat dziesięciu. Idealuy Lamartine wystąpił w swoich jako zimny materyalista; Prudon jako bezwstydnny cynik, Sainte Beuve (w listach do księżnej Matyldy), dał się poznać jako pochlebca i intrygant, dobijający się bądź co bądź krzesła senatorskiego; Merimée w korespondencyi z dwoma nieznanymi, jako śmieszny stary Lovelace, szyderca i samolub. Wątpimy aby listy pani Georges Sand odkryły jakąś nową stronę jęj umysłu i serca. Małoż to autorka Lelii mówika

już o sobie w dziesięciotomowej *Historji życia swego*, w *Listach z podróży* we wspomnieniach i notatach potylekroć już drukowanych? Ale nie przesadzajmy rzeczy, nowy rok przyniesie nam niewątpliwie korespondencye wybrane ręką syna, wtedy nie przemilczymy o nich.

Pisma amerykańskie jednomyślnie poświadczają, że Francya tryumfuje na polu artystycznym w Filadelfii. Obrazy z życia wiejskiego ludu Emila Bretona, szczególnież śliczne *dziewczęta pływające przy ogniu sobótkowym*, które podziwialiśmy na zeszłorocznej wystawie, budzą powszechny zapach. *Deklaracya niepodległości amerykańskiej*, wielki obraz Arnanda Dumaresy, bardziej jeszcze porusza tam umysły podsycając dumę narodową. Z równem uniesieniem podziwiają Amerykanie przepyszny wazon, arcydzieło sztuki ceramicznej, wykonane w Limoges, w słynnym zakładzie pana Havillard. Wazon ten niepraktykowanych dotąd rozmiarów, wysoki na stóp piętnaście, wyobraża także ogłoszenie niepodległości. Podstawa nakształt skały, w którą uderzają fale morskie; powyżej rozstawione rzędem działa przypominają kilkoletnie a zacięte walki o niepodległość: nad nimi rozrzucone malowniczo palmy i wieńce z wawrzynu. Wpółrodku zapefnia jedną stronę herb Stanów Zjednoczonych: orzeł z rozpostartemi skrzydły, trzymający w szponach piorun i gałązkę laurową, w wypisanem godłem *E pluribus unum*. Pod orłem trzynaście gwiazd, przypomina trzynaście Stanów, które utworzyły pierwszy związek, poniżej bogata armatura a wśród niej trzynaście chorągwi. Na stronie przeciwnej wielkie popiersie Waschingtona, a po bokach wazonu pomieszczone dwie symboliczne figury *Chwała* i *Zwycięstwo*. Pokrywa ciemno-lazurowa, zasiana w złote gwiazdy wyobraża półkulę ziemską. Tło wazonu ma kolor oksydowanego metalu. Obie figury zarówno jak i popiersie zupełnie białe (en biscuit). Inne ozdoby pokryte emalią w żywych barwach, tworzą całość świetną i malowniczą. Rzeźby wykonał p. Delaplanche.

Dzieła sztuki francuzkiej, idealnym charakterem, jaki je powiększej części cechuje, odskakują zupełnie od realistycznych pomysłów amerykańskich. Weźmy np. jeden historyczny obraz, wykonany pędzlem miejscowego artysty. Jak tam wszystko lokalne, i przedmiot i grupy osób: nigdyby Francuz nie wpadł na taki pomysł. Rzecz wyobraża wpływ elektryczności na cywilizacyjny rozwój społeczeństwa. Kompozycya składa się z dwóch seryi obrazów; przedstawiają dwie odrębne epoki. Jedną z nich nazwał malarz *erą wyobraźni*, drugą zaś *erą ścisłe naukową*. Najsamprzód widać dwoje ludzi, męczyznę i kobietę w odzieży pierwotnej. Grom uderza, oboje cofają się z przerażeniem. Zabobonna ich trwoga rodzi myt Jowisza gromowładcy. Na obrazie drugim, król Olimpu wsparty o grzbiet orła, rzuca ręką błyskawice i pioruny. Dalej znów wychudła postać w jezuickiej sutannie, jedną ręką rozprasza chmury zabobonu, drugą zapala stos dla Jana Hussa. Wprawdzie za czasów Hussa nie było jeszcze Jezuitów, ale Jankesy z okiem utopionem w przyszłość, z wiecznem *for head* na ustach, mniej

się obliczają z przeszłością; anachronizmy niczém dla nich. Na tém kończy się era pierwsza, europejska era wyobraźni.

Druga era rozwija się w Ameryce. Obraz pierwszy pokazuje Waschingtona. W jednej ręce bohater trzyma sztandar zasiany gwiazdami, w drugiej konstytucyą Stanów Zjednoczonych, oświeconą światłem elektrycznym. Niżej skreślony napis: „Konstytucya amerykańska” zamyka erę zabobonów, zapewniając wszystkim wolność myśli. Na drugim obrazie występuje Franklin z synem; uznaje tożsamość piorunu z elektrycznością. Nakoniec Amerykanin Morse wymyśla mechanizm do spożytkowania nowo poznanej siły. W dwóch ostatnich obrazach, pustynia i ocean, oddają świadectwo pomysłom morza. Pustynią wyobraża bawół uderzający wściekle rogami o słup telegrafu, ocean zaś przedstawia ogromna ryba, uplatana w drut na dnie Atlantyku.

Realizm amerykański otwiera dla sztuki nową erę. Wątpimy jednak, aby europejscy artyści poszli wskazanym torem, aby chcieli zerwać z wyobraźnią, której zawdzięcza świat tyle nieporównanych arcydzieł.

Wspomnieliśmy już kilka miesięcy temu o projekcie urzędzenia podróży naukowych w około świata, dla młodzieży opuszczającej ławę szkolną. Otóż słowo rzucone w Towarzystwie geograficznym natrafiło na bujną rolę, i wkrótce wyda pożyteczny owoc. W chwili gdy to piszemy, związane w tym celu towarzystwo wydało odczwę powołującą do suskrypcyi, w ilości 2,000,000 franków. Trzysta pięćset frankowych akcyi, organizatorowie rozebrali już między sobą. Wpóśród dwudziestu założycieli Towarzystwa, czytamy imiona pierwszych bankierów, marynarzy, inżynierów i uczonych: Lessepsa, Drouyn de Lhuys, Lavalleya, Lavasseura, Ludwika Wołowskiego i t. d.

Budową wielkiego statku przedstawiającego wszelką możliwą rękomię bezpieczeństwa, zajmują się już specjaliści, pod kierunkiem wytrawnego marynarza p. Dupuis de Lome. Parowiec ten ma być wykonany z wiosną 1877 roku. Wyprawa pierwsza rozpocznie się w początkach maja, wyruszy z Hawru, powróci w jesieni przez Marsylią; trwać ma do dziesięciu miesięcy.

Mamy przed sobą mapkę, z oznaczoną drogą, na przestrzeni 14,000 mil morskich z trzydziestu kilku głównemi przystankami. Pierwszy wypadnie w Lizbonie, drugi na Maderze, trzeci w porcie Nowojorskim. Potém okręt popłynie do Hawanny, okrąży Brazylią i cały półwysep południowo-amerykański. Od Callao, puści się ku Australii, zatrzyma w głównych portach, przy wyspach Auckland, dalej u miast Sydney i Melburn. Ztąd poinknie na północ ku Japonii, odpocznie w Jokohamie, okrąży Chiny i Indo-chiny, puści się do Batawii, zawróci znów ku brzegom Indostanu. Z Bombaju przez morze Indyjskie, Czerwone a następnie kanał Suezki, do Aleksandryi, wreszcie Śródziemnym morzem i cieśniną Messyńską przyplynie do Neapolu, zamtąd do Marsylii.

Wyprawa cała skierowana będzie w sposób, aby dać poznać młodemu podróżnikom, najcenniejsze miejscowości kuli ziemskiej. Specyjalni profesorowie, w powtarzających się podczas żeglugi konferencyach, opisywać będą kraje leżące po drodze, wprzód zaczem okręt zawinie do ich brzegów. Biblioteka dostarczy podostatkiem książek, planów, map geograficznych i t. p.

Liczba podróżnych ma być ograniczona do pięćdziesięciu. Każdy będzie miał osobną kajutę, jasną, obszerną i wygodną. Od głównych przystani gdzie się okręt zatrzyma, ułatwione będą wycieczki w głąb rozmaitych krajów.

Łatwo pojąć o ile taka podróż wpłynie na ogólne ukształcenie młodych ludzi, którzy wezmą w nią udział.

Jeśli taka coroczna żegluga wkoło świata, przynieść może znakomite korzyści dla rozwoju nauk geograficznych, niemniej ważnym w następstwa pokazał się już klub alpejski, zawiązany kilka lat temu. Mamy właśnie pod ręką, drugi rocznik Towarzystwa, wydany u Hachetta w tym czasie. Sam rozmiar rocznika świadczy że Towarzystwo wcale nie próżnowało. Ogromny tom zdobiał liczne klisze i mapy. Znajdujemy tu opisy ciekawych wycieczek w Pireneje, w Wogezy, w góry Owernii, Sabaudyi i Delfinatu, jak niemniej w Szwajcarskie Alpy i włoskie Apeniny.

Klub alpejski liczy już 1733 członków; liczba ich wzrasta z dniem każdym. Pomysł był jak widać na dobie, skoro w dwu latach do tak wielkiego przyszedł rozwoju. Korzyści ztąd nieobliczone. Młodzież poznaje się z własnym krajem, nie z samych tylko książek i map geograficznych, ale spotyka się z nim oko w oko, poi pierś zdrowym aromatem ziół i żywicznych jodeł, hartuje siły ruchem i trudami, rozwija smak estetyczny widokiem wspaniałych krajobrazów: słowem, wydziera się z więzów sztucznego życia, a pchana zachowawczym instynktem, wraca do czasu, kiedy

Dzisiejsze dziwy dziwami nie były,
 Grały widomie niewidome siły,
 I piluowały człowieka jak dziecka.
 W powietrzu, w drzewach, w kamieniu, pod wodą,
 Krewne współczucie ludzie znajdowali;
 Bo nie gardzili naówczas przyrodą,
 Bo ją jak matkę znali i kochali!

Powtarzamy tu słowa zacnego autora Sobótki, znane oddawna wszystkim, ale są rzeczy, których nigdy zanadto powtarzać nie można. Słowa te powinnyby dać pobudkę młodzieży naszej do wycieczek leśnych na wyżyny Łomnicy i Krępaku, lub przynajmniej góry Świętokrzyskiej i doliny Ojcowa. Dziś przy rozbudzonym popędzie, tak w Niemczech jak we Francyi do bliższego poznania ziemi własnej, nie godzi nam się przepominać słów innego znów poety:

Wstydem czoło twe zarumieć,
 Żeś Tybr poznał i Sekwanę
 A Prądnika minął strumień ¹⁾!

Na ostatnich zebraniach klubu alpejskiego, liczne głosy domagały się aby Alpiści nie poprzestawali na badaniach geograficznych, ale zajęli się niemniej etnografią i archeologią; ażeby w obręb sprawozdań swoich, włączyli opisy tradycyi miejscowych, aby zwiedzając stoki Alp, Wogezów i Pireneów, zwrócili baczne oko na lud, na jego zwyczaje, ubiór, pieśni, przysłowia i t. p. Któż nie wie, że góry w każdym kraju były dla tubylców najbezpieczniejszą warownią; że lud osiadły pod ich cieniem, zachował najwybitniejsze cechy swój rodowości, gdy te zacierały się na płaszczyznach, skutkiem nieprzyjacielskich najazdów, lub napływem obcych migracyi. Ten kierunek młodych Alpiistów przyczynić się może znakomicie, do wzrostu nauk etnograficznych we Francyi.

Nauka antropologii tak nowa w stosunku innych nauk, wzbogaca się jednak codziennie, dzięki niez mordowanym podróżnikom. Anglia dziś największe przynosi tu zdobycze. Słynny żeglarz Cameron, który świeżo zdeptał nieznane dotąd strony Afryki, przyniósł z dalekiej wędrówki mnóstwo szczegółów, prostujących zastarzałe a błędne mniemania. Według skreślonych przez niego map etnograficznych, pokazuje się, że świat afrykański, uważany powszechnie za ojczyznę czarnego plemienia, kryje w sobie wielką moc różnoplemiennych ludów, u których kolor biały przemaga zapewne nad czarnym.

Inny znów podróżnik angielski Wyatt-Gill, który przez dwadzieścia ośm lat przebywał jako misionarz protestancki na wyspach Hervey, (w Oceanii), zdał sprawę na kongresie antropologicznym w Bristolu, z nadzwyczaj ważnych badań nad tubylcami. Poznał on do gruntu ich obyczaje, podania i legendy.

Przegląd antropologiczny wydrukował ten ciekawy raport. Oto niektóre szczegóły, pokazujące wspólność tradycyi u wszystkich ludów kuli ziemskiej.

Wyspiarze ci wierzą w zstępowanie żywych do piekieł; opowiadają najdziwniejsze ich przygody. Piekło u nich zowie się Hawoki. Według nauki tamtejszych kapłanów, dusze zmarłe po trudach żywota odpoczywają na skalistém wybrzeżu, obróconém ku zachodowi słońca. Tu u stóp skały wyrasta z wody olbrzymie drzewo; na gałęziach jego siadają dusze; w miarę przybywania nowych, dawniejsze zanurzają się w głąb Hawoki, kędy panuje straszliwy Miru, istnie jak Pluton w tradycjach Greków. Niewolnica Miru Akaananga, nowo zanurzone dusze ogarnia siecią, kąpie je w wodach jeziora, i tak obmyte prowadzi przed tron pana swego. Miru uosobieniem jest najpotworniejszój brzydoty. W obec niego, dusze piją sok wyciśnięty z korzeni ziela *piper mithisti-*

¹⁾ Franciszek Wężyk, Okolice Krakowa.

cum, poczem sładzy pieką je w ogniu, i zastawiają na stole, przy którym Miru biesiaduje z rodziną i domownikami.

Podobny los spotyka dusze nikiemnych, i tych w ogólności, którzy pomarli na łozu zwykłą śmiercią. Inna dola przeznaczona duszom dzielnych mężów i niewiast. Te idą na wysoką górę sterczącą nad morzem, gdzie panuje Rongo, bóg wojny. Skoro dosięgły szczytu, ulatują w przestrzeń lazurową i krążą w niej swobodnie.

Wyobrażenia jedne w gruncie, zmieniają się w stosunku miejscowości i charakteru mieszkańców. Na wyspie Aitukati dusze karmią się najprzedniejszym cukrem, wysysają go nieustannie. Na wschodnich brzegach Nowej Gwinei tubylcy mieszczą swój Eden w sferze mytycznej zwanój Erema, zarostój sagowemi palmami; dusze dobrych jedzą sago bez wypoczynku. Lud ten wywodzi ród swój od dusz, które opuściły niebieskie przestworza i zbiegły na ziemię, znęcone widokiem smacznych owoców, w chwili gdy wyspy wydobyły się z pod wód morskich.

Ideał tych biędnych ludów, nie sięgający więcej nad zaspokojenie głodu, świadczy o niedostatku w jakim żyją. Złaknione tu na ziemi, karmią się nadzieją, że po śmierci przynajmniej, użyją obficie bożych darów!

Ważną wiadomość dla świata artystycznego, podaje dziennik amerykański *New Orleans Picayune*. Odkryto świeżo w Nowym Orleanie obraz przedstawiający *Wieczersę Pańską*, pędzla Rafaela. Mistrz wykonał go na krótki czas przed śmiercią; umarł jak wiadomo k. r. 1520. W siedm lat potóm Hiszpanie złupili Rzym i zabrali do Hiszpanii wiele utworów szkoły włoskiej. Między temi był ten odkryty obraz Rafaela. Nabył go bogaty plantator z Luzyanny. Dziś jest w ręku p. O'Hara. Rząd francuzki wyprawił do Orleanu hrabiego de Turenne, aby sprawdził autentyczność utworu, i nabył go dla galeryi narodowej w Luvrze.

KORRESPONDENCYA.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

(w sprawie Światowida).

Prawie każde odkrycie głośniejszego zabytku przeszłości, powoduje zwykle u pewnej liczby krytyków powątpiewanie o autentyczności przedmiotu. Inaczój téż być nie może, gdy z jednej strony zbywa

na isticie pozytywnych dowodach, a z drugiej spekulacya na rozgłos, efekt lub grosz, każe się mieć nauce na baczności. Spierano się w swoim czasie o rękopis królodworski i pamiętniki Paska, spierają się teraz o kamienie runiczne z Mikorzyna, a na polemice takiej często zarabia nauka. Cóżkolwiekby znalazł ku sobie niewiernych i ów ongi potężny bóg czterolicowy, który straciwszy wszechwładne panowanie na niebie słowiańskim, zadzierzył niespodzianie w tysiąc lat później u stóp Wawelu berło w skarbnicy pamiątek swoich ludów.

Nie pisząc się ani *za* ani *przeciw* Światowidowi, ale wiedząc jak w podobnych kwestyach na baczność zasługuje uwagę najdrobniejszy szczegół odkrycia, mamy obowiązek przesłać redakcyi słówko w tój sprawie.

Wszystko co dotąd wiedzieliśmy o odkryciu bożyszca, podał nam (w Rocznikach Towarzystwa nauk. krak. 1851 r.) p. Mieczysław Potocki, mniej więcej w następujących słowach: W roku 1848 w miesiącu sierpniu, w czasie wielkiej posuchy, gdy woda na Zbruczu nadzwyczaj opadła, strażnicy graniczni przechodząc brzegiem, w okolicy górzystej i leśnej na gruncie wsi Liczkowiec, ujrzeli coś nakształt kapelusza nad wodą wystającego. Sądząc że to istotnie może kapelusz człowieka utopionego, wskoczyli do wody i przekonali się że ów kapelusz był kamienny i należał do takiegoż słupa. Natychmiast dali znać o tém do dworu, a za staraniem ówczesnego rządzcy, zaprzężono trzy pary wołów i wydobyto na brzeg posąg. Obecni przy dobywaniu utrzymywali, że wprawdzie w owém miejscu były jeszcze ślady większych kamieni, które mogły należeć do piedestału, lecz że te mułem zasute i dość głęboko w wodzie zanurzone, były prawie niepodobne do wydobycia. Długo ciekawy zabytek leżał w zapomieniu, dopóki nie został darowanym przez właściciela Liczkowiec panu M. Potockiemu dziedzicowi leżących także nad Zbruczem Kociubińczyk, a przez tego ostatniego ofiarowany Towarzystwu naukowemu do Krakowa. Pan Teofil Żebrawski archeolog i członek Towarzystwa krakowskiego, który w kwietniu r. 1851 przybył na Podole galicyjskie po Światowida, powiada w swojem *sprawozdaniu* (Rocz. Tow. nauk. kr.) że wieś Liczkowce siedziba niedawno ś. p. Tymona Zaborskiego wieszca Miodoborów (górz miejscowych), była r. 1851 własnością jego brata p. Konstantego, lecz że p. Potocki pierwszy ocenił i odgadł znaczenie słowiańskiego bożyszca, którego opis wraz z rysunkiem (wykonanym przez młodego artystę M. Cywińskiego) przesłał do Krakowa. Pan Żebrawski zgadza się w zdaniu z p. Potockim, że posąg nie jest całkowitym ale złamanym w dolnej części, która niewątpliwie w Zbruczu pozostać musiała, w miejscowości gdzie był znalezionym.

Tyle szczegółów o odkryciu mamy w rozprawach p. Potockiego i Żebrawskiego, które przemawiają bardzo silnie za autentycznością wspaniałego słowiańskiego zabytku. A teraz zanotujmy to co p. Kazimierz Korwin Bieńkowski (podobno inżynier), bawiąc przed kilku

laty w Iwoniczu opowiadał panu Edwardowi Pawłowiczowi, zacnemu konserwatorowi we Lwowie muzeum Imienia Lubomirskich i Ossolińskich. Wedle p. Bieńkowskiego, on to pierwszy około r. 1848 jadąc konno nad Zbruczem przez grunta liczkowieckie, zwrócił uwagę na bałwana wychylonego z wody w kierunku ukośnym od strony granicy ku brzegowi Galicyi. Jakoż przy pomocy ekonoma Gawłowskiego (który podobno jeszcze żyje, a mieszkał nie dawno we Lwowie), za pomocą kilku par wołów wyciągnięto bożyszcze z rzeki i złożono na dziedzińcu dworskim w Liczkowcach. Pan Bieńkowski miał zamiar odesłać ten zabytek do Lwowa pod rozagę ludzi uczonych, ale w tymże czasie w skutek wypadków politycznych musiał opuścić zupełnie Galicyę i nigdy już nad Zbrucz nie powrócił. Światowid na dziedzińcu liczkowieckim przeleżał lat kilka, zanim dostał się do pana Mieczysława Potockiego, który w swoim opisie wspominając o owym „rządzczy” z Liczkowiec, co wydobył posąg z wody, miał zapewne na myśli Gawłowskiego, może zaś pana Bieńkowskiego wymienić nie mógł lub o nim nie wiedział.

Dla uzupełnienia dokładnych wiadomości o odkryciu Światowida, byłoby więc pożądanem odnieść się do tegoż p. Kazimierza Bieńkowskiego, mieszkającego w Repuzyńcach na Bukowinie (stacya poczt. Zaleszczyki), aby zechciał przez życzliwość dla archeologii polskiej nadesłać Bibliotece Warszawskiej własnoręczny, bardziej dokładny i szczegółowy opis odkrycia, jako sam jedyny, może wykształcony świadek tego wypadku. Z drugiej strony p. Kirkor wysyłany corocznie przez Akademię umiejętności do robienia poszukiwań archeologicznych na Podolu galicyjskiem (a w tym roku nad Zbrucz), nie wątpimy że przeprowadzi dokładne śledztwo na miejscu, dopóki żyją ludzie, którzy Światowida pamiętają w Liczkowcach i Gawłowski nie umarł. Zbytecznym będzie dodawać, że na pośpiechu wiele tu zależy, bo za lat kilka stać się może niewiadomem nawet miejsce, gdzie bożyszcze spoczywało w topieli tyle wieków. Nie szkodziłoby też zrobić tam na brzegu znak jaki. Ostatniem wreszcie a najważniejszem życzeniem dla nauki jest to, żeby p. Mieczysław Potocki, piastujący obecnie we wschodniej Galicyi ważny urząd opiekuna pomników przeszłości, nieomieszkął zarządzić choćby mozolne poszukiwanie i wydobyć ze Zbrucza brakującej części posągu, co w razie pomyślnym uzupełniłoby świetnie dar szacowny tego miłośnika pamiętek ojczystych. Światowid w całej postawie, z powagą dziesięciu wieków, spojrzalby z grodu Krakusowego na setne pokolenia ludów swoich i na niebie polskiej archeologii rozpromienił czcią niezachwianą kapłanów nauki starożytniej.

Zygmunt Gloger.

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

O Drogach ducha, napisał August Cieszkowski. (Oddruk z Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego. Poznań. 1869. Nakład autora).

Z niezależnych od nas przyczyn nie podnosiliśmy dotąd głosu o tej pracy, niedawno bowiem ukazała się na półkach księgarskich; a grzechem byłoby, gdyby podobne zjawisko przeszło nie potrąciwszy o strony naszego pisma. Wiadomo czytelnikowi, w jaki to żywy i energiczny okres przenosi nas wspomnienie o pierwszym wystąpieniu Augusta Cieszkowskiego. Przypada ono na chwilę najwyższego napięcia filozoficznego, kiedy heglizm był planetą panującą prawie samowładnie nad horyzontem. Stanowisko Cieszkowskiego wygłosił w świecie germańskim jeden z najzarliwszych heglistów: Michelet, mianowicie w swoim: *Chrystusie Dziejowym*. Z pośród zaś naszego społeczeństwa najdonioślejsze słowa uznania wyszły z katedry paryżkiej, w odczytach o literaturze słowiańskiej. Jak tu, tak i tam powitano w autorze „Historyozofii“ i głosu „o Bogu i Palingenezyi i t. p.“ zapowiedź żywotnego zwrotu; następnie prace były rzetelnym spełnieniem się wróżby. Przyznać jednak należy, iż przyjmując z rąk mistrza jego dyalektykę, i punkt wyjścia, Cieszkowski zachował całą niezawisłość w pokierowaniu idei głównej. Szczególniejszą zasługą naszego autora jest to, że jakkolwiek ujęty przedziwną spójnością systemu Hegla, przed którym rzeczywiście trudno nie pochylić czoła i poza którym, zdaje się, jakoby nic postawić ani pomyśleć się nie dało, jednakże w imię instynktu plebienia, uczuł się on zniewolonym stanąć wbrew najwaleńszemu punktowi dogmatu: przeciw unicestwieniu osoby. Zgodzą się z nami czytelnicy, że na uzasadnieniu pojęcia osoby, polegają ostatecznie najwyższe zagadnienia ludzkie: pojęcie Boga, nieśmiertelnego trwania duszy i moralna odpowiedzialność jednostki. Co do formy—prawna, ale nieprawa co do treści zasada: podciągania rzeczy ludzkich pod modłę *absolutu*, zmuszania wszech świata, jak mówi Mickiewicz, aby krążył na około katedry filozofa; słowem sama rdzeń systemu Hegla, przez naszych mędrców wziętą została w dwa ognie. Przeciw wszechwładzy rozumu zaprotestował autor *Nowej logiki*, przeciw zaprzeczeniu osoby: Cieszkowski.

Przed zwróceniem się do *Dróg ducha* wypada nam podnieść jeszcze jedną stronę, którą zresztą dzielią z sobą prawie wszyscy mężowie tej grupy, t. j. że godła, raz uznanemu pozostają wiernymi do końca. Jednolitość i ciągłość zasady ma ten wdzięk teoretyczny w rzeczach rozumowych, że ułatwia ogarnięcie całości za jednym rzutem oka i odniesienie każdego szczegółu do właściwej jego grupy, a znowu w rzeczach społecznych, gdzie rozum potrąca o uczucie, ma

ten wdzięk, że baczny czytelnik chwilami wyprzedza autora i ledwie że nie odgaduje dalszy tok jego myśli. Cieszkowski też w obecnym piśmie niejednokrotnie odwołuje się do swoich „prolegomenów historyzoficznych“ na dowód zgodności z sobą samym.

Główny przebieg myśli w niniejszej pracy jest następujący. Pod ogólnym hasłem solidarności wszystkich potęg ducha, autor zestawia najprzód myśl ludzką ze słowem, następnie uczucie z tonem; ztąd wyprowadza naukę i sztukę. Mówi o ogólnym społeczeństwie nauk i sztuk, o ich wyzwoleniu i równouprawnieniu bez pominięcia lub poniżenia którejkolwiekbądź; w końcu zaś wskazuje, jak mamy pojmować samą wolę i wyzwolenie tak w dziedzinie nauki jak i twórczości.

W toku rozumowania, przyjętym przez naszego autora, słowo spełnia wysoką rolę. W stosunku swoim do myśli, słowo nie tylko stanowi drabinę Jakóba, po której odbywa się wewnętrzny przebieg pojęcia ludzkiego; owszem słowo jest współpotęgą myśli, i tak się ma do niej, jak czyn do objawu: wyrzeczenie, wystowienie myśli, dowodzi jej ostatecznej dojrzałości. Kto na wyrób swojego rozumowania nie znajduje odpowiedniego wyrazu, ten, zdaniem autora, nie doprowadził jeszcze pomysłu do należytej dojrzałości. Przez wystowienie, przez wyrzeczenie, myśl, jak była piérwéj utajoną we wnętrzu ducha możliwością, tak teraz staje się rzeczą jawną, spólną, rzeczą pospolitą. I teraz znowu słowo stanowi nowy bodziec do snucia nowych myśli. „Jakoby pryzmat lub soczewka, słowo, rozłamując zwartą myśl na niezliczone promienie, rozkłada je po kolei i między sobą rozróżnia, jedne odbija, drugie nagina, te różnobarwi, tamte polaryzuje, a im bardziej doświadcza, tém więcéj własności w nich odkrywa i utajone w samej myśli a częstokroć nie domyślane pierwiastki na jaw wyprowadza; im w różnorodniejsze zapuszcza się z nią działania, tém dyalektyczniejsze utrzymuje wypadki” i t. d.

Przytoczony ustęp pokazuje najprzód, jak umiejętnie pod piórem Cieszkowskiego filozofia posiłkuje się żywymi barwami a dosadny wyraz nasuwający mu się co chwila jako tłumacz wysnutego pojęcia, pokazuje, że autor ma niezachwianą wiarę w filozoficzność naszego języka. Powtóre, dostrzegamy tu wierne dotrzymaną chorągiew szkoły, ale uzacnionej, posuniętej daleko w kierunku społeczeńskim. A mianowicie: stosunek pomiędzy słowem a myślą, w rozumieniu szkoły był to stosunek czysto analityczny, który tak się daje sformułować: co mówiący złożył w swoje słowo, to słuchacz z niego wybiera. Taki jednak wymianowy stosunek jeszcze nie zapewnia postępu wyobrażeniom ludzkim. Mówienie, wystowienie się byłoby niczem innym, jak błędnym kółkiem od ziarna do owocu i od owocu znowu do ziarna. Myśliciel słowiański nie może się zadowolnić tak zmechanizowaną robotą ducha. Otóż Cieszkowski podnosi tu nowy, rozplądający czynnik: robotę społeczną. Myśl jednostki, jego zdaniem, uzewnętrzniiona przez słowo, przechodzi na tysiące rąk, z któ-

rych każda nie tylko ją rozesuwa, analizuje, ale przystępuje z nowym przyczynkiem. Na takięto drodze „obcowania umysłowego,, przywłaszczania bratnim umysłem, myśl wykształca się w umiejętność, w nieskończoną tkaninę sądów i wniosków, rozmnaża zarodowe pierwotnych pojęć komórki i wznosi coraz wyższe piętra przybytku wiedzy.

Wspomnieliśmy wyżej o przyznanym przez autora rodowym związku, o współistotności słowa z myślą. Z okiem utkwioném w greckie *Logos* (myśl i słowo zarazem) autor znajduje najwyższe potwierdzenie téj prawdy, a zarazem i filozoficznego instynktu słowiańskiego, w samym wyrazie *słowo*.

I w ogóle, wiele sobie rokuje autor z samego podsłuchiwania uchem myśliciela, dźwięków naszej mowy, w której jak sądzi, śmiało poznać można tętno ducha utwórców mowy.

Wiadomo czytelnikom, że podobne odszukiwanie dróg instynktu w dźwiękach napotkało silny opór ze strony naszych filologów porównawczych, opór poniekąd słuszny, gdyż wywodom myśliciela nie zawsze tu odpowiadają fakta mowoznacze.

Lecz autor na dowiedzenie, że nasz naród rzeczywiście dopatrywał istotową jedność myśli i słowa, mógłby był przytoczyć to ludowe wyrażenie, „ja mówiłem, że..“ używane zupełnie w znaczeniu: „ja myślałem, że..“

Tyle o stosunku słowa do myśli. Zatrzymaliśmy się dłużej nad tym działem, bo w nim autor daje nam pojęciowe tło i poniekąd klucz metody własnej.

W dziale drugim jest mowa o czynnikach drugiej grupy, o uczuciu i tonie. Słowa z uczuciem już nie łączy taki stosunek, jak z myślą. Tu już jedno drugiemu ani pomaga, ani go wymaga. Są to wyrażnie dwie potęgi, każda na innęj leżące płaszczyźnie. Owszem, uczucia są z przyrodzenia raczej nieme, ledwo do okrzyku lub westchnienia pochopne. Uczucie, obojętne na wyrażenie umysłowe (na wyraz), rwie się raczej do wrażenia zmysłu wewnętrznego, lub zewnętrznego; drogą, po której uczucie dobiera się głębin ducha, jest: ton, prawdziwy tłumacz uczucia. Dla człowieka, np. pogrążonego w boleści, obojętnemi będą, „choćby najwielebniejsze skarby słowa; a stokroć więcej nad nie poradzi łzawe oko, krzyk serca, przycisk przyjaznej ręki.“ I wzajemnie, gdybyśmy zamyślonemu matematykowi sprobowali zadać by najprzenikliwsze tony jakiej symfonii Beethowena, wysłuchawszy, bodaj czy do końca, zapyta z dowcipną naiwnością: „czegóż to wszystko dowodzi?“

Otóż jeżeli do myśli i tonu przystąpi słowo, jeżeli do uczucia i słowa przystąpi ton, wówczas zapłonie prawdziwa potęga życia. Serdeczna pieśń ludowa zagłuszy abstrakcyjną symfonią, i matematyk na odgłos téj pieśni zawiesi rachunek, gdyż „z matematyczną pewnością poczuje, że i w nim drga serce.“ Podobnie żywe słowo zamienia choćby subtelniejszą tkankę stylową. Ztąd potęga wymowy.

Wyższą jeszcze potęgą, sięgającą dalej nad żywe słowo, jest muzyka.

W dziale trzecim autor mówi o posłannictwie sztuk i nauk, a następnie o woli i wolności w życiu społecznym. Pojęcie tak sztuki jak i nauki wprowadza autora, podobnie jak *Logos* (myśl i słowo) w świat starożytności, która i muzykę rozumiała rodzajowo, t. j. jako cały organizm sztuk pięknych i z samej nazwy: „Matematyka,“ domyślać się nam każe, iż tę dziś wyłączną umiejętność, za naukę wszech nauk poczytywała.“ Tak mówi autor. Zdaje się nam jednak, że w nazwie matematyki pewniej byłoby uznać, podobnie jak i w muzyce pierwotne zjednoczenie nauk, zamiast zwierzchnictwa. U Platona np. wiedza matematyczna nie stoi na pierwszym planie; owszem zajmuje ona środek pomiędzy czystym myśleniem a zmysłowością. Szkoła epikurejska patrzy na nią ze wzgardą.

Postępowy rozwój nauk i sztuk, mówi Cieszkowski, spowodował z czasem ich odosobnienie, a następnie i rozbrat. Jest to jednak stan przechodni, nienormalny. Ludzkość zmierza, (bo zmierzać powinna) do przywrócenia braterstwa tak jednych jak i drugich. Przy zespoleniu sztuk i umiejętności osiągnięciem być musi ich wyzwolenie powszechne i tym sposobem spełnionym zostanie powszechny cel *społeczności ducha* (Communitas spiritus). Pochwycenie organicznego związku dróg ducha, autor rokuje światu słowiańskiemu—temu samemu społeczeństwu, które wydało Kopernika.

Przeczcucie takiego posłannictwa zawiewa już, zdaniem autora, u pisarzy Zygmuntofskich.

Ostatnie kilka kart (34 do końca), autor poświęcił emancypacji woli, którą najsurowiej zakazuje mieszać z samowolą; wreszcie w ciągle wzrastającym się zjednoczeniu pracy na rozlicznych polach, dostrzega również zapowiedź spełnienia się normy t. j. przywrócenia *de facto* owój spójni pomiędzy potęgami ducha, jaka je łączy w jego teoretycznej istocie.

Taki jest w skróceniu podany wątek nader żywotnego pisma Augusta Cieszkowskiego. Jak widzimy, autor pozostał tu wiernym tradycjom kierunku—odziedziczonego wprawdzie, ale prowadzącego nierównie dalej, głębiej i wyżej nad pierwotne hasło szkoły.

W pojęciowym zrębie, od którego rozpoczyna się pismo, o ile sądzimy byłoby ważnym wprowadzenie woli, podobno najistotniejszego czynnika, tam gdzie idzie o przecięcie węzłów abstrakcyi na rzecz dobra moralno-społecznego. Kwestya woli znów dziś wraca na porządek dzienny, a zaciętość, z jaką się grupują stronnictwa za lub przeciw teoryi Szopenhauera, najwymowniej świadczy, że na tym gruncie rozstrzygane być mają pod nowymi sztandarami najważniejsze zagadnienia wiedzy i wiary.

„Drogi Ducha“ ze względu na wagę myśli i wspaniałość formy, nie tylko są znakemitem przyczynkiem dla piśmiennictwa; posuwają one o cały stopień ogólne stanowisko zagadnień filozoficznych.

F. Jezierski.

Katedra Gnieźnieńska, przez księdza Ignacego Polkowskiego.
Gniezno, 1874 roku, nakładem autora.

Patrząc na to dzieło, dokonane pracą i staraniem jednego człowieka, gdy przedmiot i obrobienie jego oraz puszczanie w obieg wymagałyby usilności i nakładu zbiorowego, przychodzi niewiedomo po raz który przyznać słuszność tym z naszych badaczy, którzy w kreśleniu dziejów naszych, zwłaszcza późniejszych, kładą nacisk raczej na działalność jednostek niż całego społeczeństwa. Weźmy z historii choćby jedno zjawisko: szeregi wypraw magnackich przedsięwziętych na własną rękę, a okazujących nieraz więcej zmysłu politycznego, jak działanie legalnych organów państwa; weźmy z dziejów oświaty tylko mnogie dwory, kędy kształciła się młodzież szlachecka, na wzór onego *Dworzanina* Górnickiego, co właśnie może być przeszkodą do rozwoju uniwersytetów, jako instytucji ogólnych, państwowych; zważmy, że te same dwory były ogniskiem zarzadem literatury w ostatnich dobie, jak Puławy, Warszawa z obiadaniami czwartkowemi i i.; obliczmy niedawnych mecenasów literatury jak Przewdziecki, Raczyński, Działyński, Lubomirski, Stadnicki, Rzyszczewski, Rusiecki i wydawców nietytułowych jak K. W. Wójcicki, Bielowski, Kraszewski i tylu innych literatów nakładców, obok księgarzy, jak Wolf, Zawadzki, Friedlein, Turowski; ze wspomnień zresztą ekonomii dobądźmy choćby tylko jeszcze Tyzenhauza, podskarbiego za Stanisława Augusta, który wziął na swe barki ciężar prac całej generacji i lat dziesiątków jeżeli nie setek, a przekonamy się, że nie czcym frazesem jest twierdzenie o większej u nas działalności jednostek jak ogółu, o większej pochopności do ofiar, właściwszych drugiemu, pierwszym.

Teraz szczęśliwie zwrot się przeciwny objawia; wspólni, siłą połączenie ku jednemu celowi, zdaje się być hasłem nowej doby, realizowanem w czynie, wprowadzie i nie we wszystkich a przynajmniej nie zawsze, w najkonieczniejszych kierunkach, ale bądź co bądź realizowanem. Na polu literackim, od niedawna ruch wydawniczy przybiera postać kooperacyjną, zwłaszcza w Akademii krakowskiej i przy Monumentach Poloniae Bielowskiego skupiając się. Działalność Towarzystwa Naukowego Poznańskiego dotąd zdaje się być mniejszą; obecnie gotuje dyplomaturyusz wielkopolski, ale do tego pobudką jednostka. Przynajmniej „założycielem tego wydawnictwa“ dr. Smolka zowie p. Ignacego Zakrzewskiego w Poznaniu ¹⁾; przynajmniej wydanie „Katedry Gnieźnieńskiej,“ przez człowieka pojedynczego, gdy zbiorowość byłaby konieczną, aby stworzyć dzieło istotnie pomnikowe, godne wysokiego celu: wskazuje zwrot do dawniejszej epo-

¹⁾ Rozpraw i Sprawozd. z posiedzeń wyd. hist-filol. Ak. Um. 1875 r. T. IV str. 177.

ki. Z prawdziwą też czią wzięliśmy się do przejrzenia dzieła, które z jednej strony na wzór „Wawelskiej katedry“ na wzór pracy księdza biskupa Łętowskiego (słowa autora w zaproszeniu do przedpłaty) osnute, przypomina trud chrobacki równie jednostkowy; jak z drugiej strony, obecne ogłoszenie druku podobnego pomnika dotyczącego katedry płockiej, wskazuje iż i Mazowsze, choć indywidualną siłą, o toż samo się kusi, może znowu na wzór tego, co Wielkopolańin dokonał.

Nie wiemy co da wydawca katedry płockiej; katedra wawelska jest pomnikiem wyłącznie literackim, do którego uzupełnienie stanowią niedokończone niestety *Monumenta regum Poloniae cracoviensia*, 1852. Książd Polkowski w swęj pracy starał się połączyć sztukę z literaturą, dzieje kościoła z dziejami przynajmniej ludzi, których nagrobki ocalały.

Posłuchajmy, co autor o swęj pracy mówi: „Aczkolwiek książka ta przez nas jest w istocie opracowana, nie jest jednak wyłączną własnością; materyały nie myśmy tylko zbierali, ale już z raz zebranych, los szczęśliwy dał skorzystać.” Mianowicie książd Józef Walkowski kanonik metropolitalny gnieźnieński, czyniąc przez długie lata wypisy z aktów kapitulnych, zamierzał ułożoną z nich monografią metropolii gnieźnieńskiej ogłosić w 900 letnią rocznicę zaprowadzenia wiary chrześcijańskiej (1865). Książd prałat Zienkowicz nabył rękopis już prawie gotowy do druku, po niespodzianie zmarłym ks. Walkowskim, i wiedząc, iż obecny wydawca „Katedry Gnieźnieńskiej“ z podobną myślą się nosi jak zmarły autor, pracę nieboszczyka żyjącemu do użytku udzielił. Książd Polkowski zatęm oświadcza, że uważając za zbyt czone powtarzać kwerendę archiwalną już dokonaną, wiadomości z akt kapitulnych brał z pracy ks. Walkowskiego. Sobie zastrzega własność literacką, wiadomości z kronik, ksiąg drukiem ogłoszonych, nadpisów monumentalnych i niektórych dokumentów. Dodajemy do tego zasługę dołączenia mnogich ilustracyi rysunkowych w tekście i dwudziestu pięć tablic, na których dano poznać ogołowi choć część skarbów zawartych w katedrze gnieźnieńskiej. Obok tego ks. Polkowski zamierza wydać pracę ks. Walkowskiego, z której użytkował.

Przypatrzmy się bliżej pracy ks. Polkowskiego. Budowa kościoła i kaplic, zewnętrzny ich widok, oraz wewnętrzny, pożary i inne klęski wpływające na ich upadek, oraz zabiegi ruine dźwigające stanowią część I p. t.: *Katedra gnieźnieńska pod względem architektonicznym od najdawniejszych czasów aż do dni dzisiejszych* (str. 1—80). *Grobowiec i trumna Wojciecha Świętego*, ich opis, dziejów opowieść zmierzająca do wykazania, że „napróžno chlubią się nasi pobratymcy Czesi i napróžno w dziecinuym trwają uporze, że nie my lecz oni posiadają ciało męża świętego” (str. XIV), stanowią treść części, czyli rozdziału II (str. 81—129). *Nagrobki i pomniki gnieźnieńskiej katedry* (str. 131—239) wypełniają całe dzieło. Zapowiedziany rozdział trzeci, który miał mówić o skarbcu, zakrystyi, archiwum,

bibliotece, dzwonnicy i cmentarzu zmalał do kart kilku (stronnica 240—248). Zaś rozdział o wypadkach gnieźnieńskich dotyczących katedry, kościołów, o zamku „książęcem“ i arcybiskupów, o kuryach prałatów i kanoników, również zapowiedziany znikł zupełnie, chyba, że szczegóły podane w pierwszym rozdziale za wynagrodzenie straty poczytamy. Wszakże przeczy temu (na str. 8) dana obietnica, iż opuszczony tu szereg wypadków (np. koronacja Przemysława 1395? roku) poda w kronice zdarzeń i wypadków. Natomiast mamy *domówienie*, w którym autor skromnie przyznaje się do „licznych niedostatków i niedołęztwa“ swego dzieła, przyznaje, że lat 10 za mało na podobną pracę. „Dorywcze z oddali pytanie murów,“ „dorywcze wertowanie akt“ jako nie wystarczające stawia za fakt widomy lub łatwo domyślny się dający. Tłumaczy się z tych ułomności tém, że chcąc dobrze tego dzieła dokonać, należy żyć i wżyć się w dziesięciowiekowe dzieje katedry, a on był tylko przychodniem i gościem, zbierał tylko to co piękniejsze było i mniej świadome. Więc groźnej nie lękam się krytyki (kończy), bo na wszystko stawilem dowody, a źródła cytowałem poważne.“

Z ciekawością rozpatrujemy się w źródłach przez autora za poważne, i w dowodach za przekonywujące uznanych. Zaczyna rzecz od przypuszczenia, że Mieczysław I równo na 1,000 lat przed wydaniem jego książki skończył budowę katedry, i na tyleż lat „może“ też katedrę poświęcono (str. 3) i dochodzi do takiej daty 974 „przez pewne tylko porównania“ a mianowicie, że to „musiało być po przyjęciu przez Mieczysława chrztu a więc po roku 966“ (sic) „musiało to być przed zgonem żony jego Dąbrówki,“ gdyż w krypcie kościoła Mieczysławowego pochowano tę jego małżonkę (str. 21). Uderza najprzód zakorzeniony nałóg nazywania Mieszka Mieczysławem, choć po pracy Zeissberga ¹⁾ błędność używania téj nazwy o pierwszym chrześcijańskim książęciu w Polsce, jest rzeczą naukowo przyznaną. Że autor co do założenia katedry odwołał się do powagi opisu męczeństwa ś-go Wojciecha (Mon. Biel. t. II str. 156) słusznie postąpił. Zwróciłibyśmy tylko uwagę szanownego wydawcy, że źródło wspomniane przezeń, raz tu odniesione do XII, drugi raz do XI w. (str. 115 n. 111) jest z ostatniego. Dostało się zaś z Międzyrzecza wielkopolskiego do Bawaryi r. 1005, w czasie najazdu Henryka II na Polskę ²⁾, jest przeto współczesne.

Na równi więc z niém nie godziło się cytować Długosza, z XV wieku, jako świadka historyczno-literackiego faktu pochowania Dąbrówki w krypcie katedry (p. str. 135), zwłaszcza: 1) gdy wszyscy poprzedni świadkowie źródłowo milczą o tém pogrzebaniu, 2) gdy rzekome wyznalezienie zwłok w r. 1802 z tabliczką na której był napis:

¹⁾ Miscco I (Mieczysław) der erste christliche Beherrscher der Polen (str. 59 n. 1) gdzie jest zestawionych 64 form tego imienia.

²⁾ Zeissberg II. Polnische Geschichtsch. im Mittelalter 19—20.

„Dąbrówka, żona Mieczysława,“ a której już przy powtórnej ekshumacji w roku 1842 nie było, dla téj właśnie tabliczki mocno jest podejrzaną. Z cytowanej pracy Zeissberga (Miseco I str. 59—62) widać jaknajoczywiściej, że mąż Dąbrówki, przez społecznych był zwany Misico, Misaco, Mescio i t. p. a dopiero u Długosza, Hajka, Bielskiego, Starowolskiego, bierze imię Mieczysława, w czém zgadza się i owa tabliczka z grobu rzekomego Dąbrówki. Tém samém nasuwa się myśl, że tabliczka i zwłoki mogą nie pochodzić z jednej chwili, a mianowicie z czasu pochowania ostatnich. W takim zaś razie autentyczność grobu jest więcej jak podejrzaną. 3) Pamiętajmy, że i o innych grobach panujących mamy kronikarskie podania, mamy nawet ich grobowce odświeżane, a mimo to groby te są więcej jak apokryficzne. Najprzód za przykład niech posłuży odkrycie grobowca Bolesława II w Osyaku, bronione przez Przeddzieckiego, a zachwane słusznie przez Hoffmana ¹⁾. Za drugi przykład weźmy niby autentyczny grób Władysława Hermana w Płocku, o jakim się dotąd pisze na powadze sprostowanej (sic) omyłki Bogufały (Mon. Bielo. t. II str. 524), chociaż sam Bolesław Krzywousty mówił do Ottona Bamberckiego w r. 1127, że Pomorzanie pogwałcili groby rodziców jego, dobywszy zwłoki, oderwali głowy, wybili z nich zęby, a kości rozsypali po drogach publicznych (Mon. Biel. t. II str. 63).

Podobnej jak ta nieostrożności krytycznej dopuszcza się autor mówiąc o grobie Judyty żony Bolesława I w katedrze gnieźnieńskiej lub o jego architekturze, na powadze Długosza oparty (str. 5). Co mówi o zachowaniu się murów krypty pierwotnej po pożarze 1018 r. (str. 6), opiera się na bardzo wątłym „prawdopodobnie“ przypuścić się jednak godzi. To są hipotezy, nie dowody. Wniosek o miejscu zakrystyi, i jój wzniesieniu przed rokiem 1024 przez Bolesława I opiera się na bardzo chwiejnym gruncie powieści o uczeniu się w roku 1050 późniejszego świętego biskupa Stanisława w szkole gnieźnieńskiej i fakcie, że takie szkoły mieściły się zwykle nad zakrystyą. Razi téż nieco, że autor swoje hipotezę o (str. 5—12) pokryciu wieży kościoła gnieźnieńskiego ołowiem przez Mieszka III (gdy to mogła być mowa o całym dachu, jak sam wyznaje) zamienia w fakt niezawodny (str. 7) a następnie razi drugie hypotetyczne oznaczenie téj restauracji datą 1174 r. (str. 8), choć w źródle jój nie ma. Pomijam bardzo wątpliwe imiona pierwszych arcybiskupów, ale nie mogę zataić wtrącenia Bossuty do opisu koronacji Bolesława I, wtrącenia niby na powadze źródeł, w których o Bossucie nie ma mowy ²⁾. Zaraz dalej mamy wzmiankę o zniszczeniu katedry przez najazd Czechów, i o dwu datach konsekracji 1064 r. (z roczników Traski) i 1097 r. (Długosza) a przemil-

¹⁾ Przeddziecki *Ślady Bolesławów polskich*; Hoffman *Groby królów polskich*.

²⁾ Książk. Polk. str. 7, Lelewel Pol. Wiek. Śred., tom drugi niema 701 stronicy; por. str. 88 (ed. z r. 1856).

czano wzmiankę Gallusa, bez daty wprowadzie, ale wyraźnie donoszącą o konsekracji gnieźnieńskiego kościoła Ś-go Wojciecha (Mon. Biel. t. I str. 433), więc katedry za Władysława Hermana. Wypadało choć porównać oba podania, wskazać co Długosz dodać mógł, zkąd inąd lub od siebie, a co wziął z Gallusa. Byłżeby Długosz godniejszą wzmiankę od Gallusa? Zdaje mi się, że prawdziwa krytyka inaczéjby na tę kwestyą zapatrywała się.

Autor daléj cytuje z rocznika, że w roku 1092 zamek gnieźnieński i klasztor spłonął (Somersb. S. RS. II 91), ale przeczy dowolnie, by to o klasztorze była mowa, choć tak jest w źródle i zapiske rocznika odnosi do katedry, bo nie może zrozumieć dwu konsekracyi w ciągu lat 33, zapominając że i w zamku był kościół Ś-go Jerzego, była i kruchta t. j. drewniana kaplica (Mon. Biel. II 849 n. 3) z żarnami pokrwawionémi, w których Ludgardę żonę Przemysława II utłuczono; słowem że więcéj było kościołów w Gnieźnie, jak katedra, które musiały być konsekrowane. Zastanawia z kolei, zkąd autor miał tak szczegółowe wiadomości o zmianach w budowie katedry, dokonanych za arcybiskupa Jarosława, jak je czytamy w „Katedrze,“ gdy za źródło służyła mu jedynie miniatura spóczesna katedry (str. 9—12), a obrazu dawniéj nie posiadał?

Autor następnie domyśla się, że w połowie XIV wieku ukończoną została fabryka przez Jarosława, choć „kiedy ukończono wspinałą budowę katedry gnieźnieńskiej, nie znajdujemy w aktach najmniejszego śladu,“ a następnie nową stawia hipotezę, „z prawa kanonicznego,“ że katedra została przez tegoż arcybiskupa poświęcona „lubo o tém głuche w aktach, rocznikach i kronikach milczenie“ (str. 14—15). Domyśły oba są zbyteczne, bo u Janka z Czarnkowa najwyraźnieéj czytamy (Mon. Biel. t. II str. 672—673) że Jarosław po powrocie swym z Awiunionu, kędy się konsekrował roku 1361, zabrał się do budowy kościoła gnieźnieńskiego od fundamentów, wszakże niedokończony zostawił z powodu śmierci 1376 roku ¹⁾.

Daléj krytykuje ks. Polkowski Długosza, opata Łętowskiego, Bartoszewicza i innych, że ze słów Janka z Czarnkowa *cooperuit Gnesnensem ecclesiam* „ułożyli“ jakoby Jan Suchywilk przyozdobił chór katedralny sklepieniem. Nam w obronie krytykowanych niech wolno będzie zauważyć, że słowa krytyka nie mają dostatecznéj siły w sobie: „Nam jednakże się zdaje (mówi ks. Polkowski str. 15), że co najwięcéj to tu rozumieć można o daniu dachu na jakiéjs części kościoła katedralnego.“ W Janku z Czarnkowa *loco cit.* przez autora (II, str. 715) najwyraźnieéj jest *cooperuit et testidunavit corpus ipsius ecclesiae et extremitatem unam*; nietylko więc główny korpus, ale i wieżę pokrył dachem, a nadto *nonaginta sexagenas ad perficien-*

¹⁾ Ks. Polkowski nieostroźnie cytuje dwie daty erekcyi kaplicy Jarosława 1350, 1540 (str. 12, por. str. 66). Wątpliwosć się rodzi, która data jest datą erekcyi, a która oblaty czy innego aktu, w którym o erekcyi jest mowa.

dam tecturam et testitudinem, quas imperfectas reliquerat, ecclesiae predictae dimisit; zostawił fundusz na dokończenie przez śmierć przerwanej roboty. Ks. Polkowski to przemilcza, poczem naraz strwożony (choć Długosz wspomina o grobie i kaplicy Bodzanty w katedrze), ile że niby „nieznalazłszy śladu w aktach” obojga bytu domyślać się nie śmie. W kalendarzu krakowskim (Mon. Biel. t. II, str. 941) znajdujemy wskazówkę wyraźną o obojgu.

To jest próba, w jaki sposób autor korzystał ze źródeł innych, jak dostarczone przez ks. Walkowskiego.

Jak się okazuje z podania treści zapisu Karnkowskiego (s. 20), ksiądz Polkowski nie nazbyt wiernie przelewał zawartość swych źródeł w tekst opowieści. Akt bowiem cytowany w nocie, mówi o darowiznie miasteczka stołowego arcybiskupów Kamienia ze wsiami okolicznymi, „miasteczka” (nie wsi jak u ks. Polkowskiego w tekście) Kwieciszewo, trzech młynów, tyłuż sołtystw oraz dochodów z żup bocheńskich i wielickich, a to wszystko tym celem, aby „uwolnić siebie i następców od corocznego wniosku na reparacyą kościoła.” Tych wszystkich szczegółów o darowiznie nie ma w tekście, a nadto słowa ks. Polkowskiego: „na fabrykę kościoła darował” charakteru właściwego darowizny nie określają.

Szkoda że autor mówiąc o pożarze kuryi i domów kanoników w roku 1613 ¹⁾ nie uważał za stosowne nadmienić o najdawniejszym z nich, historycznie znanym, domu proboszcza gnieźnieńskiej katedry z 1124 r. (Mon. Biel. II s. 39). Pomijamy *lapsus linguae* takie jak: (str. 57) „r. 1656 hetman Stefan Czarnecki,” (str. 61) „Kołodzki rotmistrz dóbr narodowych 1779 r.,” (str. 93) „wnuk Chrobrego po bracie jego Kazimierzu, Bolesław Krzywousty” i t. p. spiesząc do rozdziału o grobowcu i trumnie Ś-go Wojciecha. Tu znowu występuje na jaw brak krytyki w autorze. Ze słów np. Damalewicza *exstructus est aystus tum an postea non liquet* podanych w żywocie Jakóba ze Żnina, a które ks. Polkowski tłumaczy: „kiedy to się stało nie pisze historyk nasz” (to jest Damalewicz); ma wypikać wniosek, że w pierwszej połowie XII wieku wzniesiono grobowiec Ś-go Wojciecha (str. 82—83) „bo wtedy żył i rządził kościołem Jakób ze Żnina.” Lata rządów tego Jakóba ze Żnina także są fałszywie podane, bo jeszcze w 1124 (Mon. Biel. II 39) był tylko proboszczem, zatem nie mógł być od 1119 r. arcybiskupem. Nie mógł też i umrzeć w roku 1144, gdyż przypomina go jako zmarłego „teraz” bulla papieżka Eugeniusza III ²⁾, który w każdym razie obrany 15 lutego 1145 roku, pisał ową

¹⁾ Str. 22. Wszakże z daty 1604 r. położonej na str. 21, od której 10 lat nie miało upłynąć do pożaru od ostatniego ozdobienia kościoła, możnaby wnosić że rok 1614 był rokiem pożaru.

²⁾ Regesta Pontific. Jaffégo str. 637 nr. 6476 s. a. 1149. U Bielowskiego (Mon. t. II str. 9) też sama z datą 3 maja 1146 r., co niemożliwe, bo papież 1146 r. był w kwietniu i maju (do 16) w Sutri.

bulę w Viterbo bądź w maju 1145 r., bądź w marcu 1149. Następnie akt, zinkryminowany jako zawczesny przez Helcla, r. 1145, wy-
mienia tegoż Jakóba jako żywego ¹⁾).

Dodajmy i to wreszcie, że ks. Polkowski z powieści Damalewicz-
ca o budowie owego grobowca Ś-go Wojciecha, wytrąca dowolnie
szczegół o herbach Pomian położonych na grobowcu i powiada: „mo-
gły być później dolane przy reparacyi jakiej” (w 1278 r. lub przed
1400 r.). Czyni to wyraźnie dla pogodzenia źródła ze swém widze-
niem rzeczy *a priori* powziętém. Cytuje następnie kronikę trzeme-
szeńską na poparcie swego zdania o mauzoleum wzniesioném dla re-
likwii przez arcybiskupa Jakóba w roku 1144 (str. 121, 158). Jest
to wszakże źródło z XV wieku tyle warte, jako świadectwo wypadków
dawniejszych, co wszelka inna kompilacya. Pomijamy resztę dowo-
dów branych z Długosza o znajdowaniu się całkowitych relikwii Ś-go
Wojciecha w Gnieźnie (str. 82—117) a opartych na „prawdopodobnie“
i charakterystycznym wyznaniu „ściśle jednak mówiąc, fakt ten nie
jest zapisany w kronikach, ale inaczej go wytłumaczyć nie można” ²⁾.
W ustępie III o *nagrobkach* autor niesłusznie ignoruje wiadomości
mogące sprostować *Herby* Paprockiego, użyte za źródło. Naprzykład
(s. 131) Paprocki (s. 538) umarza Jana Chebdę de Niewiesz archidyakona
rzymskiego, włocławskiego dziekana, gnieźnieńskiego i krakowskiego
kanonika w r. 1400. Ks. Polkowski poprawia „rzymski protonota-
rius” i w tekście Paprockiego łacińskim opuszcza „dziekan gnieźnień-
ski,” zostawiając „archidyakon włocławski i kanonik krakowski.“
Ze archidyakouem włocławskim ów Chebda nie był w r. 1400, świad-
czy podpis Piotra też godność piastującego w latach 1393 i 1404 ³⁾,
gdy jeden Jan jest spółcześnie scholastykiem 1393, 1398 ⁴⁾, a drugi

¹⁾ Rzyszcz. i Mucz. Cod. dipl. II, str. 590, List otwarty Helcla w Bibl. Ossoliń. (wypisu dokładniejszego pod ręką nie mam).

²⁾ Zdaje nam się, że mając do wyboru fakt w źródłach polskich i nie-
mieckich zgodnie postawiony (Bielowski Monum. t. I, str. 416; t. II str. 794
s. a. 1038, „wyskrobano” w jednym rękopisie Traski i roczniku krakowskim
t. II, str. 830 n. 2, Cont. Wiszegr. Cosmae Pertz IX 133 s. a. 1127; spro-
stuj zdanie autora o rękopiśmie Brzewnowskim Kozmasa z XVI wieku, że ma
tumulus przekreślony, wedle Dobrowskiego edycyi str. 292 n. d. bo „VII kal...
tumulus” więc całe zdanie „*leni ductu calami transfixa sunt in Metrop;*” da-
lęj wyrazy bulli papieża Leona X w „Katedrze” str. 128 cytowane *in ecclesia
gnesnensis caput ipsius sancti... et quam plures aliae sanctorum et sanctorum
reliquias decenter reconditae existunt*), i tradycyę wątpliwęj moralności o „pod-
sunięciu” lub dowody dyalektyczne ojca Pawła Parisiusa S. J. (Katedra str.
127 n. 188) należało iść za pierwszych powagą. Znany obrońca narodowo-
ści Kopernika niech nam nie weźmie, prosimy Go o to serdecznie, za zło uwagi,
którą w wspólnym ogółowi interesie, nietylko nauki, ośmieliliśmy się Mu uczynić.

³⁾ Rzyszcz. t. II, str. 340, 368.

⁴⁾ Rzyszcz. t. II, str. 340, 349, 350.

Jan archidyakonem dobrzyńskim 1379 r., włocławskim w latach 1379, 1380, 1382—1383 ¹⁾. Tymczasem w roku 1404 znany jest kanonik włocławski Jan Pełka de Niewiesz 1412, 1416, 1420 r. proboszcz kruszewicki, 1418 r. dziekan włocławski ²⁾, ile się zdaje krewniak Stanisława Chebdy de Niewiesz magistra, kanonika włocławskiego 1426 i 1428 roku ³⁾.

O grobowcu Dąbrówki jużesmy wspomnieli. Pod każdym innym nagrobkiem tak samo ks. Polkowski kreśli życiorys nim ozdobionego, po dawszy wprzód spis arcybiskupów, gdzie i kiedy zmarli oraz leżą. I tu się wkradły pomyłki. I tak Marcin II umarł w r. 1278 nie 1279 „nie dojechawszy do Gniezna,“ jak mówi rocznik (Mon. Biel. II, str. 844) nie zaś w Bolonii, jak twierdzi ks. Polkowski; Mikołaj z Kurowa przywieziony do Gniezna z Robczyc (Mon. Biel. II str. 930), nie zaś jak pisze ks. Polkowski w Robczycach pochowany (str. 134—135). Jastrzębiec nie w Bęszowej, ale w Gnieźnie pochowany (Mon. Biel. I. s. I.); Władysław z Oporowa pochowany w klasztorze Paulinów swęj fundacyi, co może błędnie do Jastrzębca zastosowano (Mon. Biel. str. 916). Nagrobek Gruszczyńskiego opiewa, że umarł w Krakowie (str. 138), ks. Polkowski pisze że w Iwanowicach (str. 135 n.). Pominięto, że Suchywilk umarł w Żninie (Mon. Biel. II s. 715), że Kot umarł w Uniejowie 1418 r. (Biel. Mon. II, str. 928), choć go pogrzebano w Gnieźnie. Janisław nie Jan Kotwicz umarł 1341 nie 1371 roku (Mon. Biel. II, str. 944).

Czy w Uniejowie leżą Bogumił i Jakób II Świnka nie wiem, ale to pewna że pierwszy umarł 1092 roku a nie 1082 (Mon. Biel. II, str. 773), a drugi umorzony przez autora w 1313 umarł 1314 r. (Mon. Biel. II, s. 883; Caro Geschichte Polens II 77 n. 2). Prymas „Florean“ nie Kazimierz Czartoryski umarł 1674 nie 1614 roku.

Co do życiorysów, to ks. Polkowski i tutaj nie wolny od usterek. I tak np. w żywocie Gruszczyńskiego, jego rola zbyt silnie jest akcentowana jako człowieka wpływającego na losy kraju i Władysława Warneńczyka, gdy rzeczywiście ówczesny ten dziekan krakowski przyniósł tylko na sejm samodzielną odpowiedź króla i to inną od podanej za Długosza przez autora, a co do odpowiedzi danęj wysłańcom sejmu Oporowskiemu i Pileckiemu, to nie tylko że jęj nie dawał im Gruszczyński, ale nawet nie wiadomo czy ją król dał (Caro IV, s. 340—343). Autor pisze, że król Kazimierz nominował Gruszczyńskiego biskupem, gdy to kapituła kujawska 9 stycznia 1449 r. uczy-

¹⁾ Rzyszcz. t. II, str. 317, 327, 329, 331, 333, 336, 338. Warto zauważyć, że Teodoryk proboszcz 1383 r. ma dodatek *electus*, a Bielowski błędnie poprawia w opowiesci tych wypadków (Janek. Mon. Biel. t. II, stronica 752 s. a. 1384 i 754) Trojan za Teodoryk.

²⁾ Rzyszcz. t. II, str. 368, 379, 386, 392, 387. Bp. włocławski Jan Pełka de Niewiesz umarł 1427 r. (Długosz IX str. 500).

³⁾ Rzyszcz. t. I, str. 418, 442. Chebda de Nerwesch w 1412 roku (tenże II, str. 381) zapewne ma r wtrącono i do tężej rodziny należy.

niła. Milczy dalej autor o zacieklej walce, jaką papież Mikołaj stoczył o Lasockiego (tego „najlepszego przyjaciela i współpracownika wyborowego” Oleśnickiego), któremu wprost chciał dać prymasostwo, a następnie gdy nie dopuszczano Lasockiego do Kujaw, zażądał papież, by Oporowski 23 grudnia 1449 roku, rzucił klątwę na oporną dyecezyą. Autor milczy też, że ta sprawa, komu było przyznać biskupstwo, miało przyjść na sejm 1451 roku z rady samego Zbigniewa, wziętego w dwa ognie między wolą Rzymu i króla ¹⁾. Za to ks. Polkowski długo spór o biskupstwo krakowskie roztrząca, niemniej jak tamten charakterystyczny, choć może oba nie na miejscu w życiorysie. Ciekawsze byłyby dla niego listy Gruszczyńskiego do Wrocławian, zalecające im wierność dla Władysława Jagiellończyka czeskiego z 1471 r. (Mosbach Przyczynki do dziejów Polski str. 111—114). Jakiś Andrzej Gruszczyński z Iwanowic był 1470 roku archidyakonem kaliskim (Rzy. II, 543), Bartłomiej z Iwanowic, brat arcybiskupa, 1455 r. był kasztelanem sieradzkim (A. G. Z. V s. 184), 1468 1470 i 1477 r. kaliskim (Kod. Maz. s. 245; Rzy. II, s. 545; Kod. Maz. 285).

Następny życiorys Jakóba z Sienna (str. 140—143), przez dziwną nieuwagę, jako dwa odrębne nagrobki podaje odczytanie dobre ks. Polkowskiego, złe Paprockiego jednego i tego samego pomnika. W życiorysie Zbigniewa Oleśnickiego prymasa, błędnie położono (str. 144—149) 1472 r. 29 listopada za 29 grudnia tegoż roku, jako datę aktu, na którym ów się podpisał jako wicekanclerz. Dalej ks. Polkowski nie objaśnił różnicy dat w tekście 10 list. 1471 r. i w nocie 3 lipca 1471 r. (n. 8, str. 144), które oznaczają chwilę, kiedy Zbigniew został kanonikiem. Nie wiemy też czy słusznie autor odwołuje się do świadectw Długosza, aby okazać, że Zbigniew był podkanclerzem 2 lutego 1476 roku. Dwie tu się przedstawiają hipotezy: albo szanowny autor chciał okazać termin *ad quem*, albo termin *a quo* cytują owęj daty 2 lutego 1476 r. Jeżeli to termin *a quo*, to pomijając, że już w roku 1470 Zbigniew de Oleśnica jest podany jako protonotarius (A. G. Z. V, str. 25, z 1875 r.), lecz w zbiorze nie wyszłym, gdy ks. Polkowski pisał swą „Katedrę” znajdujemy tegoż Zbigniewa wicekanclerzem w r. 1472 i w aktach Tomicyanach (I ap. 6) i u Raczyńskiego (Cod. M. P. s. 188) i u Rzyszczewskiego (II s. 948 co sam autor cytował); toż 2 stycz. 1473 r. (II s. 949) a 12 marca 1474 r. jest ten Zbigniew „obranym i potwierdzonym biskupem wrocławskim i wicekanclerzem” (A. G. Z. t. IV s. 195 z r. 1873); 16 grudnia 1474 r. wicekanclerzem i biskupem wrocławskim (Rzyszcz. t. II, str. 557). Jeśli 2 luty 1476 rok jest terminem *ad quem*, to pewniejsze i późniejsze świadectwo autor znalazłby w Kodeksie Mazowieckim (str. 263 do 268) r. 1476, *seria tertia in festo S. Dorotheae die proxima post festum Purificationis Gl. V. M.* oraz w *Vol. legum* (I str. 106 ed Obr.) 1476 r. *seria sexta proxima post festum s. Jacobi Apostoli*.

¹⁾ Caro t. IV, str. 421 nast.

Zarzucilibyśmy jeszcze niewłaściwy przekład familia *santo cruciana* przez familia *Krucini* (str. 144). W życiorysie Andrzeja Róży, autor (str. 146, 188, 189) śmiało *wbrew tradycji* dowodzi, że płasko-rzeźba obecnie w pomnik św. Wojciecha wmurowana, a rzekomo wyobrażająca św. Radzyna, należy raczej do nagrobka Gruszczyńskiego lub Andrzeja. Głównie dlatego ks. Polkowskiemu „tak się nie zdaje” jak tradycja mówi, bo rzeźba ma cechy XV lub początku XVI wieku, nie zaś X-go i herb Poraj na pomniku służący za dowód tradycji mógł należeć do Poraitów Gruszczyńskiego z XVI i „Boryszewskiego” z XVIII wieku. Wywód ten może służyć za wskazówkę, jak autora nie wstrzymuje tradycja, skoro *a priori* wierzyć jej nie chce.

Autor pisze arcybiskupa Andrzejem z Boryszowiec jak Paprocki (Herbys. 466). W Wolborskiej kasztelanii była w istocie wieś Boryskowa w XIII wieku, którą dziś zowią Boryszewo (r. 1264 i 1285, Rzyszcz. II, str. 68, 110). W roku 1448 w Czortkowskiem u zlewu Zbrucza i Dniestru występuje Jan de Boriskowcze, Jan Cigansky de Boriskowcze, Piotr Cigansky de Boriskowcze (A. G. Z. V str. 164).

We Lwowie 1469 roku zjawia się Mikołaj Rosza de Borzyschowicze kasztelan Zawichosta i mistrz dworu królowej (A. G. Z. V str. 213) nie kuchmistrz jak w Encyk. więk. Orgel. (IV str. 130). Spółcześnie z Andrzejem Różą arcybiskupem lwowskim w roku 1496 i 1494 poznajemy Zawiszę Róża czy Janusza (jedno imię, zdaje się pierwsze, jest omyłką pisarską) de Borzyschowicze podkomorzego chełmskiego dworskiego (A. G. Z. IV str. 211 Jus. Pol. s. 359 Kod. Mazow. s. 307, 310). Domyślać się należy, że to jest najbliższa rodzina arcybiskupa, o której książd Polkowski nie wspomina, aczkolwiek zarazem tu się decyduje i kwestya nazwiska.

Z aktów widać, że wieś zwała się Borzyszkowce i Borzyschowic, więc z dźwiękami gardłowemi, nie Boryszewo jak pisał Paprocki i Bartoszewicz oraz ks. Polkowski. Są to zapewne zmiany fonetyczne, w przeciągu wieków dokonywane się, ale zacierać ich nie wypada, mówiąc o nazwach XV wieku.

Autor nie objaśnił nas co do przyczyny różnic, jakie istnieją w dacie zgonu tego arcybiskupa, który u Bartoszewicza i na nagrobku umiera 20 kwietnia 1510 roku, a w archiwach kościelnych 17 czerwca 1509 roku (str. 146—147). Trudno przypuścić, by po dwakroć umierał, a jednak w życiorysie przyjęta jest data 1509, a potem (str. 151) rok 1510. Decyzya tu byłaby konieczną, gdyż jak widać z poprawki przez autora w powieści aktów kapitulnych o Braneckim biskupie dokonanej (s. 28 nast. 95) możnaby przypuszczać że też akta nie są wolne od błędów.

Tubyśmy także zwrócili uwagę autora, że Andrzej Róża arcybiskup lwowski był obdarzony przez króla Aleksandra za dawne zasługi nowemi dobrami, które miały go wynagrodzić za spustoszenie dokonane przez Tatarów w roku 1502 w majątkach arcybiskupich. (A. G. Z. II str. 239). Wieś darowana Kozłów mogła być zamienioną na mia-

steczko na wzór dawniejszego Dunajewa erekcyi Grzegorza z Sanoka, jednego z poprzedników Andrzeja w godności arcybiskupiej. Obdarowanie to z tej racyi warto może być podnieść, że odkrywa ciekawą stronę łaski monarszej. Trzeba było mianowicie wykupić włość, nagrodę stanowić mającą, z rąk sukcesorów człowieka tąż samą włością za podobne zasługi jak Róża, ale przez Kazimierza Jagiellończyka wynagrodzonego. Jest to zresztą rys wzrostu biskupich dochodów za Andrzeja.

W życiorysie Łaskiego autor najwięcej wiadomości podał, bo wyliczył synody odbyte za tego prymasa, i cyfrę ich podniósł do 13. Wspominał o *liber beneficiorum* gnieźnieńskim ułożonym w latach 1511 do 1521 roku z woli Łaskiego na wzór *liber beneficiorum* krakowskiego Długosza. Żałować tylko przychodzi że ks. Polkowski nas tak nie zaznajomił z tém dziełem jak Smolka ¹⁾, który przynajmniej podał cząstkowy wyciąg. Mniej nawet zrobił jak W. A. Maciejewski ²⁾ który choć kilka szczegółów podał. Autor inniej słusznie też zataja niegodne postępowanie Łaskiego z Ciołkiem i Tomickim, z których pierwszego znów o nieszlachectwo posądza (choć je sam badał i przyznał 1507 roku Hubert. Pamięt. I str. 265) gdy znalazł w Ciołku przeszkodę do wakansów, a drugiego mimo polecenia króla, w Rzymie nie tylko nie popierał na biskupstwo przemyskie, ale nadto kantoryą gnieźnieńską, dotąd piastowaną przez Tomickiego, wyrobił dla swego pomocnika. Wapowskiego (Ruch litera. I str. 12 por. Przew. Nauk. lit. 1875 III str. 670).

Autor sprostował z pomocą *breve* Leona X podanie o przywiezieniu ziemi z Jeruzolimy do Gniezna przez Łaskiego, gdy ta ziemia tylko z *Compo Santo* i z cmentarzy włoskich pochodziła (str. 153 n. 42). O Krzyckim byłaby praca prof. Węclewskiego ks. Polkowskiemu może przydała się. Żywot Karnkowskiego (str. 174—175) uderza między innymi wytknięciem ogólnem, że: „w sprawach politycznych nie był koniecznie szczęśliwym”, jemu przypisuje obiór Walezego, Batorego, Zygmunta III. „W dziejach unii imię jego świetnie także zapisane, żal wszakże że sam nie mógł być obecnym na owym sławnym synodzie Brzeskim, na którym gdyby nie dysydenci, dumny Ostrogski i jeszcze ktoś, może taka sama byłaby zawarta unia religijna Rusi z Polską, jak była przed stu laty zawarta unia polityczna Litwy z Koroną.” Krótko bardzo skreślony życiorys Radziejowskiego (str. 213—214), przy Szembekach byłoby się może przydało użyć monografii Kossakowskiego. Życiorys Potockiego (s. 225—226) przedstawia też pewne niedokładności. Pierwsza co do pobudek chrztu przyszłego prymasa. Spółczesny Medeksa ³⁾ inaczéj od ks. Polkowskiego opowiada tę rzecz, nie na matkę przy-

¹⁾ Rozp. i Sprawozd. z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Uniwersyteckiej (1875 IV str. 276—286).

²⁾ Historia włościan (str. 125—178).

³⁾ Księga pamiętnicza str. 130.

szłego prymasa, lecz na przymus niewoli i ją dotykający winę zmiany wiary składając.

Ze źródeł społecznych wyświęcenie kapłańskie Teodora Potockiego przypada u Sobieszczańskiego (Biblioteka Warsz. 1850 II str. 108) na rok 1688 nie 1687, jak u ks. Polkowskiego. Pomija dalej autor stosunek prymasa do Jezuitów, których hojnie w Warszawie obdarował, (str. 102) i kilka innych szczegółów. W ogóle, życiorysy odznaczają się szczególną suchością, zaledwie kilka możnaby wskazać, gdzie autor żywiżej przemawia. Jak już wspominaliśmy wyżej, dzieje kościoła, rozmaitych budynków pobliskich do niego należących, lubo zapowiedziane, nie weszły w niniejsze dzieło. O archiwum prawie jakby nic prawie a z sprawozdania dr. Smolki wnieść można, iż będącemu na miejscu, dałoby się nie jedno w pewną całość zaokrągloną ująć; od zagłady zwłaszcza przy niepewnym wydawnictwie uchronić.

Przebiegłszy tak dzieło ks. Polkowskiego, musimy autorowi bądź co bądź dank serdeczny złożyć za jego „Katedrę Gnieźnieńską.” Jeżeli są usterki w niej, znaczną ich część wypadnie odliczyć na karb poprawy i pośpiechu. Słabsze ustępy, krytyki nie wytrzymujące, w części dadzą się wytłumaczyć zapałem autora oraz miłością dla rzeczy ojczystych, gwoździ którym, na kresach germańskich, nie folguje ni oczom ni szkatule, i z małą garstką towarzyszy uczy przykładem, coby mógł zrobić wszędzie ogół, gdyby był równie ciągle ofiarnym jak te jednostki. Ceniąc w autorze dopięte życzenie obywatelskie, aby praca jego wyszła w rocznicę wielkiego dla Polski wydarzenia, ceniąc to ciągle zespalenie jego trudów nie z osobistą korzyścią materyalną lub sławą, lecz z ideami, które żywszy bieg myśli i uczuć zwykły wywoływać, kończymy niniejsze sprawozdanie życzeniem, aby młodsze pokolenie czy to stanu autora czy piszącego widząc taki przykład, odpowiedziało i podziękowało licznem jego trudów naśladownictwem.

Ernest Swieżawski (J.—d).

ODPOWIEDŹ NA KILKA UWAG

co do nowo-odkrytego herbarza Krasickiego,

w n-rze 38 Niwy z r. b. zamieszczonych.

Pobudzony przez pana Stanisława Leliwę (pseudonim) co do herbarza przezemnie wynalezioneo, przekonany o bezzasadności w bar-

dzo wielu zarzutach, z jakimi recenzent występuje: 1-e przeciw mnie, 2-re przeciw samemu Krasickiemu; co do moich poglądów jakie podałem w „Bibliotece Warszawskiej” za miesiąc kwiecień r. b. odpowiadam szczegółowo.

1-sze, co do mnie. Ażebym oszczędził i sobie i czytelnikom czasu w obszernych następnie odpowiedziach, winienem przedewszystkiém największy błąd p. Leliwy wyjawić a mianowicie: czyli Piotr Małachowski, na którego powadze p. S. Leliwa najgłówniej opiera się, może być uważany za powagę naukową, do usprawiedliwienia zarzutów heraldycznych? Już Bentkowski w *Historii Literatury Polskiej* z r. 1814 (w tomie II, na str. 674) mówi, „że sam Małachowski w drugiej edycji spisu szlachty polskiej w r. 1805 w Lublinie wyszłej, żali się, że przez trafunek i drukarnią, przy której obecnym być nie mógł, w dzieło to w Łucku r. 1790 wydane, wkradły się błędy tak z opuszczenia, jakoteż z przeistoczenia pochodzące. Gdy nadto w czasie czteroletniego sejmku powierzył Małachowski *drugie wydanie* drukarni lubelskiej, po ukończeniu druku znalazło się błędów drukarskich blisko do 400, a autor podawszy spis onych, żądał od drukarni aby przyłączyła je na końcu dzieła; lecz nie uczyniono tego, nie chcąc ściągnąć na drukarnią nagany za niedozór.”

I na takiémto dziele, z tyłoma i *nieujawionemi* błędami, z kart zaledwo 277½ składającym się, p. S. Leliwa opiera swoje zarzuty przeciw mnie i Krasickiemu! Małachowski jest poprostu spisem tylko szlachty, bez ich genealogii a nie żadnym herbarzem, który dla tak licznych błędów a do tego *nie wykazanych* i to w obudwóch edycjach, na żadną wiarę nie może zasługiwać w dowodach heraldycznych.

Lecz pomijając tak wielką wadę tych wydań, obaczmy na drodze chronologii, czyli autor ten może służyć za dowód przeciw Krasickiemu, kiedy dzieło to publikował dopiero r. 1790. Autor *Myszeis* wydał swój *Zbiór potrzebnych wiadomości*, rodzaj piérwszej encyklopedyi w r. 1781. Brak w nim, jak ogłosiłem, zupełnych opisów wszystkich klejnotów szlachty polskiej, był zanadto rażącym stan rycerski. Zeby temu zapobiedz, kazał sobie autor rzezone dzieło w ten sposób oprawić, aby pod właściwemi głoskami zamieszczać na białej karcie wszytęj dopiski. W którymby roku czynił te dopiski nie wiadomo nikomu. To tylko pewną jest rzeczą, że wkrótce zaraz po wydaniu w r. 1781, a zatém przed ogłoszeniem jeszcze spisu Małachowskiego w r. 1790. Wniosek nasz uzasadniamy na mocy drugiej pracy heraldycznej, daleko obszerniejszej Krasickiego, jak to na stronicy 119 w. 5 od wyrazów „*ale będąc świadkiem* i t. d. ogłosiliśmy, a z której właśnie korzystał Bobrowicz w wydaniu Niesieckiego. Lecz i ta druga praca heraldyczna autora *Pana Podstolego* nie zaspakajała potrzeb ówczesnych. Powody wyraziliśmy na str. 119 od wyrazów: *Lecz i te zapiski* i t. d. Wziął się więc do napisania kompletnego herbarza, a jak wszystkie źródła w manuskrypcie przekonywa-

ją, dowody téj ostatniej pracy sięgają tylko po r. 1788, to jest do czteroletniego sejmku, jak to wyraziłem na str. 130. Skoro więc Krasicki miał zebrane materiały herbarza do czasu rozpoczęcia wielkich obrad w r. 1788, zatem wcześniej o dwa lata przed publikacją spisu szlachty przez Małachowskiego w r. 1790, wszystkie więc zarzuty p. Leliwy przeciw Krasickiemu, jako najwidoczniejszy anachronizm popełniające, muszą upaść same przez się.

To wykazawszy przystępuję do szczegółów.

Co do herbu *Sawur*. Zarzut recenzenta na str. 116, że wiadomość Krasickiego nie była nową, bo ją Małachowski przytacza w pierwszej edycji z r. 1790, musi upaść jako anachronizm wyżej wykazany.

Co do herbu *Sobola* zamiast *Sokola*. Jest to poprostu omyłka drukarska w drugiej edycji *Zbioru Wiadomości* w r. 1829 popełniona, jak o tém poświadczył mi wydawca tego zbioru dotąd żyjący, ks. Adam Jakóbowski, zasłużony w dziejach literatury naszej.

Co do herbu *Slizień* przyznaję, że jest popełniony błąd, ale skutkiem tego, że czerpałem wiadomość z egzemplarza defektowego pierwszej edycji Niesieckiego, w którym kilku kart z téj głoski brakuje.

Co do rodziny *Siemiątkowskich*. Recenzent nie widząc nawet nowo-odkrytego herbarza, gwałtem utrzymuje, że znaczy to samo co Siemiętkowskich. Żeby dotykalnie przekonać p. Leliwę jak się grubo myli i jak nie zważa na zmianę jednej głoski w nazwisku rodzin, przytoczę mu dosłownie i całkowicie te szczegóły, jakie w manuskrypcie herbarza Krasickiego są zamieszczone, o rodzinach Siemiątkowskich a oddzielnie Siemiętkowskich na inném karcie.

„Siemiątkowski herbu Jastrzębiec, Jan skarbnik sieradzki. Drugi pojął Maryannę Mycielską.”

„Siemiętkowski Kajetan poseł ziemi wa rszawskiej podpisał elekcyą Stanisława Augusta.”

Z tego sens dla genealogii wypada, że w wywodach rodzin najściślej trzeba uważać, nie tylko na głoski różne, ale nawet na przecinki zmiękczające lub nosowe brzmiące wyrażające.

Co do rodziny *Skotnickich* p. Leliwa przytacza, że w herbarzu Krasickiego herb *Trzy Kroje* jest ten sam według heraldyków naszych co używający herbu *Roli*. Że to jest zupełnie twierdzenie błędne, wykażę na mocy najznakomitszego naszego heraldyka Lelewela i samego Niesieckiego. Pierwszy bowiem w monumentalnej swéj rozprawie o Heraldyce i Herbach w Polsce, w I tomie Niesieckiego, wydania Bobrowicza na str. 574 stanowczo utrzymuje: „Dawnych wieków zmiana w postaci godła wprowadzona, nowe tworzyła godło, nowy herb, inną otrzymywała nazwę. W wiekach Zygmunto wskich i po unii Lubelskiej (r. 1569) już tak nie było.” Podług tak poważnego zdania bierzemy r. 1506 wstąpienia na tron Zygmunta I za podstawę. Że zaś herb *Rola* podług Paprockiego i Okolskiego już został zaprowa-

dzony od najdawniejszych czasów w Polsce a herb *Kroje* od czasów Piastowskich, jak Niesiecki sam w tomie V, str. 384 wyd. Bobrowicza utrzymuje; gdy nadto ten ostatni *oddzielnie* o każdym herbie przytacza z dołączeniem innego rysunku herbu; gdy wreszcie tenże różne zupełnie rodziny ogłosił używające tych herbów; gdy nakoniec Skotnickich zalicza tylko do herbu *Rola* a nie wymienia tego rodu przy herbie *Kroje*, stanowczo więc i słusznie Krasicki na zasadzie tak poważnych dowodów, zamieścić Skotnickich z h. *Trzy Kroje* jako nowość, bo zgodnie z naszymi heraldykami i z dziejami heraldyki.

Co do rodziny *Suszyńskich*, autor *Podstolego* w swoim herbarzu tak się wyraża: „Suszyński w r. 1788, Piotr skarbnik Potocki, herb *tego* Podkowa *do góry* wzniesiona, przez którą na poprzek dwie strzały idą. Piotr podpisał elekcyą Jana III.” Niesiecki zaś tak opisuje w rodzinie Suszyńskich ten herb: „*Barkiem do góry* postawiona Podkowa, przez którą na \times składane dwie strzały, obiedwie do góry żelzami idą.” Że zaś było podług Niesieckiego rodzin 24 pieczętujących się Podkową w rozmaitych jej kształtach i *położeniach*, a między innemi h. *Dąbrowa* barkiem do góry wzniesiona, a w herbie *Białynia* barkiem na dół obrócona a rogami do góry; zatem Krasicki znalazłszy rodzinę Suszyńskich z herbem Podkowy *do góry* wzniesioną i przez to różną od Podkowy Suszyńskich w Niesieckim, bardzo słusznie jako nowość zamieścić. Zarzut więc ten zupełnie także upada.

Wreszcie przytoczenie krytyka na str. 118 w. 5, że wszystkie inne rodziny przezemnie przytoczone mieszczą się w Małachowskim, upaść musi, jako oparte na anachronizmie i dziele nie zasługującym na wiarę dla blisko 400 błędów dotąd niewykazanych. Żeby zaś nakoniec przekonać p. Leliwę jak nisko był oceniony Małachowski przez samego Lelewela, dosyć przytoczyć, iż na str. 496 i 497 pisząc za naszych czasów od r. 1839 o dziełach, ale źródłowych historyków naszych, w których czerpać można wiadomości o herbach polskich, *ani jednego słowa nie przytoczył o Małachowskim*. Jedyny zaś raz wyliczając pisarzy na str. 571, którzy o herbach wydali dzieła polskie, na samym końcu tak się o nim wyraża: „naostatek *wyskoczyli* Małachowski Piotr i Wielądko.” Ostatni, jak wiemy, opisywał tylko familie społeczne, zatem jest to praca małą wartość mająca. Wyraz zaś przez Lelewela użyty *wyskoczyli*, zakrawa bardzo na urąganie się z Małachowskiego, dla bardzo wątpliwąj wartości jego pracy.

Przystępując do zarzutów przez p. L. czynionych Krasickiemu: 1) gniewa go, że w rodzinie hr. Branickich herbu Gryf, dwa tylko nowe szczegóły nie mieszczące się w Niesieckim dodał i że tylko skrócił tego ostatniego. Prawdziwie z uśmiechem na ustach przychodzi mi odpowiadać w obronie Krasickiego; raz, że recenzent za wadę ma znakomitemu pisarzowi, iż w szlachetnym i wzniosłym zamiarze naukowym, przysłużenia się krajowi drogocenną i mozolną podjął pracę; powtóre, że w tym zamiarze najroztropniej postąpił, przytaczając w skróceniu te wszystkie zasługi przodków stanu rycerskiego, jakie dla kraju poło-

żyli. Niech mi recenzent pokaże z rodziny hr. Branickich herbu Gryf jaki podobny temu szczegół pominięty przez Krasickiego, a wtedy dopiero uznam słuszość jego zarzutu. Zresztą, główny cel jaki miał Krasicki w napisaniu tego herbarza, jak to sam w tomie III wyraził, iż to jest *część II Herbarza Niesieckiego* przekonywa, że nie chciał go co do słowa przepisywać, bo to byłoby *kradzieżą literacką*. A czyli nie wolno skracać *dla użytku publicznego*, autorom późniejszym dzieł pisarzy wcześniejszych z dodaniem szczegółów do epoki w jakiej piszą, jak to się i dzisiaj bardzo często zdarza? o tém czytelnicy niech raczą osądzić.

2) Drugi zarzut, jeszcze mniej uzasadniony, czyni recenzent Krasickiemu w samym końcu, że opuścił stronę legendową, która ma wielką wartość. P. Leliwa nieznając zupełnie całego herbarza Krasickiego bo tylko $\frac{1}{10000}$ wyjątek o rodzinie Branickich, już wyrokuje o całości. Czy tak należy oceniać? Tymczasem i z tego małego wyjątku o rodzinie Branickich, niech mi przytoczy choć jedną legendę opuszczoną, *ale opartą na dziełach źródłowych*, a wtedy dopiero uznam jego zarzut za słuszny. Już Bentkowski w swojej *Historii literatury t. II str. 669* przytacza zdanie o Niesieckim, iż „zbyt długie biografie, zwłaszcza ludzi na zgromadzenie Jezusowe łaskawych, powiększyły *bez potrzeby* dzieło.“ Czy więc autor *Pana Podstolego*, w swęj pracy miał to także powtarzać, kiedy tylko w skróceniu podawał Niesieckiego? Czy herbarz jest powieścią lub romansem? czy heraldyka jako nauka pomocnicza do historii i stanowiąca część propedeutyki dziejowej, dozwala legendy i powieści ludowe przytaczać za prawidła pomocnicze? czy wreszcie cała propedeutika historyczna nie zmieniła się z postępem prac, odkryć i wynalazków, nawet od czasów Krasickiego? Są to pytania, na które każdy obeznany z dziełami gruntownymi, historycznymi, przecząco odpowie recenzentowi.

Kiedy więc wszystkie przeciw mnie zarzuty, z wyjątkiem herbu Slizień, który wypadkiem popełniłem, zasadnie odpartem, z prawdziwym smutkiem wyznać muszę, iż cały artykuł p. Leliwy napiętnowany jest poniżeniem zasług Krasickiego, jakie położył tworząc tak ogromną i pożyteczną pracę dla kraju.

Że to dzieło nie odpowiada wszystkim dzisiejszym potrzebom, z powodu następnych zbiorów heraldycznych, wyszłych po śmierci Krasickiego, wątpliwości nie ulega; ale nie przestanie być źródłem i tym drogowskazem, jak heraldyka polska stopniowo kształciła się i jeszcze kształci. Wychodzący obecnie herbarz obszerny polski w Dreźnie, nakładem K. Łódzia Czarnieckiego, członka trzech towarzystw w Wiedniu, w Wrocławiu i we Lwowie, i przez niego wydawany, po swém ukończeniu wykaże dopiero porównanie dzieła Krasickiego z nowowychodzącem, a tém samém postęp heraldyki Polskiej w XIX wieku.

Pisałem d. 30 lipca 1876 r.

Aleksander Wejnert.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Sierpień 1876 r.—Powstałe w Warszawie i urządzające się muzeum przemysłu i rolnictwa wzbogacone zostało cennymi darami. Hr. Zamoyski podarował całą pracownią chemiczną i gabinet fizyczny, przechowywane dotąd w dobrach *Stara-Wieś*, zawierające znaczną ilość przyrządów chemicznych i fizycznych. Wspaniały ten dar wzbogacając odrazu pracownią chemiczną muzeum, w wiele kosztownych przedmiotów, posłuży jednocześnie za zawiązek gabinetu fizycznego, tak potrzebnego przy wykładach publicznych, które urządzać mają. Równocześnie p. Jakób Natanson ofiarował piękny, znacznych rozmiarów model próżni do wygotowywania syropu, przy fabrykach cukru z buraków. Kosztowny ten model, bardzo starannie odrobiony, ze ścisłym zachowaniem proporcji części składowych, będąc ozdobą muzeum, stanie się nadto wielce nauczającym, szczególniejsz po przedstawieniu całego przebiegu fabrykacji cukru z buraków.

— Ostatni zeszyt *Pisma Świętego Starego i Nowego testamentu*, w przekładzie Wujka z ilustracyami Doré'go już wyszedł z pod prasy. Tak więc wspaniała ta publikacja, ozdoba każdej biblioteki, przed dwoma laty rozpoczęta, stosownie do prospektu nakładcy Michała Glücksberga ukończoną została.

— Bajki podług La Fontaine'a z rysunkami Gustawa Doré'go, księga VI wydana została drukiem Jana Noskowskiego. Sumienny tłumacz, przekłady swoich poprzedników tu podaje: tak znajdujemy Krasickiego, Książnina, Trembeckiego i Mickiewicza. Księga ta stanowi już połowę całości arcydzieła literatury francuzkiej a wydanie polskie pod względem typograficznym w niczem nie ustępuje paryżkiemu. Pokażny już szereg przepysznych wydań ilustrowanych, Bajki Lafontaine'a pomnażają.

— „Komedy Aleksandra hr. Fredry. Trzy odczyty publiczne Stanisława hr. Tarnowskiego w wielkiej sali ratuszowej w Warszawie 1876 r. Wydanie Redakcyi Biblioteki Warszawskiej:“ ukazało się w handlu księgarskim, w starannej edycyi wraz z popiersiem zmarłego poety, podług medalu jaki wybitym został jeszcze za życia Fredry.

— Mamy już VII zeszyt Albumu Willanowskiego w ozdobnym ilustrowanem wydaniu. Tekst pióra Hipolita Skimborowicza podaje zajmujące wiadomości o zamożnym księgozbiorze przechowanym w tej dawniej siedzibie króla Jana Sobieskiego.

— Ważny przyczynek historyczny wzbogaci wkrótce okres Księstwa warszawskiego, a głównie wojny Austryackiej: Pamiętnik bowiem pułkownika Strzyżewskiego, który w kampanii 1809 r. dowodził oddziałem zajmującym Starą Galicyą i Lwów po Karpaty, już oddany do druku. Opisuje postęp kampanii: podany jest w nim też zajmujący ustęp o sławnym w owe czasy Jaszczółdzie, którego w swoich *powiastkach polskich* Fryderyk hr. Skarbek chlubnie wspomina.

— Czytamy w *Więku*, że gazety *New-Yorskie* opisując odwiedzi-ny cesarza Brazylijskiego Don-Pedra II w wojennym zakładzie wychowawczym *West-Point*, podają szczegół, że monarcha poprosił, aby go zaprowadzono przed pomnik postawiony Tadeuszowi Kościuszce. Gdy zadośćuczyniono żądaniu, Don-Pedro zerwał kilka kwiatów u stóp pomnika wzrosłych, a odwracając się do licznie mu towarzyszących amerykańskich i europejskich dygnitarzy, odezwał się: „mam kilku przyjaciół Polaków, szczęśliwemi ich uczynię, gdy im pošę te kwiaty.“

— Rok rocznie dnia 12 września odbywa się w kościele na górze *Kahlenberg* pod Wiedniem, solenne nabożeństwo na pamiątkę odsieczy danej przez Jana Sobieskiego i oswobodzenie stolicy Habsburgów. Przed rozpoczęciem bitwy król Jan III w tymże kościele podczas nabożeństwa służył do mszy, a przyjąwszy Święty Sakrament i błogosławieństwo kapłańskie dosiadł konia i ruszył na Turków, ażeby sławnym pogromem całej potęgi muzułmanów, ocalić Europę od barbarzyńców zalewu, a imię swoje unieśmiertelnić. Gdy rodzina panujących zapomniała o wyświadczonem dobrodziejstwie, kościół przynajmniej w pamięci swój zachował, i co do roku składa dziękczynne modły.

— Akademia umiejętności objęła dnia 6 b. m. w posiadanie Szczawnicę, zapisaną jęj przez ś. p. Szalaya, właściciela tych zdrojowisk. Ś. p. Szalay przyłgnąwszy duszą i ciałem do Szczawnicy, myślał także o jęj przyszłości na wypadek śmierci. W ostatniej woli rozporządzenia dziękuje on publiczności zdrojowej za jęj życzliwość i liczne odwiedzanie zdrojów, pomimo w początkach niejednej, nie z jego winy doznanej niewygody; dalej dziękuje mężom nauki i powołania lekarskiego, za udzielanie dobrej, skutecznej rady ku podniesieniu Zakładu. Następnie mówi: „Wywiązując się z zaciągniętego długu, zapisuję zakłady zdrojowe w Szczawnicy Akademii umiejętności w Krakowie z obowiązkiem utrzymywania i rozwijania tych zakładów na pożytek i bogactwo kraju i z obowiązkiem oddawania połowy czystych dochodów na rzecz moich synów, których zresztą mianuję uniwersalnymi spadkobiercami.“ Nakoniec dodaje: „Tym sposobem dopełniam sumiennie obowiązków ojca względem synów i obywatela względem kraju, pod którego dobroczynnem niebem przeżyłem wiek sędziwy, a w życiu mojem doznałem zawsze szczeręj życzliwości i poparcia w ustaleniu bytu zdrojowisk.“ Tak myślał i tak działał Józef Szalay, z rodu Węgiei a naturalizowany Polak. Stosownie do ostatniej woli rozporzą-

dzenia, sąd obwodowy w Nowym Sączu i sąd wyższy w Krakowie zdecydowały, że Akademia umiejętności w Krakowie ma być bezzwłocznie wprowadzoną w posiadanie i zarząd zapisanych zakładów zdrojowych. Tę czynności sądowej dokonał dnia 6 sierpnia b. r. komisarz sądowy, notaryusz p. Wodecki z Krościenka i oddał cały zakład ze wszystkimi zdrojami, budynkami, parkiem, spacerami, gruntami do zakładu należąciami, oraz inwentarzem zdrojowym, w ręce adwokata Dr. Szlachtowskiego, delegata Akademii umiejętności w Krakowie. Tak więc zapis Józefa Szalaya wchodzi w życie i od dnia 6 sierpnia b. r. goście w Szczawnicy są już gośćmi Akademii umiejętności. W administracyi nie zaszła żadna zmiana i Akademia powierzyła zarząd p. Janowi Zielonce, który od 10 lat był prawą ręką zmarłego i przez tegoż w ostatniej woli rozporządzeniu Akademii jaknajchlubniej polecony został. Nie podpada żadnej wątpliwości, że Akademia umiejętności przyjmując zapis Józefa Szalaya, będzie działała w duchu zapisodawcy.

— Bawiącemu w Szczawnicy A. E. Odyńcowi urządzono wspa-
niały wieczór, w którym oprócz licznego grona gości płci obojęj brali udział: professor Uniwersytetu Jagiellońskiego Dunajewski, Jan Zacharyasiewicz, E. Lubowski, dr. Trembecki i Władysław hr. Koziembrodzki. Z mów odznaczało się przywitanie prof. Dunajewskiego i piękny wiersz J. Zacharyasiewicza.

— Czwarty rok wychodzi „Krynica” tygodnik poświęcony ojczystym zakładom zdrojowo-kąpielnym, pod główną redakcją dra Michała Zieleniewskiego. W roku bieżącym pokazał się od dnia 30 maja i regularnie co tydzień rozsyłany. Chorzy szukający leczniczej pomocy w zdrojowiskach krajowych, znajdą tu pożądane dla siebie wiadomości. Zamieszczaną jest także lista imienna gości przybyłych do Krynicy na kuracyą.

— Towarzystwo tatrzańskie odbyło w Krakowie walne zgromadzenie na początku b. m. Z przedstawionego przez prezesa Mieczysława hr. Reya obrazu czynności Towarzystwa w roku ubiegłym, przekonano się, iż wydział rozwinął nie mało energii w rozmaitym kierunku i doznawał wielkiej uprzejmości od licznych klubów alpejskich i towarzystw, jak niemniej szczerego poparcia od władz rządowych i autonomicznych. Dość będzie wspomnieć, że Towarzystwo wybudowało w górnej krainie kosodrzewiny schronisko pod Krzyżnem i altanę w dolinie Kościeliskiej, że ponaprawiało w kilku miejscach drogi, ścieżki i t. p., że zakupiło 12 latarń do Zakopanego, że utrzymywało kilkanaście czasopism dla swych członków w Zakopanem na czas letni, że wzbogaciło tamże znacznie zbiory tatrzańskie, że uzyskało w ministerstwie handlu zatrzymanie dotychczasowej jazdy szybkozowowej między Krakowem a Szczawnicą, a prawdopodobnie wyjedna niebawem zaprowadzenie stacyi telegraficznej w Zakopanem; dalej, że na kongresie

umiejętności geograficznych w Paryżu, uzyskało *Lettre de distinction*, a u sejmu zasiłku rocznego 400 złr. w. a. przez lat 3, aby mieć chociaż przybliżony obraz działalności i zabiegów Towarzystwa. Z odczytanego preliminarza dowiadujemy się, że obecnie majątek Towarzystwa wynosi w gotówce 3170 złr. 95 ct. Wniosek, aby z kwoty téj wydzielono 1000 złr. na fundusz rezerwowy, został jednomyślnie przyjętym. Z porządku dziennego nastąpiło odczytanie statutu oddziałów Towarzystwa, który zgromadzenie *en bloc* przyjęło a zarazem zezwoliło na utworzenie oddziału w Stanisławowie. W skutek rezygnacji dra Nowickiego, dotkniętego chorobą, z godności wiceprezesa, tudzież śmierci Józefa Szalaya członka wydziału, uzupełniono wydział, wybrawszy prawie jednomyślnie na wiceprezesa p. Dyonizego Skarzyńskiego dyrektora banku galicyjskiego, a do wydziału p. Mieczysława Pawlikowskiego. Ponieważ dotychczasowy wiceprezes był duszą całego Towarzystwa i zabiegliwością swoją wiele się do jego rozwoju przyczynił, przeto poleciło zgromadzenie jednogłośnie wydziałowi złożyć temuż na piśmie podziękowanie za jego dotychczasową gorliwą działalność. Towarzystwo tatrzańskie, liczące obecnie 26 członków honorowych, 32 dożywotnich, 591 zwyczajnych, razem przeto 649 członków, poniosło w roku 1875/6 dotkliwie straty przez zgon wielce zasłużonych członków ś. p. Agenora hr. Gołuchowskiego, namiestnika, ś. p. Seweryna Goszczyńskiego, ks. Jędrzeja Pleszowskiego, niemniej A. Kurtza, J. Szalaya, E. Windakiewicza, których zgromadzeni, na znak żałoby, uczcili powstaniem z miejsc.

Wydział tegoż Towarzystwa urządza w sali muzeum przemysłowego w Krakowie wystawę rzeźb wykonanych przez snycerza górala M. Mardulę, którego dalsze wykształcenie wzięło na siebie.

— Tatrzańska szkoła snycerska w Zakopanem, dnia 30 lipca r. b. została uroczystie otwartą. Po summie dnia tego odbył się pochód Podhalan i licznych gości z kościoła do nowo wybudowanego domu, wynajętego na szkołę snycerską, poprzedzony miejscową kapelą. Proboszcz ks. Stolarczyk, członek komisji wykonawczej Towarzystwa tatrzańskiego dokonał aktu poświęcenia budynku, poczem w serdecznej przemowie wytłumaczył ludowi cel nowej szkoły, która wprawdzie może doraźnej nie przynieść korzyści, lecz z czasem wyda stały i pewny owoc i polepszy dolę ubogich Podhalan. Następnie prezes Towarzystwa tatrzańskiego hr. Rey w przekonywującej przemowie wykazał, jakie gałęzie przemysłu mogą się rozwijać korzystnie na Podhalu, udowodnił, jak wielkie źródło dochodu przynosi w innych krajach przemysł należycie rozwinięty i że tego samego należy się spodziewać i w tym zakątku naszej ziemi, jeżeli lud sam zrozumiawszy własny interes weźmie się szczerze do dzieła.

-- Kurs weterynaryi. Rada oddziału Bobreckiego c. k. Towarzystwa gospodarskiego galicyjskiego urządza w Bóbrce w miesiącu wrześniu r. b. teoretyczno-praktyczny kurs weterynaryi dla panów gospodarzy wiejskich, nauczycieli ludowych i oficyalistów prywatnych,

i zaprasza do wzięcia jak najliczniejszego udziału. Czas trwania kursu od 5—15 września r. b.; wykłady teoretyczne 2 godziny przed południem, wykłady praktyczne 2 godziny po południu: prelegent p. Piotr Paszlikiewicz c. k. weterynarz. Wykłady obejmują następujące działy: 1) ogólny zarys anatomii zwierząt domowych; 2) ogólny zarys fizjologii zwierząt domowych; 3) o środkach zaradczych; 4) o chorobach najpospolitszych prędkiego wymagających ratunku; 5) o pomocy przy porodach ciężkich i utrudnionych. Ćwiczenia praktyczne odbywać się będą na żywych okazach. Dla słuchaczy niezamożnych i nauczycieli ludowych powiatu Bobreckiego ustanowiono odpowiednie stypendya.

— W okolicach Trembowli, słynnej w dziejach naszych obroną Chrzanowskiej, a chwilę tę upamiętnił Aleksander Lesser pięknym obrazem olejnym,— A. Kirkor, znany archeolog, z ramienia Akademii umiejętności robił poszukiwania starożytnicze i nie daremnie się trudił, odkrył bowiem na wzgórzu wśród pól dworskich wsi *Semenowa* cmentarzysko. W jednym z grobów znalazł w trumnie dębowej szkielet żeński, 173 centymetrów długi, pokryty warstwą wapna. Po obu stronach czaszki leżały dwa kołczyki, na klatce piersiowej dwa wiśiorki podługowate, widocznie cząstki naszyjnika. Na jednym z palców szkieletu znajdował się pierścień kręcony. Wszystkie ozdoby te były z brązu, który okrył się śniedzią zieloną. W trumnie były także czerepy gliniane. W drugim grobie znajdował się szkielet męzki, 183 centymetrów długości, w czterech innych także pogruchotane szkielety. Trumny wszystkie były dębowe, spajane żelaznymi gwoździami, które rdza przeżarła zupełnie.

— We Lwowie rozstrzygnięty został konkurs rzeźbiarski na pomnik dla Seweryna Goszczyńskiego, mający się wnieść na cmentarzu tegoż miasta (Łyczakowskiem). Z pięciu nadesłanych modeli uznano za najpiękniejszy Juliana Markowskiego rzeźbiarza lwowskiego. Całość jest wielce okazałą i pełną piękna, oraz myśli, wykazującej dokładne zrozumienie natchnień, które poeta wyśpiewał. Figura Goszczyńskiego będzie nadnaturalnej wielkości, wysokość 16 stóp całego pomnika, który zostanie wykonany z piaskowca pińczowskiego.

— W dniu 12 czerwca r. b. odbyło się w Poznaniu posiedzenie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, które załatwiło ważną sprawę uregulowania fundacyi Seweryna hr. Mielżyńskiego. Józef hr. Mielżyński, spadkobierca stryja Seweryna Mielżyńskiego, obowiązał się wielki gmach dla Towarzystwa rozpocząty w tym roku ukończyć; gmach ten będzie nosił nazwę: „Muzeum Imienia hr. Mielżyńskich,“ a zarazem będzie własnością Towarzystwa i całkiem oddany w posiadanie i zarząd Towarzystwa; ponieważ jednak Towarzystwo nie posiada praw korporacyjnych, uchwalono więc, aby w razie targnięcia się na własność, czego przykładów nie mało w dziejach spotykamy, zbiory Towarzystwa z dniem rozwiązania onego, stały się własnością muzeum Mielżyńskich. Chcąc zaś Towarzystwo i jego zbiory zasłonić od możliwych roszczeń dalszych

spadkobierców Mielżyńskich, co do téj wspólnej własności, sam budynek i zbiory obciążone zostaną przez właściciela imiennego znaczną summą hipoteczną, tak zwanych „Grundbriefe,” rodzaj listów zastawnych, które właściciel wydać może w każdej dowolnej wysokości, bez żadnej taksy i szacunku, na imię Towarzystwa Przyjaciół nauk i te listy zostaną złożone pod klucz prezesa Towarzystwa, a są to listy zastawne, które chociaż reprezentują walory, w kurs puszczonemi być nie mogą. W ten sposób interes Towarzystwa i rodziny Mielżyńskich uregulowanemi zostały, a gmach nosić będzie napis: *Dom Towarzystwa Przyjaciół Nauk—Museum Imienia Mielżyńskich.* Zbiory są rzeczywiście wspaniałe, sama biblioteka posiada już 60,000 tomów.

Komissya tegoż Towarzystwa wybrana do obmyślenia zadania konkursowego treści historycznej, uchwaliła temat następujący: „Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych między Elbą a granicami dawnéj Polski, od czasu wystąpienia ich na widownię dziejową, aż do utraty bytu politycznego i znamion narodowych.” Szczególnie zaleca się uwzględnić: *a)* związek etnograficzny między pomienionemi plemionami słowiańskimi a ludnością Polski Piastowéj; *b)* stan kultury tychże plemion w owéj epoce, mianowicie z rzutem oka na religią, na zwyczaje i obyczaje, na ustrój polityczny i społeczny, na stan rolnictwa, przemysłu i handlu, budownictwa i sztuki, jaka wówczas była w ogóle; dalej *c)* zewnętrzny przebieg dziejowych wypadków ze szczególném uwydatnieniem wydarzeń, które spowodowały w różnych stronach Słowiańszczyzny północno-zachodniej ostateczną katastrofę rozmaitych plemion; *d)* wreszcie stosunek między temiż plemionami a Polską. Wydział przyjął do wiadomości powyższe sprawozdanie komissyi, pozostawiając wyszczególnienie warunków konkursu zarządowi Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Nadmienimy tu tylko, że nagroda konkursowa wynosi 500 talarów.

Zarząd tegoż Towarzystwa w Poznaniu ogłosił: „Zmarły w roku 1858 Norbert Bredkrajcz pozostawił fundusz z rozporządzeniem, ażeby procenta od tegoż przeznaczono na nagrody za prace literackie, w drodze konkursu za najlepsze uznane, a przez testatora bliżej określone osobną ustawą.

1) Sztuka (dramat albo komedia) w 5 a najmniej w 3 aktach, uznana za bezwzględnie dobrą, otrzyma nagrodę 1500 marek. Gdyby się znalazło dwie lub kilka sztuk uważanych za bezwzględnie dobre, wtedy najlepsza z nich otrzyma powyższą nagrodę.

2) W braku bezwzględnie dobrych utworów, dramat albo komedia w 5 a najmniej w 3 aktach, uznana za najlepszą ze względnie dobrych (to jest pod wieloma względami dobrych, choć nie pod wszystkimi), otrzyma 900 marek, a sztuka najwięcej zbliżająca się do niéj swą wartością, 600 marek.

3) Przy jednakowéj wartości pod względem dramatycznym, utwory osnute na tle narodowém, będą miały pierwszeństwo przed innymi a wierszem napisane przed prozą. Ś. p. Norbert Bredkrajcz, któ-

ry zapisał fundusz, unależniający ogłoszenie niniejszego konkursu, objawił w swym testamencie życzenie, aby wiersz był rymowy (nie miarowy) i trzynastozgłoskowy. Nie będzie to koniecznym warunkiem, ale z dwóch dzieł jednakiej wartości to zostanie uwiecznionem, które powyższemu życzeniu odpowiada.

4) Sztuki nie uwiecznione pieniężną nagrodą mogą otrzymać pochwałę lub zalecenie derekcyom teatralnym do grania.

5) Sztuki tłumaczone z obcych języków, albo już grane lub drukowane, albo takie, co ubiegały się już o nagrodę w Warszawie, Krakowie, Lwowie lub gdzieindziej, nie będą przyjęte. Zmieniony tytuł lub przerobienie nie stanowi różnicy. Komissya konkursowa, zanim ostatecznie przyzna nagrodę, postara się o stanowczą wiadomość w komisji warszawskiej, krakowskiej i lwowskiej, czy sztuka kwalifikująca się do oznaczenia, nie była im już podawana.

6) Komissyą konkursową składają pp. dr. Rymarkiewicz, Stanisław Motty, Julian Bukowiecki, Józef Kościelski, J. K. Żupański, dr. Cybichowski, Stanisław Koźmian, dr. Łębiński i Hieronim Feldmanowski.

7) Utwory należy nadsyłać franco aż do 1 kwietnia 1877 roku do Poznania, pod adresem: Hieronim Feldmanowski, 35 ulica Młyńska.

8) Przesyłkom winien towarzyszyć list zapieczętowany, zawierający nazwisko i adres autora, a opatrzony tą samą dewizą, co manuskrypt.

9) Uwiecznioną sztukę autor zezwoli przedstawić miejscowemu teatrowi trzy razy, bez żądania honoraryum. Zresztą pozostanie ona, tak co do ogłoszenia drukiem, jak co do oddania na scenę zupełną jego własnością.

— Od XVI stulecia, kiedy poczęto wydawać tak zwane *modus epistolandi*, nie mało mamy w literaturze naszej zbiorów listów wzorowych. Obecnie w Poznaniu wyszła w księgarni J. Chociszewskiego taka nauka pisania listów, oparta na przytaczaniu korespondencyi celniejszych pisarzy jak: Krasickiego, Kołłątaja, Mickiewicza, Krasińskiego, Odyńca, Słowackiego, Szajnochy, Libelta i innych.

— Nakładem J. K. Żupańskiego w Poznaniu, wyszedł tom pierwszy *Pamiętników J. U. Niemcewicza*, obejmujący dziennik pobytu jego zagranicą od 1831—1841. Według autografu w Bibliotece Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, całość obejmie pięć tomów. Będzie to ważny przyczynek do dziejów literatury naszej epoki.

— W Czarniejewie (w Wielkiem; Księstwie Poznańskim) rodzinnem mieście Onufrego Kopczyńskiego, stawia hrabina z Lipskich Skórczewska pomnik temu autorowi pierwszej Gramatyki polskiej. Wielki medalion z portretem zasłużonego męża, który ma być umieszczony w pomniku, jest z brązu, cyzelowany w fabryce warszawskiej Mintera, a modelowany przez artystę Andrzeja Pruszyńskiego.

— W Lipsku wychodzi trzecie wydanie *Encyklopedyi Meyer'a*. W niej dział literatury słowiańskiej poczynając od piątego tomu, po-

wierzono p. E. Lipnickiemu, którego *Dzieje poezyi polskiej*, wydane w r. 1873 w języku niemieckim w Moguncyi, w tamczném dziennikarstwie doznały bardzo przychylnego przyjęcia.

— W Berlinie wyszła znana sielanka Kazimierza Brodzińskiego „*Wiesław*” w przekładzie czeskim: p. n. „Kazimira Brodzińskiego *Wiesław*, selanka z okolic Krakowskiego w pięci śpiewach: przeloził Jan Soukop.“ W przedmowie tłumacz mówi z wielkiém uwielbieniem o poezyi polskiej.

— Stojan Novakowicz b. miuister oświaty w Serbii, a następnie professor zajmujący w szkole głównej belgradzkiej katedrę literatur słowiańskich, przelożył *Grażynę* Mickiewicza. Tak więc obecnie Serbowie mają tłumaczenia najznakomitszych utworów poetycznych literatury naszej: *Konrada Wallenroda*, *Irydiona*, *Nieboskiej komedyi* a teraz przybywa i *Grażyna*.

— Znakomity rzeźbiarz Wiktor Brodzki ukończył w Rzymie marmurowy nagrobek wielkiego ukraińskiego wieszczka, Tomasza Padurra, pełen dziwnej prostoty i piękności. Szczyt jego wieńczy lutnia, pióro i zwój pisma z tytułami głównych pieśni nieboszczyka: *Lirnyk*, *Zaporożec*, *Zołotaja Boroda*, *Kozaczyna*, *Fantazyja*. Pośrodku widać wklęsłość w kształcie czary, oplecionej laurowym wieńcem, a w niej popiersie poety w wypukłorzeźbie, przedstawiające szlachetne jego rysy, w trzech ćwierciach wykonane, w czém dłuto miało niemało trudności do zwalczenia. Niżej dwie wywrócone pochodnie tworzą jakoby dwie małe kolumny po obu stronach dolnej części grobowca. Między nimi herb Sas, rodowy klejnot ukraińskiego piewcy, liczącego się do najstarszej ruskiej szlachty, a nad nim napis, składający się z dwóch oddzielnych części, z wiersza i następnych wyrazów:

Tomasz Padurra
Urodził się 21 grudnia 1801,
Umarł 8 września 1871.
Przyjacielowi
ten kamień położył
Marjan Wasiutyński,
wykonał w Rzymie 1876 roku
Wiktor Brodzki.

† Dnia 14 sierpnia r. b. umarł we Francyi w miasteczku Gisors, o mil kilka od Paryża **Ludwik Franciszek Michał Rajmund Wołowski**. Cała prassa francuzka zgon jego uważa za niemałą stratę dla Rzeczypospolitej. Znakomity ekonomista zostawia szczerzy żal po sobie w szeregach republikańskich. W roku 1833 Ludwik Wołowski otrzymał naturalizacyą we Francyi, i zapisał się w poczet adwokatów paryzkich. Założył *Revue de législation et de jurisprudence*, i ogłaszał różne prace z ekonomii politycznej, za które w 1839 roku

otrzymał katedrę profesora ekonomii politycznej i prawodawstwa handlowego w konserwatorium sztuk i rzemiosł. Po rewolucyi 1848 r. brał udział w ruchu politycznym. Miewał odczyty na zgromadzeniach ludowych i został wybrany z departamentu Sekwany do konstytuanty, a później do izby prawodawczej. Zasiadł na ławach lewego środka, i zawsze głosował z republikanami. Po zamachu stanu usunął się z życia publicznego. Pisywał artykuły treści ekonomicznej do *Revue des deux Mondes*, do *Journal des Economistes* i do *Siècle'a*. Wołowski to wprowadził do prasy francuzkiej artykuły z ekonomii politycznej i o finansach. Przedtém podobne prace nie pojawiały się po dziennikach. Pracował razem z Leonem Faucher'em, którego siostrę pojął za żonę. Francya zawdzięcza Wołowskiemu Towarzystwo Kredytowe Ziemskie na wzór podobnej instytucyi w Warszawie. W 1855 r. został członkiem akademii nauk moralno-politycznych, objął krzesło po Adolfe Blanqui'm.

Po wojnie wybrany deputowanym do zgromadzenia narodowego, napisał te słowa: „Nie przypuszczam, aby się monarchia dała przywrócić. Chcę się przyłożyć do zamknięcia rewolucyjnej ery, pracując nad zorganizowaniem Rzeczypospolitej.” Zabierał głos we wszystkich rozprawach finansowych i był sprawozdawcą budżetu na rok 1875. Głosował na ministerstwo Broglie'go, za co wpadł był w niełaskę u republikanów. Mimo to, przy wyborze senatorów, republikanie głosowali za nim. Został piętnastym z rzędu senatorem dożywotnim.

Wołowski serdecznie kochał Francją, to téż Francya sownie go nagrodziła.

Dnia 19 t. m. odbył się wspaniały pogrzeb. Orszak żałobny przybył na cmentarz *Père-Lachaise*, gdzie zwłoki zmarłego złożone zostały. P. Bersot dyrektor szkoły normalnej przemówił w imieniu akademii umiejętności moralnych i politycznych, p. Peligot w imieniu konserwatorium sztuk i rzemiosł, a p. Barrol w imieniu towarzystwa rolników francuzkich.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. WI. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger.*

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

Z R. 1876.

stron.

Historya.

- Synowie hetmańscy. Opowiadanie historyczne. Przez Władysława Chomętowskiego. (Tom II). 47, 253, 461
Społeczność Warszawy w początkach naszego stulecia (1800—1830).
Przez K. Wł. Wójcickiego. 385

Nauki Społeczne.

- Szkice z ekonomii społecznej i pedagogii. Przez Maksymiliana Kawczyńskiego. 28
O zjazdach czyli kongresach naukowych i ich działaniu w ostatnich kilku latach. Przez E. Stawiskiego. 195, 361

Geografia—podróże i odkrycia geograficzne.

- Obrazy Czech. Przez Adolfa Smorzewskiego. 177
Podróże i odkrycia geograficzne (1874—1875). Przez F. Jezińskiego. 235
Podole. Przez F. Krauzego (Podolanina). 439

Sztuki piękne.

- Kronika lwowska. Wystawa Towarzystwa sztuk pięknych we Lwowie
Przez Bronisława Zawadzkiego. 421

Nauki przyrodzone.

- Z dziedziny przyrodoznawstwa. Przez T. Skomorowskiego. 279

Literatura.

Komedye Aleksandra hr. Fredry. Odczyty publiczne Stanisława hr. Tarnowskiego w wielkiej sali ratuszowej w Warszawie. . . . 1

KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Francuzi w Ameryce, przez Leona Chotteau.—Washington, Lafayette i t. d. przedmowa Laboulay'a.—Wystawa obrazów: *Walka Jakóba z aniołem* Bonnat'a. *Wjazd Chrystusa do Jerozolimy* Gustawa Doré. *Święta Genowefa* p. Puvis de Chavannes. *Bitwa pod Tolbiakiem*, *Chrzest Klodoweusza* p. Blanc. *Joanna d'Arc* p. Monchablon. *Joanna Schutembergera*. *Wjazd Mahometa do Konstantynopola* p. Benjamin Constant. *Baal pożerający jeńców* p. Motte. *Franciszek Borgiasz nad trupem Izabelli portugalskiej* Pawła Laurent. *Neron i Lokusta* Sylwestra Kopernik p. Gersona. *Lezdejko na gruzach świątyni Perunowej* p. Alchimowicza. *Hołd Ottokara przed Rudolfem* p. Cetnera ze Lwowa. *Oblężenie Namumburga* p. Jarosława Czermaka. *Baldwin książę Flandryi* przez de Vrient. *Doktor Pinel w szpitalu obłąkanych* p. Tony-Robert-Fleury. *Herkules i hydra lerneńska* p. Moreau. *Iksyon* p. Delaunay. *Pogrzeb kameduły* p. Zdzisława Suchodolskiego. *Chrzest w katakumbach* p. Ceccariniego.—Portrety: Carolus Duran, Perignon, Dubori, Renard, panna Izydora Mikulska.—*Artyści dawni i tegocześni* przez Karola Clement. *Granice zagrożone* p. Henryka Havard.—*Trybunowie i dworacy* p. Wiktora Laprade.—*Lutnista z Kremony*, Franciszka Coppée.—*Dymitr* opera p. Jussieres.—*Kochankowie Kasi* operetka p. Marechal.—*Zarysy krytyczne literatury włoskiej* Emila Gebhard.—Konferencye p. Ly-Schau-Pe, *O kobiecie chińskiej*.—Wybory akademickie.—Śmierć Georges Sand. 128

Dwie uroczystości w Akademii Francuzkiej: przyjęcie J. B. Dumasa, mowa na cześć Guizota, odpowiedź p. St. René Taillandier, przyjęcie b. ministra Simon. Rozbiór dramatu Remuzata: *Abellard*.—Georges Sand: mowa pogrzebowa Wiktora Hugo.—Joachim du Belay poeta XVI wieku.—Badania nad językiem i rytuałem, przyznawanym Ś-mu Cyryllemu, barona d'Avril.—Wystawa na Polach Elizejskich: Obrazy rodzajowe.—P. Gervex, *Stół anatomiczny*.—Epizody wojenne.—*Sypialnia Maryi Antoniny w Wersalu*.—Przedmioty wschodnie.—*Chińczyki* Delamara; *Pług egipski*, *Meczet* Gerona.—Sceny buduarowe Toulmouche.—*Wieża w górach zasypana śniegiem*, Emila Breton.—*Rybaczka z Dieppe*, Vollona.—*Dziewczyna wiejska*, Jacqueta.—*List z obozu*.—*Normandki z Cancalle*.—*Rybacy*, *Rodzina alzacka* pani Chatillon.—*Śpiące dziecię*, *Sala ochrony*.—Nasi artyści: pp. Bakalowicz, Szyndler, Szermentowski, Gąsowski, Brochocki, Laszczyński, Kozakiewicz, Maszyński.—*Na Ukrainie*, p. Chełmońskiego.—*Lir-*

<i>nicy ukraińscy</i> , panny Mikulskiéj; pp. Łukaszewski, Piątkowski, Przepiórski, Roszczewski, Sokołowski, Czechowicz, panie: Przepiórska, Płużańska, Konstancya Boulard.—Rzeźby: <i>Posąg Lammartina</i> , p. Folguere.— <i>Posąg marszałka Niel</i> , Craucka.— <i>N. Panna Bolesna</i> , Sansona; <i>S-ty Jan z Matty</i> , Iliolla.— <i>Gal u stupa</i> , p. Lequesne.— <i>Perseusz</i> , p. Marqueste.— <i>Rybaczka z synem</i> , p. Sary Bernhardt.—p. Cypryan Godebski.— <i>Odium</i> . PP. Hegel i Ryger.—Nikanor Płaza z Chili: popiersie Domejki.—Arcydzieło rzeźby: <i>Miłosierdzie i odwaga wojskowa</i> . p. Pawła Dubois.—Wychowanie publiczne w Skandynawii, p. Hippeau.—P. Józef Wieniawski.	295
<i>En Kariote</i> .—Podróż po Szwecyi i Norwegii p. Alberta Vandal. <i>Powieściopisarze współcześni</i> .—Studyum krytyczne przez Maryusza Topin: Georges Sand.—Wiktor Hugo.—Balzak.—Juliusz Sandeau.—Ksawery Marmier.—Paweł Feval.—Alfons Daudet.—Trzy powieściopisarki nagrodzone przez Akademię: pani Craven, Caro, Bentzon.—Szkoła realistyczna.—Gustaw Flaubert, Emil Zola.—Powieść naukowa: Juliusz Werne.—Poemat <i>Sen</i> p. Beauregard.— <i>Olivier</i> Franciszka Coppée.—Korrespondencye zmarłych literatów: Listy Georges-Sand.—Sztuka francuzka i amerykańska w Filadelfii.—Wazon porcelanowy na cześć niepodległości Stanów Zjednoczonych, wykonany w Limoges.— <i>Historya elektryczności</i> w obrazach.— <i>Era wyobraźni</i> .— <i>Era nauki</i> .—Towarzystwo naukowych podróży w około świata.—Roczne sprawozdanie klubu alpejskiego.—Nowe odkrycia antropologiczne.—Obraz Rafaela: <i>Wieczera Pańska</i> , odkryty w Nowym Orleanie.	490
Przegląd pedagogiczny. Przez Piotra Chmielowskiego.	244

Dramat.

Gabryela. Komedia w pięciu aktach, Emila Augier'a. Tłumaczył Kazimierz Kaszewski.	106, 216, 449
---	---------------

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej. O muzeum Kopernika w Rzymie. Przez Dra Artura Wołyńskiego.	323
W sprawie Światowida. Przez Zygmunta Glogera.	517

Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.

Głos dra J. Majera prezesa Akademii umiejętności w Krakowie, na rocznym posiedzeniu publicznym w dniu 3 maja 1876 r. Kraków. Przez W.	156
---	-----

	stron.
Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, wydane przez biuro statystyczne, pod redakcją profesora dra Tadeusza Pilata. Rocznik II. Lwów 1876. Przez R.	159
Literatura polska w Ameryce. Przez W.	160
Meine Antwort an Herrn Darwin, von prof. Max Müller in Oxford. Berlin 1875. Przez M. Wł. Dębickiego.	162
Historya Starożytna ułożona przez Tadeusza Korzona. Warszawa, 1876. Przez J—d.	326
W sprawie mowoznawstwa krajowego. Przez F. Jezierskiego.	341
Rys historyi literatury niemieckiej do połowy XVIII w. Zebrał Antoni J. Szabrański. Warszawa, 1876. Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa. Przez J.	348
O drogach ducha. Napisał August Cieszkowski. Poznań 1869 r. Nakładem autora. Przez Feliksa Jezierskiego.	520
Katedra gnieźnieńska przez ks. Ignacego Polkowskiego, Gniezno 1874 r. Przez Ernesta Świeżawskiego (J—d).	524
Odpowiedź na kilka uwag co do nowo-odkrytego herbarza I. Krasickiego, w nr. 38 Niwy z r. b. zamieszczonych. Przez Aleksandra Wejnerta.	525
WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.	170, 355, 540
NEKROLOGIA.	175, 354, 547